

Scott Mariani

Proroctwo Sądnego Dnia

The Doomsday Prophecy

Przełożył

Wojciech Jędruszek



Malcolmowi i Isabelle

*Błogosławiony, który odczytuje,
i którzy słuchają słów
Proroctwa,
a strzegą tego, co w nim napisane,
bo chwila jest bliska.*

Biblia, Księga Objawienia 1,3

1

Korfu, Wyspy Jońskie, czerwiec 2008

dzień pierwszy

Zrobili to nocą.

Znaleźli ją na tonącej w zieleni wyspie Korfu i przez trzy słoneczne dni obserwowali. W końcu zdecydowali się na kolejny ruch. Wypoczywała w wynajętej willi, ukrytej w cieniu drzew oliwnych, na wysokim brzegu kryształowo czystego morza.

Mieszkała sama - porwanie jej nie powinno być trudne. Jednak dom był zawsze pełen rozbawionych gości, tańczących i pijących praktycznie bez przerwy. Widzieli ją, nie wiedzieli jednak, jak się do niej zbliżyć.

Opracowali więc szczegółowy plan akcji. Wkroczenie, akcja, wyjście. Wszystko miało odbyć się cicho i dyskretnie. W zespole było ich czworo: kobieta i trzech mężczyzn. Wiedzieli, że jest to jej ostatni dzień na wyspie - miała już bilet na samolot odlatujący z Korfu następnego ranka. Wracała do domu, skąd uprowadzenie jej byłoby dużo, dużo trudniejsze.

Dzisiaj wieczorem albo nigdy. Ze względów strategicznych pora na jej zniknięcie wydawała się idealna, rano nikt już nie będzie jej szukał.

Czekali do wieczora na moment, kiedy pożegnalne przyjęcie się rozkręci. Mieli samochód, zwykły, niezwracający uwagi, wynajęty za gotówkę w miejscowej firmie. Jechali w milczeniu, zaparkowali na poboczu drogi, ukryci w cieniu oliwnego zagajnika w pobliżu willi.

Obserwowali w milczeniu. Willa jak zwykle tonęła w światłach. Po wodzie niosła się muzyka i śmiechy gości. Gwar, nieco wyciszony przez drzewa, docierał też do nich. Dom z białego kamienia wyglądał imponująco, na jego trzech balkonach widzieli tańczące pary oraz gości stojących z drinkami przy balustradzie i podziwiających piękno wieczoru.

W dole, w świetle księżyca, mieniło się morze. Wieczór był ciepły, powietrze ciężkie od woni kwiatów, wiała lekka bryza. Wciąż podjeżdżały samochody z kolejnymi gośćmi.

Tuż przed jedenastą zespół przystąpił do akcji. Dwaj mężczyźni z przodu usadowili się wygodniej; mieli zostać w samochodzie i czekać. W razie potrzeby nawet bardzo długo. Nie

było to dla nich jednak niczym nowym. Siedzący z tyłu mężczyzna i jego towarzyszka popatrzyli na siebie i lekko skinęli głowami. Kobieta odgarnęła długie, lśniące, czarne włosy i związała je z tyłu gumką, następnie w lusterku samochodowym sprawdziła makijaż.

Otworzyli drzwi i wysiedli z samochodu. Nie oglądali się już za siebie. On trzymał butelkę drogiego, miejscowego wina. Opuścili cień zagajnika i przez bramę weszli na teren posesji, kierując się w stronę drzwi i tarasu. Mężczyźni w samochodzie widzieli teraz tylko ich plecy.

Wkroczyli w krąg światła i wrzawy. W milczeniu, swobodnie i pewnie poruszali się wśród gości. Dobrze wiedzieli, jak wtopić się w tłum. Wiele spośród zgromadzonych tu osób było już zbyt pijanych, żeby zwrócić na nich uwagę, co bardzo im odpowiadało. Dookoła wałały się puste butelki, a zapach unoszący się w powietrzu wskazywał, że palono tu nie tylko tytoń.

Para nowo przybyłych ruszyła przez chłodne białe pokoje, obserwując ich kosztowny wystrój. Szybko zlokalizowali cel i od tego momentu nie spuszczała go z oka.

Nie podejrzewała niczego.

Znajdowała się w centrum uwagi i stwarzała wrażenie osoby, którą to bardzo bawi. Wiedzieli, że swoje pieniądze wydaje lekką ręką, bez zastanowienia, jakby była pewna, że nigdy ich jej nie zabraknie. Szampan lał się strumieniami. W kącie salonu stał samoobsługowy barek, z którego goście swobodnie korzystali.

Dwójka przybyszy patrzyła na nią bez emocji. Zachowywali się jak naukowcy, którzy obserwują szczura w klatce, wiedząc, co go czeka. Była młoda i piękna, wyglądała dokładnie tak jak na zdjęciach. Może tylko włosy miała trochę dłuższe, a dzięki opaleniznie oczy intensywniej niebieskie. Białe bawełniane spodnie i żółta jedwabna bluzka podkreślały powaby jej figury i przyciągały wzrok mężczyzn.

Nazywała się Zoë Bradbury. Wiedzieli o niej dużo. Miała dwadzieścia sześć lat i imponujący, jak na jej wiek, dorobek jako autorka, naukowiec, historyk oraz cieszący się poważaniem w swoim środowisku archeolog biblijny. Nie wiązała się z nikim na stałe, chociaż nieustannie otaczał ją wianuszek mężczyzn, których towarzystwo bardzo sobie ceniła. Na przyjęciu flirtowała i tańczyła ze wszystkimi atrakcyjnymi gośćmi. Była Angielką urodzoną i wychowaną w Oksfordzie. Wiedzieli, kim są jej rodzice. Sięgnęli głęboko w jej życie i zrobili to sumiennie. Z tego bowiem żyli.

Plan był prosty. Za parę minut kobieta niepostrzeżenie się oddali, a mężczyzna zbliży do celu. Zaoferuje jej drinka, może poplirtuje. Miał nieco ponad trzydzieści lat, był szczupły i przystojny. I pewny, że wrzucenie narkotyku do jej kieliszka nie nastęrczy żadnych trudności.

Był to wolno działający specyfik, powodujący objawy towarzyszące wypiciu zbyt dużej ilości alkoholu - z tą jednak różnicą, że ofiara nie będzie w stanie się obudzić przez kilka najbliższych godzin. Sposób, w jaki gospodyni przyjęcia wychylała donoszone jej drinki, gwarantował, że kiedy uda się do sypialni, nikt się tym nie przejmie. A kiedy przyjęcie się skończy i goście wyjdą, porywacze wyniosą ją do samochodu. W punkcie kontaktowym już na nich czekał motorowy jacht.

Tak jak przewidywali, ze zbliżeniem się do Zoë nie było problemu. Mężczyzna przedstawił się jako Rick. Rozmawiał, uśmiechał się i flirtował. Gdy zaproponował jej martini, nie odmówiła. Podeszedł do baru, aby je przyrządzić, i tam, podczas mieszania, szybko wlał do kieliszka zawartość ampułki z narkotykiem. Wszystko odbyło się w pełni profesjonalnie. Wrócił i z uśmiechem podał jej gotowego drinka.

Zachichotała i uniosła kieliszek w żartobliwym toaście: Na zdrowie! Złota bransoleta przesunęła się z jej przegubu na opalone przedramię.

I w tym momencie ich plan wziął w łeb.

Nie zwracali dotąd większej uwagi na mężczyznę, stojącego w kącie pokoju. Podeszedł on szybko do Zoë, ujął za rękę i poprosił do tańca. Jego twarz nie była im obca. Widzieli go już kilka razy wcześniej, gdy obserwowali willę. Miał około czterdziestu pięciu lat, przyprószone siwizną skronie, był szczupły, elegancko ubrany i wyraźnie starszy od reszty jej przyjaciół. Aż do tej chwili trzymał się na uboczu.

Skinęła głową i odstawiła nietkniętego drinka na sąsiedni stolik. Mężczyzna, sprawiający wrażenie zupełnie trzeźwego, zachował się dziwnie. Przechodząc koło stolika, trącił go kolanem tak, że kieliszek się przewrócił, a drink wylał na podłogę. Nie byli pewni, czy zrobił to z premedytacją, czy przez zwykłą nieuwagę.

Mieli tylko jedną ampułkę. Zobaczyli, jak mężczyzna wyprowadza ich cel na taras, gdzie pod rozgwieżdżonym niebem goście tańczyli w rytm wolnego jazzu.

Para przybyszy zrobiła wtedy to, czego ich uczono na szkoleniach: zaczęli improwizować. Błyskawicznie porozumieli się wzrokiem, ich spojrzenia i gesty były praktycznie niezauważalne dla osób nieznających powodu ich obecności. W kilka sekund przyjęli nowy plan działania. Trochę się teraz pokręca, wtopią w otoczenie. A pod koniec przyjęcia wejdą do domu, schowają się i poczekają, aż ostatni goście odjadą, a dziewczyna zostanie sama. To także nie było trudne. Nie śpieszyło im się. Spokojnie wyszli na taras pełen ludzi, oparli się o ścianę i zaczęli saczyć drinki.

Między ich celem a starszym mężczyzną zaobserwowali pewne napięcie. W czasie tańca mężczyzna próbował dziewczynę do czegoś nakłonić. Szeptał jej do ucha, starając się robić to

dyskretnie.

Przez chwilę nawet wyglądało na to, że dojdzie między nimi do kłótni. Wtedy jednak on ustąpił. W geście pojednania pogłaskał ją po ramieniu, pocałował w policzek i szybko opuścił przyjęcie. Dwójka przybyszy ujrzała, że wsiada do swojego mercedesa i odjeżdża.

Były trzydzieści dwie minuty po dwudziestej trzeciej.

Kwadrans przed północą zobaczyli, że spojrzła na zegarek i zaczęła wypraszać gości. Wyłączyła muzykę, zapanowała nagle cisza. Przeprosiła wszystkich, mówiąc, że wcześniej rano ma samolot. Że dziękuje im za przyjście. Że życzy im dalszej dobrej zabawy gdzie indziej.

Goście byli trochę zaskoczeni, nikt się jednak nie obraził. W tę ciepłą letnią noc na wyspie odbywało się wiele innych przyjęć.

Mężczyzna i kobieta musieli wyjść ze wszystkimi. Nie mieli żadnej szansy, żeby odejść gdzieś na bok i się schować. Swoje rozczarowanie potrafili jednak dobrze ukryć. Wiedzieli, że to tylko drobna niedogodność, którą nie należy się zbytnio przejmować. W milczeniu wrócili do samochodu ukrytego w cieniu drzew oliwnych i wsiedli do środka.

- Co robimy? - spytał kierowca.

- Czekamy - z tylnego siedzenia odpowiedziała kobieta.

Jasnowłosa mężczyzna się skrzywił.

- Dostyc tego. Dajcie mi pistolet. Zaraz sukę przyprowadzę. O, tak! - Wychylił się do przodu i strzelił palcami. Kierowca wzruszył ramionami i wyjął spod kurtki pistolet kaliber 9 mm. Blondyn wziął broń i zamierzał wysiąść z samochodu.

Kobieta go powstrzymała:

- Ważna jest dyskrecja, pamiętasz? Działamy czysto.

- Do diabła z dyskrecją. Uważam, że...

- Czekamy - powtórzyła kobieta i posłała mu spojrzenie, które go natychmiast uciszyło.

W tym momencie usłyszeli motocykl.

Była dokładnie północ.

2

*okolica Galway Bay, zachodnie wybrzeże Irlandii
dwie minuty później, 22:02 czasu GMT*

Lód w szklance z whisky już się rozpuścił, ale Ben Hope nadal stał w oknie i obserwował zapadającą ciemność. Widział słońce, które chowało się za atlantycki horyzont, niebo ze szkarłatnymi i złotymi smugami oraz nadciągające od zachodu wraz ze zmierzchem chmury.

Patrzył, jak fale rozbijają się o czarne skały i tryskają pióropuszcami piany. Twarz miał spokojną, lecz bolesne myśli nie dawały mu chwili wytchnienia. Nawet whisky nie pomagała. Nie mógł uwolnić się od obrazów i wspomnień z przeszłości. Zastanawiał się nad swoim życiem. Myślał o tym, co dotychczas zrobił, i o planach, których już nie zrealizuje. Przed sobą widział tylko pustą przyszłość, samotne dni przechodzące w samotne noce.

Wcale tak być nie musi.

Tuż za nim na niskim stoliku stała butelka najprzedniejszej whisky słodowej. Kilka godzin temu była pełna. Teraz na dnie zostało już niewiele. Przy butelce leżała Biblia. Stara, oprawiona w skórę, nieco już podniszczona. Znał ją prawie na pamięć. Pistolet, hi-power browning kaliber 9 mm, zadbane, wyczyszczony i naoliwiony, znalazł się na stoliku już przed paroma godzinami, nadal jednak nie był odbezpieczony. Trzyście lśniących naboju tkwiło w magazynku, jeden w komorze zamka. Miedziany opływowy wierzchołek naboju był na linii lufy, a jego koniec tylko czekał na uderzenie iglicy. I decyzję człowieka.

Jeden nabój.

Gdzieś w głębi pełnego cieni pokoju zadzwonił telefon. Ben nawet się nie poruszył. Po pewnym czasie dzwoniący zrezygnował.

Czas mijał. Słońce zanurzyło się już w oceanie. Fale były coraz ciemniejsze, niebo spowiła noc. W oknie widział teraz własne odbicie.

Znów zadzwonił telefon.

Nadal stał bez ruchu. Telefon dzwonił pół minuty, potem przestał. Jedynym odgłosem w pokoju był teraz daleki szum Atlantyku.

Odwrócił się od okna i podszedł do stolika. Odstawił pustą szklankę i sięgnął po pistolet.

Zważył w dłoni ciężką stal. Zauważył igrające na niej światło księżyca. W końcu odbezpieczył broń.

Bardzo wolno skierował ją w swoją stronę. Patrzył teraz prosto przed siebie, trzymając pistolet od tyłu, z kciukiem na spuście. Zbliżył go do twarzy. Na czole poczuł zimny pocałunek stali. Zamknął oczy. W myślach widział jej twarz, taką chciał ją pamiętać: uśmiechniętą, pełną życia, piękną i szczęśliwą, pełną miłości.

Bardzo mi Ciebie brakuje.

Westchnął.

Nie dzisiaj, pomyślał. Jeszcze nie dzisiaj.

Opuścił pistolet i stał tak przez chwilę. Wreszcie go zabezpieczył, odłożył na stolik i wyszedł z pokoju.

3

*Korfu 24:03
czasu greckiego*

Z włosami rozwianymi chłodnym wiatrem Zoë pędziła na wielkim skuterze Suzuki Bergman w górę krętej wiejskiej drogi.

W pewnej chwili dostrzegła, że jedzie za nią jakiś samochód, którego silne reflektory omiały okolicę. Zastanawiała się, kim jest kierowca. Może to ostatni, spóźniony gość z jej przyjęcia?

Nie zauważyła jednak żadnego samochodu, gdy przed wyjściem z domu zamykała okiennice i drzwi.

Dodała gazu. Drzewa po obydwu stronach drogi zaczęły uciekać coraz szybciej. Czowała, jak wiatr szarpie jej włosy i ubranie, światła samochodu zostały w tyle.

Uśmiechnęła się. Była zadowolona, że Nikos zabrał już cały bagaż do siebie - na skuterze by się nie zmieścił. Teraz mogła się cieszyć swoją ostatnią przejażdżką przed porannym wylotem do domu. Skuter był duży, jego silnik o pojemności 400 cc gwarantował dreszczyk emocji. A tego rodzaju podniecie i ryzyko Zoë kochała najbardziej. Uśmiechając się jeszcze szerzej, ponownie przyśpieszyła.

Wtedy w lusterku wstecznym znowu pojawiły się światła. Tym razem samochód, oślepiając ją, jeszcze bardziej się zbliżył. Zwolniła więc i zjechała na bok, by mógł ją wyprzedzić.

On jednak uparcie pozostawał w tyle, utrzymując tę samą prędkość co ona. Poirytowana, machnięciem ręki pokazała mu, żeby jechał szybciej. Samochód nadal nie przyśpieszał. Słyszała pracę jego silnika, zagłuszającego hałas skutera.

OK. To musiał być jakiś dupek, który chciał się pościgać. Skoro tak, proszę bardzo! Wcisnęła gaz do dechy, przechylając się na bok przy wchodzeniu w kolejne zakręty. Samochód wciąż trzymał się blisko. Jeszcze bardziej przyśpieszyła, odstęp się trochę powiększył. Jednak nie na długo. Wreszcie samochód podjechał do niej tak blisko, że się przestraszyła.

Serce Zoë biło coraz szybciej, a perspektywa wyścigu na ciemnej pustej drodze między migającymi z obu stron drzewami nagle straciła swój urok.

Z przodu, po prawej stronie, dostrzegła polną drogę. Pamiętała ją, wcześniej była tu kilka razy na spacerze. Na jej końcu znajdowała się brama zawsze zamknięta na kłódkę, lecz między bramą a rozpadającym się kamiennym murem była szczelina wystarczająco szeroka, aby zmieścić się w niej skuter.

Z dużą szybkością skręciła w prawo, z trudem zachowując kontrolę nad pojazdem. Powierzchnia drogi była miękka i sypka. Skuter wkrótce wpadł w poślizg, z którego ledwie go wyprowadziła. W lusterku znów zobaczyła zbliżające się światła.

Czego od niej chcieli?

Brama była coraz bliżej. Dwadzieścia metrów. Piętnaście. Wyhamowała, skuterem zarzuciło, lecz trafił w szczelinę i ze zgrzytem plastiku przecisnął się na drugą stronę. Goniący ją samochód gwałtownie stanął, światła znów się oddaliły.

Wydała okrzyk radości. Udało się!

Jednak gdy w chwilę potem ponownie spojrzała w lusterko, na tle świateł zobaczyła sylwetki ludzi. Biegnących za nią i uzbrojonych.

Z tyłu usłyszała głośny strzał, poczuła wstrząs. Pękła tylna opona.

Nagle straciła panowanie nad pojazdem i wiedziała, że upada. Z impetem wyrznęła o ziemię.

I to było wszystko, co na długi czas zapamiętała.

4

Thames Ditton, Surrey, Anglia

dzień drugi

Wysokie złożone skrzydła zwieńczonej łukiem bramy były otwarte, więc Ben Hope nie musiał się zatrzymywać. Prywatna droga długim tunelem wciniała się w otaczający ją las, zielony i chłodny mimo upalnego popołudnia. Za zakrętem, gdy już rozstąpiły się drzewa, ujrzał otoczony aksamitnym, wypielęgnowanym trawnikiem późnogeorgiański pałac. Wynajęte audi quattro zostawił na wysypanym chrzęszczącym żwirem parkingu, tuż obok bentleyów, rollsów i jaguarów.

Wysiadając z samochodu, poprawił krawat i włożył marynarkę od specjalnie kupionego na tę okazję drogiego garnituru. Był prawie pewny, że po dzisiejszym przyjęciu nigdy więcej go już nie założy. Usłyszał niesione wiatrem dźwięki orkiestry i przecinając trawnik, ruszył w jej kierunku. Na tyłach rezydencji rozciągał się ogromny park.

Goście zgromadzili się na trawniku wokół wielkiego pasiastego namiotu. Było dużo śmiechu i lekkich rozmów. Długie stoły z kanapkami, kelnerzy roznoszący napoje na tacach. Kobiety w letnich sukienkach i kwiecistych kapeluszach. Przyjęcie ślubne wyglądało o wiele wystawniej, niż Ben się spodziewał.

Charliemu się udało, pomyślał. Ten praktyczny, znający życie londyńczyk karierę zawodową w Royal Engineers rozpoczął jako kierowca ciężarówki z zaopatrzeniem. W wojsku był od czasu ukończenia szkoły średniej. W 22 pułku SAS nigdy nie awansował, ponieważ wolał służyć w randze szeregowca. Miał tylko jedną ambicję - być najlepszym. Benowi niełatwo było wyobrazić go sobie w roli męża bogatej żony i zastanawiał się, czy w nowym środowisku znajdzie szczęście.

Teraz Charlie, wśród innych par na trawniku, tańczył z narzeczoną. Na jego widok Ben się uśmiechnął. Charlie prawie się nie zmienił, tylko jego smoking był czymś nowym. Orkiestra zaczęła grać jakiś stary kawałek jazzowy, Glenna Millera czy Benny'ego Goodmana. W słońcu błyszczały puzony i saksofony.

Ben nie ruszał się z miejsca. Słuchał muzyki, obserwował ludzi i przyjęcie. Wróciły

wspomnienia z własnego ślubu sprzed kilku miesięcy. Instynktownie sięgnął do złotej obrączki, którą nosił teraz na cienkim rzemyku na szyi. Dotknął jej przez materiał bawełnianej koszuli, próbując nie myśleć o tragicznym dniu, w którym dla niego wszystko się skończyło.

Przez chwilę znów się tam znalazł, po raz kolejny wszystko zobaczył. Wreszcie udało mu się zepchnąć w mrok prześladowające go obrazy. Wiedział jednak, że powrócą.

Taniec się skończył. Rozległy się oklaski i śmiechy. Charlie zauważył Bena i zamachał do niego. Ucałował narzeczoną, która w towarzystwie rozszczebiotanych przyjaciółek odeszła w stronę namiotu. Orkiestra zaczęła grać kolejny utwór. Charlie podbiegł do Bena, uśmiechnięty od ucha do ucha, z trudem ukrywając podniecenie.

- Wyglądasz w tym stroju inaczej - powiedział Ben.

- Nie sądziłem, że pan przyjedzie. Cieszę się, że się udało. Dzwoniłem wiele razy.

- Odsłuchałem twoją wiadomość - odparł Ben. - Nie mów już do mnie pan, mam na imię Ben.

- Cieszę się, że przyjechałeś, Ben.

- Ja też się cieszę, że znów się widzimy. - Ben z sympatią poklepał Charliego po ramieniu.

- Co porabiałeś? Jak ci idzie? - pytał Charlie.

- Długo się nie widzieliśmy - odpowiedział Ben, uchylając się od bezpośredniej odpowiedzi.

- Dobrych pięć lat.

- Najlepsze życzenia z okazji ślubu. Brawo.

- Dzięki. Jesteśmy bardzo szczęśliwi.

- Macie piękną posiadłość.

- To? - Charlie zatoczył ręką łuk, wskazując dom i rozległe zadbane trawniki. - Chyba żartujesz. To własność rodziców Rhondy. To oni płacą za tę imprezę. Wiesz, jak to jest, czego się nie robi dla jedynaczki. Trochę przesadzają, tak między nami mówiąc. Lubią pokazywać, że mają pieniądze. Gdyby to zależało tylko od Rhondy i ode mnie, poszlibyśmy do najbliższego Urzędu Stanu Cywilnego, a później do pubu. - Uśmiechnął się ciepło. - A co u ciebie, Ben? Czy też zaryzykowałeś?

- Zaryzykowałem?

- No wiesz... normalne życie, małżeństwo, dzieci i tego rodzaju sprawy.

- Och... - Ben się zawahał. Do diabła z tym. Udawanie nie miało sensu. - Ożeniłem się - powiedział cicho.

Charlie się rozpromienił.

- Wspaniale. Człowieku, fantastycznie! Kiedy to zrobiłeś?

Ben po chwili milczenia odpowiedział:

- W styczniu.

Charlie rozejrzał się.

- Jest tu z tobą?

- Nie.

- Naprawdę szkoda - powiedział rozczarowany Charlie. - Tak bardzo chciałbym ją poznać.

- Już jej nie ma.

Zdezorientowany Charlie zmarszczył czoło. - Chcesz powiedzieć, że była tu, ale już poszła?

- Nie. Chcę powiedzieć, że nie żyje. - Jego słowa zabrzmiały ostrzej, niż Ben zamierzał. To wszystko nadal było dla niego takie trudne.

Charlie zbladł. Spuścił wzrok i przez chwilę nic nie mówił. Potem wykrztusił:

- Kiedy?

- Pięć miesięcy temu. Niedługo po ślubie.

- Jezu! Nie wiem, co powiedzieć.

- Nie musisz nic mówić.

- Ale co z tobą? To znaczy, jak sobie dajesz z tym radę?

Ben wzruszył ramionami.

- Są lepsze i gorsze dni. - Wspomnienie zimnej lufy browninga na czole było nadal świeże.

- Jak to się stało? - spytał Charlie po dłuższym milczeniu.

- Naprawdę nie chcę o tym mówić.

Charlie wyglądał na zakłopotanego.

- Przyniosę ci drinka. Cholera, to straszne. Chciałem cię o coś spytać, ale teraz...

- Nie ma problemu. Pytaj. O co chodzi?

- Porozmawiajmy w cztery oczy. Musimy znaleźć jakieś ciche miejsce.

Ruszyli w kierunku namiotu, przeciskając się przez tłum sączących szampana, ożywionych gości. - Dużo ludzi - skomentował Ben.

- To przede wszystkim goście Rhondy. Ja, poza pułkiem, nie mam zbyt wielu znajomych. A Rhonda nie chciała tu wojska - powiedział Charlie i zrobił komiczną minę.

- Tam stoi twój brat, prawda?

Charlie spojrział ze zdziwieniem.

- Widziałeś Vince'a dobrych siedem lat temu. A on wcale nie jest do mnie podobny. Jak, do licha, go rozpoznałeś?

- Nigdy nie zapominam twarzy - z uśmiechem powiedział Ben.

- To widzę.

Obok namiotu kelner rozdawał drinki ze srebrnej tacy stojącej na stole. Zaproponował im po kieliszku szampana. Ben potrząsnął głową i powiedział:

- Butelkę.

Kelner na moment się zawahał, ale odstawił kieliszki na stół i wyciągnął z lodu nową butelkę. Ben wziął ją w jedną rękę, dwa kryształowe kieliszki w drugą. Wyszli ze ścisku i hałasu. Wydawało się, że Charlie nie chciał żadnych świadków tego, co miał do powiedzenia.

Usiedli na stopniach altanki, wystarczająco daleko od zgiełku przyjęcia. Ben otworzył szampana i napełnił kieliszki.

- Czy jesteś pewien, że możemy rozmawiać? - spytał nerwowo Charlie. - Myślę o twojej sytuacji.

Ben podał mu kieliszek, pociągnął łyk ze swojego.

- Słucham cię. Mów.

Charlie skinął głową. Wziął głęboki oddech i w końcu wypalił:

- Mam kłopoty.

- Jakie kłopoty?

- Nie w tych, no wiesz, sprawach - odparł Charlie, gdy dostrzegł spojrzenie Bena. - Już ci mówiłem, że jesteśmy ze sobą szczęśliwi, tutaj wszystko gra.

- Chodzi zatem o pieniądze, tak?

W oddali orkiestra zaczęła grać przeróbkę standardu *String of Pearls*.

- O nic innego. Nie mam pracy - wyznał Charlie z rezygnacją.

- A więc opuściłeś pułk?

- Ponad rok temu. Dokładnie czternaście miesięcy temu. Rhonda chciała. Bała się, że zginę w Afganistanie czy gdzie indziej.

- Można ją zrozumieć.

- Tak, nieraz już otarłem się o śmierć. Dlatego, do diabła, jestem teraz w cywilu. Kłopot w tym, że nie nadaję się do takiego życia. Nie potrafię się utrzymać w jednej pracy. Już cztery razy zmieniałem firmę.

- To normalne. Po tym, co widzieliśmy i zrobiliśmy, trudno jest wrócić do zwykłego życia.

Charlie upił duży łyk szampana. Ben sięgnął po butelkę i napełnił swój kieliszek.

- Niedawno kupiliśmy dom - mówił dalej Charlie. - Nieduży, ale wiesz przecież, jakie są teraz ceny nieruchomości. A to nie jest najtańsza okolica. Tutaj nawet głupi wiejski dom kosztuje pół miliona. Rodzice Rhondy zapłacili za nas depozyt bankowy, traktując to jako podarunek zaręczynowy, a my teraz po prostu nie dajemy sobie rady ze spłatą rat. To mnie wykańcza. Tonę. Nie wiem, co robić.

- A czym zajmuje się Rhonda? Pracuje?

- W organizacji charytatywnej. Niewiele zarabia.

- W wojsku jest dużo prac biurowych. Mógłbyś złożyć podanie.

- Rhonda byłaby wściekła, gdybym tam wrócił. Cały czas boi się, że koledzy mnie namówią do powrotu do czynnej służby. Bóg jedyny wie, czy nie ma przypadkiem racji. Jej ojciec zrobił fortunę, sprzedając dzwonki do telefonów komórkowych. Chce teraz, żebym pracował u niego. Ciśnie mnie, zresztą jak reszta rodziny. Tylko pomyśl: pieprzone dzwonki. Wyobrażasz sobie?

Ben się uśmiechnął.

- Może jednak powinieneś spróbować. To wygoda i pieniądze. I o wiele bezpieczniej niż w wojsku.

- Długo bym nie wytrzymał - odparł Charlie. - A nasze małżeństwo tylko by na tym ucierpiało. - Wypił duży łyk z kieliszka.

- Przyjechałem bez prezentu ślubnego - powiedział Ben. - Jeżeli to by mogło ci pomóc, dam ci trochę pieniędzy. Zaraz wypiszę czek.

- Wykluczone. Nie chcę.

- W takim razie potraktuj to jako pożyczkę. Do czasu, gdy staniesz na nogi.

- Nie, zamierzam poprosić cię o coś innego.

Ben kiwnął głową.

- Chyba wiem o co. Chcesz spytać, czy mógłbyś ze mną pracować.

Charlie głęboko westchnął.

- OK, będę z tobą szczerzy. Co z robotą w branży porwań i okupów?

- Jest jej coraz więcej - powiedział Ben. - Łapanie ludzi i żądanie za nich okupu jest coraz popularniejsze.

- Mówię o pracy z twojej perspektywy.

- Zawsze jest popyt na ludzi takich jak ja. Angażowanie policji do tych spraw jest zwykle kiepskim posunięciem. Agenci w dziedzinie porwań i okupów, czy nawet oficjalni negocjatorzy, to najczęściej tylko frajerzy w garniturach. Ludzie, którzy mają tego rodzaju

problem, potrzebują większych możliwości działania.

- To znaczy ciebie.

- A ty chciałbyś się dołączyć?

- Wiesz, że jestem dobry. Ale nie umiem się sam zorganizować. Nie mam pojęcia, jak to zrobić, przydałoby mi się jakieś szkolenie. A ty jesteś najlepszym nauczycielem, z jakim się spotkałem. Gdybym mógł załapać się do tej branży, chciałbym pracować dla ciebie.

- Z tego, co słyszałem, twoja nowa rodzina nie byłaby zadowolona.

- Mógłbym im powiedzieć, że jestem doradcą do spraw bezpieczeństwa. Zresztą ta praca nie jest przecież tak niebezpieczna jak to, co przeżyliśmy w pułku, prawda?

Ben nie odpowiedział. Kieliszki były puste, słońce przygrzewało coraz mocniej. Rozlał resztkę szampana i głośno odstawił butelkę na beton.

- Problem polega na tym, że nie mogę ci pomóc. Gdyby to było możliwe, zrobiłbym to. Ale już nie pracuję. Przykro mi.

- Rzuciłeś pracę? Naprawdę?

Ben kiwnął głową. Przyrzekł Leigh, że tak zrobi, kiedy zgodziła się zostać jego żoną.

- Od końca zeszłego roku. Na dobre.

Charlie powoli odchylił się i oparł o schodki altanki. Wyglądał, jakby uszło z niego całe powietrze.

- Może masz jeszcze jakieś kontakty?

Ben potrząsnął głową.

- Nigdy ich nie miałem. Zawsze pracowałem sam. Wszystko opierało się na ustnych rekomendacjach. - Opróżnił kieliszek. - Jak już powiedziałem, jeżeli chodzi o pieniądze, mogę pomóc.

- Nie chcę od ciebie żadnych pieniędzy - powiedział Charlie. - Rhonda zawsze może zwrócić się do swoich starych o ratunek, a oni prawdopodobnie nie odmówią. My jednak uważamy, że płacenie rachunków to wyłącznie nasz problem, z którym musimy sobie sami radzić. Miałem tylko nadzieję...

- Przykro mi. W tej sytuacji jest to niemożliwe.

Charlie się skrzywił, był widocznie rozczarowany.

- Ale jeśli coś usłyszysz, dasz mi znać?

- Tak, ale nic nie usłyszę. Powiedziałem ci, już z tym skończyłem.

Charlie znów westchnął.

- Przepraszam, że w ogóle poruszyłem ten temat. - Przez dłuższy czas, w milczeniu, obserwował tańczących, rozbawionych gości. - A więc jakie masz plany?

- Jadę do Oksfordu. Prosto stąd. Wynająłem tam mieszkanie.
- Co będziesz robić?
- Wracam na uniwersytet. Będę studiować.
- Ty studentem? Po co ci to?
- Chcę dokończyć coś, co zacząłem dwadzieścia lat temu, zanim oszalałem i wstąpiłem do wojska. Teologię.

Charlie wybałuszył oczy.

- Teologię? Chcesz zostać księdzem?
- Pastorem. Kiedyś o tym marzyłem. Wydawało mi się wtedy, że nie ma nic lepszego.
- I dlatego poszedłeś na wojnę. To bardzo logiczne.
- Czasami życie nie układa się tak, jak byśmy chcieli. Tak też było w moim przypadku. Teraz wracam do punktu wyjścia. Wydaje mi się, że w dobrym momencie. Właśnie dostałem pozwolenie na powrót i ukończenie studiów na starym wydziale. Po zaliczeniu najbliższego roku zacznę myśleć o wstąpieniu do Kościoła, tak jak to planowałem w przeszłości. - Uderzył dłonią w kolano. - Tak to wygląda.

Charlie wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

- Żartujesz sobie. Wpuszczasz mnie w maliny, co?
- Mówię serio.
- Ale to do ciebie nie pasuje! Pamiętasz ten czołg na pustyni? Przygwoździli nas ogniem, zostały ci tylko trzy naboje. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego. Ludzie z pułku, nawet ci, którzy cię nigdy nie widzieli, nadal o tym mówią..
- Nie chcę już do tego wracać - przerwał mu Ben. - Kimkolwiek byłem lub chciałem być, nie ma już teraz znaczenia. Jestem zmęczony. Mam trzydzieści osiem lat, a wszystko, z czym się dotąd zetknąłem, obracało się wokół przemocy i zabijania. Teraz chcę żyć w spokoju.

- Koloratka, domek i Biblia pod pachą.

Ben kiwnął głową.

- Tak, właśnie to. I jak najdalej od przeszłości.
- Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić.
- Znowu cię zaskakuję, co?
- Powinienem był trochę zaczekać, mógłbyś udzielić nam ślubu.

Zauważyli, że przez trawnik idzie w ich kierunku Rhonda. Gdy podeszła, wstali. Wysoka i szczupła, miała rudawe włosy, które wyglądały jak ufarbowane henną, w nosie kolczyk. Z jej niedbałym wyglądem kontrastowały buty na wysokich obcasach i droga sukienka. Była ładna, wyglądała na kobietę, która wie, czego chce. Gdy Ben został przedstawiony, w jej

oczach pojawiła się podejrzliwość.

- Dużo o panu słyszałam - powiedziała, mierząc go wzrokiem. - Major Benedykt Hope. Ten szalony. Tak, znam wszystkie opowieści. I oczywiście jestem pod wrażeniem.

- Nie jestem już majorem. Mów do mnie Ben i zapomnij o przeszłości.

- A więc, Ben, jesteś tu, aby namówić męża na kolejną eskapadę...

- Pamiętaj, że to ja go zaprosiłam - powiedział Charlie.

Popatrzyła z pasją na Bena.

- Nie chcę, żeby mój mąż wdepnął w jakieś niebezpieczne historie.

- Jestem jak najdalszy od narażania Charliego na jakiegokolwiek ryzyko - powiedział Ben. - Możesz mi wierzyć.

- Taa, jasne. A teraz, czy już mogę go odzyskać? Zresztą ktoś chce się z tobą zobaczyć.

Ben spojrzał we wskazanym przez nią kierunku i dostrzegł oszołamiająco piękną kobietę, która uśmiechnęła się i dyskretnie im pomachała.

- To Mandy Latham - powiedziała Rhonda. - Jej rodzice są właścicielami połowy Shropshire. Apetyczna, ale okropna nuworyszka, chyba nawet gorsza od moich starych. Zimy w Verbier, jeździ lambo. Teraz cały czas mnie wypytuje, kim jest ten wspaniały, wysoki, błękitnooki blondyn u boku Charliego.

- Ben chce zostać księdzem - oznajmił Charlie.

- Podejdz wreszcie i poproś ją do tańca - ucięła Rhonda.

- Rhonda... - zaczął Charlie.

- Nie tańczę - powiedział Ben. Uśmiechnął się do Charliego, na odchodnym rzucając: - Fajna impreza. No to do miłego.

- Zadzwonisz, co? - zawołał Charlie.

Ben nie odpowiedział. Ruszył trawnikiem w stronę namiotu, odstawił na stolik pusty kieliszek. Spojrzał na zegarek. Podeszła do niego Mandy Latham, uroczo wiotka w niebieskiej sukience z błyszczącego jedwabiu, idealnie pasującej do jej świetlistych oczu. Nieśmiało się przedstawiła:

- Cześć, mam na imię Mandy. Czy to prawda, że był pan dowódcą Charliego w SAS?

- Nie należy wierzyć wszystkim na słowo - powiedział Ben. - Miło było cię poznać, Mandy, ale muszę już iść.

Odszedł, a ona nie wiedziała dlaczego.

5

Summertown, Oksford
popołudnie

Profesor Tom Bradbury zamknął za sobą drzwi, odstawił starą teczkę, a kluczyki samochodowe położył w holu na dębowym stoliku obok wazonu z kwiatami.

W domu panowała dziwna cisza. Dzisiaj miała wrócić Zoë, a jej obecności zawsze towarzyszyła dobiegająca z salonu głośna, ostra muzyka rockowa.

Przeszedł do przestronnej kuchni. Okna na patio były otwarte, powietrze wypełniały zapachy z ogrodu. Otworzył lodówkę, pamiętając, że po wczorajszym wieczorze zostało jeszcze pół butelki pinot grigio. W środku zauważył świeżo przyrządzony mus czekoladowy. Ulubiony deser Zoë zawsze na nią czekał, gdy wracała do domu. Cmoknął z irytacją, nalał sobie kieliszek schłodzonego wina. Popijając, wyszedł do ogrodu, gdzie dostrzegł żonę klęczącą przy rabatach kwiatowych. Obok niej stała taca z jaskrawo kolorowymi sadzonkami.

- Jesteś wcześniej - powiedziała z uśmiechem.

- Gdzie ona jest?

- Jeszcze nie przyjechała.

- Tak też myślałem, jest za cicho. Chyba powinna już być, na litość boską.

Jane Bradbury wbiła łopatkę w ziemię, z wysiłkiem podniosła się i otrzepała piasek z rąk.

- Dobry pomysł - powiedziała, patrząc na wino męża. Podał jej kieliszek, napiła się z widoczną przyjemnością. - Nie ma co się martwić - powiedziała. - Wiesz, jaka jest. Na pewno zatrzymała się po drodze u znajomych w Londynie.

- Dlaczego nigdy nie może przyjechać po prostu do nas? Zawsze jest w jakimś towarzystwie. Tak rzadko ją widzimy.

- Tom, ona już nie jest dzieckiem. Ma dwadzieścia sześć lat.

- Zachowuje się jak dziecko.

- Zadzwoń. Pewno pojawi się jutro bez zapowiedzi, nie martw się.

- Za bardzo ją rozpieszczasz - powiedział z irytacją. - Nawet zrobiłaś jej ulubiony mus.

Żona się uśmiechnęła.

- Ty też ją rozpieszczasz, i to nie mniej ode mnie.

Bradbury skierował się do domu.

- Mogłaby przynajmniej, do diabła, powiadomić nas, gdzie jest.

6

wyspa Paxos, Grecja

dzień trzeci

Obudziła się z uczuciem nagłej paniki. Pierwszą rzeczą, jaka do niej dotarła, były oślepiające promienie słońca, zmuszające do zaciskania oczu. Próbowała się rozejrzeć, ale wszystko widziała jak przez mgłę. Co to za miejsce?

Po chwili mgła trochę ustąpiła, pobliskie przedmioty nabrały konturów. Znajdowała się w jakiejś sypialni. Czy w swojej? Nie pamiętała. I właśnie to było najdziwniejsze.

Leżała na gołym materacu, przykryta pogniecionym prześcieradłem. Gdy usiadła, przeszył ją ostry ból w boku. Skrzywiła się i schwyciła za żebra. Pomyślała, że jedno z nich może być pęknięte.

Czuła silny ból głowy i miała sucho w ustach. Spojrzała na swoje ręce - bolały ją i były całe podrapane, jakby na nie upadła.

Błyski. Światła. Dźwięki. Miejsca i ludzie. Wszystko, co kłębiło jej się w głowie, bardziej cienie lub echa, było poplątane i obce. Jak przez mgłę pamiętała tylko uczucie spadania, potem mocne uderzenie. Dotknęła głowy i znalazła na niej guza. Uparcie próbowała odzyskać jasność umysłu. Nie mogła jednak sobie przypomnieć nic więcej. Zamrugła i potrząsnęła głową. Ciągle bez skutku.

Poczuła, że ogarnia ją panika. Niczego nie pamiętała. Nie miała pojęcia, co się z nią stało. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie wie nawet, kim jest. Coś jej się przytrafiło. Doznała groźnego upadku. Może uszkodziła głowę? Miała nadzieję, że to tylko stan chwilowy.

Była też pewna, że grozi jej niebezpieczeństwo. Czuła się jak zwierzę schwyte w pułapkę, które wie, że w pobliżu czai się drapieżnik.

Instynkt przeżycia pomógł jej w mobilizacji. *Przede wszystkim uciekaj. Resztą zajmiesz się później.*

Oprócz niej w pokoju nie było nikogo. Kiedy jednak wiatr poderwał firanki, zobaczyła, że na balkonie siedzi człowiek.

W jego dłoni ujrzała pistolet. Duży, kanciasty i wycelowany prosto w jej stronę. Zwrócony do niej twarzą mężczyzna siedział na leżaku i korzystał ze słońca. Początkowo myślała, że obserwuje ją przez opływowe, ciemne okulary. Ale potem, ponieważ oddychał wolno i nie zareagował na jej ocknięcie, zorientowała się, że śpi. Przy jego nogach stała butelka ouzo i pusta szklanka. Lekka bryza rozwiewała mu jasne włosy.

Zaciskając zęby, z trudem podniosła się z łóżka. W boku czuła szarpiący ból. Postawiła na kafelkach podłogi jedną nogę, później drugą. Pod stopami poczuła chłód posadzki.

Mężczyzna nadal leżał bez ruchu.

Powoli wstała i zrobiła krok. Czuła okropne zawroty głowy, znów musiała szukać oparcia. Zauważyła, że jest całkowicie ubrana i że nadal ma na sobie białe spodnie i żółtą bluzkę. Ubranie było wymięte, jakby parę dni w nim spała. Na prawym kolanie spodni dostrzegła dziurę, na boku bluzki smugę brudu. Widocznie upadła.

Na chwiejnych nogach sięgnęła pod łóżko po sandałki na obcasach. Były żółte, w kolorze jej bluzki. Czy należały do niej? Nie miała pojęcia. Chwyciła je za paski i zaczęła się skradać do drzwi, modląc się, żeby mężczyzna na leżaku spał dalej.

Złapała za klamkę, gdy poczuła opór, pomyślała, że drzwi są zamknięte na klucz. Jednak po chwili klamka ustąpiła, a serce Zoë zabiło mocniej. Drzwi się cicho uchyliły.

Przed sobą zobaczyła korytarz, na jego końcu schody. Na palcach podeszła do metalowej balustrady i spojrzała w dół. W oddali słyszała głosy, jakaś kobieta się śmiała, jakiś mężczyzna coś mówił.

Serce waliło jej jak młotem. Weszła na schody, każdy krok sprawiał jej ból. Na terakocie bosa stopy stąpały bezgłośnie, strach przywrócił jej jasność myślenia. Nie miała pojęcia, gdzie jest, wiedziała tylko, że musi stąd jak najszybciej uciec.

Niezauważona zeszła po schodach, z sypialni na piętrze nikt za nią nie wybiegł. Jak dotąd szczęście jej sprzyjało.

Na dole zobaczyła otwarte drzwi i jaskrawe światło z dworu. Niosąc w jednej ręce buty, drugą trzymając się za bolący bok, wyszła na zewnątrz. Znalazła się na małym tarasie, pełnym kwiatów i roślin w doniczkach. Trzy stopnie dzieliły ją od białej kamienistej plaży. Zeszła z tarasu, a gdy poczuła, że gorący i ostry żwir parzy ją w stopy, włożyła sandałki. Pasowały jak ulał, chociaż nadal wyglądały całkiem obco.

Cicho zeszła na brzeg morza i obejrzała się na dom. Zbudowany z białego ciosanego kamienia, miał czerwone dachówki i okiennice. Przez balustradę balkonu na pierwszym piętrze widziała tył leżaka, na którym siedział mężczyzna. Tuż za domem znajdowało się strome zalesione zbocze, zwieńczone skałą. Wiedziała, że ucieczka tamtędy jest niemożliwa.

Rozejrzała się wokół siebie. Plaża była pusta. Przy długim drewnianym pomoście, z pewnością pamiętającym lepsze czasy, na falach kołysała się mała motorówka.

Ruszyła szybko w jej stronę. Wysokie cienkie obcasy sandałów spowodowały, że się potknęła. Znów przez ramię obejrzała się na dom. Nikogo nie dostrzegła. Do tej pory wszystko szło jak z płatka.

Dotarła do pomostu. Deski były solidne i łatwiej się było po nich poruszać niż po sypkim piasku i kamienistej plaży. Biegła, zapominając o bólu.

Nagle od strony domu usłyszała okrzyk, donośny męski głos pełen wściekłości. Przerażona odwróciła się. To był on - jasnowłosa mężczyzna z balkonu z pistoletem w dłoni. Długimi susami, wrzeszcząc, zeskoczył ze schodów na plażę i biegł w jej kierunku.

Na tarasie pojawili się inni ludzie, kobieta i dwóch mężczyzn. Kobieta wskazała coś ręką, tamci ruszyli biegiem w jej stronę. Wszyscy krzyczeli.

Była już w połowie pomostu - powinna więc bez przeszkód dotrzeć do motorówki. Czy jednak zdąży ją uruchomić? Czy nie będą do niej strzelać? A w ogóle czego ci ludzie od niej chcą? Potykała się, lecz biegła naprzód.

Nagle upadła. Obcas sandała zaklinował się między deskami pomostu, poczuła, że skręciła nogę w kostce. Szarpnęła, chcąc uwolnić stopę. Niestety, bez skutku. Sięgnęła do sandała, by jak najszybciej uwolnić z niego stopę.

Pogoń była coraz bliżej, łomot kroków na pomoście coraz głośniejszy, aż w końcu na szyi poczuła dotyk lufy pistoletu i usłyszała głośny oddech. Gdy spojrzała w górę, zobaczyła wyszczerzone zęby i wykrzywioną gniewem twarz mężczyzny z balkonu.

Dołączyli do nich pozostali.

- Co się, do cholery, stało? - usłyszała czyjś głos.

- Suka się ocknęła - rzucił przez ramię mężczyzna z pistoletem.

- A gdzie ty, kurwa, wtedy byłeś? - Chciała wiedzieć kobieta. - Spałeś?

Mężczyzna zignorował pytanie i jednym szarpnięciem postawił Zoë na nogi. Cała czwórka, brutalnie ją popychając, ruszyła pomostem w kierunku domu. Zoë kopała i wrzeszczała, ale na jej histerię nikt nie reagował. Wepchnęli kulejącą dziewczynę z powrotem do pokoju na piętrze, rzucili na łóżko, związali jej kostki i kolana taśmą izolacyjną. Blondyn wetknął pistolet za pasek i mocno schwycił ją za przegub. Poderwał jej rękę do góry, później usłyszała tylko szcęk metalu, kiedy ją przykuł do ramy łóżka. To samo zrobił z drugą ręką.

Rozpaczliwie się szarpała.

- Czego ode mnie chcecie? Puśćcie mnie! Czego ode mnie chcecie?

Żeby ją uciszyć, zalepili jej usta taśmą izolacyjną. Teraz mogła już tylko płakać.

Mężczyzna wyjął pistolet zza paska i przytknął jej do głowy. Próbowala uchylić się od dotyku zimnej stali, zacisnęła powieki. Uśmiechnął się, odsunął broń. Reszta stała w bezruchu i się przyglądała. Była już zbyt wyczerpana, aby nadal walczyć. Spazmatycznie łąpała powietrze, wydawało jej się, że jeszcze chwila i zemdleje.

Obserwująca ją kobieta podparła się rękami na biodrach, przechyliła w bok głowę, lekko się uśmiechnęła.

- Zostawcie ją na chwilę - powiedziała. - Muszę teraz zadzwonić. Popracujemy nad nią później.

- Czego ode mnie chcecie? - wykrztusiła Zoë przez knebel.

Nikt jej nie odpowiedział. Wszyscy po kolei wyszli.

Blondyn był ostatni.

- Nie mogę się doczekać - uśmiechnął się.

7

*Oxford
tego samego dnia*

Z mglistego niepokojącego snu Ben wybudzał się powoli, aż wreszcie rzeczywistość nabrała konkretnych kształtów. Już wiedział, że jest w swoim nowym mieszkaniu. Oxford znał od dawna, lecz fakt, że po tylu latach ponownie tu zamieszkał, był dla niego nadal czymś niezwykłym. Do Irlandii miał zamiar pojechać dopiero jesienią.

Nie poddając się uczuciu znużenia i pokusie powrotu pod kołdrę, wyskoczył z łóżka i włożył bluzę od dresu. Przespacerował się przez salon, omijając nie całkiem jeszcze rozpakowane pudła, i wszedł do kuchni. Mieszkanie w odsuniętym od ulicy bloku na cichym przedmieściu północnego Oksfordu było nowoczesne i funkcjonalne. Bardzo się różniło od rozległego starego domu Bena nad brzegiem morza w Irlandii, z jego kamiennymi podłogami i kominkami pełnymi przeciągów.

Robiąc kawę, usłyszał śpiew ptaków i odległy szum ruchu ulicznego. Nie miał mleka ani cukru. Nie nastawił radia, bo nie był ciekawy, co się dzieje na świecie. Z kubkiem gorącej kawy na chwilę usiadł przy małym stoliku, starając się uwolnić głowę od wszelkich myśli. Robił wszystko, by zapomnieć o dwóch butelkach dziesięcioletniej whisky Laphroaig, nadal spoczywających w walizce. Wiedział, że tak łatwo byłoby otworzyć jedną z nich. Zbyt łatwo. Wiedział też, że w momencie słabości tak czy owak to zrobi. Ale tylko wtedy, gdy znów pojawią się demony. Nie teraz.

Była za trzy minuty ósma, gdy wrócił do salonu i spojrzał na kupioną w Tesco torbę, od wczoraj leżącą na jednym z foteli. Podniósł ją - była bardzo ciężka. Gdy opróżnił jej zawartość, na biurko, stojące w drugiej części salonu, wysypały się książki.

W stercie było co najmniej dwadzieścia podręczników teologii. W ciągu najbliższych dni miał zamiar je przeczytać. Całe połączenie stron po hebrajsku i łacinie. Tysiące stron trudnej filozofii. Arystoteles. Spinoza. Wittgenstein. Mnóstwo artykułów i interpretacji tekstów biblijnych. Czekало go wiele pracy, na którą się bardzo cieszył. Nie myślał już o innych sprawach, chciał tylko być jak najlepiej przygotowany do rozpoczynającego się w

październiku semestru. Do nadrobienia miał - ni mniej, ni więcej - dziewiętnaście lat przerwy.

Po sześciu godzinach nieprzerwanej nauki przeciągnął się, wstał i poszedł do malutkiej łazienki. Wziął szybki prysznic, włożył dżinsy i białą bawełnianą koszulę. Potem zjadł czerstwą kanapkę z tuńczykiem, którą poprzedniego dnia kupił na stacji benzynowej przy M40. Tuż po drugiej opuścił mieszkanie. Półgodzinny spacer do miasta zajął mu dzisiaj dwadzieścia minut. Szedł prosto do Bodleian, znajdującej się niedaleko centrum najświetniejszej i najstarszej biblioteki uniwersyteckiej.

Mocno przygrzewało słońce, zdjął więc marynarkę i zarzucił ją na ramię.

W pewnym momencie, nieśpiesznie wędrując przez stare miasto pod czystym błękitnym niebem, doświadczył dziwnego uczucia.

Co się dzieje?

Przystanął. Poczul się bardzo dziwnie.

Znow jestem normalnym człowiekiem. Studentem idącym do biblioteki, który wkrótce zacznie uczęszczać na zajęcia. Nikim innym.

Nagle - a była to jedyna w swoim rodzaju, wspaniała chwila - uwierzył, że jeszcze może prowadzić zwykłe życie, o jakim zawsze marzył. Że nie jest dożywotnio skazany na świat zła i przemocy. I że pewnego dnia skończy się ból, a on znowu będzie szczęśliwy.

Przez moment poczul prawdziwy smak szczęścia; obietnicę normalności, wolności, powrotu do życia. Jednocześnie wiedział, że w przyszłości nie ucieknie od złych dni. Takich, kiedy będzie znowu myślał tylko o śmierci. Lecz tu i teraz, po raz pierwszy od wielu miesięcy, poczul ciepło słońca na twarzy i zadowolenie, że wciąż żyje. Może więc największy smutek już minął? Może najgorsze ma już za sobą? Może mu się uda?

Ona by tego chciała, pomyślał. Znowu zobaczył jej twarz, poczul dojmujący ból straty i świadomość winy. Tak bardzo chciałby wyciągnąć rękę, dotknąć jej. Uśmiechnęła się. Nie wiedział, czy się rozplakać, czy też się uśmiechnąć.

Leigh, żałuję, że tak się stało.

Wiem, usłyszał w myślach jej głos.

Wreszcie wkroczył pod kamienne łuki Bodleian. Główne sale biblioteki nadal pachniały starą skórą i wypolerowanym przez czas drewnem. Podeszedł do biurka i pokazał swoją legitymację.

Dwadzieścia lat temu pracownice biblioteki z reguły wyglądały nieprzystępnie i były postrachem studentów. Przez głowę przemknęła mu myśl, czy teraz też trafi na tego rodzaju osobę. Może tylko grubszą, bardziej siwą i jeszcze bardziej niezniszczalną?

Ale ta bibliotekarka spojrzała promiennie. Miała może dwadzieścia osiem, dwadzieścia

dziewięć lat, jasne związane w koński ogon loki i ładną, przyjazną i naturalną twarz, okoloną pasemkami włosów. Gdy ponownie spojrzała na legitymację, uśmiechnęła się. Zamówił potrzebną mu książkę, na co cicho odpowiedziała, że będzie musiał chwilę poczekać, ponieważ akurat ten tytuł znajduje się w magazynie.

Podziękował jej i następne pół godziny spędził w czytelni, wertując czasopisma. Zauważył, że co pewien czas bibliotekarka zerka w jego stronę. Zapomniał o niej dopiero wtedy, gdy inny pracownik przyniósł dla niego książkę.

Późnym popołudniem opuścił bibliotekę. Po wyjściu z budynku od razu uderzył go kontrast między upalnym, przegrzanym i ruchliwym centrum a chłodną ciszą czytelni Bodleian. Głęboko wciągnął w płuca powietrze starego miasta.

- Nareszcie wróciłem - powiedział cicho sam do siebie.

8

Grecja
dzień czwarty

- Czy połączenie jest bezpieczne? Musimy pogadać.
- Tak, jest bezpieczne. Dlaczego nie zgłosiłaś się wcześniej, Kaplan?
- Mieliśmy problem.

Milczenie.

- Z dziewczyną?
- Niestety.
- Zabiliście ją, tak? Mieliście przecież wyraźny rozkaz, żeby złapać ją żywą.
- Dziewczyna żyje.
- No to o co chodzi?
- Żyje, ale jest dla nas bezużyteczna.
- Czy chcesz mi powiedzieć, że jednak spieprzyliście sprawę?

- Już ją prawie mieliśmy. Jechała motocyklem, a my przez jakieś pięć kilometrów ją ścigaliśmy, od willi aż do samych wzgórz. Drogi są tu pełne zakrętów, jest dużo lasów. Gdy próbowaliśmy ją zatrzymać, wpadła w panikę. Skręciła w taką ścieżkę, że nie mogliśmy za nią jechać. Zostawiłam Rossa i Parkera w samochodzie, wzięłam ze sobą Hudsona i pobiegliśmy za nią.

- A ona wam uciekła.
- Nie. Złapaliśmy ją. Daleko nie uciekła, bo spadła z motoru.
- Coś jej się stało?

- Poza paroma obtarciami i zadrapaniami nie ma większych zewnętrznych obrażeń. Doznała jednak urazu głowy, i tu jest problem. Długo była nieprzytomna, prawie przez trzydzieści godzin. Dopiero wczoraj doszła do siebie. Ale ma jakąś amnezję. Nie odpowiada na nasze pytania, wygląda na to, że upadek wyzerował jej pamięć.

- A tak w ogóle to jesteś pewna, że macie właściwą osobę?
- Tak, na sto procent.

- Jak poważny jest uraz?
- Sami nie możemy ocenić. Myślę, że amnezja jest przejściowa.
- Módlcie się, żeby tak było. Czy macie pojęcie, jak ważne jest wasze zadanie?
- Sytuacja jest pod kontrolą.
- Z tej strony wygląda to niestety całkiem inaczej, Kaplan. Jeżeli wkrótce nie odzyska pamięci, będziecie musieli ją dostarczyć do nas, bo tylko tutaj mamy odpowiednie warunki.
- Jest też inny problem.
- Chcesz mi powiedzieć, że to jeszcze nie wszystko?
- Z willi zniknęły wszystkie jej rzeczy. Wczoraj po nie pojechaliśmy, ale już ich nie było. Ani bagażu, ani dokumentów. Niczego. A miała wylecieć dopiero następnego dnia rano. Natychmiast musimy zmienić plan działania, bo to już nie może wyglądać na przypadek.
- Coraz piękniej, Kaplan.
- Jeszcze jedno. Na przyjęciu był jej chłopak. Trzymał się blisko niej. Wtedy nie myśleliśmy, że ma to jakieś znaczenie. Ale kiedy Hudson wrzucił narkotyk do jej drinka, ten facet go rozlał. I to chyba z rozmysłem.
- Czyli musiał coś wiedzieć. Kto to jest?
- Miejscowy. Jeden z jej kochanków. Pewnie żonaty, bo bardzo dyskretny. Parkował swojego mercedesa w garażu połączonym z domem, dlatego go nie było widać. Prawdopodobnie wziął jej rzeczy wcześniej do swojego samochodu. Jestem prawie pewna, że gdy ją złapaliśmy, jechała do niego.
- Więc może wszystko wiedzieć.
- Niestety.
- Masz już jakieś informacje na jego temat?
- Właśnie nad tym pracujemy.
- Musisz natychmiast wyprostować tę sprawę. Tylko patrzeć, jak zaczną jej szukać.
- Znajdziemy go.
- Mam nadzieję. Gdy do niego dotrzecie, zrobicie co trzeba. Wciąż jeszcze możecie wyjść z tego obronną ręką. Ale jeżeli zawalicie sprawę, już po was. Zrozumiałeś?

9

Oxford
dzień szósty

Po dwóch dniach solidnej nauki Ben zdecydował, że przyda mu się trochę świeżego powietrza. Patrząc na wpadające przez okno promienie słońca, poczuł nieodpartą chęć wyjścia na zewnątrz. W Irlandii miał zwyczaj biegać dziesięć mil dziennie.

Włożył sportowe spodenki, koszulkę i szybkim marszem ruszył do miasta. Przeciął zatłoczony Cornmarket i skierował kroki do swojego starego college'u Christ Church. Wchodząc przez główną bramę, na widok znajomego prostokątnego dziedzińca głęboko odetchnął.

Szedł przez podwórze i patrzył na ozłoczone przez słońce, dostojne, stare budynki z piaskowca. Wracaly dawne wspomnienia. Pośrodku strzyżonego trawnika zobaczył górującego nad ozdobną kamienną fontanną uskrzydłonego posłańca bogów, Merkurego. W przeciwległym rogu dziedzińca wbiegł po paru stopniach wiodących do zwieńczonego łukiem wejścia. Tuż za bramą ukrywała się najmniejsza katedra w Anglii, pełniąca też funkcję kaplicy kolegijskiej. Nie planował tej wizyty, zdecydował się na nią pod wpływem impulsu. Cicho wszedł do środka.

Właśnie odbywało się poranne nabożeństwo. Kapelana na ambonie Ben nie znał, lecz był pewny, że prędzej czy później spotka go w trakcie studiów. Pastor czytał Ewangelię według św. Mateusza, głos miał poważny, a zarazem łagodny. Słowa przesłania odbijały się echem od trzynastowiecznych murów i kolumn, płynęły w górę, pod wspaniale zdobione sklepienie. Mała skupiona z przodu świątyni kongregacja słuchała z uwagą.

Ben przeszedł parę kroków po wypolerowanej mozaice posadzki i usiadł nieopodal wejścia. Obserwował, słuchał. Próbował sobie wyobrazić, że to on stoi w koloratce i poważnie celebryje nabożeństwo. Taka miała być jego przyszłość, rola, do której się przygotowywał. Coś, co z przerwami, lecz od niepamiętnych czasów, stanowiło część jego psychiki. Czuł jednak rozterkę. Chciał tego bardzo, tak często o tym marzył, czy jednak kiedykolwiek to się stanie?

Siedział w katedrze jeszcze przez kilka minut. Zanurzony w miękkim świetle wpadającym przez witrażowe okna, z opuszczoną głową, pozwolił, by świątynny spokój całkowicie nim zawładnął. Wreszcie cicho wstał i wyszedł na zalany słońcem dziedziniec.

Skreślił w lewo, w kierunku rozległej łąki na tyłach Christ Church. Tam przez pół godziny biegał ścieżką wzdłuż rzeki, dopóki nie poczuł bólu w łydkach. W końcu, zadowolony, że kondycja mu nadal dopisuje, wrócił do kolegium.

Pogrążony w myślach szedł przez dziedziniec, nie zwracając na nikogo uwagi.

W pewnej chwili usłyszał głos:

- Miałem nadzieję, że w końcu cię złapię.

Odwrócił się i ujrzał zbliżającego się wysokiego, szpakowatego, ubranego w tweedy profesora Toma Bradbury'ego. Ostatnim razem widział go sześć tygodni temu, profesor zasiadał w komisji oceniającej jego kandydaturę na studia.

- Dzień dobry, panie profesorze!

Bradbury się uśmiechnął.

- Mów mi Tom. Sądzę, że już wystarczająco długo się znamy.

Tom Bradbury i ojciec Bena, Alistair Hope, studiowali razem w Cambridge. Przyjaźń między głęboko wierzącym studentem teologii i przyszłym prawnikiem, choć mogła się wydawać mało prawdopodobna, przetrwała długie lata - aż do śmierci ojca Bena. Wtedy właśnie Ben przerwał studia i wstąpił do wojska. Nie zachował z tego okresu zbyt wielu miłych wspomnień, ale zawsze, mimo braku późniejszego kontaktu, dobrze pamiętał Toma Bradbury'ego, którego w czasie studiów traktował jak wujka. Ciepłego, skłonnego do pomocy, w ubraniu niezmiennie przesiąkniętym zapachem aromatycznego tytoniu. Jego wykłady były najciekawsze ze wszystkich. Specjalizował się w Starym Testamencie - tematyce tak zamierzchłej i trudnej do zrozumienia, że ożywienie jej było nie lada wyzwaniem. Profesor Bradbury to potrafił, za co studenci go kochali.

- Chciałbym z tobą porozmawiać - powiedział Bradbury. - Czy jutro, w porze lunchu, by ci odpowiadało?

- Miałem się spotkać z Kartezjuszem - uśmiechnął się Ben. - Ale lunch z tobą na pewno brzmi ciekawiej.

- Mądry wybór - pochwalił Bradbury. - Też muszę przyznać, że nie jest to mój ulubiony filozof.

- Może byś wpadł do nas?

- Nadal mieszkacie w Summertown?

Bradbury potwierdził. Uzgodnili godzinę, profesor lekko się uśmiechnął i skierował do

swojego gabinetu przy dziedzińcu Canterbury. Mimo sześćdziesięciu trzech lat nadal zachował prostą sylwetkę i sprężysty krok. Zwykle wydawał się jowialny, był pełen życia, w jego oczach zawsze czaił się żartobliwy błysk. Dzisiaj, jak się Benowi wydało, zachowywał się inaczej. Profesor wyglądał staro, był czymś ewidentnie przygnębiony i zmęczony. Czyżby chorował? Jeśli tak, to po co zaprosił go na lunch? Coś tu nie grało.

10

Grecja

Jasnowłosa mężczyzna ogromnie lubił ostrzyć swój składany nóż Buck. Siedział na balkonie i nie miał nic do roboty oprócz wygrzewania się w słońcu, popijania ouzo i pilnowania uwięzionej dziwki, więc całymi godzinami machał naoliwioną osełką. Doprowadził do tego, że na ostrzu mógł wieczorem położyć banknot, a rano, dzięki wadze papieru, banknot był rozcięty na dwie części.

Teraz wyjął nóż z kieszeni i jedną ręką otworzył. Podszedł do łóżka. Na widok mężczyzny zakneblowana Zoë jęknęła z przerażenia. Ramiona miała tak mocno przywiązane do gołego materaca, że mogła tylko poruszać palcami.

Oparł się na brzegu łóżka, przechylił i zbliżył ostrze noża do twarzy dziewczyny. Wyczuł emanujący z niej strach.

- Ostry, co? - Powiódł ostrzem po kciuku, rozcinając samą skórę. - Nie masz nawet pojęcia, jak ostry. Ale może wkrótce się przekonasz.

Przycisnął ostrze bokiem do jej policzka. Przerażona Zoë wstrzymała oddech.

- Zdejmę ci teraz knebel, ale nie możesz krzyczeć. Będziesz ze mną rozmawiać. Powiesz mi wszystko. Jak tego nie zrobisz, wyłupię ci oko. Po prostu ci je wyjmę.

W drugim końcu pokoju stała ciemnowłosa kobieta i obserwowała rozgrywającą się scenę. Ręce miała skrzyżowane na piersiach, minę zawziętą. W pewnej chwili chciała się wtrącić, ale się rozmyśliła.

Mężczyzna zerwał knebel Zoë. Dziewczyna łapała oddech, nerwowo przełykając ślinę. Przytknął zimne ostrze do jej skroni, potem zakreslił nim linię wokół oka.

- Niczego nie pamiętam - wykrztusiła Zoë.

- Właśnie, że pamiętasz. Nie oszukuj.

- Przysięgam ci, nie pamiętam.

- Jeden ruch - powiedział. - Wystarczy jeden ruch, żeby twoje śliczne niebieskie oczko wypłynęło. Widziałaś już pęknięte oko? Wygląda jak surowe jajko. - Uśmiechnął się, jeszcze przez chwilę dotykał nożem jej twarzy, wreszcie go cofnął.

Dygotała ze strachu.

- Nie wiem, co ci odpowiedzieć - szlochała. - Naprawdę nie wiem.

- Cleaver - powiedział. - Pamiętasz Cleavera? Pamiętasz, co mu zrobiłaś?

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Gdzie to jest? - spytał.

- Gdzie co jest?

- Gdzie to jest? - wrzasnął jej w twarz.

- Nie wiem - krzyknęła. - Nie wiem, kurwa, czego ode mnie chcecie! - W oczach miała rozpacz, włosy, mokre od łez, kleiły się do policzków. - Musicie mi uwierzyć! Nie wiem, o co chodzi! Macie niewłaściwą osobę! - Rozszlochała się jeszcze głośniej. - Puśćcie mnie. Nikomu nie powiem. Przyrzekam.

Kobieta podeszła i położyła rękę na ramieniu mężczyzny.

- Musimy porozmawiać.

Zesztywniał, jeszcze przez chwilę wpatrywał się z furią w dziewczynę. Wreszcie westchnął, obrócił się na pięcie i wyszedł za kobietą z pokoju.

Zatrzymali się w korytarzu przed sypialnią, kobieta zamknęła drzwi, żeby Zoë ich nie usłyszała.

- Nie tędy droga.

- Ona udaje, Kaplan - sapnął z wściekłością mężczyzna.

- Nie możesz mieć pewności.

- Daj mi pół godziny na tę sukę, wyciągnę z niej wszystko.

- Jak? Wyłupiając jej oczy?

- Pozwól mi.

- Jak dotąd nie byliśmy dla niej tacy znów mili. Dlaczego myślisz, że zdołasz coś z niej wydusić?

- Zdołam. Potrzebuję tylko trochę czasu.

Kobieta przygryzła wargę i potrząsnęła głową.

- Ona nie może tu zostać. Nie mamy odpowiedniego sprzętu. Musimy ją stąd wywieźć.

- Najpierw daj mi dziesięć minut.

- Odmowa.

- Pięć minut. Zmuszę ją do mówienia.

- Coś za bardzo ci się to podoba, Hudson.

- Wykonuję tylko swoją pracę.

- A co, jak wykituje? Wtedy i z nami koniec.

- Nie zabiję jej. Wiem, co robię, Kaplan.

Parsknęła.

- Czyżby? To teraz posłuchaj. Chcę, żebyś natychmiast schował ten nóż. Jeżeli cię z nim znów zobaczę, wpakuję ci kulkę w łeb. Czy dobrze mnie zrozumiałeś?

Mężczyzna milczał z ponurą twarzą.

- Wydobędą z niej wszystko - powiedziała. - Mają swoje sposoby.

11

*sala koncertowa Holywell, Oksford
wieczorem*

Ben siedział w twardym fotelu i obserwował, jak powoli widownia się zapęlnia. Świetna akustyka pomieszczenia wzmocniała każdy dźwięk, więc wszyscy starali się mówić jak najciszej. Wiedział już, choć goście nadal wchodzili, że dzisiejsze audytorium nie będzie zbyt liczne.

Kilka dni wcześniej natknął się na ogłoszenie o występie, teraz był bardzo zadowolony, że przyszedł. Na koncertach bywał niezbyt często, jednak pomysł spędzenia godziny na słuchaniu kwartetów smyczkowych Bartoka uznał za całkiem atrakcyjny. Muzyka węgierskiego kompozytora była nerwowa, u wielu osób wywoływała uczucie niepokoju i dyskomfortu, lecz Ben ją lubił. Rządziła się własnymi nastrojami, była mroczna, introspektywna, czasem pełna dysonansów. Miała w sobie napięcie, które, paradoksalnie, go odprężało.

Sala Holywell mieściła się w krętej bocznej uliczce niedaleko biblioteki Bodleian. Nie była ani duża, ani luksusowo wyposażona; miała białe ściany, niskie podium dla orkiestry i mogła pomieścić nie więcej niż stu słuchaczy. Oświetlenie było ostre, a fotele w ustawionych półkolem, wznoszących się ku górze, rzędach wydawały się zaprojektowane pod kątem jak największej niewygody siedzących.

W programie zaznaczono, że jest to najstarsza sala koncertowa w Europie i że kiedyś grał tu sam Haendel. Była też krótka notka o Bartoku i jego muzyce, jak również informacje o każdym członku kwartetu smyczkowego, który dziś występował. Okazało się, że wszyscy muzycy są na studiach podyplomowych i że utrzymują się głównie z koncertów i korepetycji.

Na niskiej scenie stały cztery plastikowe krzesła i pulpity na nuty. Za chwilę mieli się pojawić muzycy. Ben pomyślał, że mogą poczekać jeszcze na spóźnionych amatorów koncertu. Prawdopodobieństwo, że sytuacja na widowni się zmieni, było jednak niewielkie.

Bardziej poczuł, niż zobaczył, że dziewczyna weszła na salę. Kiedy się odwrócił, od razu go poznała i posłała mu uśmiech. Bibliotekarka z Bodleian. Tym razem jasne włosy miała

rozpuszczone, była w lekkim dopasowanym żakiecie. Gdy podeszła, odłożył program na kolana.

- Jesteś sam? Mogę usiąść obok?

Jego marynarka wisiała na oparciu sąsiedniego krzesła, szybko ją zdjął i upchnął przy nogach.

- Oczywiście - powiedział.

Z uśmiechem usiadła, małą torebkę postawiła obok na podłodze.

- Nie spodziewałam się, że cię tu spotkam - szepnęła. - A tak w ogóle, mam na imię Lucy.

- Ben.

- Na twojej karcie bibliotecznej jest Benedykt.

- Wystarczy Ben.

Gdy zdjęła żakiet, zauważył, że ma na sobie tę samą starannie wyprasowaną białą bluzkę, którą zapamiętał z biblioteki.

- Późno kończysz pracę? - spytał.

Komicznie przewróciła oczami.

- Jak widzisz.

Właśnie miał coś powiedzieć, gdy na podium wyszli muzycy z instrumentami. Przy nikłych oklaskach małej widowni dwóch skrzypków, wiolonczelista i altowiolista zajęli swoje miejsca. Unieśli w górę smyczki, skinęli głowami i zaczęli grać.

Niespokojna muzyka wypełniła salę, Ben poczuł perfumy Lucy. Od czasu do czasu, poruszając się na krześle, dotykała go kolanem. Zastanawiał się leniwie, dlaczego wybrała miejsce akurat obok niego, przecież większa część sali była pusta. Wyglądała jednak tak sympatycznie, że nie miał nic przeciwko jej towarzystwu.

Słońce już zachodziło, kiedy wyszli na krętą uliczkę przed Holywell.

- Podobał mi się ten koncert - rzuciła Lucy.

- Odprężająca muzyka - powiedział.

- Tak myślisz? Jest taka intensywna.

- Właśnie to mnie relaksuje.

- Może się czegoś napijemy? - spytała.

- Czemu nie?

Niedaleko znajdował się Turf, pub, który pamiętał sprzed lat. Przeszli przez ulicę, w stronę śmiechu i muzyki. Wnętrze było tradycyjne - nisko sklepiony sufit z widocznym belkowaniem, nierówny drewniany bar, wyglądający na co najmniej dwieście lat. Lokal był pełen ludzi. Grupa włoskich turystów zajęła kilka stołów i bardzo hałasowała. Ben zamówił

podwójną whisky i kieliszek białego wina. Skierowali się do cichego zakątka w ogródku na zewnątrz, zamkniętym starymi kamiennymi ścianami, po których pięły się rośliny. Powietrze było przesycone zapachem kapryfolium.

Ben wyjął papierosy.

- Nie będzie ci przeszkadzać?

- Też zapalę - powiedziała. Podał jej ogień, stuknęli się kieliszkami. Wieczór wydawał mu się trochę nierealny, jednocześnie musiał przyznać, że jej towarzystwo było całkiem przyjemne.

- Bardzo dobry koncert, szkoda tylko, że tak mało ludzi.

- Myślę, że do Bartoka trzeba się przyzwyczać.

- Gdyby grali najlepsze utwory Chopina albo jakąś bogatą muzykę barokową, sala byłaby wypełniona po brzegi. Uśmiechnęła się. - A więc, Ben, jesteś na studiach podyplomowych?

- Jestem zwykłym studentem. Mam przed sobą ostatni rok w Christ Church.

Sprawiała wrażenie zdziwionej.

- Wiem - powiedział, widząc jej minę. - Jestem stary.

- Nie jesteś stary.

Ale czuję się staro, pomyślał. I jestem taki zmęczony. - Miałem przerwę - wyjaśnił.

- Dawno temu zaliczyłem dwa lata teologii. Bardzo dawno temu. Teraz dostałem zgodę na dokończenie studiów.

- Zmiana kariery zawodowej?

- Całkowita.

- Czym zajmowałeś się wcześniej?

Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. Przez chwilę nawet myślał, czyby jej o wszystkim nie opowiedzieć, jednak szybko wycofał się z tego pomysłu.

- Pracowałem sam. Byłem kimś w rodzaju konsultanta do wynajęcia. Rozwiązywałem problemy. Wspecjalizowany obszar. Dużo podróżowałem.

To, co powiedział, było wysoce niejasne, jej jednak wystarczyło. - Mnie też by się przydała zmiana zawodu - powiedziała.

- Nie podoba ci się praca w bibliotece?

- Nie jest zła. Ale ja chcę malować. Jestem artystką. Praca w Bodleian zajmuje mi tylko kilka godzin tygodniowo, ułatwia płacenie rachunków. Poświęciłabym się bez reszty sztuce, gdybym się mogła z niej utrzymać. Ale to nie takie proste.

- Tak, to trudny rynek - powiedział. - Mam nadzieję, że ci się uda. Jaką sztuką się zajmujesz?

Zaśmiała się.

- Nie wiem, czy to cię zainteresuje.

- Naprawdę chciałbym wiedzieć.

Sięgnęła do torebki i wyjęła wizytówkę. LUCY WILDE, ARTYSTA MALARZ, numer telefonu i adres strony internetowej. Na jej odwrocie widniał abstrakcyjny wzór - czysty, geometryczny, w stylu przypominającym Kandinskiego.

- To jedna z twoich prac?

Przytaknęła.

- Podoba mi się. Jesteś niezła. Będę trzymać za ciebie kciuki.

Wyciągnął rękę, by oddać jej wizytówkę.

- Zatrzymaj ją - powiedziała.

Uśmiechnął się, wsunął kartonik do kieszeni.

Na chwilę zapanowała cisza. Obrócił kieliszek na blacie stołu, następnie spojrzął na zegarek. - Chyba powinienem już iść. - Dopił drinka.

- Gdzie mieszkasz? - spytała.

- W North Oxford. Przy ulicy Woodstock. A ty?

- W Jericho.

- Podwiózłbym cię, ale nie mam tu samochodu.

- Ja też jestem pieszo. Ale do St. Giles będziesz szedł w moim kierunku. Pójdziemy razem?

Kiwnął głową. Lucy uśmiechnęła się, wyszli. Idąc wąskim pasażem, nie rozmawiali wiele, ich kroki odbijały się echem od naznaczonych przez czas murów budynków kolegium. Gdy dotarli do centrum miasta, z New Theatre właśnie wysypał się tłum, a sprzedawcy pachnących pieczonym mięsem kebabów przeżywali obłęzenie. Minęli kolegium St. Johna, weszli w szeroką aleję St. Giles. Uliczki były tu ciche, latarnie rzucały przytłumione, żółtawe światło.

Lucy stanęła.

- Tu skręcam - powiedziała, wskazując boczną uliczkę. - Zobaczymy się jeszcze? Na przykład w bibliotece?

- Myślę, że tak. - Już miał odwrócić się i pójść dalej.

- Ben?

- Tak?

Zadrżał jej głos.

- Czy poszedłbyś ze mną jutro na film o Goi?

Milczał.

- Film o Goi - powiedziała nerwowo. - O tym artyście.

- Wiem, kim był Goya. - Poczul się głupio, że jego słowa zabrzmiały tak ostro.

- Nie wiem, czy film jest dobry, ale pomyślałam, że może ci się spodobać - dokończyła prawie szeptem. Przeszła z nogi na nogę, spuściła wzrok, machinalnie dotknęła torebki.

Zawahał się.

- Przykro mi, Lucy, ale będę zajęty.

- To może spotkamy się kiedy indziej? Na drinka?

- Nie gniewaj się, ale to niemożliwe.

Wyglądała na zmieszana.

- OK, rozumiem. A więc do zobaczenia. - Odwróciła się na pięcie i odeszła.

Ben ruszył w swoją stronę, jednak po około stu metrach zwolnił i zatrzymał się. Stojąc pod bursztynowym światłem latarni, potrząsnął głową. Ale z ciebie palant, pomyślał. Od początku rozgrywałeś to nie tak jak trzeba. Głupio, niezręcznie i okrutnie. Przecież nie jest to typ dziewczyny, która dzień w dzień umawia się na randki. Ta propozycja nie przyszła jej łatwo - a on po prostu rozdeptał ją jak jakiegoś namolnego owada. Na pewno zasłużyła na lepsze traktowanie. Powinien pójść za nią i wszystko wyjaśnić. Powiedzieć jej, że mu się podoba, ale nie może się z nią często widywać. Że żadna kobieta nie jest w stanie go teraz zainteresować i że tak już pozostanie przez dłuższy czas. Może na zawsze. I że to nie jej wina, tylko jego problem. Powinien ją po prostu przeprosić.

Zawrócił w stronę pokrytej kocimi łbami bocznej uliczki, w której zniknęła Lucy. Zaulek był wąski i słabo oświetlony, a wyższe domy rzucały czarne długie cienie przez całą szerokość. Pusta, boczna alejka.

Wtedy, w odległości jakichś dwudziestu metrów, dostrzegł Lucy, a obok niej trzech facetów. Przycisnęli ją do ściany. Jeden złapał dziewczynę za szyję, inni stali z boku. Szarpała się i kopała. Wrywali jej torebkę, gdy ją w końcu puściła, zarechotali.

Ben bezgłośnie podkładał się pod osłonę mroku. Byli nią zbyt zajęci, by go zauważyć, zresztą nawet zawodowi żołnierze mieliby z tym kłopot. Dwóch napastników było białych, trzeci, ten, który wyszarpnął torebkę, był Azjata. Ben zwrócił uwagę na chłopaka trzymającego Lucy za gardło. Ogolona głowa, kolczyk w nosie, pewność siebie. To na pewno ich szef. Drugi biały był niski, puciołowaty, ze sporą nadwagą. Niedawno jeszcze dzieci, teraz mogli mieć jakieś dwadzieścia lat. Wszyscy byli w markowych dresach.

Dzieci - lecz niebezpieczne dzieci. W matowym, żółtym świetle coś błysnęło. Ten z ogoloną głową sięgnął pod bluzę i wyciągnął nóż. Kuchenne narzędzie z czarnym

plastikowym uchwytem i prawie dwudziestoma centymetrami zębatego ostrza. Machnął nim przed twarzą Lucy, dziewczyna wydała stłumiony krzyk. Warknął, żeby siedziała cicho i stuliła pysk.

Na widok noża Ben zacisnął pięści. Cicho podszedł jeszcze bliżej. Nadal go nie dostrzegli.

Młody Azjata grzebał w torebce, szukając portmonetki, jego gruby kompan złapał Lucy za rękę i próbował zerwać jej zegarek. W szeroko otwartych oczach dziewczyny widać było teraz panikę.

Gdy Ben wychynął z mroku, chuligani zastygli w bezruchu, tylko Lucy wykrztusiła jego imię. Myślał szybko, w jaki sposób unieszkodliwić napastników. Wiedział, że mógłby w trzy sekundy połamać im wszystkim kości. Nóż łysego był duży i mógł robić wrażenie, ale jego właściciel nie umiał go używać. Młody chuligan na pewno nie mógł stanąć do walki z kimś, kto doskonale wiedział, jak jednym ruchem odbiera się nóż i wbija go w mózg napastnika, nim ten zdąży złapać kolejny oddech.

Te dzieciaki były niebezpieczne. Ale to nadal dzieciaki.

- Otwórz portmonetkę - rozkazał Azjacie. Ten, mrugając, spojrzął na portmonetkę, znów na Bena.

- Dalej, otwieraj ją - powtórzył Ben, nie spuszczać oka z łysego. Mówił cicho i spokojnie.

Nożownik zmarszczył czoło, na jego twarzy malowała się rozterka. Ben wiedział, co teraz myśli. Było ich trzech na jednego, lecz mimo to stało się coś dziwnego. Młody chuligan szybko tracił pewność siebie. Początkowe wyzwanie w jego oczach zmieniło się w strach. Nie był w stanie wykrztusić słowa, nie trzymał już tak pewnie noża; w końcu Lucy mu się wyrwała.

Azjata wykonał polecenie Bena. Portmonetka była z gładkiej wytartej skóry. Otworzył zatrask.

- Ile tam widzisz gotówki? - spytał go Ben.

Dzieciak pogmerał w środku i wyciągnął dwudziestkę.

- Gówniany łup, chłopaki - powiedział Ben. - Wypada mniej niż siedem funtów na głowę. Później się dowiecie, że karta debetowa jest do niczego, bo rachunek jest na minusie, a karta kredytowa jest maksymalnie zadłużona. Spójrzmy prawdzie w oczy: ona nie ma pieniędzy. Każdy z was wróci do domu z siedmioma funtami. Prawdziwi z was twardziele, co? Super, nocna fucha, którą możecie się pochwalić swoim kolegom.

Łysy wreszcie odzyskał głos.

- Pierdol się - wykrztusił. Nie zdołał jednak ukryć drżenia głosu.

Ben zignorował go.

- OK, zróbmy interes. - Sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów, wyjął portfel i go otworzył. W środku znajdował się zwitek szeleszczących pięćdziesiątek prosto z bankomatu. Czując na sobie wzrok napastników, bez pośpiechu je przeliczył. Odłożył sześć banknotów, wsunął portfel z powrotem do kieszeni. - Trzysta. Po setce dla każdego. To więcej niż po siedem, prawda? I o wiele więcej, niż jesteście warci. - Wyciągnął rękę. - Dla was.

Chłopak z nożem zrobił krok w jego kierunku.

Ben cofnął pieniądze.

- To interes, więc mam prawo oczekiwać czegoś w zamian. Chcę czterech rzeczy. Pierwsza: puśćcie ją. Druga: oddajcie jej torbę. Trzecia: nóż ma trafić na ziemię, dopiero wtedy dostaniecie pieniądze. Czwarta: zmiatajcie stąd i nie chcę was już nigdy więcej widzieć.

Zawahali się.

- Nie chcecie robić ze mną interesów, też dobrze. Tylko że w ciągu trzydziestu sekund wszyscy będziecie martwi, bo żaden inny pomysł nie przychodzi mi do głowy. Wybór należy do was.

Azjata zaczął dygotać. Chłopak z nożem wybałuszył oczy. Wymienili nerwowe spojrzenia.

- Daję wam szansę. Kupuję wasze życie, bo nie chcę was zabić.

Łysy schylił się i położył nóż na ziemi, ostrze brzęknęło na kamieniach chodnika. Azjata oddał Lucy torebkę, wszyscy szybko się od niej odsunęli. Błada, roztrzęsiona dziewczyna podbiegła do Bena, który położył rękę na jej ramieniu.

Odkopnął nóż na drugą stronę alejki.

- Dobry wybór. Najważniejsza decyzja waszego życia. Nie macie nawet pojęcia, jak wam się dziś upiekło. - Wyciągnął rękę z pieniędzmi, łysy wziął je drżącą ręką. Wreszcie wszyscy odwrócili się i rzucili do panicznej ucieczki.

- Jak się czujesz? - spytał Ben.

Spojrzała na niego. Zauważył, że ma mokre oczy.

- Nadal nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Jak ty to zrobiłeś?

- Odprowadzę cię do domu - powiedział.

12

dzień siódmy

Rodzina Bradburych mieszkała w dużym wiktoriańskim bliźniaku na pełnym zieleni przedmieściu Summertown. Ben zjawił się z butelką wina o dwunastej trzydzieści. Niewidzianej od bardzo dawna Jane Bradbury przyniósł bukiet kwiatów. Zauważył, że Jane niewiele się zmieniła, tylko w jej ciemnych włosach pojawiły się siwe pasemka. Wydało mu się również, że jej szczupła sylwetka nabrała jeszcze większej kruchości. Zapamiętał ją jako osobę cichą, pozostającą w cieniu elokwentnego męża. Ale dzisiaj była jeszcze bardziej małowówna niż zwykle.

Do lunchu usiedli na przydomowym patio. Ogród Bradburych przez ostatnich dwadzieścia lat prawie wcale się nie zmienił. Może tylko różane krzewy Toma były wyższe i bardziej kolorowe niż te, które zapamiętał z przeszłości? Kamienny mur, otaczający posiadłość, porastał teraz bluszcz.

Po lunchu pili wino, przez chwilę rozmawiając o wszystkim i o niczym. Na trawniku biegał i węszył krępy biały terier gospodarzy, kulka sierści i mięśni.

- Mielicie bardzo podobnego psa, kiedy u was byłem ostatnim razem - powiedział Ben. - Ale to chyba nie ten sam?

- Mówisz o Sherry - powiedziała Jane. - Ten się nazywa Whisky i jest jej synem. Usłyszawszy swoje imię, pies podbiegł do Bena, usiadł przed nim i podał mu łapę.

- Nasza córka Zoë go tego nauczyła - powiedział Bradbury. - To przede wszystkim jej pies. Ale to my się nim opiekujemy, bo Zoë rzadko bywa w domu.

- Co u niej słyhać? - spytał Ben.

To z pozoru luźne pytanie przyniosło dziwny skutek. Bradbury nerwowo poruszył się w fotelu i ni stąd, ni zowąd zaczął się przyglądać własnym rękom. Jane wyraźnie zbladła, twarz jej stężała, ruchy się usztywniły. W wymowny sposób spojrzała na męża, tak jakby chciała go do czegoś zmusić.

- Czy coś nie tak? - spytał Ben.

Bradbury pogłaskał dłoń żony. Gdy się uspokoiła, profesor spojrzał na Bena. Wydawało

się, że za chwilę coś powie, zamiast tego sięgnął po butelkę z winem i wszystkim napełnił kieliszki. Uniósł kieliszek i jednym haustem wychylił go do połowy.

- Coś mi się wydaje, że nasze spotkanie ma nie tylko towarzyski charakter - powiedział Ben. - Chcielibyście ze mną o czymś porozmawiać, prawda?

Bradbury otarł kąciki ust serwetką, jego żona nerwowo wstała z krzesła.

- Przyniosę jeszcze wina.

Profesor sięgnął do bocznej kieszeni tweedowej marynarki. Wyciągnął starą brujerkę i zaczął w cybuchu upychać tytoń z plastikowego woreczka.

Ben cierpliwie czekał.

Zapalając fajkę, Bradbury zmarszczył czoło.

- Jesteśmy zadowoleni, że znów cię widzimy - odezwał się przez obłok aromatycznego dymu. - Tak czy owak zaprosilibyśmy cię na lunch.

- A więc istnieje też inny powód naszego dzisiejszego spotkania - powiedział Ben. - Coś się stało.

Jane Bradbury weszła na patio z butelką wina i postawiła ją na stole. Patrząc na nich, Ben poczuł, że oboje mają mu wiele do powiedzenia. I że to popołudniowe spotkanie szybko się nie skończy.

Profesor wymienił z żoną spojrzenia.

- Wiem, że już dawno straciliśmy ze sobą kontakt - powiedział. - Byłem dobrym przyjacielem twojego ojca. Naprawdę czuliśmy się sobie bliscy. Z tego powodu ciebie również uważamy za przyjaciela.

- Jestem zaszczycony - powiedział Ben.

- I dlatego wiemy, że możemy ci zaufać. Oraz coś wyznać.

- Oczywiście - odrzekł Ben, pochylając się w stronę gospodarza.

- Potrzebujemy twojej pomocy. - Bradbury chwilę się zawahał, potem mówił dalej. - W czym rzecz? Otóż od momentu, gdy przerwałeś studia, przez cały czas dochodziły do nas różne pogłoski. Mówiono, że z początku nigdzie nie mogłeś zagrać sobie miejsca. I że potem wstąpiłeś do wojska, gdzie szybko awansowałeś. Plotki, nic konkretnego. Teraz, a właściwie przed sześcioma tygodniami, gdy rozmawialiśmy o twoim powrocie na uczelnię, mnie i moim kolegom opowiedziałeś nieco więcej o swojej dotychczasowej pracy. Zdaję sobie sprawę, że unikałeś szczegółów, ale to, co usłyszałem, wystarczyło. Zrozumiałem, że jesteś człowiekiem mającym bardzo specyficzne umiejętności oraz duże doświadczenie w wykonywanej pracy. Wiem, że zajmujesz się poszukiwaniem zaginionych osób.

- Byłem konsultantem w sytuacjach kryzysowych - powiedział Ben. - Samodzielnie

pracowałem nad ustalaniem miejsca pobytu ofiar porwań. Zwłaszcza dzieci. Jednak już się tym nie zajmuję.

- Zwłaszcza dzieci... - smutno powtórzył Bradbury.

- Czy coś się stało Zoë? - spytał Ben.

Jane podniosła się z krzesła i przez drzwi ogrodowe weszła do domu. Za chwilę wróciła z oprawionym w srebrną ramkę zdjęciem. Postawiła je na stole i lekko popchnęła w stronę Bena.

- Pamiętasz ją? Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, była jeszcze dzieckiem.

Czasy, o których mówiła Jane, wydawały się Benowi bardzo odległe. Tyle się od tamtej pory zdarzyło. Jednak przypomniał sobie biegającą po trawniku, rozbawioną małą dziewczynkę i truchtającego za nią uszczęśliwionego psa. Zapamiętał też, jak promienie słońca rozświetlały jej włosy oraz swoje wrażenie, że jej szczerbaty uśmiech wyraża całą radość świata.

- Musiała mieć wtedy pięć lub sześć lat, prawda?

- Prawie siedem - powiedział Bradbury.

- Więc teraz ma dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat. - Ben wyciągnął rękę po zdjęcie.

Poczuł chłód ramki. Na fotografii ujrzał wyjątkowo ładną młodą kobietę o długich blond włosach i szerokim uśmiechu, przytulała małego pieska. Wyglądała na bardzo naturalną, szczęśliwą dziewczynę.

Bradbury skinął głową.

- W marcu skończyła dwadzieścia sześć lat.

Ben odstawił zdjęcie.

- Co się stało? Czy Zoë wpadła w jakieś kłopoty? Gdzie jest teraz?

- O to właśnie chodzi. Powinna już tu być. Ale jej nie ma.

- Wypiłam za dużo wina - oświadczyła Jane. - Pójdę zrobić kawę.

Ben odprowadził ją wzrokiem. Jej ruchy były nienaturalnie usztywnione, tak jak osoby żyjącej w nieustannym napięciu. Zmarszczył czoło.

- W czym jest problem?

Zażenowany Bradbury niezręcznie zajął się fajką. Obejrzał się przez ramię. Widać było, że nie chce, żeby żona była świadkiem tego, co zamierza powiedzieć.

- Zawsze ją bardzo kochaliśmy.

- To oczywiste - powiedział Ben, nie bardzo wiedząc, dokąd zmierza rozmowa.

- Trudno mi o tym mówić. To intymne sprawy.

- Jesteśmy przyjaciółmi - powiedział Ben, patrząc mu prosto w oczy.

Bradbury uśmiechnął się blado.

- Po ślubie z Jane przez długi okres nie mogliśmy mieć dziecka. Nie było to niczyją winą.
- Skrzywił się. - No, może ja się trochę do tego przyczyniłem. To takie żenujące, te wszystkie szczegóły...

- Mniejsza o szczegóły. Mów dalej.

- Dopiero po pięciu latach starań Jane zaszła w ciążę. Urodził się chłopiec.

Ben się zdziwił, bo nigdy nie widział u nich syna.

- Możesz się domyślić, co się działo - mówił dalej Bradbury.

- Daliśmy mu na imię Tristan. Jednak nie doczekał pierwszych urodzin. Śmierć łóżeczkowa. Powiedziano nam, że to się zdarza. Byliśmy zdruzgotani.

- Współczuję. To musiało być okropne.

- Taka dawna historia - powiedział Bradbury. - A przecież wciąż boli. Chcieliśmy mieć drugie dziecko, znowu były trudności. Zastanawialiśmy się już, czy nie zrezygnować z własnego dziecka i nie pomyśleć o adopcji, kiedy Jane zaszła w ciążę. Potraktowaliśmy to jak prawdziwy cud, po dziewięciu miesiącach urodziła nam się wspaniała dziewczynka.

- Pamiętam ją dobrze - powiedział Ben. - Była urocza. I bystra.

- Nadal taka jest - odparł Bradbury. - Jednak przez wiele lat baliśmy się, że ją utracimy. Irracjonalnie, wiem, bo zawsze była zdrowa. Jednak wcześniejsza tragedia zostawiła trwały ślad. Przyznaję, że rozpuściliśmy Zoë. I boję się, że nie wychowaliśmy jej jak trzeba.

- Czym się teraz zajmuje?

- Jest wyróżniającym się naukowcem. Nigdy nie musiała się zbytnio wysilać. Przez studia przeszła śpiewająco. Archeologia. Dyplom pierwszej klasy z kolegium Magdalen. Już wtedy wszyscy wróżyli jej błyskotliwą karierę. Archeologia biblijna jest dzisiaj jednym z ważniejszych obszarów badawczych i stosunkowo nową dziedziną, a Zoë jest uważana za jedną z jej prekursorok. To jej zespół rok temu znalazł cenny ostrak w Tunezji.

Ben pokiwał głową. *Ostrakon* to greckie słowo oznaczające skorupę. Ostraki - tak archeolodzy nazwali kawałki glinianych naczyń, służące kiedyś jako tani materiał piśmienniczy. Ostraki były wykorzystywane do sporządzania umów, rachunków, świadectw sprzedaży, jak również manuskryptów i zapisów religijnych.

- Czytałem o tym odkryciu - powiedział Ben. - Nie miałem jednak pojęcia, że znam osobę, która go dokonała.

- To był wielki triumf - ciągnął Bradbury. - W rzeczywistości jej zespół znalazł największy skład nieuszkodzonych ostraków od czasu wykopalisk w Izraelu w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku. Ten nadzwyczajny skarb leżał ukryty głęboko pod ruinami

starożytnej świątyni.

- Zoë musi być inteligentną dziewczyną - powiedział Ben.

- Jest wyjątkowa. To jednak nie wszystko, czego dokonała. Ma na koncie wiele artykułów naukowych, jest też współautorką książki o greckim mędrцу Papiasie. Kalka razy udzielała wywiadów w programie telewizyjnym poświęconym archeologii.

- Musisz być z niej bardzo dumny.

Profesor się uśmiechnął, zaraz jednak zmarkotniał, spuścił głowę i zaczął ugniatać wygasłą już fajkę.

- W sferze zawodowej i naukowej Zoë jest znakomita. Lecz jej życie osobiste oraz nasze wzajemne stosunki układają się katastrofalnie. - Bradbury uniósł do góry ręce i bezradnym gestem opuścił je na kolana. - Co więcej mogę ci powiedzieć? Od momentu gdy skończyła piętnaście lat, szaleje. Zupełnie nie możemy sobie z nią poradzić. Już parokrotnie, z powodu niewielkich wykroczeń, weszła w konflikt z prawem. Kradła w sklepach, bawiła się w kieszonkowca. W jej pokoju znajdowaliśmy różne kradzione rzeczy, ona traktowała to jako świetny żart. Mieliśmy nadzieję, że z czasem z tego wyrośnie, ale niestety. Picie. Imprezy. Rozmaite nieodpowiedzialne zachowania. Niekończąca się walka i problemy. Jest kłótniwa, agresywna, wyjątkowo uparta, zawsze musi postawić na swoim. Nie trzeba wiele, by sprowokować ją do zwady. - Uniósł głowę i zaczerwienionymi oczami spojrzał na Bena.

- Wiem, że to wszystko nasza wina. Rozpuściliśmy ją jak dziadowski bicz, ale byliśmy tacy szczęśliwi, że dostaliśmy od Boga drugą szansę na dziecko.

Gdy Bradbury mówił, Ben spokojnie małymi łykami popijał wino. Powtórnie napełnił swój kieliszek.

- Przejdźmy do rzeczy, Tom. Powiedziałeś, że nie wiesz, czemu jeszcze nie przyjechała. Zaginęła?

Bradbury pokiwał głową.

- Już od tygodnia nie wiemy, gdzie jest.

- Myślisz, że wpadła w tarapaty?

- Sami już nie wiemy, co o tym sądzić.

- Przy tak trudnej córce tydzień to niezbyt długo. Sam mówiłeś, że jest nieprzewidywalna.

Tylko patrzeć, jak się pojawi.

- Chciałbym w to wierzyć.

- Powiedziałeś mi o tym, ponieważ wiesz, czym się wcześniej zajmowałem.

- Tak.

- A więc może teraz wysłuchasz opinii profesjonalisty.

Bradbury wzruszył ramionami.

- Oczywiście.

- Ludzie od czasu do czasu się oddalają - powiedział Ben. - Kiedy ktoś znika i jednocześnie są mocne dowody na to, że mogło mu się stać coś złego, istnieją sposoby, aby go znaleźć. Trzeba jednak umieć odróżnić osobę rzeczywiście zaginioną od takiej, która jest po prostu niesforna, skłócona z rodzicami, lubi się zabawić i raz na jakiś czas znika z radaru.

- Ona już przedtem, jak to ująłeś, „znikała z radaru” - powiedział Bradbury. - Jesteśmy realistami. Pogodziliśmy się z wieloma rzeczami. Zaakceptowaliśmy fakt, że jak dotąd z nikim się nie związała i że lubi się bawić. Mam na myśli seks. - Mówiąc to, Bradbury aż się zarumienił z zażenowania. - Jednak tym razem wszystko wygląda trochę inaczej. Naprawdę dziwnie. A my mamy wyjątkowo złe przeczucia.

- Dlaczego uważasz, że akurat ten raz jest tak niezwykły?

- Pieniądze. To znaczy, skąd ona ma te wszystkie pieniądze?

- Jakie pieniądze?

- Przepraszam - odparł Bradbury. - Pozwól, że trochę się cofnę w czasie. Zoë pracowała przy wykopaliskach w Turcji. Miała tam zostać aż do końca sierpnia. A tu nagle się dowiadujemy, że wyjechała wcześniej i wylądowała na Korfu. Mamy tam przyjaciół, u których się zatrzymała. - Bradbury zamilkł. - Od pewnego czasu zaczęła się dziwnie zachowywać, tak jakby nagle się wzbogaciła. Ale przecież jest tylko doktorantką i wtedy zwykle nie ma się pieniędzy, w każdym razie nie na żadne ekstrazachcianki. A jednak, jak nam donieśli przyjaciele, w pewnej chwili Zoë otrzymała całą masę pieniędzy. Tysiące. I zaczęła je wydawać, tak jakby ich źródło miało się nigdy nie wyczerpać. Non stop imprezy, co wieczór pijatyki, co noc inny mężczyzna.

- Wiem, że to cię może szokować, ale...

Bradbury przecząco potrząsnął głową.

- Wcale nie o to mi chodzi. W końcu pokłóciła się z naszymi znajomymi i zamieszkała w najdroższym hotelu na wyspie. W niedługim czasie za awantury została z niego wyrzucona, wtedy wynajęła willę nad brzegiem morza. Wielką, luksusową, drogą. Jak słyszeliśmy, imprezy trwały tam od rana do wieczora.

- Mów dalej.

- Aż pewnego dnia zniknęła. Wcześniej, ewidentnie pod wpływem alkoholu, do nas dzwoniła. Było już późno, więc Zoë zostawiła tylko wiadomość na sekretarce. Powiedziała, że wkrótce wylatuje do domu i że będzie u nas następnego dnia rano. I to wszystko. Nadal czekamy. Nikt nie wie, gdzie się podziała. Dzwoniliśmy pod wszystkie numery, jakie nam

przyszły do głowy. W willi już jej nie ma. Ani w żadnym hotelu. Personel lotniska na Korfu twierdzi, że nie wsiadła do żadnego samolotu. Po prostu rozplynęła się w powietrzu. - Spojrzał na Bena. - Co o tym myślisz?

Ben chwilę się zastanawiał.

- Przyjrzyjmy się temu bliżej. Twierdzisz, że historia z pieniędzmi nie daje ci spokoju. Jednocześnie mówisz, że Zoë ma wielu chłopaków. Skąd wiesz, że się nie spotyka z jakimś bogatym mężczyzną? Mamy dowody, że nie wyleciała z Korfu. Jest ładną dziewczyną, a na wyspie jest wielu zamożnych młodych ludzi, korzystających z uroków życia. Może Zoë siedzi teraz na pokładzie jakiegoś jachtu i nic jej nie grozi?

- To prawda - powiedział Bradbury.

- Druga sprawa to karty kredytowe. Wiesz, jak to jest, wydasz dwieście funtów z karty Barclay's, wkrótce potem dostajesz list z banku z propozycją pożyczki, a przy okazji zwiększają ci o parę tysięcy limit kredytowy. To by tłumaczyło, skąd u niej raptem taka fura pieniędzy.

- Tak, to też brzmi wiarygodnie - przyznał Bradbury.

- Dlaczego więc uważasz, że coś jest nie tak?

- Trudno mi wytłumaczyć - powiedział Bradbury. - To bardziej przeczucie niż tylko nasza nadopiekuńczość. Bo wiemy, że takiej sytuacji jeszcze nie było.

Wychylił się z krzesła i spojrzał Benowi prosto w oczy.

- Bylibyśmy ci bardzo wdzięczni, Ben, gdybyś tam pojechał i ją znalazł. Chcemy mieć pewność, że nic jej się nie stało. Że nie wplątała się w jakieś narkotyki czy inny koszmar, na przykład pornografię - powiedział z bólem w głosie.

- Spokojnie. Skąd od razu takie przypuszczenia?

Zaciskając palce na brzegu stołu, Bradbury wpatrywał się w Bena.

- Pomożesz nam? Ufamy ci.

Ben milczał.

- Jesteśmy na skraju wytrzymałości psychicznej. W żadnym wypadku nie chcemy, żebyś ją namawiał do powrotu. Po prostu znajdź ją i upewnij się, że nic jej nie jest. I powiedz koniecznie, że bardzo, bardzo czekamy na jakiś sygnał. I że przepraszamy za wszystkie klótnie, które mogły ją do nas zrazić. Powiedz jej też, że ją kochamy.

Ben wciąż się nie odzywał.

- Zastanawialiśmy się, czy nie powinniśmy sami tam polecieć i jej poszukać - powiedział Bradbury. - Ale nawet gdybyśmy ją znaleźli, na pewno nie chciałaby z nami rozmawiać. Wpadłaby tylko w gniew, oskarżyła nas o wtrącanie się w jej życie, czy coś w tym stylu, i

uciekła gdzie pieprz rośnie. Znam ją dobrze, to by tylko utrudniło sprawę. - Bradbury się skrzywił. - Potrzebny jest ktoś z zewnątrz, przyjaciel rodziny, lecz bardziej obiektywny. Ktoś, kto będzie wiedział, jak do niej podejść i pokierować całą sytuacją.

Ben dopił wino i odstawił kieliszek na stół.

- Przykro mi, że coś takiego się przydarzyło, Tom. Naprawdę.

Bradbury przygryzł wargi.

- Niestety, nie mogę ci pomóc - powiedział Ben.

- Oczywiście ci zapłacimy - nerwowo rzucił Bradbury. - Powinienem to powiedzieć od razu. Mamy oszczędności. Mogę dać ci dziesięć tysięcy funtów, ta suma powinna pokryć wszystkie wydatki i pozostawić sporą nadwyżkę. Od razu zrobię przelew internetowy, w ten sposób pieniądze natychmiast znajdą się na twoim rachunku. Przepraszam cię tylko, że nie mogę dać ci więcej.

Ben się uśmiechnął.

- Tu nie chodzi o pieniądze. Zrobiłbym to za darmo. Ale już nie pracuję w tamtym zawodzie. Dlatego znalazłem się tutaj, w Oksfordzie. Skończyłem z tamtą pracą i teraz robię wszystko, aby zapomnieć o przeszłości.

- Ale ta sytuacja jest zupełnie inna - powiedział Bradbury. - Nie możesz jej porównywać ze sprawami, którymi kiedyś się zajmowałeś. Proszę cię, błagam.

- Żałuję, Tom, ale nic z tego. - Przez chwilę Ben się zastanawiał. - Powiem ci jednak, co zrobię. Jeżeli szukasz kogoś wiarygodnego, kto by tam poleciał i znalazł Zoë, mógłbym ci polecić pewnego faceta...

Po wyjściu od Bradburych Ben poszedł prosto do swojego mieszkania, podniósł słuchawkę i wybrał numer. Usłyszał głos Charliego.

- Dzwonię w sprawie, o której rozmawialiśmy - powiedział Ben. - Czy nadal jesteś zainteresowany?

Charlie nie wahał się ani chwili.

- No pewnie.

- Dobrze. Więc posłuchaj. - Ben szczegółowo omówił sytuację i ofertę Bradbury'ego.

- To by nam na cały rok załatwiło spłatę hipoteki - powiedział Charlie. - Ale już wiem, co na to powie Rhonda.

- Masz tylko znaleźć Zoë. Nawet nie musisz jej namawiać do powrotu. Dotarcie do niej, sądząc z tego, co usłyszałem, nie powinno być zbyt trudne. Szukasz imprez i idziesz śladem pustych butelek. Jej rodzice oczekują wiadomości, że nic złego jej się nie stało. Musisz ją tylko przekonać, żeby się z nimi skontaktowała.

- Nie wygląda to na zbyt skomplikowane.

- Bo nie jest - powiedział Ben. - Na wyspie sezon turystyczny jeszcze się nie zaczął, więc nawet za bardzo nie uszczuplisz swoich funduszy. A Rhondzie możesz powiedzieć, że masz tylko komuś dostarczyć wiadomość, to jej chyba nie zdenerwuje. Mówimy o greckich wyspach, nie o Afganistanie. Polecisz tam i za pięć dni wrócisz.

- Piszę się na to - powiedział Charlie.

- Mogę więc zadzwonić do Bradburych i przekazać im twoją decyzję, tak?

- Tak, wchodzę w to - powtórzył Charlie.

13

W tym momencie, o dwa i pół tysiąca kilometrów dalej, na malutkiej greckiej wyspie Paxos, ślaniającą się na nogach Zoë brutalnie popychano w stronę plażowego pomostu - tego samego, na którym cztery dni temu została złapana.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu znów zobaczyła światło dzienne. Wcześniej była przywiązana do łóżka i uwalniana tylko wtedy, gdy musiała iść do ubikacji. Przez cztery dni i nocę ją przesłuchiowano.

Nieustannie wyęczała pamięć, próbując sobie przypomnieć coś na swój temat. *Kim jest?* Najpierw w głowie miała całkowitą pustkę, jedno wielkie bezkształtne nic. Po pewnym czasie zauważyła, że w jej mózgu zaczyna się dziać coś nowego, tak jakby przesuujące się w tle, oderwane fragmenty pamięci starały się połączyć i nabrać ostrości. Twarze, głosy, miejsca. Tak kusząco bliskie, jednak gdy próbowała po nie sięgać, rozplywały się z powrotem we mgle.

Godzinami wpatrywała się w malutką bliznę na palcu, na pewno pochodzącą jeszcze z czasów dzieciństwa. Skąd się wzięła? Nie miała pojęcia. Tysiące pytań walczyło o jej uwagę. Gdzie mieszka? Kim jest jej rodzina, jej przyjaciele? A w ogóle jak wygląda jej normalne życie?

Na koniec zadawała sobie pytanie, które ją najbardziej przerażało. *Czego ci ludzie od niej chcą?* Obserwowała i słuchała porywaczy, a jej początkowy paniczny strach z upływem czasu przeszedł w rodzaj stałego, mrozącego krew w żyłach przerażenia. Dwóch ciemnych mężczyzn widywała rzadko, nigdy z nią nie rozmawiali. Najczęściej miała do czynienia z kobietą i jasnowłosym mężczyzną. Kobieta wyglądała na twardą, czasem jednak potrafiła odezwać się bardziej życzliwie.

Jasnowłosa mężczyzna był psychopata. Nienawiść, jaką do niego czuła Zoë podczas tych wszystkich niekończących się godzin udreki, osiągnęła taki poziom, że jedna tylko myśl podtrzymywała ją na duchu: marzenie o tym, aby w jakiś sposób odzyskać swobodę ruchu, odebrać prześladowcy pistolet i nóż, po czym powoli go uśmiercić.

Niezależnie od rodzaju przesłuchania, od tego, czy groźby były zawołowane, czy też gwałtowne i obscenicznie wykrzyczane, efekt był ten sam. Widziała też, że porywacze stają się coraz bardziej zdesperowani.

Coraz częściej nie dawało jej spokoju nowe pytanie. Co z nią będzie, gdy rzeczywiście odzyska pamięć? Co zrobią porywacze, gdy otrzymają to, czego od niej chcą?

Z łatwością mogła sobie wyobrazić, co jasnowłosa mężczyzna by z nią zrobił, gdyby tylko mu pozwolono. Czy przypadkiem tego, że jeszcze żyje, nie zawdzięczała tylko swojej amnezji?

Teraz chcieli ją gdzieś wywieźć. Ale dokąd? Czyżby się zorientowali, że to wszystko nie ma sensu? Na tę myśl jej serce zabiło szybciej. Może wkrótce ją uwolnią albo wyślą do domu?

Czy też podjęli inną decyzję, bo zrozumieli, że nie dadzą sobie z nią rady? I na przykład muszą ją zabić? Tutaj, teraz, właśnie dzisiaj? Znow zaczęły się jej trząść ręce.

Blondyn popychał ją po plaży, wciskając w plecy lufę pistoletu.

- Ruszaj się - warczał.

Próbowała przyspieszyć, ale w miękkim piasku było to trudne. Nogi miała jak z waty. Potknęła się i upadła. Blondyn brutalnie złapał ją za ramię i jednym szarpnięciem postawił na nogi. Znow poczuła bolesny ucisk pistoletu na plecach.

Zaryzykowała i obejrzała się za siebie. Jasnowłosa prześladowca wpatrywał się w nią z nienawiścią. Za nim, z zamyśloną miną, szła kobieta, zerkając na zegarek i obserwując niebo. Z tyłu spokojnym krokiem podążało dwóch mężczyzn. Jeden z nich niedbale trzymał pistolet.

Przeszedł ją dreszcz. A więc mieli zamiar ją zabić. Teraz była już pewna.

- Wiem, o czym myślisz - usłyszała za sobą cichy głos. - Chcesz uciec - zaśmiał się. - No to uciekaj. Zrób to, a wtedy będę cię mógł zastrzelić.

- Stul pysk - warknęła do blondyna kobieta.

Doszli do skraju plaży. Zoë popchnięta weszła na pomost, poczuła pod bosymi stopami twarde, pokryte zaschniętą solą deski. Oprawcy byli tuż za nią. Może chcieli ją utopić?

W tym momencie usłyszała odległy warkot silników samolotu. Chroniąc dłonią oczy przed słońcem, spojrzała w górę i zobaczyła nadlatujący biały punkcik. Szła wolno, obserwując niebo.

Biała kropka rosła w oczach, w końcu nabrała kształtu. Był to mały hydroplan. Dotarli do końca pomostu. Samolot schodził coraz niżej, powietrze wypełnił klekoczący hałas jego dwóch silników. Trafił na falę, odbił się od niej, ale w końcu, wyrzucając w górę pióropusz kropel, usiadł na powierzchni wody. Po chwili ruszył i po łuku, zostawiając za sobą biały spieniony ślad, podpłynął do nich. Stał przy pomoście, kołysząc się na falach. Wirujące śmigła były już na jałowym biegu, ale hałas był tak dokuczliwy, że Zoë zakryła rękami uszy. Przez cały czas czuła na plecach ucisk lufy pistoletu.

W smukłym kadłubie hydroplanu otworzył się właz i wyszedł z niego pilot. Zimno spojrzał na Zoë i skinął głową do pozostałych. Z pomocą jednego z mężczyzn przycumował samolot do pomostu i wystawił przypominający wąską kładkę rozsuwany trap. Zoë znów poczuła szturchnięcie w plecy i potykając się na chwiejnej przeprawie, weszła na pokład. Wewnątrz kabiny było gorąco i ciasno, pilot bez ceregieli wcisnął ją w fotel.

- Dokąd mnie zabieracie? - wykrztusiła z przerażeniem.

W drzwiach samolotu zobaczyła jasnowłosego mężczyznę i na samą myśl, że będzie jej towarzyszył, zdrętwiała ze strachu. Jednak kobieta położyła blondynowi rękę na ramieniu i potrząsnęła głową. Wydawało się, że psychopata ma ochotę zaprotestować, jednak w końcu ustąpił i odsunął się od drzwi. Do kabiny weszli dwaj pozostali mężczyźni. Usiedli przy Zoë, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi.

Drzwi się zamknęły. Poczowała drżenie kabiny i usłyszała warkot silników zwiększających obroty.

Hudson i Kaplan stali na pomoście, obserwując, jak samolot odrywa się od fal. Wkrótce znów stał się znikającym białym punktem.

- No to mamy ją z głowy - powiedziała Kaplan.

Hudson spojrzał na nią ponuro. Cały czas miał nadzieję, że zabierze się z dziewczyną i trafi tam, gdzie zaczną nad nią pracować. Po tylu dniach spędzonych na wyspie czuł się oszukany. - W takim razie możemy się ewakuować - mruknął.

- Nie tak szybko. Mamy tu jeszcze coś do zrobienia.

14

Oksford
dzień dziesiąty

Czas przestał istnieć. Nachylony nad biurkiem Ben zatonął w podręcznikach, słownikach i stertach notatek. Przerwy robił tylko na sen i posiłki. Nikt nie dzwonił, nikt nie przychodził. Totalna koncentracja, prawdziwe święto intelektu. I szansa na zapomnienie.

Trzeciego dnia po południu rozboleły go oczy. Rozłożonych na biurku papierów była już cała sterta. Stojąca przy jego łokciu kawa dawno wystygła, a on nadal próbował rozszyfrować sens pokrytych kanciastymi, hebrajskimi symbolami stron papieru. Czasami wydawało mu się, że ten wysiłek doprowadzi go do szaleństwa. Czuł jednak, że wiedza sprzed dwudziestu lat powoli powraca i nabiera realnego kształtu.

W pewnej chwili, po raz pierwszy od kilku dni, w kieszeni poczuł wibracje komórki. Gdy ją odebrał, zaskoczył go dźwięk własnego głosu.

Dzwonił Charlie. Połączenie było słabe, głos brzmiał nerwowo.

- Potrzebuję twojej pomocy, Ben.

Ben odchylił się w fotelu obrotowym i przetarł oczy. Po niedawnym wysiłku z trudem zbierał myśli, w końcu wrócił do rzeczywistości.

- Gdzie jesteś?

- Nadal na Korfu - szybko rzucił Charlie. - Jednak ta sprawa jest bardziej skomplikowana, niż ci się wydawało. Natknąłem się na problemy.

- Czego ode mnie oczekujesz?

Charlie powiedział coś, czego Ben nie zrozumiał.

- Słabo cię słyszę.

- Powiedziałem, że musisz tu przyjechać, i to jak najszybciej.

- Nie dam rady. Nie możesz mi po prostu powiedzieć, co się dzieje?

- Wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale musimy porozmawiać w cztery oczy. Nie mogę o tym mówić przez telefon. Sytuacja się komplikuje.

- To nie jest trudne zadanie, Charlie.

- Tak mi powiedziałaś. Ale uwierz, wszystko tu wygląda zupełnie inaczej.

Ben westchnął, przez chwilę milczał.

- Ben, proszę cię. Sprawa jest poważna.

- Jak poważna?

- Naprawdę poważna.

Ben zamknął oczy. *Cholera.*

- I jesteś absolutnie pewien, że sam nie dasz rady?

- Przykro mi. Potrzebuję wsparcia. W tych sprawach orientujesz się lepiej ode mnie.

Ben znowu westchnął. Potrząsnął głową. Wyciągnął lewą rękę i spojrział na zegarek. Szybko obliczył. Mógł złapać pociąg do Londynu i w ciągu kilku godzin znaleźć się na Heathrow. Samolot do Aten, stamtąd na Korfu.

- OK zrozumiałem. Powiedz tylko, gdzie się spotkamy, będę tam jutro przed południem.

*

Na miejsce dotarł w porze śniadania. Nigdy przedtem nie był na Korfu, oczekiwał, że z samolotu zobaczy tylko jałowy krajobraz, jednak widok w dole miło go rozczarował. Widziana z lotu ptaka wyspa była zaskakująco zielona, wyglądała jak prawdziwy, otoczony błękitnym morzem, bajkowy raj pełen lasów, porośniętych dzikimi kwiatami łąk i gór. W oddali dostrzegł w Kerkyrze rozległe ruiny, obok nich senne wioski, wtulone w otaczające je sosnowe lasy.

Nie chciał jednak poświęcać zbyt wiele czasu na podziwianie piękna przyrody, był zmęczony i rozdrażniony. Nie rozumiał, dlaczego musiał przylecieć, dlaczego Charlie sam nie mógł sobie dać rady. Czyżby wysłanie go tutaj było pomyłką? Kiedyś Charlie był dobrym żołnierzem, odpornym na trudy, zdecydowanym i pomysłowym. Może po wyjściu z wojska się zmienił? Wiedział, że takie sytuacje nie należą do rzadkości.

Po wyjściu z samolotu od razu poczuł gorące słońce. Małe lotnisko oferowało schowki na bagaż, więc skorzystał z tej możliwości. Wepchnął do szafki swój paszport, bilety powrotne i grubą książkę o filozofii, którą miał zamiar czytać w samolocie. Nie planował tu dłuższego pobytu, więc nie był mu potrzebny większy bagaż. Zabrał z sobą jedynie portfel, telefon komórkowy i piersiówkę z whisky.

Nie bardzo wiedział, co zrobić z Biblią. Ostatnio często do niej sięgał i przyzwyczaił się mieć ją pod ręką. Była niewielka i niezbyt ciężka, dlatego ją ze sobą zabrał. Lekką sportową torbę przerzucił przez ramię i zamknął schowek na klucz, który wraz z portfelem wsunął do tylnej kieszeni dżinsów.

Przed lotniskiem wsiadł w taksówkę i teraz jechał w hałaśliwym fiacie, obserwując mijany krajobraz. Łamana angielszczyzna taksówkarza była całkowicie niezrozumiała, więc ją ignorował i wkrótce kierowca zamilkł. Od Kerkyry dzieliły ich tylko trzy kilometry, ale ruch był coraz większy. W samym mieście wszędzie były korki. Ben zapłacił kierowcy nowiutkimi euro, wyjął torbę z bagażnika i wyruszył pieszo na miejsce spotkania.

Chciał się jak najszybciej dowiedzieć, co się stało. Umówili się w małym, położonym w starej części miasta hoteliku, w którym Charlie się zatrzymał. W znalezieniu drogi do celu pomagała Benowi kupiona na lotnisku mapka.

Przeciskał się wąskimi uliczkami, pranie powiewało mu nad głową niczym flagi. Miasteczko tętniło życiem, na każdym kroku były sklepy, tawerny, bary z gorącym jedzeniem i kawiarnie. Przeszedł przez zatłoczony, słono pachnący świeżymi owocami morza rynek, gdzie oprócz tego sprzedawcy na niezliczonych stoiskach oferowali błyszczące w słońcu świeże oliwki. Na placu San Rocco, wśród nerwowego rozgardiaszu, goście siedzieli przy ustawionych na chodniku stolikach i pili poranną kawę. W starych krętych zaułkach panował ożywiony ruch.

Na miejsce spotkania z Charliem dotarł tuż przed dziewiątą. Był to wyblakły od słońca kamienny budynek położony przy ruchliwej ulicy w sercu starego miasta. Przed nim, na tarasie z wielkimi kamiennymi donicami, w których rosły drzewka, stały ocienione parasolami stoliki.

Przy jednym z nich, nad gazetą i dzbankiem kawy siedział Charlie. Ujrawszy po drugiej stronie ulicy Bena, zamachał do niego ręką. Nie uśmiechnął się jednak i wcale nie wyglądał na uszczęśliwionego, na jego twarzy pojawił się raczej wyraz ulgi.

Ben z trudem precyzyjnie przeszedł przez ruchliwą arterię i wszedł do kawiarni. Przy stolikach siedziały rodziny w trakcie śniadania, obwieszani kamerami i przewodnikami pierwsi turyści rozpoczynającego się właśnie sezonu i okoliczni mieszkańcy, którzy wpadali tu coś zjeść w drodze do pracy. Na skraju tarasu wpatrywał się w swojego laptopa samotny, niewysoki mężczyzna w jasnej bawełnianej kurtce.

Ben powiesił marynarkę na oparciu wiklinowego fotela, rzucił torbę na ziemię i usiadł. Odchylił się do tyłu, wyciągnął przed siebie nogi i skrzyżował ramiona.

- Dzięki za przyjazd - powiedział Charlie.

- Mam nadzieję, że uzasadniony. Jestem zmęczony, a tak w ogóle to nie powinno mnie tu być.

- Chcesz kawy?

- Nie, pogadać - powiedział Ben.

Charlie się skrzywił. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zdenerwowanego niż w trakcie ostatniej rozmowy telefonicznej. Odłożył gazetę, upił łyk kawy i twardo spojrzał na Bena.

- Mam złe przeczucia co do Zoë Bradbury.

15

- Przyjechałem jako goniec, a zostałem detektywem - powiedział Charlie. - Mówiłeś mi, że nie będzie jej w willi, ale na wszelki wypadek to sprawdziłem. Faktycznie, nie ma tam po niej już śladu, a właściciele domu nie wiedzą, dokąd wyjechała. Nie zdążyła też na swój samolot. Rozmawiałem z przyjaciółmi jej rodziców, u których początkowo się zatrzymała. To Anglicy, mieszkają tutaj, nudna świętoszkowata klasa średnia. Widać wyraźnie, dlaczego nie mogła z nimi wytrzymać. Opowiedzieli mi tę samą historię co jej rodzicom - że się z nimi pokłóciła, że później wyrzucono ją z hotelu i że w końcu wynajęła willę. Nie usłyszałem nic nowego, zacząłem więc przetrząsać wyspę. Dotarłem do każdego baru i każdej kafejki, pokazując fotografię Zoë i pytając, czy ktoś ją ostatnio widział. Mówiłem, że jestem przyjacielem rodziny, który pragnie się z nią skontaktować w pilnej kwestii prawnej, jaka ostatnio zaistniała w Anglii. Byłem wszędzie. Na policji, na przystani promowej, w hotelach, w szpitalu, rozmawiałem z taksówkarzami. Naprawdę wszędzie. Licząc, że ktoś się odezwie, zostawiałem wizytówki ze swoim numerem komórki, rozdałem ich z pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt. Bez skutku. Tutaj po prostu jej nie ma.

- Dlaczego jednak myślisz, że stało się coś złego? - spytał Ben. - Przecież istnieje wiele sposobów opuszczenia wyspy bez zostawiania za sobą śladu w dokumentach. Może odpłynęła na czymś jachcie, a teraz siedzi sobie na pokładzie i popija zimne drinki?

Charlie przecząco potrząsnął głową.

- Musi istnieć jakiś trop, po którym można by pójść - powiedział Ben z irytacją w głosie. - Wydaje mi się, że zbyt szybko wpadłeś w panikę.

- Są jeszcze inne sprawy. Gdy o nich usłyszysz, zrozumiesz, dlaczego po ciebie zadzwoniłem - nerwowo rzucił Charlie.

- Więc słucham.

- Zadzwonił do mnie jakiś facet, który przedstawił się jako Nikos Karapiperis, i powiedział, że doszły go słuchy, że szukam Zoë Bradbury. Miał strapiiony głos. Powiedział, że ją zna i że musi mi o czymś powiedzieć. Ale nie chciał przez telefon, wołał się gdzieś spotkać.

- Pewnie żonaty - powiedział Ben. - Jakiś poważany facet stąd. Żona wyjechała, on się zadał z naszą dziewczyną.

- Dokładnie tak było. Około czterdziestu pięciu lat, biznesmen. Ważna figura w miejscowym klubie golfowym, filar lokalnej społeczności. Elegancka rezydencja w mieście i niewielki wiejski dom na jednym ze wzgórz, dobre miejsce do odpoczynku i zabaw z dziewczynami. Ponieważ żona wróciła właśnie z dziećmi z wakacji, nie mógł ze mną rozmawiać w mieście, więc zaprosił mnie do swojego wiejskiego ustronia. Tam się z nim spotkałem, on zaś opowiedział mi o różnych sprawach. Wyglądał na naprawdę przestraszonego.

Na chwilę ich uwagę zaprzętnęło biegające wzdłuż stolików dziecko. Siedmio-, ośmioletni chłopiec wyglądał na typowego Greka - ciemnowłosa, ciemnooki, mocno opalony, w pasiastym T-shircie i czerwonych szortach. Bawił się, rytmicznie kozłując piłkę jak koszykarz. Przebiegł koło dwóch kobiet siedzących przy pobliskim stoliku, które się do niego z sympatią uśmiechnęły.

Gdy Charlie sięgnął po dzbanek, aby sobie dolać kawy, Ben odwrócił się na krześle, obserwując te popisy. Zajęty utrzymaniem rytmu kozłowanej piłki chłopiec nie zwracał uwagi na otoczenie. W pewnym momencie piłka odbiła się w bok, trafiając w nogę stolika, przy którym siedział niewysoki mężczyzna z laptopem. Gość krzyknął na chłopca w języku, którego, z powodu panującego na ulicy hałasu, Ben nie rozpoznał. Zapamiętał jednak szczupłą, kanciastą twarz mężczyzny i wściekłość w jego oczach. Dzieciak zabrał piłkę i odszedł.

- Ten łobuziak nie powinien się tu bawić - powiedział Charlie.

Ben odwrócił się do niego.

- Powiedz mi teraz, o czym opowiedział ci Nikos Karapiperis.

Charlie kontynuował:

- Już od jakiegoś czasu dyskretnie spotykał się z Zoë. Wszystko się zaczęło od wspólnie spędzonej nocy, zresztą w tamtym okresie mogła, jak przypuszczał, mieć sporo tego typu znajomości. Później zaczęli się spotykać regularnie. Był ze mną dosyć szczery. Miał już wcześniej romanse, ale twierdził, że ta znajomość była dla niego czymś innym. Naprawdę polubił Zoë. Kupował jej prezenty, aż w pewnym momencie zorientował się, że nie potrzebowała już jego pieniędzy, bo miała swoje. I to dużo.

- Dowiedziałeś się skąd?

Charlie skinął głową.

- Dostała je ze Stanów. Ktoś jej przysłał międzynarodowy przekaz pieniężny na dwadzieścia tysięcy dolarów. Nie powiedziała Nikosowi kto, ale dała do zrozumienia, że wkrótce dostanie więcej.

- Więcej?

- Dużo więcej. Powiedziała, że będą to pieniądze, które dadzą jej wolność na całe życie. Chciała wrócić na wyspę, kupić duży dom i tu zamieszkać. Twierdziła, że już nigdy nie będzie musiała pracować. Jeżeli mówiła prawdę, w grę wchodziły miliony. Charlie zrobił przerwę. - Ale jest też coś jeszcze dziwniejszego.

Ben, mrugając, zapytał.

- Co takiego?

- Nie powiedziała mu, kto jej przesłał pieniądze, ale wspomniała, że dostała je dzięki prorocत्वu.

- Jakiemu prorocत्वu?

- Tego Nikos nie wiedział. Nie wdawała się w szczegóły. Proroctwo było w jakiś sposób powiązane z pieniędzmi. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Może ktoś jej przepowiedział, że wygra na loterii?

- Kiedy widział ją po raz ostatni? - zapytał Ben.

- Na wieczornym przyjęciu przed planowanym powrotem do Anglii. Starał się, by go nie widywano w willi, jednak wtedy przyjechał i przez jakiś czas kręcił się wokół niej, próbując robić to w miarę dyskretnie. Był tam mniej więcej do wpół do dwunastej. Umówili się, że po skończonym przyjęciu Zoë przyjedzie do niego skuterem, bo ostatnią noc chcieli spędzić razem. Miał na nią czekać. - Charlie znów sięgnął po dzbanek i dolał sobie kawy.

- Ale nie przyjechała - domyślił się Ben.

Charlie potrząsnął głową.

- Właśnie wtedy zgubiliśmy jej ślad. Zniknęła mu z pola widzenia gdzieś między godziną, kiedy Nikos wychodził z przyjęcia, pół godziny przed północą, i godziną, kiedy powinna do niego dotrzeć.

- Mówiłeś, że pojechała skuterem?

- Tak, jednym z tych wielkich superskuterów. Z wypożyczalni. Nie zwróciła go. Też przepadł bez śladu.

- Czy nie mamy przypadkiem do czynienia z wypadkiem drogowym? Wypiła za dużo na imprezie, może wpadła gdzieś do rowu?

- Może - powiedział Charlie. - Lecz jest jeszcze coś innego. Nikos uważa, że na ostatnim przyjęciu zdarzyło się coś dziwnego. Wiedział, że Zoë lubi mężczyzn, a ponieważ było tam wielu młodszych, wysportowanych facetów, cały czas ją zazdrośnie obserwował.

- Mów dalej - powiedział Ben.

- Podobno jeden z mężczyzn bardzo jej nadszarpnął. Młody, mniej więcej

trzydziestoletni, przystojny blondyn. Przyszedł z jakąś kobietą, ale wkrótce zaczął ostro flirtować z Zoë. Na imię miał Rick. Nikos twierdzi, że mówił z amerykańskim akcentem.

- A jego towarzyszka?

- Według Nikosa wyglądała na Greczynkę. Ale nie słyszał jej mówiącej i nie zwracał na nią zbytniej uwagi. Bardziej się przejął Rickiem, bo odniósł wrażenie, że jego podchody przypadły Zoë do gustu. W pewnym momencie Rick podszedł do baru, żeby jej zrobić drinka. Nikos nie był do końca pewny, czy miał rację, ale nie spodobał mu się sposób, w jaki Rick mieszał jej drinka - robił to ukradkiem, odwrócony plecami do reszty gości. Nikos uważał, że mógł jej wtedy wrzucić coś do kieliszka.

Cholera. Z tym Ben też już się zetknął. W najlepszym przypadku mogła to być próba podania jej jakiegoś afrodyzjaku. W gorszym - pigułki gwałtu. Najgorsza opcja oznaczała zamiar uprowadzenia dziewczyny i niestety najbardziej pasowała do tej sytuacji.

- Nie wygląda to dobrze - powiedział.

- Nikos nie był całkowicie pewien tego, co zobaczył - powiedział Charlie. - Jednak podszedł i przerwał im rozmowę, prosząc Zoë do tańca. Przy okazji, niby przez nieuwagę, strącił ze stołu kieliszek z drinkiem przyrządzonym przez Ricka. Na wszelki wypadek, jak powiedział. Gdy już tańczyli, ostrzegł ją przed Rickiem i poprosił, żeby jak najszybciej zakończyła przyjęcie i przyjechała do niego. Jej się to nie spodobało, a on przestraszył się, że za chwilę zrobi mu scenę i ściągnie na niego uwagę wszystkich. Więc powiedział tylko, żeby trzymała się z daleka od Ricka i nie ruszała żadnego oferowanego jej drinka. Potem pojechał do domu i na nią czekał.

- Skąd wiadomo, że w ogóle miała zamiar do niego przyjechać? Może go tylko zwodziła?

- Chyba nie - powiedział Charlie. - Gdyby tak było, to nie pozwoliłaby mu zabrać swojego plecaka do jego mercedesa i później do domu. Miała w nim ubrania oraz podróżną torebkę z paszportem, pieniędzmi, biletami lotniczymi i wszystkimi dokumentami. Naprawdę zamierzała się z nim spotkać.

- Wszystko wskazuje na to, że Rick łatwo się nie poddał - rzekł Ben. - Co się działo później?

- Gdy Zoë się nie pojawiła, zadzwonił do willi. Nikt nie odebrał. Później tam pojechał. Dom był już zamknięty i pusty. Nie było skutera, Zoë zniknęła. Czuł, że zdarzyło się coś złego.

- Ale nie mógł powiadomić policji o jej zniknięciu - powiedział Ben. - Bo musiałby się przyznać do romansu. Wiedział też, że gdyby po dwóch dniach Zoë się znalazła, cała historia tylko narobiłaby mu problemów.

Charlie kiwnął głową.

- Znalazł się w potrzasku. Kiedy usłyszał, że szukam Zoë i pracuję dla jej rodziny, od razu przekazał mi jej rzeczy.

- Gdzie one teraz są?

Charlie uniósł palec, pokazując okna na piętrze budynku.

- Plecak jest w moim pokoju, na górze. Saszetkę z dokumentami mam tutaj.

Sięgnął po leżącą na sąsiednim fotelu plastikową torbę na zakupy.

Ben otworzył saszetkę i szybko przejrzał jej zawartość. Było w niej wszystko, co zwykle ze sobą nosi turysta. Paszport. Telefon komórkowy. Portmonetka z materiału, wypchana banknotami euro, same pięćsetki. Szybko je przeliczył - łącznie sześć tysięcy euro.

- Jest jeszcze więcej gotówki w plecaku, pod ubraniami - powiedział Charlie. - Trochę uszczupliła te swoje dwadzieścia kawałków, ale sporo jej jeszcze zostało.

- Chyba masz rację, rzeczywiście zamierzała jechać do Nikosa. Nikt nie zostawia takich pieniędzy.

Sięgnął głębiej do saszetki. Bilety lotnicze były włożone do błyszczącej koperty biura podróży. Otworzył je. Punktem docelowym było lotnisko Heathrow, z przesiadką w Atenach, wylot miał nastąpić w dniu zniknięcia dziewczyny. Pod biletami znajdowała się solidnie wyglądająca książeczka w skórzanej oprawie. Był to notes z adresami. Z jego nadal szttywnych kartek Ben wywnioskował, że został kupiony stosunkowo niedawno. Zaczął go przeglądać, szukając Ricka. Ten facet był najbardziej podejrzany.

Poszukiwanie, jak zresztą się obawiał, nie przyniosło spodziewanego skutku. Kartkował notes, zapamiętując zapisane w nim nazwiska. Było tam też trochę numerów telefonicznych, kilka z nich zaczynało się od prefiksu 01865, numeru kierunkowego Oksfordu. Znalazł numer jej rodziców i jakieś numery zagraniczne - do Augusty Vale i do Cleavera. To drugie mogło oznaczać zarówno pseudonim, jak i nazwisko. Albo nazwę firmy. Nie było żadnych adresów, tylko numery. Te do Vale i Cleavera poprzedzał międzynarodowy numer kierunkowy USA.

- Kim lub czym jest Cleaver? - spytał Ben.

Charlie tylko potrząsnął głową.

Ben przerzucił jeszcze kilka kartek i wtedy z notesu na stół wypadła jakaś wizytówka. Podniósł ją i przeczytał: Steve McClusky, adwokat. Podany niżej adres znajdował się w Savannah, w Georgii. Wsunął kartonik do kieszeni.

- Czy poza pieniędzmi i ubraniami w jej plecaku jest jeszcze coś?

- Nie - powiedział Charlie. - Przejrzałem go dokładnie.

- Więc to wszystko, czym dysponujemy. - Ben pomyślał o pieniądzach z Ameryki. I o

Amerykaninie Ricku, na przyjęciu u Zoë. - Mamy dużo śladów prowadzących do Stanów. Czy Nikos to jakoś skomentował?

- Oprócz tego, że stamtąd dostała pieniądze, nic więcej nie mówił.

- W takim razie chyba powinienem się z nim spotkać. Może wie coś więcej. Da się to załatwić?

- Niestety, to niemożliwe, Ben.

- Rozumiem, że dla niego to delikatna sprawa. Powiedz mu, że potrafię zachować dyskrecję. Chcę mu zadać tylko kilka pytań.

- Nie zrozumiałeś mnie - odparł Charlie. - Już z nim nie porozmawiasz.

- Dlaczego?

- Czy myślisz, że ściągnąłbym cię tu z Anglii bez wyraźnego powodu? - Charlie podniósł złożoną gazetę, otworzył ją i wręczył Benowi. - Wiadomość na pierwszej stronie, z wczoraj. Nie trzeba znać greckiego, żeby zrozumieć, co się stało.

Ben spojrział na gazetę i zatrzymał wzrok na czarno-białym nieostrym zdjęciu. Widać było na nim kilka radiowozów i grupę policjantów stojących przy małym, otoczonym lasem domu. Zdjęcie obok ukazywało twarz mężczyzny, na oko czterdziestopięcioletniego, o oliwkowej cerze, wyrazistych rysach, z wąsami i siwiejącymi skroniami. Pod zdjęciem widniał niewielki podpis.

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć...

- Mówiłem ci już, że to poważna sprawa, nie? - powiedział Charlie. - Kiedy dowiedziałem się o jego śmierci, od razu zadzwoniłem do ciebie. Na zdjęciu jest wiejski dom Nikosa. Tam znaleźli jego ciało. Na całej wyspie nie mówi się o niczym innym.

- Kto go znalazł?

- Ktoś zawiadomił policję. Kiedy dotarli na miejsce, Nikos już nie żył. Ostre przedawkowanie heroiny, w całym domu pełno narkotyków. Wyglądało na to, że był od nich całkowicie uzależniony. Przypadkowe przedawkowanie, samobójstwo czy morderstwo, nikt nie wie. Policja węszy wszędzie. To od wielu lat największy skandal na wyspie. Czegóż takiego na Korfu jeszcze nie było.

Ben myślał intensywnie. Nic mu się tu nie zgadzało. Owszem, mógł istnieć związek między narkotykami i nagłym dopływem pieniędzy. Heroina, kasa, śmierć. Klasyczna kombinacja. Ale jeżeli Nikos i Zoë byli wplątani w jakiś narkotykowy biznes, historia opowiedziana Charliemu brzmiała przedziwnie. Przecież w takim wypadku Nikos w ogóle nie powinien zgłaszać się do Charliego i ściągać na siebie uwagi. Chyba że było jeszcze coś, o czym nie wiedzieli. No i to proroctwo - gdzie tu sens, nie miał zielonego pojęcia.

- I jeszcze coś. Ktoś za mną chodzi.

- Od kiedy?

- Prawie od mojego przyjazdu. Od kiedy zacząłem rozpytywać o Zoë.

- Jesteś pewien?

Charlie potaknął.

- Na pewno. Robią to dobrze, ale nie aż tak dobrze, żebym tego nie zauważył. Pracują w zespole. Jest ich na pewno trzech, możliwe, że jest z nimi też kobieta.

Ben się zamyślił. Jeżeli były żołnierz SAS twierdzi, że go śledzą, to z pewnością ma rację.

- A teraz?

Charlie przecząco potrząsnął głową.

- Jestem prawie pewny, że ich zgubiłem. Co w tej sytuacji robimy? Powiemy policji? Może po prostu przekazemy im to wszystko?

- Nie lubię zadawać się z policją - odpowiedział Ben. - Chyba że już nie da rady inaczej.

- W takim razie nie wiem, co mógłbym jeszcze zrobić - powiedział Charlie. - To miało być proste zadanie, tak powiedziałem Rhondzie.

Na tarasie znów pojawił się chłopiec z piłką. Kozłując ją, przebiegł koło stolika, przy którym niedawno siedział mężczyzna z laptopem. Nagle potknął się, a piłka uciekła mu na chodnik. Pobiegł za nią, ale zdążyła już się potoczyć na jezdnię.

Kątem oka Ben dostrzegł, co się dzieje. Z naprzeciwka nadjeżdżała z dużą szybkością furgonetka. Zielona, poobijana, kierowca wyraźnie się gdzieś spieszył, a goniący za piłką malec miał za chwilę znaleźć się na jej drodze.

Charlie coś mówił, ale Ben już go nie słuchał. Obrócił się w fotelu i patrzył na szybko zbliżający się pojazd. Kierowca rozmawiał z pasażerem, dziecka na pewno nie widział. Piłka zatrzymała się na środku ulicy. Chłopiec schylił się, żeby ją podnieść, zobaczył furgonetkę. Zamarł w bezruchu, w oczach miał strach. Samochód nie zwalniał. Prerażony Ben zrozumiał, że jeszcze chwila i stanie się świadkiem straszliwego wypadku.

Gdy umysł wchodzi na najwyższe obroty, świat dookoła zwalnia tempo. Ben zerwał się z krzesła, błyskawicznie pokonał pięć metrów dzielących go od krawężnika i wyskoczył na jezdnię. Biegając, schylił się, złapał chłopca w pasie i poderwał do góry. Usłyszał, jak impet głośno wypycha powietrze z płuc dziecka.

Furgonetka była tuż przy nich, gdy szczupakiem rzucił się na chodnik, osłaniając chłopca barkiem przed skutkami upadku. Malec krzyknął.

Zapisały hamulce, zablokowane koła zostawiły na asfalcie czarne, przypominające

gumowe węże, smugi. Obrócona furgonetka, kołysząc się na resorach, zatrzymała się pod dziwnym kątem do Bena i tarasu kawiarni.

Świat na nowo przyśpieszył. Najpierw Ben usłyszał krzyk ludzi siedzących przy stolikach. Potem poczuł ból w ramieniu, którym przejechał po asfalcie. Nad maską ciężarówki dostrzegł zdezorientowanego Charliego, stojącego z ręką na oparciu fotela.

W tym momencie świat eksplodował.

16

W jednej chwili - kawiarniany taras, rodziny i przyjaciele siedzący przy śniadaniu. W następnej - ogarniająca i rozrywająca wszystko na strzępy eksplozja ognia. Fala uderzeniowa przetoczyła się przez chodnik i jezdnię, po drodze zrównując z ziemią wszystko. Kawałki stolików, foteli, parasoli wystrzeliły w górę, tocząc się i płonąc, wirowały we wszystkich kierunkach. Po drugiej stronie ulicy z hukiem rozsypało się frunące szkło, jakby ktoś strzelił z armaty. Podmucha eksplozji uniósł furgonetkę do góry i przewrócił na bok, jej szyby wypadły na jezdnię.

Ben, trzymając chłopca, powoli wstawał, gdy podmucha eksplozji ponownie zbił go z nóg. Padając, znów instynktownie osłonił malca własnym ciałem. Z góry posypały się na nich jakieś szczątki.

Niespodziewanie, przez krótką chwilę, zapanowała niesamowita cisza. Później podniósł się krzyk.

Benowi dzwoniło w uszach i kręciło się w głowie. Najpierw pomyślał o chłopcu. Z wysiłkiem uklęknął na rozsypanych dookoła odłamkach szkła. Malec wpatrywał się w Bena, a w jego szeroko otwartych oczach czaił się strach. Sprawdził, czy chłopiec nie jest ranny. Wydawało się, że nic mu nie jest, był tylko zeszywniały z przerażenia.

Ben pomyślał o Charliem i powoli się wyprostował. W szyi i plecach czuł przeszywający ból, koszulę miał poszarpaną i moką od krwi. Pomacał kark i znalazł coś, czego tam wcześniej nie było. Zignorował to. Wyszedł zza płonącej furgonetki i dopiero wtedy ujrzał prawdziwy rozmiar zniszczeń.

To była masakra. Zakrwawione zwłoki i dymiące fragmenty ciał rozrzucone po całym tarasie. Przerażeni ludzie krzyczeli, jęczeli i wzywali pomocy, inni umierali. Niektórzy ranni już się podnieśli i w szoku ślaniali po tarasie, potykając się o szczątki kawiarnianego ogródka. Powietrze wypełniał czarny dym i smród spalenizny. Ogień pełzał nawet po jezdni.

Ben zawołał Charliego. Za chwilę go zobaczył. Ręka, która nadal ścisnęła oparcie fotela, kończyła się teraz w przegubie, sam Charlie leżał na chodniku. Ben odwrócił wzrok i zamknął oczy.

Wkrótce wycie syren zagłuszyło krzyki tych, którzy przeżyli, i głosy ludzi, którzy pośpieszyli im na pomoc. Zaczęła się gorączkowa akcja. Najpierw z wojskową stanowczością

wkroczyli ratownicy. W ciągu paru minut ulicę wypełniły pojazdy różnych służb i sprzęt ratunkowy. Całym terenem zawładnęli pokrzykujący w krótkofalówki policjanci, którzy ograniczyli gapiom z sąsiednich ulic dostęp do miejsca tragedii. Przerażeni ludzie obejmowali się i płakali.

Załogi karetek i lekarze sądowi wykonywali swoją makabryczną pracę. Nakryte folią ciała ofiar oczekiwały na worki do przewozu zwłok i dalszy transport. Sanitariusze robili co w ich mocy, aby na miejscu udzielić pomocy rannym. Karetki odjeżdżały z piskiem opon, w ich miejsce przez cały czas przyjeżdżały następne.

Ben obserwował wszystko z przeciwległego chodnika. Obok niego na krawężniku, z piłką u stóp, siedział cicho chłopiec, śledząc rozgrywającą się przed nim tragedię. W pewnej chwili pytająco spojrzął się na Bena. Nad lewym okiem miał krwawiącą ranę. Ben pogłaskał go po ramieniu.

Nagle malec coś zobaczył, zerwał się i uciekł, zanim Ben zdążył go powstrzymać. Zniknął w tłumie i wszechobecnym chaosie.

Kiedy dwóch sanitariuszy dostrzegło Bena, podbiegli do niego. Koszulę miał przesiąkniętą krwią, był jednak tak odrętwiały i ogluszony, że prawie nie czuł bólu. Gdy narzucili mu na ramiona koc i zaczęli opatrywać ranę, próbował protestować. Nie rozumiał, co do niego mówili, ale wydawało mu się, że uważali ranę za poważną. Odprowadzili go do karetki, nie miał siły się opierać.

Rzucił jeszcze okiem na taras kawiarni. To, co pozostało z Charliego, leżało teraz pod folią. Usunięto też jego rękę z oparcia fotela. Oszołomiony Ben zastanawiał się, co się stało z ręką i czy pozbierano wszystkie fragmenty ciała. Wreszcie sanitariusze wsadzili go do karetki i położyli na noszach.

Trzasnęły drzwi, zawarczał silnik, zawyła syrena.

Poczuł, jak karetka ostro przyśpiesza. Rozejrzał się. Zewsząd otaczał go sprzęt medyczny, rurki i przewody podskakiwały i grzechotały, nad głową Bena kołysała się kroplówka.

Nie był sam. Dotykały go czyjeś ręce, z góry obserwowały twarz, poprzez nieustanne dzwonięcie w uszach słyszał jakieś głosy. Wreszcie świat zaczął się zamazywać. W stanie nieważkości wirował w czarnej przestrzeni, we śnie widział ogień i eksplozję, uśmiechał się do niego Charlie. Później Charliego zastąpił grecki chłopiec, patrzący na Bena tuż przed zniknięciem w tłumie.

W końcu zapadł w nicość.

17

dzień dwunasty

Obudził się z uczuciem niepokoju i usiadł na łóżku. Nie wiedział, gdzie jest, mrugał i rozglądał się. W sterylnie białym pokoju był sam. Poczłł specyficzny zapach, mdlącą kombinację środków dezynfekcyjnych i szpitalnego jedzenia. Za otwartymi drzwiami pokoju przejechał wózek, popychany przez salową w niebieskim kombinezonie.

Usiłował zmienić pozycję na twardym materacu, twarz wykrzywił mu grymas. W szyi i ramieniu czuł rwący ból. Podniósł rękę i pomacał gruby bandaż. Już wiedział. Moment wybuchu. Odłamki szkła w szyi. Wiozący go sanitariusze.

Później przypomniało mu się coś jeszcze.

Charlie nie żyje.

Wodoszczelny zegarek do nurkowania i ślubna obrączka na rzemyku leżały na stoliku obok łóżka. Ostrożnie sięgnął po zegarek, czując, jak ciągną go szwy na ranie. Wpatrzył się w datę i godzinę. Od eksplozji upłynęły prawie dwadzieścia dwie godziny. Spał cały dzień i całą noc.

Powoli wstał z łóżka i obszedł szpitalny pokój. Włożył zegarek na rękę, znów powiesił obrączkę na szyi. Znalazł małą łazienkę, wszedł do niej, aby w lustrze zobaczyć opatrunek. Odciągnął brzeg bandaża i przyjrzał się swojej ranie.

Bywało gorzej. Nie mógł pozwolić, aby parę kawałków szkła tak go unieruchomiło. Ściągnął przez głowę szpitalną piżamę, szybko opłukał się w umywalce i wrócił do pokoju, żeby się ubrać. Starannie złożone resztki jego ubrania leżały na krześle przy łóżku. Nie było tylko poszarpanej koszuli, więc włożył dzinsy i buty.

Do pokoju weszła pielęgniarka, wlepiła w niego wzrok i zaczęła coś szybko mówić po grecku.

- Przepraszam - powiedział. - Nic nie rozumiem.

Machając ręką, wskazała łóżko.

Potrząsnął głową.

- Wychodzę stąd. Ale potrzebuję koszuli.

- Ty nie wychodzić - powiedziała, wskazując jego szyję. - Ty ranny.

- Nic mi nie jest. Chcę już wyjść.

- Ja wezwać doktora. - Obróciła się na pięcie i wyszła, kręcąc głową i coś mamrocząc. Trzasnęła drzwiami.

Ciężko usiadł na brzegu łóżka, przeczesał ręką włosy i czekał. Po kilku minutach usłyszał pukanie do drzwi. Był pewny, że to lekarz, który będzie chciał go odwieść od przedwczesnego opuszczenia szpitala i opowie mu o wszystkich związanych z taką decyzją komplikacjach i infekcjach.

Nie był to jednak lekarz. W drzwiach pojawił się ogromny mężczyzna o posturze niedźwiedzia. Był tak wysoki, że wchodząc, musiał się schylić. Wpatrywał się błyszczącymi oczami w Bena, szeroko się uśmiechając. Podszedł bliżej, mocno złapał go za rękę.

Tuż za nim dreptała mała smągła kobieta z promiennym uśmiechem na twarzy.

Olbrzym długo i energicznie potrząsał ręką Bena, któremu przez chwilę wydawało się, że już jej nigdy nie puści. W oczach przybysza pojawiły się łzy.

- Jesteś bohaterem - wykrztusił dudniącym głosem po angielsku, z wyraźnym greckim akcentem.

Przez chwilę Ben nie wiedział, o co chodzi. Zrozumiał dopiero wtedy, gdy w drzwiach zobaczył chłopca. Nad lewym łukiem brwiowym malec miał opatrunek, na policzku kilka zadrapań. Ben od razu go poznał. Chłopiec z piłką.

- Jesteś bohaterem - powtórzył rosły mężczyzna, nadal ściskając rękę Bena. - Uratowałeś naszego syna.

- To nie było takie trudne - odparł Ben. - Zresztą i on mnie uratował. Gdyby nie wybiegł na jezdnię, też by mnie rozerwało na kawałki.

- Ale gdyby nie ty, nasz syn Aris by zginął. - Olbrzym pociągnął nosem i otarł łzę z policzka. - Nazywam się Spiro Thanatos, a to jest moja żona Christina, właścicielka hotelu, w którym wybuchła bomba. - Jego wzrok zatrzymał się na ramieniu i szyi Bena. - Jesteś ranny.

- Nic poważnego - powiedział Ben. - Tylko kilka kawałków szkła. Zaraz stąd wychodzę. Teraz tylko potrzebuję ubrania.

Spiro się uśmiechnął. Natychmiast zaczął rozpinąć koszulę, pod którą miał T-shirt z napisem Hotel Thanatos.

- Weź mój podkoszulek. Bardzo proszę.

Ben podziękował i od razu włożył T-shirt, krzywiąc się lekko z bólu. Bawełniany podkoszulek był jasnobłękitny, luźny, poczuł się w nim czysto i świeżo.

Spiro nie przestawał mówić. Pracował w kuchni z żoną, kiedy nastąpiła eksplozja.

Myśleli, że ich chłopiec nie żyje. To było takie straszne. Martwi i okaleczeni ludzie, zrujnowany budynek.

Mordercy i handlarze narkotyków na ich spokojnej wyspie. Świat schodzi na psy. Ich biznes jest zrujnowany, ale najważniejsze jest to, że nic się nie stało Arisowi. Zrobią wszystko, absolutnie wszystko, aby się Benowi odwdziaczyć. Dadzą mu wszystko, czego zapragnie, co tylko będzie w ich mocy. Nigdy mu tego nie zapomną...

Ben odparł, że każdy postąpiłby podobnie.

- W którym hotelu się zatrzymałeś? - dopytywał się Spiro.

- W żadnym - powiedział Ben. - Dopiero co przyleciałem. Nie miałem zamiaru nocować na wyspie.

- Teraz musisz zostać tu dłużej, będziesz naszym gościem.

- Nie myślałem jeszcze o tym.

- Proszę cię - powiedział Spiro. - Jeżeli zostaniesz, nie idź do żadnego hotelu. - Włożył rękę do kieszeni i wyjął klucz. - Zaraz za miastem mamy dom przy plaży. Nic specjalnego, ale dopóki nie wyjedziesz z Korfu, możesz z niego korzystać.

- Ależ to zupełnie niepotrzebne - bronił się Ben.

Spiro złapał Bena mocną, suchą dłonią za przegub i wcisnął mu w rękę klucz z plastikową przywieszką, na której widniał adres.

- Bardzo mi na tym zależy. Pozwól nam się jakoś odwdziaczyć.

W końcu Spiro i Christina, wdzięczni i rozpromienieni, z ociąganiem wyszli. Ben właśnie wkładał pożyczoną koszulkę w dzinsy, gdy znów usłyszał, że otwierają się drzwi.

Obrócił się, oczekując tym razem rozgniewanego lekarza. Znów się pomylił.

Błada twarz wchodzącej do pokoju Rhondy Palmer była zapuchnięta i mokra od łez. Tuż za nią, ponuro wpatrując się w Bena, wszedł starszy mężczyzna z kobietą. Pamiętał ich z wesela. Jej rodzice.

- Chciałam się z tobą zobaczyć - powiedziała Rhonda.

Ben milczał. Nie wiedział, co w tej sytuacji powiedzieć.

- Chciałam się przyjrzeć człowiekowi, który zabił mojego męża. I powiedzieć mu, co o tym myślę. - Głos jej zadrżał, podniosła rękę i otarła łzy.

Nagle Ben poczuł słabość w kolanach. Chciał jej powiedzieć, że to nie on zabił Bena, że świadomie nigdy by go nie wplątał w coś tak niebezpiecznego. I że po prostu sam nie miał pojęcia o powadze sytuacji.

Jednak wszystko, co mógł jej powiedzieć, wydało mu się tak banalne i bez sensu, że po prostu milczał.

Twarz Rhondy wykrzywił grymas bólu i wściekłości.

- Wiedziałam, że twoja obecność na weselu oznacza kłopoty. Major Hope, idol mojego męża aż po grób.

- Nie jestem już majorem Hope - cicho powiedział Ben.

- Nie obchodzi mnie, jak się teraz nazywasz - krzyknęła mu w twarz. - Zniszczyłeś życie moje i mojej rodziny. Pozbawiłeś dziecko ojca.

Ben wpatrywał się w płaczącą kobietę.

- O ciąży dowiedziałam się dopiero dwa dni temu - szlochała Rhonda. - Miałam zamiar mu o tym powiedzieć po jego powrocie. Teraz Charlie nie żyje, a dziecko nigdy nie zobaczy ojca. Przez ciebie.

Straciła panowanie nad sobą, słaniając się na nogach, zaczęła głośno płakać. Podszedł do niej ojciec i przytulił ją, ale się wyrwała. Z nienawiścią i wstrętem spójrzała na Bena.

- Ty pieprzony morderco! - krzyknęła, plunęła mu w twarz i wymierzyła silny policzek.

Odwrócił się, opuścił oczy. Cały czas czuł na sobie ich wzrok. Pielęgniarki, słysząc podniesione głosy, przybiegły od razu, a teraz stały i z przerażeniem obserwowały rozgrywającą się na ich oczach scenę.

Rhonda się zgarbiła, jej ramionami wstrząsał szloch. W końcu objęła ją matka.

- Już starczy, kochanie, chodźmy. - Skierowali się do wyjścia. Mijając stojące przy wejściu pielęgniarki, ojciec Rhondy posłał mu ostatnie, pełne jadu spojrzenie.

Matka, podtrzymując córkę, stanęła w drzwiach. Obróciła się do Bena i spójrzała mu w oczy.

- Niech cię Bóg pokarze, jeżeli w ogóle sumienie pozwoli ci dalej żyć.

18

*Paxos
tego samego dnia*

Zaledwie trzydzieści mil dalej, na wyspie Paxos, jasnowłosego mężczyzna nazwiskiem Hudson siedział przy stole w pustym domku na plaży. Za nim stała kobieta, Kaplan. Oboje wpatrywali się z napięciem w znajdujący się przed nimi ekran laptopa.

Cyfrowy obraz filmu wideo zrobionego wczoraj z okien apartamentu był najwyższej jakości. Kamera obserwowała dwóch siedzących na brzegu tarasu mężczyzn. Nazwali ich Numerem Jeden i Numerem Dwa. Numerem Jeden był mężczyzna, którego obserwowali od momentu, gdy zaczął rozpytywać o Zoë Bradbury. Numerem Dwa - niespodziewany przybysz, który pojawił się niedawno. Nic o nim nie wiedzieli i to ich niepokoiło.

Jeszcze bardziej zmartwił ich fakt, że nie zginął w eksplozji, to właśnie zatrzymało ich na miejscu. Nie mogli jeszcze spakować bagaży i wrócić do domu.

Na ekranie obserwowali najpierw ożywioną rozmowę śledzonych mężczyzn. Później pojawił się chłopiec z piłką, Numer Dwa zerwał się z krzesła i wybiegł na ulicę. Kilka sekund później kawiarnia stanęła w ogniu.

- Daj pauzę - rzuciła Kaplan.

Hudson wcisnął klawisz. Ognista kula i fruwające szczątki znieruchomiały na ekranie, twarze ofiar zastygły nagle w przerażeniu.

- Przewiń w lewo.

Wcisnął inny klawisz, obraz się przesunął. Na jezdni widać było przewróconą zieloną furgonetkę. Na przeciwległym chodniku leżał na ziemi ten sam mężczyzna, który wcześniej wybiegł z tarasu kawiarni, i osłaniał sobą dziecko.

Przyglądała mu się uważnie, przygryzając wargi w skupieniu.

- Myślisz, że coś wiedział? - spytała. - Może coś wcześniej zauważył?

- Raczej nie - odparł Hudson. - Wybiegł ratować dziecko. Gdyby to zrobił sekundę później, też by zginął.

- A jeżeli widział Herzoga? I go zapamiętał? Byłby świadkiem.

- Wykluczone. To przypadek. Nie miał o niczym pojęcia.

Skrzywiła się.

- Może. Przewiń do tyłu. OK, stop. Włącz znowu.

- Robiliśmy to już ze sto razy - powiedział Hudson.

- Chcę wiedzieć, kim jest ten facet. Mam jakieś dziwne przeczucie.

Znów oglądali i słuchali. Dźwięk był niewyraźny, w tle słyhać było urywane rozmowy przy innych stolikach, głosy przechodniów, ruch uliczny i szum miasta.

- Do dupy ten dźwięk - mruknęła Kaplan.

- Może i do dupy, ale nie miałem czasu lepiej go obrobić - odparł Hudson. - Zresztą gdybym nie wpadł na to, żeby zabrać sprzęt, nawet tej rozmowy byśmy nie mieli.

- Zamknij się do cholery i pozwól mi słuchać.

Zamilkł. Wiedział, że z rozgniewaną Kaplan nie ma żartów.

- Daj pauzę - powiedziała. - Słyszałeś? Znów wspomniał jej nazwisko. Przewiń do tyłu.

Cofnął film o kilka klatek.

- Trudno tutaj o jakąkolwiek pewność.

- Jestem pewna. Zrób głośniej - powiedziała. - Czy nie da się tego lepiej wyczyścić?

- Zrobiłem wszystko, co możliwe - odparł poirytowany Hudson, który przesiedział przy nagraniu całą noc, mozolnie usuwając wszystkie zbędne odgłosy. - Aby zrobić to jeszcze lepiej, potrzebuję paru dodatkowych godzin.

- Byłoby dobrze, gdybyś mógł usunąć z nagrania tego pieprzonego dzieciaka. - Perkusyjny dźwięk kozłowanej piłki wchodził w zasięg odbioru mikrofonu i zagłuszał znaczną część cennej rozmowy, co przyprawiało Kaplan o wściekłość.

Hudson znowu włączył film. Uważnie się wsłuchali.

- To tu - powiedziała. - Bradbury. Teraz słyhać wyraźnie.

- Aha. Faktycznie, Bradbury.

- Cholera. OK dalej. - Przez kolejnych kilka sekund odtwarzali nagranie. Kaplan siedziała w skupieniu z zamkniętymi oczami. Nagle je otworzyła i zacisnęła usta. - Stop. Cleaver. Powiedział „Cleaver”.

Hudson poczuł złość, że nie wpadł na to wcześniej.

- Potwierdzam. Ale co o nim powiedział?

- Wróć. I zwolnij tempo.

Znów słuchali pełnego szumów, niewyraźnego nagrania. - Wydaje mi się, że spytał „gdzie jest Cleaver” - powiedziała. - Tak to według mnie zabrzmiało.

- Ale skąd mógł wiedzieć o Cleaverze?

- Widocznie rozmawiał z Zoë Bradbury. Co oznacza, że wie o wszystkim.
- Albo że zobaczył nazwisko w jej notesie z adresami.
- W każdym przypadku - powiedziała - jest to coś, o czym nie powinien wiedzieć.

Oglądali dalej. Na ekranie Numer Jeden rozwinął gazetę i przechylił się przez kawiarniany stolik, aby ją pokazać Numerowi Dwa.

Kaplan sięgnęła po identyczną gazetę, leżącą przed nią na biurku. Spojrzała, tak jak to zrobił Numer Dwa, na dół pierwszej strony. Pokiwała głową. Patrzyli na reportaż o śmierci Karapiperisa.

Później na ekranie pojawił się chłopiec, piłka wypadła na jezdnię, znów obejrzeni, jak Numer Dwa skoczył i go uratował, na koniec przez taras przetoczyła się eksplozja.

- Wyłącz to. Już wystarczy - powiedziała Kaplan.
- Pieprzony bohater ratujący dzieci - mruknął Hudson.

Kaplan nerwowo chodziła tam i z powrotem.

- Wiedzieli więc o wszystkim. O Bradbury, pieniądzech, Cleaverze, Nikosie Karapiperisie. Do tego Numer Jeden zorientował się, że jest śledzony.

Siedzący w fotelu obrotowym Hudson spojrzał na kobietę.

- Niby jak to zauważył? - Ekran wyłączonego laptopa zgasł.

Kaplan potrząsnęła głową.

- To nie był zwykły przyjaciel rodziny, lecz profesjonalista. Nie ma szans, żeby ktoś inny mógł nas namierzyć.

- Co to za ludzie? Dla kogo pracują?

- Nie wiem.

- Myślisz, że wiedzą, gdzie Bradbury to schowała?

- Muszę zadzwonić - powiedziała. - Ani jeden, ani drugi mi się nie spodobał. Tak jak nie podoba mi się to, że Numer Dwa wciąż żyje.

Przeszła do telefonu w sąsiednim pokoju, gdzie mogła swobodnie rozmawiać. Wybrała połączenie z zagranicą, usłyszała znajomy głos.

- Możemy mieć inny problem - powiedziała rozmówcy. Pokrótce przedstawiła sytuację.

- Ile ten człowiek wie? - spytał mężczyzna.

- Wystarczająco dużo. Wie o pieniądzech, o Cleaverze i o nas. Może nawet więcej.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza. - To robi się niebezpieczne.

- Poradzimy sobie.

- Leży to w waszym interesie. Dostarcz mi nazwiska. Ustal, co ten człowiek wie. A potem pozbądź się go, odpowiednio i bez hałasu. Nie zmuszaj mnie do ponownego skorzystania z

usług Herzoga, bo jest cholernie drogi.

Po skończonej rozmowie wróciła do Hudsona.

- Idziemy - powiedziała.

19

Ben wypisał się ze szpitala, nadal jednak był wyczerpany i odrętwiały. Gdy na chwiejnych nogach wyszedł przez szklane drzwi na zewnątrz, nawet nie poczuł na twarzy ciepła promieni słonecznych. Stał na chodniku, w głowie miał pustkę. Nie wiedział, co ze sobą zrobić.

Odwrócił się, usłyszawszy kroki. Podeszło do niego dwóch mężczyzn, jeden z aparatem fotograficznym, drugi z notesem. Reporterzy.

- To pan uratował chłopca - powiedział ten z notesem. - Czy możemy zadać kilka pytań?

- Nie teraz - powiedział cicho Ben.

- Później? Dobrze, tu jest moja wizytówka. - Reporter wcisnął prostokątny kartonik w dłoń Bena, który tylko skinął głową. Czuł się zbyt zmęczony, by cokolwiek powiedzieć. Fotograf uniósł aparat fotograficzny i zrobił kilka zdjęć, Ben nawet nie próbował go powstrzymać.

Gdy reporterzy odeszli, przy krawężniku z piskiem opon zatrzymał się policyjny samochód terenowy. Otworzyły się drzwi, ze środka wysiadło dwóch mężczyzn; jeden w mundurze, drugi ubrany po cywilnemu. Cywil był niewysoki i grubawy, miał łysinę i starannie przystrzyżoną bródkę.

Podeszli do niego.

- Czy pan Hope? - zapytał po angielsku policjant w cywilu. Sięgnął do marynarki i pokazał swoją legitymację. - Kapitan Stephanides z miejscowej policji. Chciałbym, żeby pan z nami pojechał.

Ben nic nie odpowiedział. Pomogli mu wsiąść do samochodu. Obok niego usiadł Stephanides, powiedział coś po grecku do kierowcy i ruszyli. Odwrócił się do Bena.

- Tak szybko wychodzi pan ze szpitala? Myślałem, że zastanę pana jeszcze w łóżku.

- Nic mi nie jest - powiedział Ben.

- Ostatnim razem widziałem pana leżącego na noszach, całego we krwi.

- To tylko kilka zadraśnień. Inni ucierpieli bardziej.

Stephanides poważnie pokiwał głową.

Po dziesięciu minutach jazdy i wylegitymowaniu się w policyjnym punkcie kontrolnym zatrzymali się na tyłach dużego budynku. Stephanides wygramolił się z samochodu, weszli do

klimatyzowanego wnętrza i znaleźli się w wygodnym gabinecie.

- Proszę siadać - powiedział Stephanides.

- W czym mogę panu pomóc, kapitanie?

- Mam kilka pytań. - Stephanides przysiadł na brzegu biurka, kołysząc nogą. Uśmiechnął się. - Ludzie nazywają pana bohaterem.

- Nie ma o czym mówić - odparł Ben.

- Nim uratował pan młodego Arisa Thanatosa, przebywał pan na tarasie lokalu w towarzystwie jednej z ofiar zajścia.

Ben kiwnął głową.

- Muszę pana zapytać, czy wcześniej nie zauważył pan czegoś dziwnego lub podejrzanego?

- Absolutnie nic - odparł Ben.

Stephanides pochylił głowę i podniósł z biurka leżące notatki.

- Pomówmy teraz o jednej z ofiar, Charlesie Palmerze. Czy ten człowiek był pańskim przyjacielem?

- Służyliśmy razem w wojsku - powiedział Ben. - Teraz jestem na emeryturze.

- Jaki jest charakter i cel pana wizyty na Korfu?

Ben dobrze znał ludzi w typie Stephanidesa. Uśmiechali się i próbowali stworzyć wrażenie, że są przyjaźnie nastawieni i nieszkodliwi. W rzeczywistości byli śmiertelnie poważni. Przesłuchanie było niebezpieczne i Ben musiał bardzo uważać, aby nie powiedzieć czegoś niewłaściwego. - Przyleciałem tu z powodu Charliego. Potrzebował mojej rady. Nie zdążyłem się jednak dowiedzieć, o co mu chodziło, bo wcześniej nastąpił wybuch.

Stephanides kiwnął głową i coś zanotował.

- A co do tej rady, dlaczego nie można było jej udzielić telefonicznie lub drogą pocztową?

- Zawsze wolę rozmawiać w cztery oczy.

Policjant odchrząknął.

- A więc przyleciał pan tutaj tylko dlatego, żeby sobie porozmawiać, nie wiedząc nawet o czym będzie ta rozmowa?

- Tak.

- To mi wygląda na sporą ekstrawagancję.

- Lubię podróżować - powiedział Ben.

- W jakiej branży pan pracuje, panie Hope?

- Studiuję teologię. Christ Church, na Oksfordzie. Można to sprawdzić.

Stephanides uniósł brwi i znów coś zanotował na kartce.

- Takie studia mogą tłumaczyć fakt posiadania przez pana Biblii. - Uniósł wzrok. - W zachowaniu pana przyjaciela były jednak pewne rzeczy, które mnie zastanowiły. Rozpytywał o pewną Angielkę.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Ben.

Stephanides znów uniósł brwi. Tym razem błysk w jego oczach oznaczał „mam cię”.

- Jego żona, pani Palmer, powiedziała mi wczoraj wieczorem coś zupełnie innego. Twierdzi, że wynajął pan jej męża do znalezienia niejakiej panny Bradbury.

Ben zamknął oczy i potarł skronie. Ależ łatwo dał się podejść.

- Mam w kostnicy siedem ciał - powiedział Stephanides. - Jest też jedenastu rannych, jeden z nich został na całe życie oślepiiony, inny już nigdy nie będzie chodził. Ktoś podłożył bombę w środku mojego miasta, a ja mam zamiar się dowiedzieć, kto i dlaczego to zrobił.

Ben milczał.

Stephanides znów się uśmiechnął, ale tym razem jego uśmiech był chłodny.

- Doznał pan szoku. Prawdopodobnie nie powinien pan tak szybko opuszczać szpitala. Może potrzebuje pan jeszcze trochę czasu, aby do siebie dojść. Gdy pan odzyska ochotę do rozmowy, chciałbym raz jeszcze zadać panu te pytania. Na razie proszę nie opuszczać Korfu. Jestem też zmuszony poprosić pana o oddanie paszportu. Zatrzymamy go do czasu, kiedy pańska pomoc nie będzie już nam potrzebna.

- Nie mam paszportu - odparł Ben.

- Jak to?

- Gdy nastąpił wybuch, był w kieszeni mojej kurtki. Razem z biletami. A kurtka wisiała na oparciu krzesła w kawiarni. Wszystko się spaliło.

Stephanides posłał mu przeciągłe, twarde spojrzenie.

- Widzę, że nosi pan portfel w tylnej kieszeni spodni. Czy mógłbym go zobaczyć?

Ben podał mu portfel, który szybko został przeszukany. Kapitan dokładnie obejrzał prawo jazdy, włożył je z powrotem, następnie gruby zwitek banknotów. - Nosi pan przy sobie sporo gotówki - zauważył. - Zwłaszcza jak na studenta.

- Nie używam kart kredytowych - odparł Ben. - I nie trzymam paszportu w portfelu.

- Postępuje pan bardzo nietypowo. Woli pan przejechać tysiąc mil, zamiast porozmawiać przez telefon. Ma pan przy sobie tysiące euro w gotówce i nie używa pan kart kredytowych. Wychodzi pan ze szpitala, zanim obrażenia się wygoiły. Zwracanie uwagi na tego rodzaju nietypowe szczegóły należy do moich obowiązków. Zastanawia mnie, dlaczego się panu tak śpieszy?

- Uważa pan, że jestem w to zamieszany?

- Myślę, że nie powiedział mi pan wszystkiego - odparł Stephanides. - I wydaje mi się, że powinien pan całą sprawę dokładniej przemyśleć. W każdym razie jeszcze wrócimy do naszej rozmowy. Teraz może pan już iść.

Gdy ruszył do wyjścia, Stephanides wręczył mu czarny plastikowy worek na śmieci.

- Pana rzeczy. Oczywiście te, które się nie spaliły - dodał ironicznie.

Oszołomiony Ben, ściskając worek, wyszedł z budynku policji. Nie zwracał uwagi na otoczenie, po prostu szedł przed siebie ze wzrokiem wbitym w ziemię. W uszach nadal miał krzyk Rhondy i jej matki. Nie myślał już o rozmowie ze Stephanidesem i o pułapce, zastawionej na niego przez greckiego gliniarza. Nie przejmował się tym, że zaczyna mieć coraz więcej problemów, ani tym, że nie ma pojęcia, co się wokół niego dzieje.

Moje dziecko nigdy nie zobaczy swojego ojca.

Ty pieprzony morderco.

Niech cię Bóg pokarze, jeżeli w ogóle sumienie pozwoli ci dalej żyć.

Te słowa wbijały się w niego jak noże. Desperacko próbując je wyciszyć, szedł dalej, aż w końcu trafił na nabrzeże jakiejś przystani poza miastem. W dole na wodzie leniwie kołysały się przycumowane kutry rybackie. Po zniszczonych schodach zszedł na miękkiego piasek. Wyludniona zatoka zataczała łuk, jej skalisty wysoki brzeg aż po sam horyzont był porośnięty gęstym sosnowym lasem.

Zmęczony usiadł, opierając się o skałę, obok nóg rzucił plastikowy worek. Zamknął oczy. Był kompletnie wyczerpany.

Czuł rozpacz. Widział Charliego. W uszach wciąż słyszał krzyk Rhondy. Miała rację. To on ponosił winę za śmierć jej męża. To on go tu wysłał, zapewniając, że zadanie będzie łatwe.

Dlaczego tak myślał? Czy cokolwiek kiedykolwiek mogło być łatwe? Zwłaszcza on powinien o tym wiedzieć. A teraz Charlie nie żyje.

Na twarzy poczuł strużki potu. Musiał się napić, i to szybko. Sięgnął po worek, rozwiązał go. W zwęglonych resztkach torby znalazł rozbity telefon. Szukając piersiówki, wymacał coś twardego.

Wyciągnął Biblię. Jej skórzana oprawa na brzegach była osmalona. Przez moment się w nią wpatrywał, wreszcie odrzucił ją na piasek. Ponownie włożył rękę do worka, tym razem natrafił na starą pogiętą piersiówkę. Odkręcił ją, pociągnął duży łyk ciepłej whisky, poczuł pieczenie na języku i szybko rozchodzące się ciepło. Miał nadzieję, że przynajmniej na chwilę napięcie, które odczuwał, zelżeje. Wiedział jednak, że sama whisky nie wystarczy. Westchnął, znowu zamknął oczy.

Gdy po pewnym czasie je otworzył, pierwszą rzeczą, którą ujrzał, była leżąca na piasku Biblia. Podniósł ją i położył sobie na kolanach, nie odrywając od niej oczu. Wreszcie wstał, czując sztywność pokaleczonych szyi i ból mięśni. Powoli, przekładając Biblię z ręki do ręki, podszedł nad brzeg zatoki.

Popatrzył na Biblię i pomyślał o kierunku, w którym znów zaczęło zmierzać jego życie. O stojących przed nim wyborach i ścieżkach, którymi będzie musiał podążać. Próbował trzymać się z dala od kłopotów i odnaleźć spokój. Pragnął tylko jednego - być zwyczajnym człowiekiem, skończyć z przemocą, żyć prosto i szczęśliwie. To właśnie obiecywała mu Biblia.

Jednakże zło nieustannie szło jego tropem, było jak demon nieodstępujący go nawet na krok.

Czy to się kiedyś skończy? A może nic się już nigdy nie zmieni? Nagle do niego dotarło, że tak po prostu musi być. Że to właśnie jest jego przeznaczeniem.

Napływająca fala zaszumiała na plaży, liźnęła czubki jego butów, cofnęła się.

Gdzie byt wtedy Bóg? - pomyślał.

Spojrzał w czyste niebo.

- Gdzie jesteś? - krzyknął. Głos odbił się od skał, a jego echo przetoczyło się przez zatokę.

Odpowiedzi nie było. *Oczywiście*. Nigdy jej nie będzie. Był sam.

Tłumiony od dawna gniew i frustracja nagle wzięły górę, złapał Biblię i rzucił ją w morze. Poszybowała wysokim łukiem w stronę błękitnego nieba. Przez chwilę wydawało mu się, że zawisała w powietrzu i już na zawsze tak zostanie. Później jednak, łopocąc kartkami, zaczęła pikować i dwadzieścia metrów od brzegu, z cichym pluskiem wpadła między fale.

Ben odwrócił się i pociągnął długi łyk whisky. Ruszył wzdłuż linii brzegu, czując w sobie nadal kipiące emocje. W oddali zobaczył skupisko domów nad brzegiem morza i wykute w łagodnie opadającej skale schody, które łączyły domy z plażą. Usłyszał niesione wiatrem głosy. Nad morze schodziła grupka ludzi. Byli oddaleni o kilkaset metrów, ale zmierzali w jego kierunku. Nie miał ochoty z nikim się spotykać, dlatego powoli zawrócił. Słyszał odgłos fal rozbijających się na plaży, ich miarowy, brzęczy niczym ludzki oddech, rytm przyprływu i odpływu. W pewnym momencie woda oblała mu nogi, poczuł jej zimną wilgoć. Coś trąciło go w stopę. Zerknął w dół.

Święta Księga do niego wróciła. Spojrzał na nią, następnie schylił się i ją podniósł. Przez chwilę stał w bezruchu, trzymając w ręce ociekającą wodą Biblię, następnie zamachnął się, zamierzając wrzucić ją z powrotem do wody - tym razem na tyle daleko, żeby fale znów nie

zniosły jej na brzeg.

Coś go jednak powstrzymało. Opuścił rękę. Znowu jej się przyjrzał. Dostrzegł, że do okładki przylepił się kawałek wodorostu. Usunął go. Ściskając w ręku przemoczoną Biblię, poszedł dalej.

20

Przez szczeliny w zabitym deskami oknie zobaczyła noc. Z powrotem położyła się na materacu i wpatrzyła w sufit.

Od momentu wywiezienia jej z wyspy minęło już pięć dni. Nie miała pojęcia, gdzie tym razem trafiła, wiedziała tylko, że jest tu o wiele chłodniej. Porywacze dali jej ciepły sweter, wełniane spodnie i grube skarpety. Większość czasu spędzała w pokoju, zrezygnowana, bezsilna, rozpaczliwie walcząc z amnezją.

Pamięć wracała powoli, w miarę upływu dni zaczęły się pojawiać oderwane fragmenty większych całości. Miała takie uczucie, jakby wracał do niej wcześniej zapomniany, a teraz znów wkraczający do świadomości, sen. Rzeczy, które dotychczas znajdowały się całkowicie poza zasięgiem jej pamięci, ponownie nabierały kształtów, małe wyspy wspomnień powoli budowały większy wspólny obszar. W myślach często widziała uśmiechnięte twarze mężczyzny i kobiety. Wydawało się jej, że mogą to być jej rodzice. Zaglądając głębiej we mgłę, dostrzegła też małego białego psa. Mógł należeć do niej. Ale jak miał na imię?

Przywoływanie zagubionych wspomnień przypominało próby schwywania w dłoń promyka słońca. Niekiedy zamazane wrażenia nabierały chwilowej ostrości, jednak gdy próbowała się na nich skoncentrować, znikaly. Były też inne rzeczy, wyraźne i jednoznaczne. Na przykład willa. Pamiętała ją dobrze. Ale już nazwa wyspy, na której stał dom, była dla niej zagadką. I co tam w ogóle robiła?

W przeblaskach pamięci widziała siebie jadącą na skuterze. Pamiętała wiatr we włosach. Światła w lusterku, uczucie strachu. Starła się uporządkować myśli. Wiedziała, że ktoś ją gonił. Później, niewyraźnie, przypominała sobie straszny moment upadku i uderzenie w głowę. Dotknęła guza, już prawie nie bolał.

Próbowała przypomnieć sobie, co się zdarzyło później. Pamiętała dom, do którego została zabrana, i swoją ucieczkę. Na myśl o jasnowłosym mężczyźnie przechodziły ją ciarki. Zastanawiała się, gdzie ten psychopata jest teraz, przerażała ją myśl o jego powrocie.

Ostatnia podróż samolotem. Hydroplan leciał nad wyspami, nad błękitnym morzem, wreszcie osiadł na rozkołysanych falach niedaleko lądu. Cały czas pytała, dokąd ją zabierają, ale nikt nie chciał z nią rozmawiać. Wypłynęła po nich motorówka, która pod eskortą dwóch mężczyzn zawiozła ją na brzeg kamienistej plaży, przesiedli się do zaparkowanej na pustej

bocznej drodze furgonetki. Gdy wepchnęli ją na tylne siedzenie, krzyczała i kopała, przekonana, że teraz wszyscy ją zgwałcą, po czym zamordują. Złapali ją za ręce, jeden z mężczyzn wyjął z czarnej skórzanej torby strzykawkę, pochylił się nad nią i zrobił zastrzyk. Krzyknęła i straciła przytomność.

Następną rzeczą, którą pamiętała, był moment, kiedy ocknęła się na twardej pryczy, w zimnym pokoju bez okien. Nagie betonowe ściany, pod sufitem pojedyncza nieosłonięta żarówka. Siedziała w tej celi cztery dni i powoli, ze strachu i frustracji, pogrążała się w szaleństwie.

Towarzystwa jej nie brakowało. Jeden z mężczyzn donosił jej jedzenie i wodę. Piła wodę, większość jedzenia zostawiała. Dwa razy dziennie strażnik wypuszczał ją z celi i prowadził do surowej, pozbawionej okien łazienki na końcu korytarza. Nie odzywał się, nigdy się nie uśmiechał.

Odwiedzał ją też mężczyzna w ciemnym garniturze. Był u niej trzy razy, jego wizyt bała się najbardziej. Wysoki, szczupły, około pięćdziesiątki, zaczesane do tyłu włosy. Miał pobrużdżoną twarz i zimny uśmiech, ukazujący nierówne, przypominające wilcze kły, zęby.

Wilkołak pytał tylko o jedno.

- Gdzie to jest?

Ona zaś mogła jedynie odpowiadać:

- Nie wiem. - Sytuacja przypominała odmawianie mantry. *Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem.*

Pytającego mężczyznę jej odpowiedzi ewidentnie doprowadzały do szału, ją zaś wyprowadzało z równowagi powtarzanie swojego „nie wiem”. Gdy po raz pierwszy w jego oczach zobaczyła zimny gniew, pomyślała, że wilkołak z wrzaskiem zaraz zacznie ją potrząsać, tak jak wcześniej jasnowłosy oprawca. Ten jednak był bardziej opanowany. Uśmiechał się tylko i dalej zadawał te same pytania. Gdzie to jest. Co z tym zrobiła. Powtarzał, że powinna mu powiedzieć, co wie, i wtedy wszystko znów będzie w porządku. Że pozwolą jej odejść. Że nawet bezpiecznie odwiozą do domu.

Mimo starań nie potrafiła sobie niczego przypomnieć. Po wielogodzinnym przesłuchaniu załamywała się i zaczynała szlochać. Obojętnie ją obserwował, potem bez słowa wychodził, zamykając za sobą drzwi na klucz.

Jej trzecim gościem był doktor w białym fartuchu, także odwiedzający ją regularnie. Mężczyzna przed pięćdziesiątką, tęgi, łysiejący, brodaty. Od pierwszej wizyty był wobec niej uprzejmy, chociaż w jego uśmiechu wyczuwało się pewną nerwowość. Sprawdzał jej temperaturę, ciśnienie krwi, badał serce i powoli znikający siniak na głowie. Sprawiał wrażenie sympatycznego i wydawało się, że naprawdę mu zależy, aby Zoë odzyskała pamięć.

Też poświęcał wiele czasu na zadawanie jej pytań, lecz nie robił tego napastliwie. Na niektóre pytania była w stanie odpowiedzieć, na inne nie. Wszystko zapisywał na kartce.

- Jak się nazywasz?
- Zoë Bradbury.
- Ile masz lat?
- Dwadzieścia sześć.
- Jaki mamy teraz miesiąc?
- Wydaje mi się, że czerwiec.
- Skąd jesteś?
- Nie wiem.
- Dlaczego się tu znalazłaś?
- Nie wiem.
- Co ci się stało?
- Nie wiem.

W swoich pytaniach nigdy nie posuwał się dalej, nigdy nie wspominał spraw, o które wypytywał wilkołak. Chciała mu zaufać. Często mówiła mu: Boję się. I pytała: Gdzie ja jestem? Co się ze mną stanie?

Nie odpowiadał na jej pytania. Tylko się uśmiechał i mówił, że wszystko będzie dobrze. I że we właściwym czasie jej pamięć powróci.

Mimo uśmiechu, po jego oczach widziała, że sam wcale nie był taki pewny, czy rzeczywiście wszystko będzie dobrze.

Od dwóch dni, to jest od czasu drugiej wizyty doktora, wyczuwała napięcie między doktorem a wilkołakiem. Pod drzwiami słyszała ich gniewne szepty, jakiś czas temu pokłócili się na korytarzu. Próbowwała coś z tego zrozumieć, ale bez skutku.

Wczoraj znów był u niej doktor. Tym razem w towarzystwie kobiety. Nie tamtej, czarnowłosej, która ją porwała. Ta miała włosy ciemnorude. Uśmiechała się, lecz gdy oparła się o ścianę, Zoë zobaczyła, że spod kurtki wystaje jej z kabury kolba pistoletu.

Doktor usiadł na brzegu łóżka. Cicho powiedział:

- Mam dla ciebie dobre wiadomości, Zoë.
- Jadę do domu?

Uśmiechnął się smutno i pogłaskał ją po rękę.

- Jeszcze nie. Teraz przeniesiemy cię do ładniejszego pokoju, gdzie będzie ci wygodniej. Wydaje mi się, że ci się tam spodoba.

- Ale ja chcę się stąd wydostać! - wrzasnęła.

Doktor i kobieta wyszli. Cały dzień czekała na ich powrót, zasypiała z myślą, że okrutnie sobie z niej zażartowali.

Wrócili następnego dnia rano w towarzystwie dwóch nieznanych jej, milczących i zachowujących się jak strażnicy, mężczyzn. Była zadowolona, że nie przyszedł z nimi wilkołak.

Doktor wysforował się do przodu. Kobieta szła obok niej, strażnicy, w milczeniu, z tyłu. Zamiast jak zwykle skrócić w lewo do łazienki, ruszyli zapuszczonym korytarzem w prawo i na jego końcu dotarli do jakichś drzwi. Za nimi znajdował się drugi korytarz, prowadzący do windy. Kobieta nacisnęła guzik na ostatnie piętro.

Wysiedli w innym świecie. Ściany były tu białe, promienie słońca wpadały przez duże świetliki w dachu. Kolejnym korytarzem doszli do drzwi jej nowego pokoju. Był dwa razy większy od poprzedniego, miał małą łazienkę. Łóżko było wygodne, w jego nogach leżało parę nowych ubrań. W kącie pomieszczenia znajdował się stół ze stertą kolorowych czasopism, mały odtwarzacz DVD i dużo płyt z filmami. Wiedziała, co to jest film, ale nie mogła sobie przypomnieć żadnego, który wcześniej obejrzała. Było to bardzo dziwne uczucie.

- Odpocznij - powiedział doktor. - Jutro zaczniemy sesje terapeutyczne. Teraz na pewno odzyskasz pamięć. - Mrugnął do niej i zamknął drzwi na klucz.

Położyła się i czekała na nadejście świtu, zastanawiając się, co przyniesie kolejny dzień. Doktor był sympatyczny, a instynkt jej podpowiadał, że może mu zaufać.

Jednocześnie zdrowy rozsądek mówił, że doktor ma tu niewiele do powiedzenia.

Sen nie nadchodził, serce nie chciało się uspokoić. Usiadła na łóżku, przeczesała rękami włosy i potarła czoło. Gdzieś tam, głęboko w jej mózgu, tkwiła poszukiwana informacja.

A gdy wróci jej pamięć? Co się wtedy stanie?

21

Korfu

Ben opuścił przystań i ruszył w kierunku Kerkyry. Nie śpieszyło mu się, przez cały czas intensywnie myślał. Po drodze wrzucił plastikowy worek ze szczątkami swojej torby i telefonu do pojemnika na śmieci. W śródmieściu kupił parę koszul, dżinsy i płócienną wojskową torbę, którą przewiesił sobie przez ramię. Wtopił się w tłum. Po eksplozji w mieście panowała atmosfera będąca mieszanką przygnębienia, strachu, szoku i gniewu. Ruch na ulicach był mniejszy, ludzie sprawiali wrażenie bardziej nerwowych. Masakra w kawiarni znalazła się w czołówkach wszystkich gazet. Wszędzie widać było policję.

Na ulicznym straganie kupił nowy telefon komórkowy na kartę, bo musiał zadzwonić. Usiadł na niskim murku przy placu San Rocco i wybrał numer Bradburych. Nie miał zbytniej ochoty na rozmowę, lecz był pewny, że prędzej czy później rodzice Zoë dowiedzą się o zamachu bombowym i śmierci Charliego. Nie chciał, żeby wpadli w panikę.

Już w chwili, gdy Jane odebrała telefon, zorientował się, że zadzwonił za późno. Usłyszał stłumiony szloch, słuchawka została przekazana Tomowi Bradbury'emu.

- Halo - głos Toma był napięty i zmęczony. - Ben, gdzie ty jesteś? Wszędzie cię szukałem, w kolegium, w bibliotece. Poszedłem nawet do twojego mieszkania, gdy nie odbierałeś telefonu.

- Jestem na Korfu. Już słyszałeś, co się tu stało.

- Czy Zoë jest ranna? Czy jest w to jakoś zamieszana? - dopytywał się zdenerwowany Bradbury.

- Jej tam nie było - odpowiedział Ben.

W głosie Bradbury'ego zabrzmiała ulga.

- Dzięki Bogu. Ale zginął twój przyjaciel, to straszne. Tak mi przykro. Co się dzieje?

- Nie wiem - odparł Ben.

Przez chwilę Bradbury milczał.

- Wybacz mi, że o to pytam. Wiem, że to zabrzmiało okropnie. Ale czy twój przyjaciel, zanim zginął...

- Czy udało mu się znaleźć Zoë? Niestety nie. Nadal nie wiem, gdzie ona jest.

- Ale ją znajdziesz?

- Czy Zoë utrzymywała jakieś kontakty z Ameryką?

Bradbury się zdziwił.

- Tak, ma tam przyjaciół.

- Może prawnika o nazwisku McClusky?

- Nie, nigdy o kimś takim nie słyszałem. Zoë zna tam starszą panią, którą spotkała tutaj, na wykładach w letniej szkole, dwa lata temu. Pannę Vale. Augustę Vale. Kiedyś nawet byliśmy z nią na kolacji, później Zoë parę razy odwiedziła ją w Stanach.

- W Georgii?

- Tak, w Savannah. O co chodzi, Ben? - Głos Bradbury'ego był coraz bardziej przestraszony i niepewny. - Czy naszej córce stało się coś złego?

- Czy nazwisko Cleaver coś ci mówi?

- Nie, absolutnie nic.

- Czy znasz kogoś o imieniu Rick?

- Nie.

- Ostatnie pytanie - powiedział Ben. - Czy Zoë kiedykolwiek mówiła o jakimś proroctwie?

Bradbury na chwilę zamilkł.

- O czym?

- O proroctwie, dzięki któremu miała się wzbogacić.

- Co ty wygadujesz? - krzyknął Bradbury z oburzeniem w głosie. - Chcę tylko wiedzieć, czy coś się nie stało mojej córce. Za chwilę zadzwonię do brytyjskiego konsulatu w Atenach. I na policję. Może Zoë została porwana, a ty opowiadasz mi o jakichś bzdurnych proroctwach.

- Wiem, że to brzmi niepoważnie - odparł Ben. - Ale nie zadaję tych pytań bez powodu. Powinieneś też wiedzieć, że jeżeli rzeczywiście mamy do czynienia z porwaniem, to nie wolno ci podnosić alarmu, bo stawka okupu tylko się podwyższy, a Zoë znajdzie się w jeszcze większym niebezpieczeństwie.

Gniew w głosie Bradbury'ego przeszedł w rozpacz.

- Więc co mam teraz robić?

- Siedzieć cicho i czekać. I pozwolić mi, żebym rozegrał tę sprawę po swojemu. Będę dzwonił. Gdy tylko się czegoś dowiem, dam ci znać.

- A jeżeli zażądamy okupu? Nie mamy już żadnych pieniędzy. Co się z nią stanie, jeżeli

nie będziemy mogli zapłacić?

Ben już wiedział, że w tej sprawie nie chodzi o okup. Tego typu żądania są zwykle stawiane znacznie wcześniej.

- Róbmy wszystko po kolei, dobrze? Niedawno powiedziałaś, że masz do mnie zaufanie.

- Naprawdę ci ufamy - odparł słabo Bradbury.

Ben skończył rozmowę, odłożył telefon i westchnął. Wiedział, że przez wzgląd na Bradbury'ego musi brzmieć pewnie, w rzeczywistości jednak czuł się zagubiony.

Rozejrzał się po placu, później wszedł do najbliższego baru i wychylił dwie podwójne whisky z lodem. Atmosfera w lokalu była ponura, wszyscy wpatrywali się w stojący w kącie telewizor z wiadomościami o zamachu, smutek na twarzach mieszał się z gniewem. Po trzydziestu minutach opuścił bar i zaczął się zachowywać jak zwykły turysta. Na straganie z gorącym jedzeniem kupił kebab. Jedząc, ruszył w stronę zachodniego rogu placu, potem wszedł pod arkady i oglądał wystawy sklepowe. Znow usiadł, tym razem przy stoliku w ulicznym ogródku, wypił dwa piwa i zjadł miseczkę oliwek.

Przez kilka godzin spacerował bez celu po centrum miasta. Myślał o Charliem i Zoë, zastanawiał się nad własnym życiem. Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy na ruchliwym postoju wsiadł do taksówki i podał kierowcy adres wakacyjnego domu Spiro.

Piętnaście minut później wszedł do położonej przy plaży, kilka kilometrów na południe od miasta, rodzinnej dachy Thanatosów. Domek był prosty, lecz przytulny, o białych ścianach i z chłodną podłogą z terakoty. Spiro i jego żona musieli się spodziewać wizyty Bena - na stole w saloniku stał wazon z kwiatami, w lodówce Ben znalazł pół tuzina butelek miejscowego białego wina, pikantne mięsne zakąski, danie z nadziewanych liści winogron, talerz zielonych oliwek i miskę z owocami.

Sięgnął po jedną z oszronionych butelek z winem, wyciągnął korek i wyszedł na plażę. Rozglądając się, usłyszał niesioną wiatrem muzykę. Nie dalej jak trzysta metrów od domku zauważył otwartą, ocienioną długą płócienną markizą w pasy tawernę. Ruszył w jej kierunku.

Zanim dotarł do celu, butelka była już pusta. Pokazał ją barmanowi.

- Jeszcze jedną - powiedział i ciężko usiadł przy barze. Wkrótce stanęła przed nim kolejna butelka i kieliszek, barman tylko skinął głową i wrócił do swoich zajęć. Popijając wino, Ben obrócił się na stołku i spojrzał w kierunku morza. Słońce właśnie chowało się za horyzont, woda nabrała barwy czerwieni.

Nieliczni goście pili, rozmawiali i śmiali się, wszyscy jednak sprawiali wrażenie, jakby przede wszystkim starali się zapomnieć o horrorze poprzedniego dnia. Na wielu twarzach nadal znać było napięcie. Mała pięcioosobowa orkiestra, dzielnie szarpiąc struny gitar i

buzuki, grała ludową szybką muzykę, ale tylko trzy czy cztery pary tańczyły.

Przy jednym ze stolików siedziały dwie ładne dziewczyny. Jedna z nich spojrzała na Bena i szepnęła przyjaciółce coś do ucha. Obie się uśmiechnęły.

Nie zwracał na nie uwagi, obserwując widowiskowy zachód słońca.

Po paru minutach do tawerny weszła kobieta, stanęła przy barze i położyła torebkę na stołku koło Bena. Miała około trzydziestu lat, ubrana była w głęboko wydekoltowaną, kremową lnianą sukienkę. Jej czarne połyskliwe włosy opadały kaskadą na odkryte ramiona. Do barmana odezwała się po angielsku, lecz z ciepłym hiszpańskim akcentem. Podał jej szklankę wody mineralnej. Piła powoli, sprawiała wrażenie czymś zmartwionej. Ben przez chwilę się jej przyglądał, potem wrócił do kontemplacji zachodu słońca.

Gdy zadzwonił telefon kobiety, z komiczną miną wyciągnęła go z torebki. Mówiła po hiszpańsku. Ben znał ten język wystarczająco dobrze, by zrozumieć, że nieznajoma rozmawia z jakąś Isabellą, której mówi, że nie bawi się dobrze, że nie ma zamiaru tu siedzieć dłużej i że jutro odlatuje do Madrytu.

Kobieta skończyła rozmowę i przepaszająco spojrzała na Bena.

- Mnie też się to często zdarza - powiedział Ben. - Dzwonią wtedy, gdy od wszystkiego chcemy się oderwać.

Uśmiechnęła się.

- Jesteś Anglikiem?

- Prawie.

- Turysta?

- Właściwie nie.

Znow się uśmiechnęła.

- Jesteś Hiszpanką? - spytał.

Kiwnęła głową.

- Jak słyszałeś. Przepraszam. Sama nie lubię ludzi, którzy przy innych rozmawiają przez telefon. Dzwoniła moja siostra. Martwi się o mnie.

- Nie bawisz się tu za dobrze?

Zmarszczyła czoło.

- Skąd wiesz? Znasz hiszpański?

- *Que vas a tomar?* - powiedział.

Roześmiała się.

- Mówisz dobrze po hiszpańsku. Ale ja już mam drinka, dziękuję.

Wskazał na jej wodę.

- To nie jest drink. Napij się ze mną wina.

Gdy skinęła głową, poprosił barmana o drugi kieliszek. Przysiadła się bliżej, torebkę postawiła na podłodze, przy nogach. - Mam na imię Esmeralda - powiedziała, wyciągając rękę. Uścisnął ją, dłoń miała ciepłą i miękką.

- Ben - powiedział i wskazał ręką na wolny stolik bliżej plaży.

- Usiądziemy tam?

Skinęła głową.

- Nie zapomnij o torebce. - Podniósł ją i podał kobiecie. Przenieśli kieliszki na stolik w kącie tawerny. Po drodze Ben wpadł na krzesło, rozlewając wino. - O rany. Trochę już wypilem.

Siedzieli i rozmawiali, dopóki na niebie nie zabłyśły gwiazdy, a na wodzie nie pojawiła się poświata księżyca.

- Czemu chcesz wyjechać? - zapytał. - Tutaj jest tak pięknie.

- Przeraził mnie ten zamach - odrzekła. - To takie straszne. Ci wszyscy niewinni ludzie...

Pokiwał głową. Nic nie powiedział.

- Mam też inny powód.

- Jaki?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? Narzeczony mnie porzucił, i to dla mojej najlepszej przyjaciółki. Siostra uważała, że powinnam była na jakiś czas wyjechać. Ale to nic nie pomogło. - Uśmiechnęła się blado, spuściła wzrok.

- Trudno zrozumieć postępowanie narzeczonego. - Ben nachylił się i delikatnie pogłaskał ją po rękę.

Zarumieniła się.

- Jesteś miły. A ty, Ben, co robisz na Korfu? To wakacje czy biznes?

- Upijam się. - Nalał do kieliszka ostatnie krople wina. Orkiestra, akompaniująca teraz piosenkarce, grała wolną, melancholijną grecką melodię.

- Gdzie pracujesz? - spytała Esmeralda.

- Jestem zwykłym studentem.

- Co ci się stało w szyję?

- Zadajesz mnóstwo pytań.

Sięgnął po jej dłoń.

- Zatańczysz?

Skinęła głową. Poprowadził ją na mały parkiet. Obejrzała się na torebkę, która została na stoliku.

- Nic jej się nie stanie - powiedział.

Tańczyli wolno i zmysłowo, czuł ciepło jej ciała. Miała skórę koloru miodu, a w jej ciemnych oczach mieniły się światła tawerny. Jedno ramię sukni ciągle jej opadało. Przyciągnął ją bliżej, poczuł dotyk jej ciała i muśnięcie ciepłych, miękkich ust.

- Mam dom na plaży - powiedział. - Niedaleko stąd, możemy się przespacerować. Tam będziemy sami.

Podniosła na niego wzrok, miała zarumienioną twarz i przyspieszony oddech. Ścisnęła mu rękę.

- Chodźmy.

Opuścili bar i weszli na oświetlony blaskiem księżycy piasek. Plaża była pusta, słyszeli tylko pomruk morza i oddalającą się muzykę. Zdjęła szpilki, szła bosą. Objął ją w tali, czuł sprężystość jej mięśni. Znow się potknął i przewrócił, ze śmiechem pomogła mu stanąć na nogi. - Jesteś ebrio - zachichotała.

- Zalany w trupa. Cały dzień piłem.

Doszli do domu. Przez chwilę Ben mocował się z kluczem, w końcu upuścił go na ziemię. Nieporadnie przeszukiwał zapiaszczony próg, mamrocząc pod nosem przekleństwa.

- Mam go - wybełkotał.

Esmeralda nacisnęła na klamkę. - I tak jest otwarte - roześmiała się. Drzwi otworzyły się szeroko. Weszli, Ben uczepony jej ramienia. Włączył światło i gdy znaleźli się w środku, puścił ją i poczekał, aż się odsunie na odległość wyciągniętej ręki.

Gdy uderzył ją kantem dłoni w szyję, bezgłośnie osunęła się na podłogę. Cios miał nie zabić, tylko ogłuszyć. Szybko uklęknął nad bezwładnym ciałem i otworzył torebkę. Palcami wymacał zimną stal, wyciągnął pistolet. Był taki, jakiego się spodziewał po ciężarze torebki, kiedy ją podniósł w tawernie, potężna, półautomatyczna beretta 92F. Odbezpieczył ją.

Po drugiej stronie pokoju z hukiem odskoczyły drzwi prowadzące do kuchni. Na to Ben też był przygotowany. Wystrzelił szybko, dwa razy, czując w dłoni odrzut beretty.

Intruz wbiegł prosto w linię ognia, kule trafiły go w klatkę piersiową i odrzuciły na drzwi. Pistolet, który trzymał, wypadł mu z ręki i obracał się teraz na deskach podłogi. Mężczyzna osunął się po drzwiach i leżał bez ruchu, z brodą na piersiach i krwią na ustach.

Od strzelaniny dzwoniło Benowi w uszach. Sprawdził drzwi wejściowe. Plaża nadal była pusta. Ściany domu powinny stłumić hałas, był pewny, że w tawernie nikt nic nie usłyszał. Wszedł szybko z powrotem do domu, drzwi zamknął na klucz.

Leżąca na podłodze kobieta poruszyła się i jęknęła, trzymając się za szyję. Przeszedł nad nią, by podnieść pistolet zastrzelonego intruza. Był to taki sam model dziewięćmilimetrowej

beretty, lecz z przykręconym do lufy długim tłumikiem. Lewą ręką odciągnął rygiel i w komorze zobaczył błyszczący mosiądz naboju. Spojrzał w dół na napastnika. Jasnowłosy facet, na oko trzydziestoletni, musiał być przystojny. Ben przypomniał sobie, co Nikos powiedział Charliemu o parze, która przyszła na przyjęcie do Zoë Bradbury. Jasnowłosy facet w tym właśnie wieku i kobieta, wyglądająca na Greczynkę. To byli oni.

Wepchnął pistolet bez tłumika za pasek u spodni. Drugi, bo bardziej nadawał się do roboty w czterech ścianach, wycelował w głowę kobiety.

- Wstań - powiedział.

Zakasłała, powoli podniosła się na kolana i łokcie. Odgarnęła włosy z twarzy i popatrzyła na niego. Spojrzenie jej ciemnych oczu było teraz zupełnie inne.

- Zauważyłem cię już wcześniej, w centrum miasta - powiedział. - Widziałem cię też na placu San Rocco i pod arkadami, kiedy oglądałem wystawy sklepowe. Zresztą słyszałem o tobie już wcześniej, zanim zaczęłaś mnie dzisiaj śledzić. Robiłem wszystko, żebyś mnie nie straciła z oczu i się nie oddalała.

Napięta jak struna, otwartą dłońią wsparta o podłogę, sprężyła się do skoku. Wpatrywała się w niego z zaciśniętymi ustami. Na czole, pod jej odgarniętymi do tyłu włosami, Ben widział pulsującą żyłę.

- Nie śledziłaś mnie, lecz byłaś prowadzona - powiedział. - Wybrałem najbardziej ruchliwy postój taksówek, żebyś mnie nie zgubiła. Kiedy ze swoim, tu spoczywającym, kompanem jechaliście za mną taksówką, przez całą drogę miałem was na oku. Wszystko wam ułatwiłem. Nawet udałem, że jestem pijany. A ty dałaś się tak kompletnie nabrać.

W jej oczach była pustka. Widział jednak, że nawet na chwilę nie przestaje szacować odległości, planować ruchów, oceniać swoich szans. Musiała być dobrze wyszkolona.

- Jesteś niezła - powiedział. - Ta historyjka o siostrze była świetna. Ale nie jesteś aż tak dobra, by wyjść cało z tej sytuacji. Porozmawiajmy, Esmeraldo. I nie myśl, że nie mogę cię zastrzelić.

Milczała.

- Zoë Bradbury. Gdzie ona jest?

Nie odpowiadała.

- Kto podłożył bombę w kawiarni? - spytał. - Czy dlatego, żeby zabić Charliego?

- Nie wiem, o czym mówisz.

Strzelił. Wrzasnęła, podrywając rękę do góry.

- Nic ci nie jest - powiedział. - Celowałem między palce. Następnym razem stracisz palec. Zaczynajmy więc od nowa. Zoë Bradbury. Gdzie ona jest?

- Wyjechała - szepnęła.

- Nareszcie zmadrzałaś. To dobrze. Dokąd wyjechała?

Zawahała się.

- Wybierz palec - powiedział. - Może być ten, którego zbyt często nie używasz. Ale wyciągnij rękę, żebym przez przypadek nie trafił w inny.

- W Grecji już jej nie ma.

- W takim razie gdzie jest?

- I tak mnie zabijesz. Dlaczego miałabym ci cokolwiek powiedzieć?

- Ty i ja się różnimy - odparł. - Wiem, co mi dzisiaj szykowałeś, gdybym nie chciał odpowiadać na twoje pytania. Ale nie jestem bezrozumnym zabójcą. Jeżeli mi powiesz, gdzie jest Zoë, co się w ogóle dzieje i kim jesteś, nie zrobię ci krzywdy. Ukryję cię tylko w miejscu, w którym przez jakiś czas nikt cię nie znajdzie, a kiedy dotrę do Zoë i upewnię się, że nic jej już nie grozi, wrócę i być może puszczę cię wolno. Wybór należy do ciebie. Ale musisz zrozumieć, że jeśli mi nic nie powiesz, zginiesz. Tu i teraz. Skończy się zabawa w paluszki. - Wycelował pistolet w jej czoło.

- Kim ty do diabła jesteś? - Jej akcent był już mniej hiszpański. Mówiła teraz jak Amerykanka.

- Nikim. Ostatnia szansa. Gdzie ona jest?

Kobieta ciężko westchnęła. - Została zabrana do Stanów. Pięć dni temu.

- Dobrze. Robisz postępy. Gdzie konkretnie w Stanach, dlaczego i kto za tym stoi?

- Nie znam takich szczegółów - powiedziała. - Robię tylko to, co mi każą.

- Kto ci każe? Podaj nazwiska.

- Nie znam żadnych nazwisk.

- Jak się nazywasz?

- Kaplan. Marisa Kaplan.

Obserwował jej oczy i widział, że nie kłamie. Wskazał na blondyna leżącego na podłodze.

- A on?

- Hudson.

- Dlaczego tutaj jesteś, Mariso? I kto podłożył bombę?

W tym momencie usłyszał hałas i świst powietrza przelatującej tuż przy uchu kuli. Na ścianie eksplodował trafiony kinkiet. Ben skoczył do tyłu, strzelając z obrotu. Poczł mocny odrzut beretty. Jasnowłosa mężczyzna leżał oparty na łokciu, w zakrwawionej ręce trzymał mały zapasowy pistolet. Gdy znów wypalił, kula przeszła przez mankiet koszuli Bena.

Za drugim razem Ben wycelował spokojniej i zobaczył, że pocisk trafił w cel. Strzelił jeszcze raz, oko blondyna zniknęło, a głowa opadła na podłogę. Na ścianie za mężczyzną pojawiła się krew.

Znów zapanowała cisza. Powoli wstał i upewnił się, że nie jest ranny. Wiedział, że po raz kolejny intruz już nie ożyje. Podeszedł do niego i odkopnął w bok zapasowe krótkie magnum 0.357.

Usłyszawszy za sobą cichy jęk, odwrócił się. Kapłan siedziała na podłodze, wpatrując się w swój brzuch. Plama krwi na kremowej sukience stawała się coraz większa. Ściskając ranę po pocisku wystrzelonym przez partnera, usiłowała rozedrzeć materiał sukienki. W pewnej chwili otwarła, a następnie szybko zamknęła usta, upadła do tyłu i wyzionęła ducha.

22

Zabijanie jest łatwiejsze i szybsze od usuwania zwłok. W kuchni Ben znalazł rolkę mocnych plastikowych worków na śmieci. Przechodząc między kałużami krwi, oderwał dwie sztuki, rozciągnął je i płasko ułożył przy drzwiach wejściowych.

Złapał Kaplan za przeguby i pociągnął ją do drzwi. Głowa kobiety z nadal otwartymi oczami dotykała podłogi, jej włosy zostawiały krwawy ślad na kafelkach. Położył zwłoki na rozłożonym worku i wrócił do Hudsona. Schwycił go za kostki nóg, ciało mężczyzny było znacznie cięższe i bardziej zakrwawione, bo dziewięciomilimetrowa kula wystrzelona z pistoletu jego partnerki strzaskała prawy oczodół i kość policzkową. Przeciągnął go po podłodze i położył koło Kaplan.

Potem pochylił się i dokładnie ich przeszukał. Nie mieli przy sobie żadnych dokumentów ani przedmiotów osobistych. W tylnej kieszeni Hudsona znalazł telefon komórkowy, drugi znalazł w torebce kobiety. Trzymając w ręku obie komórki, wybrał ostatni użyty przez Kaplan numer i poczuł wibracje telefonu Hudsona. Gdy sprawdził historię ich rozmów, okazało się, że dzwonili tylko do siebie.

Zostawił leżące pokotem ciała i zaczął sprzątać dom. Zmiotł na szufelkę rozrzucone po podłodze kawałki strzaskanego kulą szklanego kinkietu i wrzucił je do kosza. W szafce kuchennej znalazł wiadro, mopa oraz butelkę wybielacza. Wlał zimną wodę do wiadra, zaniósł je do sąsiedniego pokoju i zaczął zmywać podłogę. Następnie, z pomocą kuchennego noża, zabrał się za futrynę drzwi, w której głęboko utkwiał jeden z wystrzelonych pocisków. Wyłuskał spłaszczony dziewięciomilimetrowy kawałek metalu i wsunął go do kieszeni. Skrzywił się, gdy zobaczył, jak teraz wyglądają drzwi.

Przez cały czas intensywnie myślał. Kaplan i Hudson może nie byli najlepszym zespołem inwigilacyjnym, z jakim się dotychczas zetknął, ale na pewno wiedzieli, jak postępować. Ich dwa pistolety były tej samej marki i modelu, miały też fachowo usunięte numery seryjne. Tego rodzaju szczegóły świadczyły, że byli profesjonalistami. Był też pewny, że to właśnie oni zamordowali Nikosa Karapiperisa. Gdyby Nikos rzeczywiście parał się handlem narkotykami, nie zgłosiłby się do Charliego z ofertą pomocy przy szukaniu Zoë, czyli to zabójcy podrzucili mu narkotyki. Niezły pomysł. Następnie zorganizowali zamach bombowy, żeby wyeliminować Charliego, bo po rozmowie z Nikosem za dużo wiedział. Z tego samego

powodu poszli tropem Bena.

Dotychczasowe elementy układanki pasowały do siebie całkiem nieźle, lecz gdy do równania dochodził dodatkowy czynnik w postaci Zoë, cała logika konstrukcji brała w łeb. Nie było żadnego okupu, co eliminowało najbardziej oczywisty powód porwania. Jej rodzice nie należeli do ludzi, którzy przyciśnięci do muru mogliby za odzyskanie córki zapłacić miliony. Gdyby Tom Bradbury był aktywny w polityce lub piastował stanowisko zapewniające mu dostęp do cennych informacji, wszystko to mogłoby mieć jakiś sens. Ale nie był. Był wykładowcą teologii w jednej z najbardziej konserwatywnych instytucji świata, oddalonym od prozy życia tak, że bardziej już nie można.

Przyczyn tej niezrozumiałej sytuacji należało więc szukać w życiu samej Zoë. Ale jak się do tego zabrać? Pomyślał o pieniądzach. Zoë w nagły sposób weszła w posiadanie dwudziestu tysięcy dolarów i spodziewała się, że wkrótce dostanie jeszcze więcej. To by wskazywało na jakiś szantaż, a osoba, od której Zoë wymuszała pieniądze, najpewniej była bogata, potężna i w oczywisty sposób postawiona pod ścianą. Oznaczało to również, że szantaż dotyczył czegoś bardzo konkretnego i że był traktowany bardzo poważnie.

Dlaczego jednak wywieziono ją aż do Stanów Zjednoczonych, skoro całą sprawę można było załatwić kulką w głowę tutaj, na Korfu? Gdy o tym myślał, przychodził mu do głowy tylko jeden logiczny wniosek: Zoë jest w posiadaniu czegoś, co jest potrzebne porywaczom. I dopóki im nie zdradzi swojej tajemnicy, będzie żyła.

I od razu nasuwały się kolejne spostrzeżenia. Kaplan i Hudson nie byli mięczakami, tylko bezwzględny mordercami, zaś Zoë nie była żołnierzem, który umiałby sobie poradzić z techniką przesłuchań. Gdyby więc chcieli zmusić ją do mówienia, uzyskaliby pożądane informacje w kilka sekund - wystarczyłby widok pistoletu lub noża. Później, najprawdopodobniej, by ją zabili. Zresztą, po dwunastu dniach, szansa na ujrzanie jej żywej stawała się coraz mniejsza.

O trzeciej trzydzieści nad ranem tawerna zakończyła działalność. Najbardziej wytrwali goście powędrowali do domu, umilkła muzyka, zgasły światła. Plaża pogrążyła się w ciemności.

Ben odczekał jeszcze pół godziny. Gdy był pewien, że w pobliżu już nikogo nie ma, wsunął w tylne kieszenie dzinsów obie beretty, pchnięciem otworzył drzwi wejściowe i na rozłożonym worku najpierw pociągnął przez piasek ciało Hudsona. Trasa była długa, a zwłoki wyjątkowo ciężkie. Gdy dotarł do wybranego miejsca, w niedawno pozszywanych ranach szyi czuł przenikliwy ból, a w mięśniach rąk i ramion paraliżujące działanie kwasu mlekowego. Zostawił ciało w obniżeniu między dwiema wydymami i ciężko oddychając,

poszedł z powrotem.

W domu znów zacisnął zęby, złapał Kaplan za przeguby i pociągnął na plażę. Jej głowa przechylała się na boki i podskakiwała na piasku, on zaś miał wrażenie, że otwarte oczy martwej kobiety się w niego wpatrują. Nie lubił takich widoków, pocieszał się jedynie myślą, że to nie on ją zabił.

W blasku wiszącego na niebie księżycy ułożył jej ciało obok zwłok mężczyzny, uklęknął i wykopał w piasku płytki rów. Ciało zepchnął nogą - najpierw Kaplan, później Hudsona. Głowa mężczyzny uderzyła o twarz Kaplan z odgłosem przypominającym klaśnięcie.

Grób zasypał piaskiem, resztę miały zrobić głodne kraby.

W pobliżu zauważył omszały wrak łodzi. Przyciągnął go, umieścił nad płytkim grobem i, zacierając za sobą ślady, wrócił nad brzeg morza. Rozebrane na części pistolety wrzucił daleko do wody.

Horyzont już jaśniał, gdy Ben skończył porządki w domu. Wziął prysznic, zmienił ubranie, zakrwawione dżinsy i koszulę spalił na plaży, popiół wdeptał w piasek. Na stole zostawił pięćset euro i kartkę z przeprosinami za rozbicie kinkietu i zniszczenie framugi. Napisał, że wypił chyba za dużo doskonałego wina, jakie dla niego zostawili Spiro i Christina.

Poszedł do miasta dopiero wtedy, gdy słońce oderwało się od powierzchni morza. Upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, złapał taksówkę na lotnisko. Wiedział, że za wszelką cenę musi unikać kontaktu z ludźmi Stephanidesa. Miał zamiar znaleźć się w Ameryce, nim ktokolwiek się zorientuje, że opuścił Grecję.

Na lotnisku wyjął paszport ze schowka i wykorzystując swój bilet powrotny, wsiadł do porannego samolotu do Aten. W południe czasu greckiego siedział już w pustawej klasie biznes boeinga 747 lecącego do Atlanty i popijał whisky z lodem.

Nie wiedział, co go czeka w Stanach. Musiał jednak znaleźć Zoë Bradbury - żywą lub martwą.

A ktoś, gdzieś, będzie musiał za to wszystko zapłacić.

23

Georgia, USA
dzień trzynasty

Temperatura w Georgii była nie wyższa niż na Korfu, jednak wskutek dwukrotnie większej wilgotności powietrza już piętnaście minut po wyjściu z samolotu na lotnisku Hartsfield-Jackson w Atlancie koszula przylepiła się Benowi do pleców.

Przestawił zegarek na czas lokalny. Różnica czasu sprawiła, że wylądował w USA mniej więcej o tej samej godzinie, o której według czasu greckiego wyleciał z Aten. Gdy na lotnisku wypożyczył dużego srebrnego chryslera, słońce stało już wysoko na niebie. Drogę do Savannah przejechał z opuszczonymi szybami, czując wiatr we włosach.

Późnym popołudniem był na miejscu. Miasto było zielone i wyglądało zamożnie, idealnie zachowane domy w stylu kolonialnym sprawiały wrażenie, jakby od czasów wojny secesyjnej nic się w nich nie zmieniło. Najpierw zadzwonił pod numer telefonu widniejący na wizytówce Steve'a McClusky'ego i usłyszał wiadomość, że nie ma już takiego numeru. W książce telefonicznej też nie było McClusky'ego. Miał jednak jego adres, więc sprawdził na mapie, gdzie to jest, i zawrócił wielkiego chryslera.

Ben znalazł się na peryferiach miasta, z dala od bogatych starych rezydencji i ocienionych drzewami ulic centrum. Mimo to liczył, że na miejscu ujrzy solidne biuro firmy prawniczej, mieszczące się w imponującym szklanym budynku czy też w eleganckim, kolonialnym domu z kolumnami i pięknymi schodami, prowadzącymi do drzwi wejściowych. Zamiast tego na zapuszczonej ulicy znalazł niewielki zakład fryzjerski, z małym parkingiem pokrytym spękany betonem, przez którego szczeliny przeciskały się poźółkle chwasty. Ponownie zerknął na wizytówkę. Tak, to był ten adres.

Gdy wszedł do środka, nad głową zabręczał mu dzwonek. Wnętrze było chłodne, klimatyzacja działała bez zarzutu. Dyskretnie się rozejrzył. Wyposażenie zakładu musiało pochodzić z lat pięćdziesiątych, obydwaj fryzjerzy też nie wyglądali na młodych. Jeden z nich obsługiwał siedzącego na fotelu klienta, drugi przysiadł na stołku i popijał jasne piwo z puszki. Zgarbiony, blady, wyglądał jak iguana. Młody, może osiemnastoletni chłopak w

fartuchu zmiatał resztki ściętych włosów z kafelków podłogi.

Stary fryzjer z puszką piwa zwrócił się do przybysza.

- W czym możemy panu pomóc? Strzyżenie czy golenie?

- Jestem tu w innej sprawie. Gdzie mógłbym znaleźć Steve'a McClusky'ego?

- Szukasz pan Skida?

- Nazwisko na wizytówce to Steve McClusky.

Stary mężczyzna kiwnął głową. - To on. Skid McClusky.

- Skąd to przezwisko?

Fryzjer uśmiechnął się, demonstrując brak przedniego uzębienia.

- Niektórzy mówią, że w ten sposób jeździ tą swoją corvetą Skid. [poślizg] Inni uważają, że to od Skid Row, [slumsy] gdzie pewno kiedyś wylądował. Jeżeli już tam się nie znalazł.

- Na wizytówce jego biuro jest pod tym adresem.

- Tędy. - Chudy palec starego fryzjera celował w drzwi w kącie pomieszczenia. - W górę po schodach, potem w lewo. Samo biuro też nie wygląda za dobrze.

- Dzięki. - Ben ruszył we wskazanym kierunku.

- Daj pan sobie spokój, Skida tam nie ma. - Fryzjer znowu się uśmiechnął, tym razem ukazując blade dziąsła. - Niestety.

- No to gdzie jest? Muszę z nim pomówić.

Wszyscy, jak jeden mąż, parsknęli śmiechem. - Ustaw się pan w kolejce - odparł stary. - Wielu z nas chciałoby z tym sukinsynem pogadać. Wymknął się bez zapłacenia czynszu. Nie ma go już od dwóch tygodni.

- Czyli nie wiecie, gdzie teraz jest?

- Tu pan pomocy nie znajdziesz.

Przebył długą drogę, niestety wizyta w USA zaczynała się nie najlepiej.

- Dzięki za wszystko. - Odwrócił się na pięcie i skierował do drzwi. Otwierając je, znów usłyszał dzwonek. Wyszedł na gorące słońce, pilotem otworzył samochód. Miał już do niego wsiąść, gdy usłyszał za sobą szybkie kroki.

Zobaczył młodego pomocnika z zakładu fryzjerskiego w wypłowiałym T-shircie z Jimim Hendrixem.

- Proszę pana - powiedział chłopak. - Chwileczkę. - Obejrzał się za siebie, jakby się obawiał, że jest obserwowany. Musiał się wyslizgnąć tylnymi drzwiami, pomyślał Ben.

Chłopak miał rozbiegane oczy, lecz sprawiał wrażenie prawdomównego. Ben był ciekaw, czy młody człowiek rzeczywiście ma coś interesującego do powiedzenia.

- Skid ma jakieś problemy, proszę pana.

- Jakiego rodzaju problemy?

- Nie jestem pewien. Ale to coś naprawdę poważnego. Dlatego zniknął. - Przez chwilę milczał. - Zawsze był dla mnie dobry. Kiedy potrzebowałem, pożyczał mi pieniądze.

- Mogę pomóc Skidowi - powiedział Ben. - Czy wiesz, gdzie go znaleźć?

Dzieciak potrząsnął głową.

- Ale znam kogoś, kto może wiedzieć.

- Czy mógłbyś mu przekazać wiadomość ode mnie?

Chłopak obrzucił wystraszoną spojrzeniem zakład fryzjerski, potem Bena. Kiwnął głową.

- Powiedz, że przyjaciel Zoë Bradbury z Anglii musi porozmawiać ze Skidem. To ważne i pilne. Zrozumiałeś?

- Zoë Bradbury - powtórzył dzieciak.

- Jeżeli ta wiadomość dotrze do Skida, on ją zrozumie. Niech zadzwoni pod ten numer. Na kawałku papieru nabazgrał numer i dał go chłopcu wraz z dwudziestodolarowym banknotem. Nastolatek kiwnął głową, obrócił się na pięcie i pobiegł w kierunku tylnych drzwi zakładu.

W niespełną godzinę później, gdy Ben, rozglądając się za hotelem, jechał w kierunku centrum Savannah, leżący na desce rozdzielczej telefon zadzwonił.

- Z kim rozmawiam? - Ben usłyszał nerwowy, agresywny głos mężczyzny.

Ten wyzywający początek rozmowy nie rokował dobrze, jednak Ben ugryzł się w język i spokojnie odpowiedział.

- Nazywam się Ben Hope. Kim pan jest?

- Mniejsza o to, kim jestem - odrzekł grubiańsko głos. Ben odniósł wrażenie, że rozmawia z kimś, kto żyje pod ogromną presją i stara się ukryć swój strach. Rozmówca podał Benowi nazwę baru koło Hinesville, małej miejscowości położonej na południowy zachód od Savannah, następnie udzielił mu kilku wskazówek, jak tam dojechać. - Bądź tam dziś wieczorem o siódmej trzydzieści - powiedział mężczyzna i przerwał połączenie.

Ben nie był zwolennikiem tak organizowanych spotkań, lecz w swojej pracy przyzwyczał się do dziwnych telefonów od ludzi często zbyt zastraszonego, aby ujawniać swoją tożsamość. Z doświadczenia wiedział, że takich kontaktów nie należy lekceważyć bo nieraz pozwalały one uprościć proces eliminacji podejrzanych osób.

Spojrzał na zegarek, do spotkania miał jeszcze dwie godziny. Zawrócił i ruszył na południowy zachód, oddalając się od czystej białej architektury kolonialnej, szmaragdowych trawników i chłodnego cienia ulic obsadzonych szpalerami drzew. Po drodze zatrzymał się w

małej przydrożnej jadłodajni i wypił cztery filiżanki najlepszej kawy, jaką kiedykolwiek spotkał poza ojczyzną espresso. Ponownie sprawdził godzinę, wrócił do samochodu i nie śpiesząc się, pojechał na wyznaczone miejsce spotkania.

Gdy wysiadł z chryslera i podszedł do drzwi lokalu, usłyszał łomot muzyki przenikający ściany baru. Po wejściu uderzyły go country rock, gorąco, smród tytoniu, alkoholu i odór setki stłoczonych ciał. Zauważył, że nad barem wisi flaga rebeliantów, a pod nią dwie skrzyżowane szable. Między stolikami kręciły się kelnerki w obcisłych spódniczkach, skąpych topach i butach na wysokich obcasach. Na niskiej scenie dostrzegł elektryczne gitary, gitarę basową, bogaty zestaw instrumentów perkusyjnych oraz stertę mikrofonów i wzmacniaczy. Wszyscy czekali na występ zespołu.

Przeciskając się przez tłum, zgodnie z instrukcją telefoniczną udał się w stronę drzwi na końcu sali. Między maszyną do gry w pinballa a automatem telefonicznym wszedł do ciemnej klatki schodowej z trzeszczącymi schodami i znalazł się na zapuszczonym korytarzu. Pod stopami czuł wibracje muzyki. Gdy grał zespół, hałas musiał być dwa razy większy. Podszedł do drzwi, zapukał.

Usłyszał głos kobiety:

- Proszę.

Otworzył i wszedł do środka. Pomieszczenie wyglądało na od dawna nieużywane biuro. Zobaczył biurko, proste drewniane krzesło i pusty regał, w kącie wysoką uschniętą roślinę doniczkową.

Kobieta, która stała przy biurku, była sama. Drobna, szczupła, miała około trzydziestu lat i niespełna metr sześćdziesiąt wzrostu. Jej długie blond loki były ewidentnie farbowane. Miała wysokie buty na obcasach, obcisłe dżinsy i zamszową kurtkę. Na jej ramieniu wisiała ciężka, skórzana torba.

- Przez telefon rozmawiałem z mężczyzną - powiedział Ben.

- Rozmawiałeś ze Skidem - odparła krótko.

- Gdzie on jest? - spytał, podchodząc bliżej.

- Nie ruszaj się, człowieku. Poza tym, to ja tu zadaję pytania. - Włożyła rękę do torby i dobyła z niej ogromny rewolwer, który wycelowała w pierś Bena. Broń była tak ciężka, że kobieta ledwie mogła ją utrzymać.

- OK, słucham cię z uwagą. Co chcesz wiedzieć? - rzekł Ben.

- Dla kogo pracujesz?

- Skąd pomyślał, że dla kogoś pracuję?

- Jeżeli jesteś jednym z chłopców Cleavera, żywy stąd nie wyjdiesz. - Miał wrażenie, że

kobieta nie żartuje.

- Nie wiem, kto to jest Cleaver.

- Jasne... - zmarszczyła czoło. - Skąd jesteś?

- Nie stąd - odparł. - Słuchaj, muszę porozmawiać ze Steve'em czy Skidem, jak go tam zwiecie. To pilne.

Uniosła pistolet.

- Spokojnie.

Ben przyjrzał się jej broni. Trzymała w ręku masywny rewolwer ze stali nierdzewnej o mechanizmie pojedynczego działania, używany na Alasce przez myśliwych polujących na niedźwiedzie grizzly. W komorze widział wydrążone czubki grubych naboí, lufa miała pół cala średnicy. Na pewno nie była to broń dla drobnej kobiety, rozmówczyni Bena z trudnością utrzymywała go w poziomie. Gdyby strzeliła, odrzut prawdopodobnie przetrząciłby jej rękę w przegubie.

- To nie twoja splanuwa, prawda? Pewno Skida.

Skrzywiła się.

- To bez znaczenia. I tak w każdej chwili mogę cię rozwalić. Więc nie podchodź bliżej i trzymaj ręce tak, żebym je widziała.

- Zanim cię tu wysłał w roli psa obronnego, powinien ci przynajmniej pokazać, jak się z tym obchodzić - powiedział Ben. - Nie odciągnęłaś kurka, a więc nie strzelisz.

Zerknęła na broń, cały czas nieufnie obserwując Bena.

- Spróbuj pociągnąć za cyngiel - powiedział. - Nic ci się nie stanie. Widzisz ten kurek? Musisz zahaczyć go kciukiem i odciągnąć do tyłu.

Zrobiła to, co powiedział.

- Jeszcze bardziej do tyłu, aż zaskoczy - powiedział.

W pokoju rozległ się metaliczny szcęk, wielki pięciostrzzałowy bębenek obrócił się i zatrzymał.

- OK, teraz jesteś już gotowa. I możesz mnie zastrzelić, jeżeli chcesz. Jednak zanim to zrobisz, chciałbym ci udowodnić, że nie jestem jednym z chłopców Cleavera. Nawet nie wiem, kim on jest. Teraz chcę sięgnąć do kurtki i ją rozpiąć. Nie bój się, nie mam tam żadnej broni. Pokażę ci tylko mój paszport. - Wyjął paszport i rzucił go na biurko. - Ze świeżym dzisiejszym stemplem amerykańskiej służby granicznej. Nazywam się Ben Hope. W paszporcie jest Benedict.

Wyciągnęła rękę po paszport i przyjrzała mu się. Rewolwer nie mierzył już w niego, z łatwością mógłby go jej odebrać. Jednak się tylko uśmiechnęła. Spojrzała na niego, później

znów na paszport.

- Czy teraz mi wierzysz?

Z rozjaśnioną twarzą i malującą się w oczach ulgą opuściła broń.

- W porządku. Wierzę ci.

- To może teraz powinnaś zwolnić kurek rewolweru.

- Och. Oczywiście. - Objęła lewym kciukiem kurek i naciskając na cyngiel, ostrożnie go opuściła.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, jak się nazywasz.

- Molly.

- Miło mi, że się spotkaliśmy, Molly.

- Więc co pan właściwie robi w Georgii, panie Hope?

- Możesz mi mówić Ben. Przyjechałem z Europy, żeby znaleźć Zoë Bradbury.

- Nie wyglądasz na takiego, który by się kręcił koło tej małej dziwki.

- Zoë ma problemy.

Molly prychnęła.

- Ona sama jest problemem.

- Skid też ma kłopoty - powiedział Ben. - Gdyby było inaczej, nie celowałabyś do mnie z tej ręcznej armaty.

- Przepraszam. Musiałam być ostrożna.

- Gdzie on jest?

- Ukrywa się przed Cleaverem.

- Zaprowadzisz mnie do niego?

24

Wyruszyli nocą samochodem Molly. Jechali w kierunku Jacksonville, na południe od głównej drogi wzdłuż wybrzeża. Początkowo delikatne krople deszczu na przedniej szybie wkrótce zamieniły się w rwący potok, śliska droga lśniła w światłach samochodu. Przez pierwsze kilometry zachowywali milczenie, słychać było tylko regularny rytm pracujących wycieraczek.

- Rany, czegoś bym się napiła - rzuciła Molly. - Nadal trzęsą mi się ręce. Kątem oka spozrzała na Bena i po raz pierwszy się uśmiechnęła. - Nigdy wcześniej nie celowałam w człowieka.

- Świetnie się spisałaś. - Sięgnął do kieszeni kurtki i podał jej pierśiówkę. - To uspokoi ci nerwy.

Wypiła łyk.

- Dobrze. Co to jest?

- Dziesięcioletnia słodowa szkocka whisky Laphroaig.

- Niezła. - Wypiła kolejny łyk, mlasnęła i zwróciła pierśiówkę. - Widzisz ten schowek?

Możesz mi podać fajki?

Otworzył schowek.

- Cygara kubańskie? - spytał zaskoczony.

- Tata je palił, ja też je polubiłam. Poczęstuj się, jeśli chcesz.

Otworzył dwie małe aluminiowe tubki z napisem Coronation Punch, zapalił cygara swoją zapalniczką Zippo i podał jedno Molly.

Pociągnęła mocno i wypuściła obłok dymu.

- A więc, panie Hope. To znaczy, Ben. Kim właściwie jesteś?

- Kimś, kto chce pomóc.

- Robisz wrażenie, jakbyś naprawdę dobrze znał się na broni. Oczywiście jak na Anglika. Myślałam, że to u was zabronione. - Tak naprawdę to nie jestem Anglikiem, jestem w połowie Irlandczykiem.

- W której połowie?

- Tej lepszej.

Roześmiała się.

- To by się zgadzało. Każdy Anglik, którego dotychczas poznałam, był sztywnym draniem.

- Opowiedz mi o Skidzie - powiedział.

- Poznaliśmy się na wydziale prawa.

- To ty też jesteś prawnikiem?

- Nie zdałam egzaminu adwokackiego. Załatwiły mnie nerwy. Pracuję teraz jako pomoc prawna. Przez chwilę zatrudniał mnie Skid, teraz dojeżdżam do pracy w śródmieściu.

- Dlaczego cię wysłał na spotkanie ze mną?

- Bo sam nie może nigdzie pojechać. Wkrótce zobaczysz, w czym rzecz.

- Co mu się przydarzyło?

- Ludzie Cleavera. Dopadli go i o mały włos nie wykończyli. Pewno by go zabili, gdybym nie pojawiła się w porę i nie wezwała policji.

- Kto to taki ten Cleaver?

- Skid ci o nim wszystko opowie.

- Jak do tego wszystkiego ma się Zoë Bradbury?

- Chodziłam ze Skidem, tak poważnie, przez prawie dwa lata. Zoë Bradbury nas rozdzieliła.

- Wiem, że Zoë przyjeżdżała tu parę razy. Zatrzymywała się wtedy u panny Vale.

Molly kiwnęła głową i zaciągnęła się cygarem.

- Wszystko zaczęło się podczas jej ostatniego pobytu, jakieś sześć miesięcy temu. Skid siedział w barze, bo on zawsze siedzi w jakimś barze, i tam zobaczył to urocze angielskie dziewczę, i, jak się domyślam, po prostu nie mógł się powstrzymać, no a ona nie mogła mu się oprzeć. Skid nigdy nie ma grosza przy duszy, ale na pewno wie, jak czarować. - Smutno się uśmiechnęła. - Spotkałam ją tylko raz, u niego w biurze. Powiedział mi, że kręcą jakiś wspólny interes. Nie pisał jednak ani słówkiem, że cały ten czas się pieprzyli. Dopiero po kilku tygodniach dowiedziałam się, co znaczyły te jego późne powroty z pracy. - Opuściła szybę i strząsnęła popiół z cygara. - Do wszystkiego się przyznał. Wtedy go rzuciłam. Powiedziałam, że nie chcę go więcej widzieć. Że to koniec. Ale on do mnie cały czas wydzwaniał i mówił, że beze mnie nie może żyć. Zostawiał mi wiadomości na sekretarce, płakał i groził, że się zastrzeli.

- Z tego właśnie pistoletu?

- Tak. Wiele by z niego nie zostało, co?

- Racja.

- W każdym razie pewnego wieczora poszłam do jego biura, aby osobiście wyjaśnić mu

sytuację. Gdy wchodziłam po schodach, usłyszałam jakieś krzyki i wyzwiska, potem na górze zobaczyłam trzech facetów, którzy go strasznie bili. Natychmiast zadzwoniłam po policję, na szczęście jakiś patrol akurat był niedaleko. Przyjechali szybko, ale te bandziory musiały ich wcześniej usłyszeć, bo prysnęli tylnym wyjściem, zostawiając za sobą mocno poturbowanego Skida.

- Kiedy to było?

- Dwa tygodnie temu, może trochę wcześniej - powiedziała. - Skid jest przerażony, że Cleaver go znów dopadnie. Nie chce nawet iść do szpitala, chociaż powinien.

- A ty się nim opiekujesz.

- Jestem jego psem obronnym, jak to ująłeś. I pielęgniarką. Takie „dwa w jednym”, wiesz.

- Czy Zoë i Skid faktycznie mieli jakiś wspólny biznes, czy też to była tylko przykrywka?

- Mieli biznes - odparła poważnie. - To z tego powodu Skid znalazł się w takich opałach.

- O co w tym biznesie chodziło?

- O tym opowie ci Skid. Właśnie dojeżdżamy. - Zjechała z głównej trasy, wkrótce zaczęli kluczyć ciemnymi, wąskimi i krętymi drogami. Prowadziła szybko, ze skupioną miną. Po lewej stronie zobaczyli polną drogę, w którą skręcili. Z boku mignęła zniszczona tablica informująca o motelu. Niedawny deszcz sprawił, że ziemia pod kołami samochodu zamieniła się w błoto. Na końcu drogi wjechali na wyboiste, nieutwardzone podwórze. W świetle reflektorów widać było kępy przerośniętej trawy, rozrzucone worki ze śmieciami, stare meble i pogniecione puszki po piwie. Niskie budynki motelu wymagały pilnego remontu. Paskudny neon rzucał żółtawą poświatę na podwyższony ganek i rozciągający się przed nim parking. Zatrzymała samochód przy jakiejś furgonetce i wyłączyła silnik.

Wyszli na zewnątrz. Deszcz już nie padał, lecz powietrze było nadal ciężkie i wilgotne. Dwa wściekle rozszczekane doberman w zrobionym z metalowej siatki boksie, stając na żyłastych tylnych łapach, rzucały się na ogrodzenie.

- Witaj w nowym lokum Skida - powiedziała Molly.

W zajeździe świeciło się tylko w kilku oknach, gdzieś z wewnątrz dobiegał stłumiony dźwięk telewizora. Psy nie przestawały ujadać. W oddali czyjś przepity głos ryknął, żeby się zamknęły.

Poprowadziła Bena do pokoju numer dziesięć. Ze starych wypaczonych drzwi łuszczyła się farba. Kobieta trzy razy głośno zapukała.

- To ja, Molly - krzyknęła. Sięgnęła do torebki po klucz, otworzyła drzwi. Weszli do środka.

Pokój był ciemny, unosił się w nim zapach pleśni i środków dezynfekcyjnych. Molly zaciągnęła zasłony i włączyła boczną lampkę.

Skid McClusky obudził się i, oślepiiony światłem, mrużył oczy.

Miał około trzydziestki, tak jak Molly. Może kiedyś był przystojny, ale teraz jego twarz pokrywały siniaki i świeżo gojące się rany, a przetłuszczone ciemne włosy lepiły mu się do czoła. Był w poplamionej i przepoconej dzinsowej koszuli, siedział w zdezelowanym fotelu, z którego bokiem wyłaziła gąbka. Wyprostowane nogi, obydwie po kolana w gipsie, opierał na taborecie. Przy udzie trzymał strzelbę mossberg i nerwowo ją głaskał.

Utkwił w Benie pełne bólu i strachu podkrążone oczy.

- On jest w porządku, Skid - powiedziała Molly. - To nie człowiek Cleavera.

- Weź sobie krzesło i usiądź - odezwał się Skid. - I powiedz, czego chcesz.

- Pójdę po parę piw. Zostawię was samych, żebyście mogli swobodnie porozmawiać. -

Wyszła z pokoju.

Ben i gospodarz siedzieli przez chwilę w milczeniu.

- Przejdę od razu do konkretów. Zaginęła Zoë Bradbury. Dwanaście dni temu zniknęła z domu, który wynajmowała w Grecji. Polecono mi ją znaleźć, ty chyba możesz mi w tym pomóc.

- Bałem się, że ją znajdą - jęknął Skid. - Zmusili mnie, żebym ją sypnął.

- Ci, którzy cię tak urządzili?

Skid kiwnął głową. - Jestem wrakiem człowieka - powiedział zdesperowany. - Przyjrzyj mi się. Prawie mnie wykończyli.

- Mogę ci pomóc - powiedział Ben.

- Niby jak?

- Jeszcze nie wiem. Ale jestem prawie pewny, że ludzie, których szukam, to ci sami, którzy cię tak urządzili.

Skid przetarł twarz obiema dłońmi. Przez chwilę milczał.

- OK, czego ode mnie oczekujesz?

- Chcę wiedzieć wszystko - odparł Ben. - O biznesie, który miałeś z Zoë. I o Cleaverze. Cały czas o nim słyszę. Kto to jest ten Cleaver?

Skid zrobił długi wydech.

- Podaj mi to, dobrze? - Wskazał na stojącą poza jego zasięgiem, do połowy już pustą butelkę jacka daniel'sa. Gdy Ben spełnił jego prośbę, Skid wypił dużego łyka i wytarł usta rękawem.

- Zacznę od początku. Czy wiesz, kim jest Augusta Vale?

Ben kiwnął głową.

- Więc wiesz, że Zoë, podczas swojego ostatniego pobytu w Savannah, zatrzymała się u niej. Wtedy się właśnie spotkaliśmy. W barze.

- To już słyszałem - powiedział Ben.

Skid z trudnością, krzywiąc twarz z bólu, poruszył się w fotelu.

- Zoë i panna Vale się przyjaźniły. Przynajmniej panna Vale tak uważała, bo Zoë bardziej interesowała się jej pieniędzmi. Zawsze robiła aluzje, że chciałaby zrobić to czy tamto, licząc, że panna Vale wyciągnie książeczkę czekową i sfinansuje jej zachcianki. Nie każda znajoma, to fakt, jest właścicielką dwumiliardowej fortuny i do tego nazywa cię dzieckiem, które zawsze chciała mieć. Ale Zoë, tak naprawdę, kocha tylko pieniądze.

- Nie znam jej zbyt dobrze. Ostatnim razem, kiedy ją widziałem, była jeszcze całkiem mała.

Skid znów przechylił butelkę z bourbonem.

- W każdym razie myślała, że w każdej chwili coś jej może kapnąć, do momentu kiedy na scenie pojawił się Clayton Cleaver. - Sposób, w jaki Skid wymówił to nazwisko, sugerował, że Ben powinien je znać. - Nigdy nie słyszałeś o Claytonie Cleaverze?

Ben wzruszył ramionami.

- A powinienem?

- To autor bestsellerowej książki. Telewizyjny ewangelista z ambicjami do fotela gubernatora stanowego. A obecnie przyjaciel panny Augusty Vale, która uważa Cleavera za ósmy cud świata. Panna Vale to dobra chrześcijanka, bardzo religijna, sponsoruje mnóstwo różnych organizacji dobroczynnych, ale dała się oszukać. Ten palant wmówił jej, że jest świętym. Kiedy sześć miesięcy temu przyjechała Zoë, Augusta powiedziała jej, że ma zamiar przekazać pieniądze na fundację Cleavera. Przy czym mówimy o dużych pieniądzach, cholernie dużych.

- Jak dużych?

- O sumie dziewięćcyfrowej.

- Sto milionów?

Skid skinął głową.

- Dla panny Vale to tylko drobne, jakieś inwestycje i obligacje, które akurat można sprzedać. Stado adwokatów biorących po pięćset dolarów za godzinę siedzi właśnie nad tą sprawą, więc Clayton powinien dostać przyrzeczoną kasę już niedługo - w tym miesiącu, może w przyszłym.

- Rozumiem, że Zoë nie była zbyt zadowolona, kiedy się o tym dowiedziała.

- Nie mylisz się - odparł Skid. - Na jednym z przyjęć wydanych przez starszą panią spotkała się z Cleaverem i oceniła go jako pospolitego oszusta. Nie mogła uwierzyć, że panna Vale tak łatwo dała się nabrać ewidentnemu cwaniakowi. Była też pewna, że Cleaver robi wszystko, by podkopać jej pozycję u panny Vale.

Ben odchylił się na krześle i zapalił papierosa.

- Rozumiesz? - kontynuował Skid. - W każdym razie Zoë miała już tego dosyć i wróciła do Anglii. Na jakiś czas straciliśmy kontakt. Miałem też swoje kłopoty, pewno Molly ci o nich opowiedziała. Jakies kilka tygodni temu Zoë niespodziewanie do mnie zadzwoniła. Była strasznie przejęta, bo po powrocie z jakichś wykopalisk w Turcji wpadła na pomysł, jak wyciągnąć duże pieniądze od Cleavera. Według niej plan był doskonały i niezawodny. Sukces gwarantowany, rozumiesz. - Skid spojrział na swoje nogi w gipsie i chrząknął.

- Szantażowała go. Ale jak?

Skid bawił się butelką whisky.

- Tak naprawdę, to nie wiem. Nigdy mi nie zdradziła szczegółów. Może coś nieprzyzwoitego? Na przykład seks? Kto wie? W każdym razie robiła to skutecznie. Zadzwoniła do niego z Grecji z propozycją polubownego załatwienia sprawy. Wiedziała, że jeszcze nie dostał swoich stu milionów, więc powiedziała mu, że obejdzie się z nim delikatnie, przynajmniej na razie. Chciała tylko zaliczki w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Pięć tysięcy z tego miało być moją działką, a ja sam miałem tylko dostarczyć pudełko do biura Cleavera.

- Pudełko?

- Tak, pudełko. Zwykle, stare tekturowe pudełko. Mniej więcej tej wielkości. - Skid pokazał rękami sześcian o boku piętnastu centymetrów. - Nawet niezbyt ciężkie. Nie pytaj mnie, co w nim było. Nie mam zielonego pojęcia. Mogę ci tylko powiedzieć, że jak nim potrzasałem, to w środku grzechotało.

Nie chodziło więc o fotografie, pomyślał Ben. Upadła teoria o seksie jako podstawie szantażu.

- Cleaver zabrał pudełko do pokoju, ja zostałem na zewnątrz - kontynuował Skid. - Usłyszałem odgłos rozrywanego kartonu, miałem wrażenie, że się bardzo spieszył. Cokolwiek w nim znalazł, musiało go przekonać. Wrócił z teczką, w której było dwadzieścia pięć tysięcy dolarów. Wręczył mi je na miejscu. Wziąłem swoją dolę, reszta należała do niej.

To tłumaczyło nagłe wzbogacenie Zoë, drogi hotel, willę, przyjęcia.

- Ale ona chciała jeszcze więcej, tak? - powiedział Ben.

- Powiedziała Cleaverowi, że kiedy będzie już miał swoje wielkie pieniądze, ona w

zamian za to coś, czym dysponowała, chce dostać jeszcze dziesięć milionów. Moja dola miała wynosić dziesięć procent. Nawet nie musiałem niczego robić, to była tylko opłata za pośrednictwo. Wydawało się, że Cleaver na tę propozycję przystał. Bajka, marzenie każdego prawnika. Zacząłem już snuć plany na przyszłość. Miałem zamiar zostawić stare biuro, tę szczyrzą norę, otworzyć praktykę gdzieś w centrum i zacząć uczciwe życie. - Skid westchnął. - Widocznie później Cleaver się rozmyślił.

- I dostałeś lanie.

- Podejrzewałem, że od kilku dni ktoś mnie śledził, choć nikogo tak naprawdę nie widziałem. Po prostu miałem przecucie. Tak mnie to wystraszyło, że zacząłem nosić ze sobą splotkę. Pewnego wieczora zostałem w biurze dłużej. Nawet nie słyszałem, jak weszli. Przystawili mi rewolwer do głowy i wyciągnęli z fotela. Rzucili mnie na ziemię i zaczęli wypytywać, gdzie to jest. - *Gdzie to jest, gdzie to jest?* - Nie miałem pojęcia, o czym mówią. Później chcieli wiedzieć, gdzie jest Zoë.

- A ty im powiedziałaś.

- Nie od razu - odparł Skid. - To nie pierwszy wycisk w moim życiu. Nie jestem tchórzem. Ale w pewnej chwili otworzyli torbę i wyjęli z niej parę młotków. Jeden facet przystawił mi pistolet do głowy, a dwóch pozostałych zabrało się za moje nogi. Trudno zachować milczenie, kiedy z kolan robią ci miazgę. Oczywiście im powiedziałem. Ty też byś tak zrobił.

- Czy Zoë wspomniała ci kiedykolwiek o jakimś proroctwie? - spytał Ben.

Na twarzy Skida odmalowało się zaskoczenie.

- Takim jak przepowiednie związane ze znakami zodiaku?

- Zoë jest archeologiem biblijnym - powiedział Ben. - Chodzi tu więc o przepowiednię biblijną. Powiedziała komuś, że jej pieniądze mają jakiś związek z proroctwem.

- Pierwsze słyszę - odparł Skid. - Jak można się wzbogacić na biblijnym proroctwie? Jak mówiłem, musiała mieć na Cleavera po prostu jakiegoś haka.

- Mniejsza z tym - odparł Ben. - To nie jest najważniejsze.

Nagle, bez ostrzeżenia, otworzyły się drzwi. Skid podskoczył, złapał za strzelbę i ją odbezpieczył. Uspokoił się jednak, odłożył broń i opadł na oparcie fotela.

Do pokoju weszła Molly z sześciopakiem piwa, który rzuciła na łóżko.

- Czas na pigułki, kochanie - odezwała się do Skida.

Mężczyzna smutno pokiwał głową.

- I to wszystko, co ci mogę powiedzieć - spojrzał na Bena. - Gdyby nie Molly, to w ogóle nie byłoby tej rozmowy.

Dziewczyna podeszła do fotela i miękko położyła dłoń na ramieniu siedzącego inwalidy. Drugą ręką otarła łzę. Skid pogłaskał jej rękę. Oprócz napięcia była też między nimi czułość.

- Nie chciałem, żeby poszła na spotkanie z tobą - rzekł Skid. - To był jej pomysł.

Odważna kobieta.

- Co chcesz teraz zrobić? - zapytał Ben.

- A co może robić rozbity, splukany i pijany kaleka? Nie mogę się stąd ruszyć.

- Nie możesz tu siedzieć wiecznie.

- Zostanę tutaj, aż Cleaver o mnie zapomni. Chyba że wcześniej wykituję. Nie mogę wrócić do domu ani nigdzie się pokazać, bo jak mnie złapią, to koniec. Równie dobrze mogę się tu, w tym fotelu, zapić na śmierć. - Skid spojrzał na Molly, która przyglądała mu się przez łzy.

- Co mogę powiedzieć? Tego dnia, kiedy spotkałem Zoë Bradbury, zgmiotłem swoje życie w małą kulkę papieru i wrzuciłem w ogień. Straciłem wszystko, co miałem. Przede wszystkim najlepszą kobietę, o jakiej może marzyć mężczyzna.

- Nie straciłeś mnie - szepnęła Molly, nachyliła się i ucałowała go w wilgotne czoło.

Skid obrócił się i spojrzał się na Bena.

- A ty? Co teraz zrobisz?

- Wydaje mi się, że powinienem złożyć wizytę pannie Auguście Vale - odparł Ben.

- Mam jej numer - powiedział Skid.

- To dobrze. Później chcę porozmawiać z Claytonem Cleaverem. - Ben sięgnął po portfel.

- Ale najpierw zrób coś dla mnie.

- Co?

- Sprzedaj mi swoją wielką spluwę. Mam wrażenie, że może mi się przydać.

25

Gdy Molly odwiozła Bena do Hinesville, zrobiło się już późno. Pożegnała się z nim uściskiem dłoni, życząc mu szczęścia. Z uśmiechem obserwował, jak odjeżdża w deszczową noc, potem wsiadł do swojego chryslera i skierował się do Savannah. W płóciennym torbie na tylnym siedzeniu leżał myśliwski rewolwer Skida, freedom arms linebaugh 0.475, i pudełko naboju z wydrążonymi wierzchołkami.

Zameldował się w hotelu i z okien swojego pokoju przez długie nocne godziny obserwował płynącą w dole rzekę Savannah. Był zbyt zmęczony, żeby zasnąć, w głowie kłębiły mu się tysiące różnych myśli.

Sprawy, które jeszcze w Grecji wyglądały niejasno, zaczynały się powoli klarować. Analizując poszczególne elementy układanki, zdał sobie sprawę, że szanse na znalezienie żywej Zoë są, niestety, coraz mniejsze.

Znał już nazwisko bogatej wpływowej osoby, która w obliczu zagrożenia ze strony Zoë uciekła się do tak drastycznych posunięć. Wiedział, że stawką w grze jest sto milionów dolarów oraz fotel gubernatora Georgii. Zdawał sobie sprawę, że, przynajmniej w skali lokalnej, trudno o wyższą pulę dla zwycięzcy.

Znalazł wprawdzie powód, dla którego nazwisko Cleavera znalazło się w notatniku z adresami Zoë, jednak sam szantaż pozostawał nadal tajemnicą. Jedno było pewne: wymagania Zoë okazały się zbyt wysokie i to one spowodowały, że Cleaver zaczął szukać sposobów, jak uniknąć zapłaty. Przypuszczalnie uważał, że w przyszłości Zoë może ponowić żądania. Bał się, że teraz zapłaci jej dziesięć milionów, a po roku czy dwóch - jeżeli rzeczywiście to „coś” posiadane przez nią było tak ważne - dziewczyna wróci z żądaniem kolejnych dziesięciu milionów. I tak długo będzie to robiła, aż go całkiem oskubie.

Istniał tylko jeden sposób trwałego rozwiązania problemu. Logika tego rozumowania była przerażająca, lecz Ben musiał przyznać, że dla Cleavera było to jedyne wyjście. Życie Zoë było warte o wiele mniej niż dziesięć milionów dolarów.

Pozostawał Skid McClusky. Z punktu widzenia Cleavera prawnik był tylko jednym z wielu elementów układanki wymagającej uporządkowania. Pierwsza próba okazała się nieskuteczna, lecz na dłuższą metę w tej rozgrywce Skid był bez szans. Cleaver zamierzał uciszyć wszystkich, którzy byli zamieszani w sprawę szantażu. Najpierw zabił Nikosa

Karapiperisa, później Charliego.

Wszystko wskazywało, że teraz jego kolej i że jeżeli wkrótce nie zmusi Cleavera do zmiany planów, sam zginie. Sto milionów dolarów pozwala wynająć wielu zawodowych morderców i Ben nawet się nie zorientuje, kiedy i z której strony nadejdzie śmierć.

Siedział, palił papierosy i korzystał z oferty minibaru. Myślał też o Tomie i Jane. Jak im teraz powie, że ich córka prawdopodobnie nie żyje?

W końcu udało mu się zepchnąć trudne rozterki na dalszy plan. Miał teraz tylko jeden cel: dopaść Claytona Cleavera.

*

Następny dzień był słoneczny. Ben poczekał do godziny dziewiątej i wykręcił numer telefonu, który dostał od Skida McClusky'ego. W słuchawce poważny głos mężczyzny z namaszczeniem zakomunikował: Rezydencja panny Vale. Ben powiedział, że jest bliskim przyjacielem rodziny Bradburych, że właśnie przejeżdża przez Savannah i ma nadzieję, że będzie się mógł zobaczyć z panną Vale. Głosem brzmiącym jeszcze poważniej rozmówca poprosił Bena o chwilę cierpliwości.

Gdy do telefonu podeszła panna Vale, Ben od razu poczuł do niej sympatię. Jej głos sugerował mocną, pewną siebie starszą damę. Choć brzmiał formalnie, miał w sobie ciepło. Powiedziała, że jest ogromnie szczęśliwa, mogąc rozmawiać z przyjacielem rodziny Bradburych, po czym spytała, czy nie zechciałby wpaść na kawę. Teraz jest zajęta, ale czy mogą się spotkać po godzinie jedenastej?

Wolny czas Ben wykorzystał na zwiedzanie starej części miasta i zakup paru sztuk garderoby. Wybrał rzeczy eleganckie, nieformalne i proste - czarne dżinsy, białą koszulę, czarną marynarkę. Następnie wrócił do hotelu, wsiadł do chryslera i pojechał do posiadłości panny Vale w dzielnicy Squares.

Odsunięta od ulicy wysoka biała rezydencja w stylu kolonialnym stała pośrodku zielonego ogrodu, pełnego drzew i kwiatów. W drzwiach wejściowych powitał go z powagą kamerdyner o głębokim głosie, prawdopodobnie ten sam, z którym wcześniej rozmawiał przez telefon, i uroczyście wprowadził do szerokiego holu wejściowego z ułożoną w szachownicę marmurową podłogą i ścianami pełnymi obrazów w złotych ramach.

- Czy mógłbym zaopiekować się pańską torbą? - spytał.

- O ile to nie problem, wolałbym mieć ją przy sobie - odpowiedział Ben.

Wysoki zegar stojący wybijał godzinę jedenastą, gdy kamerdyner zapukał do salonu, otworzył podwójne skrzydła wypolerowanych drzwi z drewna orzechowego i zaanonsował:

- Pan Hope, z wizytą.

Panna Augusta Vale wstała i z uśmiechem podeszła do Bena. Była wysoka, wyprostowana i elegancka. W wieku siedemdziesięciu pięciu lat nadal zachowała niezwykłą urodę. Miała nieskazitelną cerę i piękne zęby, jej włosy sprawiały wrażenie bardziej platynowych niż siwych. Ubrana była w czarną obcisłą spódnicę i jedwabną bluzkę, na szyi miała sznur pereł. Gdy podała Benowi rękę, w świetle wpadającym przez wykuszowe okna salonu na jej palcu roziskrzył się brylant.

- Bardzo się cieszę, że pana widzę, panie Hope.

- Proszę mówić mi po imieniu. Ben.

- Ben. Czy to skrót od Benamina?

- Od Benedykta. Ale wszyscy nazywają mnie Benem.

- Benedykt to bardzo piękne imię - powiedziała stanowczo, jakby decydując, że właśnie tak będzie go nazywać.

Poprosiła, żeby usiadł, i poleciła kamerdynerowi przynieść kawę i ciasto. Sama wytwornie przycupnęła na kanapce w stylu Ludwika XIV, spod której, cicho warcząc, podejrzliwie wyjrzał mały pekińczyk.

- Ma pani piękny dom - powiedział Ben.

- Dziękuję. Znajduje się w posiadaniu naszej rodziny już od czasów Deklaracji Niepodległości. - Uśmiechnęła się. - A więc jest pan przyjacielem rodziny Bradburych - rzuciła, uważnie mu się przyglądając.

Potaknął.

- Tom i Jane przesyłają pani pozdrowienia.

- Czarujący ludzie - powiedziała. - A Oksford jest pięknym miastem. W sierpniu mam zamiar znów tam pojechać na letnie wykłady.

- Domyślam się, że żywo interesuje się pani archeologią.

- To prawda. W ten zresztą sposób spotkałam Zoë. To taka utalentowana, młoda osoba. Bardzo inteligentna. Może trochę uparta. I raczej nieprzewidywalna.

- Tak o niej mówią.

- Czy spotkał się pan z nią niedawno?

- Ostatnim razem widziałem ją, gdy była mniej więcej taka.

- Ben machnął ręką na wysokości metra.

- A więc pan nie jest jednym z jej młodych koziółków?

- Nie, nie jestem jednym z jej młodych koziółków.

Nie podjęła tematu, ale Ben odniósł wrażenie, że w jej oczach pojawił się wyraz ulgi i

jeszcze większej akceptacji jego osoby.

- Czym się zajmujesz, Benedyckie? - spytała.

- Proszę mi mówić Ben. Jestem studentem. I uczniem Toma Bradbury'ego na uniwersytecie w Oksfordzie.

- Ojej, to wspaniałe. Jesteś więc teologiem.

- Mam taki zamiar.

- W takim razie naprawdę powinieneś zacząć używać swojego pięknego imienia. Czy wiesz, co ono oznacza?

Ben milczał.

- Benedykt to „błogosławiony” - powiedziała.

- Wydaje mi się, że jestem bardziej przeklęty niż błogosławiony.

Przez moment przyglądała mu się uważniej, po czym się uśmiechnęła.

- Nie powinieneś tak mówić. Powiedz mi teraz, Benedyckie, gdzie się w Savannah zatrzymałeś?

Gdy wymienił nazwę hotelu, potrząsnęła głową i prychnęła.

- O, nie. Musisz przyjechać tutaj i zostać moim gościem.

- Nie chciałbym być dla pani ciężarem.

- Na pewno nie będziesz. Możesz zamieszkać w starej powozowni. To przybudówka, w której kwaterujemy specjalnych gości. W ten sposób na pewno nie będziesz mi w niczym przeszkadzał, ja zaś nie będę ciężarem dla ciebie.

- To bardzo uprzejme z pani strony.

- Nie przesadzaj. Poproszę teraz swojego pracownika, żeby odebrał z hotelu twoją walizkę.

Wskazał na płócienną torbę.

- To wszystko, co mam.

Panna Vale się roześmiała.

- Podróżujesz bez większego bagażu, Benedyckie. Oczywiście zjesz również z nami dzisiaj kolację.

- Z nami?

- Będę ja i Clayton, który w tym domu jest częstym gościem.

- Czy to przypadkiem nie Clayton Cleaver?

- Czyżbyś o nim już słyszał?

- Któż by o nim nie słyszał?

- Pewnie czytałeś jego książkę - rzekła.

- Obawiam się, że jeszcze nie miałem tej przyjemności.

- W takim razie od razu ci ją dam. - Potrząsnęła dzwoneczkiem i za chwilę w pokoju pojawiła się postawna czarnoskóra kobieta, którą panna Vale z uśmiechem przedstawiła.

- Benedykcie, to moja gospodyni, Mae. - Zwróciła się do niej: - Czy któraś z dziewcząt mogłaby przynieść z biblioteki książkę pana Cleavera?

- Tak jest, panno Vale - kiwnęła głową Mae i żwawo wyszła.

Oczy Augusty Vale rozbłysły.

- Musisz ją przeczytać - powiedziała. - To książka, która odmieniła moje życie. Czy wiesz, że Clayton osobiście dostał boskiego objawienia ze strony ducha Jana Apostoła?

- To musi być bardzo ciekawa książka - odparł Ben.

Wkrótce do pokoju weszła pokojówka z dużą książką w twardej oprawie i z powagą wręczyła ją pannie Vale. Stara dama podziękowała miłym uśmiechem, z widoczną przyjemnością obróciła książkę w dłoniach i przekazała Benowi.

Podziękował i położył książkę na kolanach. Głęboko tłoczony, złoty napis na okładce głosił: JAN DO MNIE PRZEMÓWIŁ, Clayton R. Cleaver.

- Clayton rozdaje ją za darmo wszystkim ubogim i społecznie upośledzonym rodzinom - powiedziała panna Vale z dumą. - To naprawdę wspaniały człowiek.

Ben otworzył książkę i szybko przejrzał przedmowę.

Dziesięć lat temu, w stanie boskiego objawienia, ukończyłem rękopis tej książki i rozesłałem wśród wszystkich wydawców w USA. Żaden nie chciał mojego dzieła opublikować. Już wcześniej wiedziałem, że tego nie zrobią, ponieważ święty Jan mnie o tym uprzedził. Powiedział też, że powinienem być wytrwały, bo moja książka w końcu musi wyjść w świat. Sprzedałem więc samochód. Sprzedałem dom. Sprzedałem wszystko, co miałem. Zamieszkałem w przyczepie kempingowej i wszystkie uzyskane środki zainwestowałem we własne wydawnictwo. Postąpiłem tak, ponieważ chciałem, żeby ta książka w końcu dotarła do Ciebie, Drogi Czytelniku. Jak się później okazało, każde słowo, które Jan wypowiedział, było prawdziwe. Książka odniosła tak wielki sukces, że w ciągu roku zgłosiły się do mnie wszystkie największe wydawnictwa, zabiegając o sprzedaż praw autorskich. Do dnia dzisiejszego Słowo Jana trafiło do ponad dwunastu milionów Amerykanów...

- Co o tym myślisz, Benedykcie? - spytała kobieta.

- Książka wygląda interesująco.

- Zatrzymaj ją - powiedziała natychmiast. - Mam wiele egzemplarzy.

- To bardzo miłe z pani strony. Bardzo chętnie ją przeczytam. Z wielką chęcią spotkam też jej autora.

Rozpromieniona panna Vale spojrzała na Bena.

- To wszystko widocznie musiało się zdarzyć. Jestem przekonana, że przypadniecie sobie do gustu.

Mae zaprowadziła Bena do powozowni. Pomieszczenie dla gości znajdowało się w parterowej przybudówce na tyłach rezydencji. Był to prawdziwy apartament z dwoma sypialniami, kuchnią, łazienką, salonem, a nawet własną jadalnią, we wszystkich pokojach stały przepiękne meble. Ben rzucił torbę na łożo z baldachimem i wrócił do salonu. Przez przeszklone drzwi ogrodowe widział wspaniały podzwrotnikowy ogród pełen palm, hiszpańskiego mchu i róż we wszystkich możliwych kolorach.

Rozglądając się po eleganckim otoczeniu i rozmyślając o przyjaznej, hojnej i czarującej właścicielce domu, nie mógł zrozumieć, co ta kobieta robi w towarzystwie takiego łobuza jak Clayton Cleaver.

Był ciekawy, jak Cleaver wygląda. Spojrzał na zegarek. Już za kilka godzin będzie wiedział więcej.

26

Zoë siedziała na łóżku, bardzo daleko od Savannah. Ręce trzymała luźno na kolanach, nieobecny wzrokiem wpatrywała się przed siebie. Z boku, na plastikowym krześle siedział doktor i robił notatki. Byli sami. Tak jak zwykle, pytania doktora były ciche i delikatne.

- Masz ładną bransoletkę, Zoë. Czy to prawdziwe złoto?

Wyprostowała ramię i przyjrzała się ogniwom bransoletki, jakby je zobaczyła po raz pierwszy.

- Myślę, że tak - mruknęła podejrzliwie. Wiedziała już, że każdy rodzaj pytania, nawet najbardziej pośredni i subtelny, był próbą dostania się do jej mózgu. Czasami chciała krzyknąć, uciekać przed doktorem, walczyć z nim do upadłego, nienawidzić go. Jednocześnie widziała w jego oczach autentyczną dobroć i bardzo chciała mu zaufać. Przeżywała rozterkę i nie wiedziała, jak sobie z nią poradzić. Była więźniem, osobą porwaną. A zarazem wydawało jej się, że ten człowiek naprawdę chce pomóc.

- Wygląda na starą robotę. Gdzie ją kupiłeś?

- Nie pamiętam, skąd ją mam. Ani od jak dawna.

- Może to prezent od bliskiej osoby? - zasugerował doktor. - Od kogoś, kto cię kocha, może krewnego? Opowiedz mi o swojej rodzinie.

- Widzę jakieś twarze. Wydaje mi się, że moich rodziców.

Kiwnął głową.

- To już postęp. Tak jak mówiłem, zaczyna ci wracać pamięć.

- Czy przypomnę sobie wszystko?

- Twój stan można określić jako pourazową amnezję wsteczną - odparł. - Utrata pamięci w tym przypadku zwykle jest przejściowa, a czas jej trwania zależy od stopnia urazu. Uderzyłaś się mocno w głowę. Ale widziałem znacznie gorsze przypadki. - Sięgnął do teczki i wyjął książkę. - Popatrz, mam coś dla ciebie.

- Gdzie ja jestem? - spytała, całkowicie ignorując książkę. Zadawała mu to pytanie już wiele razy.

Odpowiedział tak jak zawsze:

- Tam, gdzie cię wyleczymy.

W tych słowach wyczuła jednak, że nie jest to dla niego komfortowa sytuacja.

- Co się ze mną stanie? - spytała, patrząc mu prosto w oczy. Po policzku spłynęła jej łza.
Odwrócił wzrok.

- Odzyskasz pamięć.

- Ale co będzie potem? Co się stanie, jeżeli odzyskam pamięć?

Delikatnie położył książkę na łóżku.

- Zajmijmy się teraz książką, dobrze?

Spojrzała na nią. Był to kolorowy album ze zdjęciami rasowych psów.

- Po co to?

- Powiedziałaś mi, że w domu chyba miałaś psa. Może w tej książce znajdziemy jego rasę?

- Dlaczego?

- Ponieważ może to uruchomić pozostałe wspomnienia. Nasz umysł działa w taki właśnie sposób, drogą podświadomych skojarzeń. Jeden zapamiętany szczegół może odblokować inny. Gdybyśmy znaleźli tu twojego psa, może byś sobie przypomniała jego imię. Później mogłoby wrócić do ciebie powiązane z nim zdarzenie, powiedzmy jakiś dzień spędzony na plaży. W ten sposób, w relatywnie krótkim czasie moglibyśmy zacząć odzyskiwać dla pamięci obszary, które są teraz zamknięte. OK?

- OK - szepnęła.

Zaczął cierpliwie przerzucać kartki albumu. - Przyjrzyjmy się. Czy wygląda tak jak ten?
Wskazał na zdjęcie labradora.

Zmarszczyła brwi.

- Wydaje mi się, że jest mniejszy.

- No to rzućmy okiem na mniejsze. Na przykład na tego spaniela king charles. Czy twój pies jest do niego podobny?

Potrząsnęła głową.

- Nie.

- A ten?

- Też nie.

Przerzucił kolejną kartkę.

- Stop - powiedziała. - Tam.

- Ten? - wskazał. - Biały terier west highland?

Rozpoznała zdjęcie. To był mały biały piesek z jej mglistych wspomnień.

- To on. Mój pies.

- Dobrze - uśmiechnął się. - Naprawdę robimy postępy, Zoë.

- Czy wkrótce będę mogła stąd wyjechać?

- Tak.

- Kiedy?

- Tego nie jestem w stanie ci powiedzieć, wszystko zależy od twojego stanu zdrowia.

- Co ja właściwie mam pamiętać? - spytała podniesionym głosem. - To nie jest żadna terapia. Jestem tu przetrzymywana siłą. Co dla was jest tak ważne, że musicie mnie tutaj więzić?

Doktor nie mógł odpowiedzieć.

- Zajmijmy się wszystkim po kolei, OK?

*

Po skończonej sesji zostawił ją w pokoju i wyszedł. Gdy wartownik zamknął za nim drzwi, doktor przymknął oczy i ciężko westchnął.

Jesteś doktorem. Powinieneś pomagać ludziom. To, co teraz robisz, jest niewłaściwe. W co ty się, do cholery, wplątałeś?

- Jones chce się z panem zobaczyć w biurze - poinformował go wartownik.

- Później - odparł doktor.

- Jones mówi, że natychmiast.

Doktor znów westchnął i się przygarbił.

Trzy minuty później dotarł do biura. Zapukał do drzwi i wszedł. Pokój był mały i kwadratowy, z nagimi ścianami i betonową podłogą. Na biurku stał tylko telefon i laptop. Jones siedział rozparty w fotelu, na twarzy miał ironiczny uśmiezek.

Doktorowi coraz trudniej było ukrywać swoją niechęć do agenta, dałby wiele za możliwość usunięcia uśmiešku z jego twarzy. Wiedział jednak, że odwet Jonesa byłby straszny.

- Podobno chciałeś się ze mną zobaczyć?

- Czy masz dla mnie dobre wiadomości? - ostro spytał Jones.

Doktor się zawahał.

- Nie takie, jakie pewnie byś chciał usłyszeć.

Jones odchrząknął.

- Nie oczekiwałem od ciebie innej odpowiedzi. Nie możesz więc powiedzieć, że twoja terapia przynosi jakieś rezultaty, prawda?

- Wprost przeciwnie, mogę. Poza tym jest za wcześnie na wnioski.

- Może nie zdajesz sobie sprawy, co się tutaj dzieje, Greenberg. Pracujemy pod ogromną

presją czasu.

- Nie można ot tak pstryknąć palcami i spowodować, żeby ostra amnezja wsteczna migiem zniknęła. Wyniki jej testów GOAT są coraz lepsze.

- Co to takiego, do cholery, jest ten GOAT?

- To skrót od Galwestońskiego Testu na Orientację i Amnezję - odparł doktor, starając się zachować spokój.

- Nie wciskaj mi tu medycznego kitu. Wiem, że dziewczyna kłamie.

- Widziałeś wyniki wariografu.

- Wykrywacz kłamstw nie jest wiarygodny. Wiesz o tym tak dobrze jak ja.

- Posłuchaj mnie - syknął doktor. - Jesteśmy już blisko celu. Naprawdę blisko. Potrzebujemy jeszcze paru dni, tygodnia, może dwóch. Moim zdaniem ona całkowicie odzyska pamięć.

Jones potrząsnął głową.

- Dlaczego cały czas mam wrażenie, że grasz na zwłokę?

- Nie gram na żadną zwłokę.

- Grasz. Żal ci tej suki, dlatego zwlekasz. A teraz coś ci powiem. Nie dostajesz pieniędzy za to, żeby ci jej było żal. Płacimy ci za wyniki. A wyników nie masz. Dałem ci tyle swobody działania, ile tylko mogłem. Urządziliśmy dla niej całe cholerne górne piętro, żeby mogła się wprowadzić do przyjemnego pokoiku, bo powiedziałaś, że delikatne podejście jej pomoże. Ale dość już tego cackania się.

Doktor spojrział na swoje buty i zacisnął pięści.

- Co więc proponujesz?

- Wywrzyj większą presję. Są na to różne sposoby.

- O jakiej presji mówisz?

Jones wzruszył ramionami.

- Skutecznej. Reszta mnie nie obchodzi.

- Masz na myśli tortury.

Jones znów wzruszył ramionami.

- Tak jak powiedziałem: zrób to, co da rezultaty.

Doktor wlepił w niego wzrok.

- Chyba żartujesz.

Jones się nie odezwał. Wzrok miał zdecydowany i zimny.

- Poddanie jej presji spowoduje tylko, że jej wspomnienia zejną na jeszcze niższy poziom - rzekł doktor. - Po prostu nastąpi gwałtowny regres. Zresztą nie chcę mieć nic wspólnego z

torturami. Tego nie było w kontrakcie.

- Zrobisz to, co ci każe - odparł Jones. - Zaczniemy od tego. - Schwycił leżącą na biurku kartkę i gwałtownym ruchem wręczył ją doktorowi.

Doktor rzucił na nią okiem i zobaczył tylko jedno słowo - nazwę leku. Spojrzał na Jonesa z przerażeniem.

- Nie możesz jej tego zaaplikować. Nie masz potrzebnego zezwolenia. To lek eksperymentalny. I nielegalny.

- Mogę jej dać wszystko, co mi się spodoba - powiedział cicho Jones. - Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. To świństwo penetruje znacznie niższy poziom świadomości niż pentotal sodu, prawda?

- To mi się nie podoba.

- Gównu mnie to obchodzi. Odpowiedz na pytanie.

- Ten lek ma tłumić wyższe funkcje kory mózgowej i usuwać wszelkie zahamowania - wymamrotał doktor. - Teoretycznie jest to najskuteczniejsze serum prawdy, jakie dotychczas wynaleziono. Ale...

- Też o tym słyszałem.

- Jedyni, na których serum wypróbowano, byli terrorystami lub seryjnymi mordercami - powiedział doktor. - Jesteśmy w Ameryce, nie w Sierra Leone.

Jones tylko się uśmiechnął, pokazując żółte zęby.

- Słyszałeś o skutkach ubocznych?

Jones milczał.

- Istnieje dziewięćdziesiąt pięć procent pewności, że podanie leku spowoduje całkowitą i nieodwracalną psychozę. Takie są relacje i wyniki badań laboratoryjnych na szympanсах. Co ty jej chcesz zrobić? Wysmażyć mózg do wielkości orzeszka ziemnego? Chcesz, żeby spędziła resztę życia w szpitalu dla psychicznie chorych?

Jones powoli skinął głową.

- Jeżeli w ten sposób uzyskam od niej to, co chcę wiedzieć, to reszta mnie nie obchodzi.

- A więc zależy ci tylko na informacjach, a koszt ich uzyskania jest ci obojętny.

- Właśnie. Ta sprawa ma ogromne znaczenie dla moich pracodawców.

- W takim razie musisz poszukać sobie do pomocy kogoś innego. Ja nie wezmę w tym udziału.

- Czy uważasz, że masz jakiś wybór?

- Nie jesteś moim zwierzchnikiem. - Doktor odwrócił się i chciał odejść. Zatrzymał go metaliczny dźwięk odbezpieczanej broni. Spojrzał na Jonesa.

Mężczyzna celował do niego z pistoletu. W drugiej ręce trzymał telefon.

- Teraz zadzwonisz, doktoru, i zdobędziesz trochę tego serum. A później je zaaplikujesz naszej małej pacjentce i zobaczymy, kto ma rację.

Doktor zwiesił głowę. Tutaj, w tym miejscu, nie mógł się stawiać. Był w ich rękach.

- W porządku. Znam właściwego człowieka. Ale on tak po prostu recepty nie wypisze, to wszystko może potrwać nawet kilka dni.

- Za długo - orzekł Jones. - Mój pracodawca nie jest aż tak cierpliwy. - Spojrzał na zegarek. - Musisz to mieć przed północą.

- Przed północą?

- Jeśli tego nie zrobisz, to najpierw popatrzysz, jak torturuję dziewczynę, a później strzelę ci w oko - powiedział Jones. - Wybór należy do ciebie.

Ben spędził popołudnie w luksusowym apartamencie dla gości Augusty Vale, leżąc na łóżku z baldachimem i czytając książkę Cleavera.

Książka składała się z dwóch części. Pierwsza była relacją z cudownego objawienia się Jana Apostoła skromnemu kaznodziei z Alabamy oraz zdarzeń, które sprawiły, że wielebny stał się ziemskim rzecznikiem świętego. Duży fragment tekstu miał przekonać czytelnika o prawdziwości twierdzeń autora i było to zrobione bardzo umiejętnie. Ben zauważył też, że ostatnią kartkę książki można wyrwać i użyć jako formularza dla przekazu datku na rzecz Fundacji Cleavera. Jednym z celów fundacji była zbiórka pieniędzy na realizację politycznych ambicji autora.

Druga część książki skupiła się na budzącym grozę prorocестве Sądneho Dnia. Przepowiednia ta, oparta bezpośrednio na apokaliptycznym tekście z Nowego Testamentu, Księdze Objawienia, stanowi kluczowy punkt odniesienia dla milionów amerykańskich fundamentalistycznych chrześcijan, wierzących w rychłe nadejście Dni Ostatecznych.

Cleaver dobrze znał Biblię. Styl jego narracji był dobitny, energiczny, zrozumiały i całkowicie wiarygodny. Bardzo szczegółowo przedstawiał czasy mające już wkrótce nadejść, bezpośrednio odwołując się do Księgi Objawienia. Pisał o ogólnoświatowym upadku moralnym, destrukcji dotychczasowego porządku społecznego, pojawieniu się Antychrysta i wreszcie o bitwie Armagedonu, w której powracający na ziemię Chrystus pokona wrogów i poprowadzi wiernych do wiecznej chwały.

Ben zdawał sobie sprawę, że Cleaver, podobnie jak większość chrześcijańskich fundamentalistów, zakładał, że wszystkie biblijne księgi „Jana” są dziełem Jana Apostoła, lojalnego zwolennika Chrystusa, ucznia „przez Jezusa umiłowanego”, obecnego przy ukrzyżowaniu i pierwszego, który uwierzył w jego zmartwychwstanie. Według tradycyjnej doktryny, na której Cleaver oparł swoją książkę, po ukrzyżowaniu Jezusa Jan wiele podróżował, szerząc Ewangelię. Później, pojmany przez Rzymian i wrzucony do wrzącego oleju, w cudowny sposób wyszedł z opresji, nie doznając żadnych obrażeń. Ten niewygodny

dla Rzymian cud spowodował, że Jan w końcu został wygnany na odległą, leżącą u wybrzeży Turcji wyspę Patmos, gdzie stworzył swoje najdziwniejsze i najbardziej mroczne dzieło - pełną pesymistycznych wizji przepowiednię przyszłości nazwaną Księgą Objawienia. Jej tekst jest tak dramatyczny, a obrazy tam przedstawione tak wstrząsające, że nawet tysiące lat później wciąż wpływa, kto wie, czy nie coraz silniej, na ludzką wyobraźnię.

Reszta książki była poświęcona historii samego autora i dokładnie opisywała moment, w którym święty Jan mu się objawił. Apostoł w bardzo jednoznaczny sposób miał mu powiedzieć, że zbliżają się Czasy Ostateczne, na które wierni muszą się przygotować, bowiem wkrótce sytuacja zrobi się paskudna.

Wielu współczesnych uczonych nie zgadza się z tezą, że Ewangelia według świętego Jana i Księga Objawienia to dzieła jednego człowieka. Badacze twierdzą, że istniało przynajmniej trzech biblijnych Janów: Jan Ewangelista, Jan Prezbiter i Jan z Patmos.

Większość znawców Biblii uważa, że autorem księgi apokaliptycznej jest Jan z Patmos. Lecz czy to właśnie on był jednym z dwunastu apostołów Chrystusa? Gdy porównamy gwałtowność cechującą Księgę Objawienia z bardziej stonowaną i filozoficzną Ewangelią według świętego Jana, natychmiast nasuwa się wniosek, że są to dzieła dwóch różnych ludzi.

Istnieje na ten temat wiele różnych poglądów. Konserwatywni badacze uważają, że święty Jan faktycznie był autorem Objawienia, lecz w trakcie pisania mógł pozostawać pod wpływem halucynogenów. Ci bardziej radykalni z kolei twierdzą, że Jan z Patmos nie był apostołem, lecz zwykłym człowiekiem, co by oznaczało, że Księga Objawienia w ogóle nie powinna być zaliczana do Nowego Testamentu. Prześladowający wszystkich brak dowodów na poparcie którejkolwiek z tych powoduje jednak, że problem ten nie jest i prawdopodobnie nigdy nie będzie rozstrzygnięty w sposób definitywny.

Ben zauważył, że toczące się w akademickich kręgach teologicznych gorące debaty nie wywarły żadnego wpływu na podstawowe tezy książki Cleavera. Kaznodzieja z Georgii po prostu przyjął, że jego rozmowy ze świętym Janem powinny być dla wszystkich dowodem zbliżających się Czasów Ostatecznych i kropka.

Tak więc religia w jakiś sposób wiązała się z sytuacją, w której znalazła się Zoë Bradbury, a hak na Clayтона Cleavera musiał dotyczyć biblijnego proroctwa.

Jakiego rodzaju były te powiązania?

Głowił się nad odpowiedzią, kiedy nadeszła godzina siódma, a wraz z nią czas na kolację z panną Vale i jej przyjacielem.

28

Zamknął drzwi do powozowni i udał się do rezydencji. Przyjaźnie uśmiechnięta Mae wprowadziła go do imponującego holu. W salonie usłyszał głosy panny Vale i jakiegoś mężczyzny. Gdy wszedł, gość panny Vale wstał i energicznie do niego podszedł.

Mógł mieć około pięćdziesięciu pięciu lat, ubrany był w jasnoszary garnitur o włoskim kroju. Wysportowana sylwetka wskazywała, że gra w tenisa lub squasha, tylko w pasie i pod brodą zgromadził trochę zbędnej tkanki tłuszczowej. Był wzrostu Bena - miał ponad metr osiemdziesiąt. Gęste ciemne włosy zaczesywał do tyłu. Czy aby ich nie farbował? Z szerokim uśmiechem podszedł do Bena i wyciągnął rękę.

- Claytonie, to ten młody człowiek, o którym ci opowiadałam - powiedziała panna Vale. Z błyskiem w oczach wskazała Cleavera. - Benedyckie, z wielką przyjemnością przedstawiam ci mojego drogiego przyjaciela, Clayтона Cleavera. A może powinnam powiedzieć: gubernatora Cleavera?

Cleaver błysnął białymi zębami.

- Jak Bóg da, Augusto, jak Bóg da. Przed nami daleka droga.

- Mając poparcie dziewięćdziesięciu procent wyborców w Georgii - powiedziała panna Vale - niebawem osiągniesz swój cel.

Cleaver chwycił dłoń Bena i mocno nią potrząsnął. Miał suchy, mocny uścisk, z Benem przywitał się jak z dawno niewidzianym bratem. - Spotkanie z tobą to dla mnie prawdziwa przyjemność, Benedyckie - wyznał otwarcie. - Czy mogę nazywać cię Benedyktem?

- Ja też nie mogłem się doczekać spotkania z panem, panie Cleaver.

- Proszę, mów mi Clayton. Augusta twierdzi, że jesteś wierzący. To wspaniała wiadomość. Po prostu wspaniała.

Weszła pokojówka, niosąc tacę z tartinkami i koktajle z martini. Przez chwilę prowadzili niezobowiązującą rozmowę o różnicach pogody między Anglią i Georgią, o miejscach, które Ben koniecznie powinien zobaczyć podczas swojego pobytu w Savannah, i o studiach teologicznych w Oksfordzie.

- To twój ostatni rok, czeka cię specjalizacja - powiedział Cleaver. - Czy wybrałeś już jakiś kierunek, Benedyckie?

- Tak, już zdecydowałem. - Upił łyk z kieliszka. - Jako temat dysertacji na zakończenie

ostatniego roku wybrałem prorocstwo biblijne.

Panna Vale i Cleaver wymienili między sobą znaczące, pełne aprobaty spojrzenia.

- Po prostu jestem pewna, że to wszystko miało się właśnie tak ułożyć - powiedziała Augusta. - Nie mogłeś marzyć o lepszym dla siebie towarzystwie, Benedyckie. Czy znalazłeś czas na...

- Na przeczytanie książki Claytona? - uzupełnił Ben. - Czytałem ją całe popołudnie. Nie mogłem się od niej oderwać.

- Coś takiego, dziękuję, synu. Mogę podpisać twój egzemplarz, jeżeli chcesz.

- Będę zaszczycony.

Do pokoju ceremonialnie wszedł kamerdyner i oznajmił, że kolacja jest gotowa. Ben podążył za panną Vale i Claytonem do imponującej jadalni. Na stole mierzącym co najmniej pięć metrów długości mieniła się w świetle kryształowego kandelabru srebrna zastawa. U szczytu usiadła panna Vale. Ben, jako gość honorowy, został posadzony po jej prawej stronie, Cleaver naprzeciwko niego. Służąca uniosła pokrywę srebrnego naczynia.

- Wędzony łosoś pochodzi z własnej hodowli panny Vale. Na całym Południu lepszego się nie uświadczy.

Jedli i pili szampana, Cleaver zachowywał się, jakby był u siebie w domu.

- A więc, Benedyckie. Mówiliśmy o prorocестве biblijnym...

- Możesz go pytać o wszystko - panna Vale zachęcała Bena. - Nikt nie zna Biblii tak dobrze jak Clayton.

- Dla młodego badacza Biblii nasze czasy to okres nadzwyczaj interesujący - rzekł Cleaver. - Czas próby nie jest blisko, ten czas już nadszedł.

- W książce stanowczo twierdzisz, że wielkie apokaliptyczne przepowiednie biblijne wkrótce się spełnią.

- Dobrze zrozumiałeś, Benedyckie. Wiesz, że tak będzie.

- Znam różne interpretacje badaczy Pisma Świętego w tej dziedzinie - odparł Ben. - Niektórzy teologowie twierdzą, że Księga Objawienia nie powinna być uważana za część Nowego Testamentu.

Cleaver poczerwieniał.

- To wierutne bzdury, a nie interpretacje. - Spojrzał na pannę Vale. - Przepraszam cię za użyty język, Augusto, ale mam już po uszy tego rodzaju badaczy. Wydaje się, że wszyscy ci ludzie chodzą po ziemi z zamkniętymi oczami. - Zacisnął pięść na stole. - Rozejrzyj się i poszukaj znaków, Benedyckie. Państwa, praworządność, różne gospodarki, rozmaite kultury, cały system naszego świata jest o krok od katastrofy. Za rogiem czają się totalny chaos i

destrukcja. Jest dokładnie tak, jak przewidziało Pismo Święte. - Dla większego efektu pogroził im palcem. - Wszelkie znaki już są. Nadeszła więc pora, by się przygotować na wpuszczenie Jezusa Chrystusa do naszych serc, ponieważ stoimy na krawędzi Czasów Ostatecznych. Jak więc w takiej sytuacji niektórzy badacze mogą nadal kręcić się w kółko i zajmować jakimiś interpretacjami? Jak zresztą można w dosłowny sposób tłumaczyć Słowo Boże? Czy nie lepiej otworzyć uszy na to, co sam Bóg raczy nam powiedzieć? - Cleaver przerwał, upił łyk szampana.

Występ był dopracowany co do ostatniego szczegółu. Clayton niewątpliwie był świetnym showmanem. Teraz, na wyłączny użytek panny Vale, natychmiastowo potrafił przywdziać szaty teleewangelisty. Patrząc na jej twarz, Ben zdał sobie sprawę, że ta kobieta znajduje się pod ogromnym wpływem Cleavera, że w jej oczach kaznodzieja wart jest każdego centa ze stu milionów dolarów, które mu podarowała. Ben nie wiedział tylko, czy dzień wypłaty już nastąpił. Sądząc po spokoju wielebnego i jego pewności siebie, mógł to mieć już za sobą.

- Czy wiesz, Benedykcie - kontynuował Cleaver - że sondaż przeprowadzony w dwa tysiące drugim roku pokazał, że sześćdziesiąt procent Amerykanów jest zdania, iż przepowiednie Jana z Księgi Objawienia się spełnią. Dwadzieścia procent z nich, a więc mówimy tu o pięćdziesięciu milionach amerykańskich wiernych, wierzy, że nastąpi to za ich życia. Wiemy, że wszystko to zdarzy się już wkrótce, po każdym włączeniu telewizora nabieramy pewności, że proces ten przyspiesza. - Cleaver wbił wzrok w Bena. Zastukał palcem w stół. - Czy tej wiosny nie dostrzegłeś nic dziwnego, Benedykcie?

- Zbyt wcześnie pojawiły się wszystkie rośliny?

- Otóż to. I to nie tylko w Anglii. U nas było podobnie. Pogoda zwariowała. Pory roku nie są już prawdziwymi porami roku. Do trzęsień ziemi i powodzi dochodzi tam, gdzie ich nigdy wcześniej nie było. Niektórzy nazywają to globalnym ociepleniem. Zresztą ja też uważam, że jest to globalne ocieplenie. I wiesz, co ci powiem - wszystko to jest opisane w Księdze Objawienia. Katastrofy, które zrównują miasta z ziemią. Słońce, które praży z taką siłą, że obraca wszystko w popiół.

- Nie zapominajmy o gigantycznym gradzie - dodał Ben. - *I grad ogromny o wadze jakby talentu spadł z nieba na ludzi.*

- Znasz Biblię. Talent to około trzydziestu pięciu kilogramów - powiedział Cleaver. - Oczywiście są jeszcze plagi. Wiesz sam, Benedykcie, że przez cały czas zagrażają nam superwirusy, że coraz częstsze są przypadki ptasiej grypy czy nieuleczalnych, nowych odmian gruźlicy. - Zamachał rękami. - Otwierasz magazyn „New Scientist” i co widzisz? Czytasz o pladze afrykańskiej szarańczy na południu Francji. Dokładnie tak, jak to przepowiedziała

Biblia. Kto wie, co nas jeszcze czeka w najbliższej przyszłości? - Wyrznął pięścią w stół. - Teraz odpowiem ci na to pytanie. Jan wie. I mi o tym wszystkim mówi.

- Kiedy słucham, jak Clayton przemawia - wykrztusiła panna Vale - dostaję gęsiej skórki.

- Chciałbym, żeby to było wszystko - odparł Cleaver - ale tak nie jest. Później, pośród tego chaosu, Jan przepowiedział powstanie jednego, ogólnoswiatowego rządu. Rządu Szatana. *A on sprawia, że wszyscy: mali i wielcy, bogaci i biedni, wolni i niewolnicy otrzymują znamię na prawą rękę lub na czoło i że nikt nie może kupić ni sprzedać, kto nie ma znamienia - imienia Bestii lub liczby jej imienia.* Cleaver uśmiechnął się. - Czy znasz to, Benedykcie?

- *Tu jest potrzebna mądrość* - rzekł Ben. - *Kto ma rozum, niech liczbę Bestii przeliczy: liczba to bowiem człowieka. A liczba jego: sześćset sześćdziesiąt sześć.* Księga Objawienia, rozdział trzynasty, wersety od szesnastego do osiemnastego.

- Jesteś wykształconym człowiekiem. Czy jednak rozumiesz, co to rzeczywiście znaczy? Wszystko już się zaczęło. Siły zła próbują nas osaczyć. Ogólnoswiatowa waluta. Już następują do niej przymiarki, spójrz na swoje euro. Karty kredytowe. Używasz karty kredytowej, Benedykcie?

- Nie używam.

- Mądrze robisz. Są też kody kreskowe. Liczba sześćset sześćdziesiąt sześć jest wszędzie wokół nas. Cały czas powstają coraz bardziej podstępne technologie, które chcą się zagnieździć w ludzkich głowach. - Cleaver sięgnął po dokładkę jedzenia. - Kolejna sprawa to niepokój na Bliskim Wschodzie - kontynuował. - I znów widzimy już wcześniej przepowiedziane znaki. Biblia przewidywała, że wybrany przez Boga naród otrzyma swoją Ziemię Obiecaną. Ponowne utworzenie państwa Izrael w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku jest sygnałem, że rzeczywiście żyjemy w Czasach Ostatecznych, że jesteśmy świadkami realizacji planu bożego. Musimy się więc przygotować na następny etap.

- Czyli na co?

- Na rozwój sytuacji, której wielu badaczy Biblii niestety nie dostrzega, bo to wymaga poszperania głębiej. Wszystko będzie się działo w Izraelu. Ten kraj jest osią biblijnego proroctwa. W ciągu najbliższych kilku lat zdarzy się rzecz następująca: święty naród Izraela zostanie zaatakowany z zewnątrz. Nie mówię przy tym o jakichś sporadycznych strzelaninach na Zachodnim Brzegu, samobójczych atakach czy nieistotnych konfliktach dyplomatycznych. Mam na myśli prawdziwą wojnę nuklearną.

- Dlaczego tak uważasz?

- *I nadciągniesz przeciwko memu ludowi, Izraelowi, jak chmura, by pokryć cały kraj. Przy*

końcu dni to się stanie. - Cleaver ponuro się uśmiechnął. - Agresor to Gog. Ze starożytnego królestwa Magoga w centrum Persji, którą dziś nazywamy Iranem. To oni wystrzelą rakiety na Izrael, co zapoczątkuje totalną wojnę.

- Czy jesteś pewien, że to właśnie mówi Biblia? - spytał Ben. - Że narody muzułmańskie wypowiedzą Żydom wojnę?

- Nie mam żadnej wątpliwości - odparł Cleaver. - A skutki tej decyzji będą tragiczne. Atak na Izrael spowoduje, że świat zacznie realizować scenariusz przedstawiony przez Księgę Objawienia.

- Uważasz więc, że zniszczenie Izraela jest częścią boskiego planu?

- Bóg nie pozwoli zniszczyć Izraela - rzekł Cleaver. - Agresor może wystrzelić każdą, jaką tylko chce, rakietę, ale w Ziemi Świętej nie ucierpi nawet źdźbło trawy. *Ale w dniu, w którym przybędzie Gog do kraju Izraela, gniew mój we Mnie zapłonie.* - Widzisz? Bóg wkroczy, aby obronić Izrael i zniszczyć jego wrogów.

Tym razem Ben tylko się uśmiechnął.

- Rozwój wypadków nabierze tempa - kontynuował niezrażony Cleaver. - W wyniku tej strasznej wojny świat zdecyduje się na podpisanie umowy pokojowej. Prawdopodobnie nastąpi to pod egidą jednego z europejskich liderów, kogoś o wielkim uroku i charyzmie, głoszącego, że jest przyjacielem wszystkich ludzi.

- Masz na myśli Antychrysta.

Cleaver skinął głową.

- Jeździec na Białym Koniu. Objawienie, rozdział szósty. Pojawi się, by podbijać, szerzyć ogień i zniszczenie, wszystkich nas zniewolić. Syn Szatana we własnej osobie. Przykro mi, że to mówię, ale może on być Anglikiem. Wybacz.

- Nie czuję się urażony - odparł Ben. - I wydaje mi się, że wiem, o kim mówisz.

Cleaver wybuchnął śmiechem.

Panna Vale zmarszczyła brwi.

- To nie jest temat do żartów, chłopcy!

- Masz rację, Augusto - rzekł Cleaver. - Ponieważ sytuacja, i tak już zła, tylko się pogorszy. Siły Antychrysta zawładną światem. Tym razem już bez żadnych ceregieli, rozumiesz. Po prostu przyjdą i przejmą władzę. Ci zaś, którzy się im sprzeciwią, zginą. Będzie to początek Wielkiej Trybulacji. Jan szeroko to omawia w Księdze Objawienia. Grad, ogień, zniszczenie szaty roślinnej. Morza pełne krwi. Jadowita szarańcza. Masowe tortury. Miliardy ludzi zabitych w najokropniejszy sposób. Wierni okrutnie prześladowani, dążenie Antychrysta do uzyskania władzy absolutnej. Siedem lat naprawdę strasznych katuszy, przy

których nazistowski Holokaust będzie wyglądał na niewinną zabawę.

- *Będzie bowiem wówczas wielki ucisk, jakiego nie było od początku świata aż dotąd* - dodał Ben.

Cleaver poważnie skinął głową i spojrzał się na pannę Vale, która z rozpaczą w oczach wpatrywała się w stojący przed nią talerz.

- Będą jednak wyjątki - rzeki miękko Cleaver. - Jakimś pocieszeniem może być twierdzenie Biblii, że na pewnym etapie Trybulacji wierni zostaną wybawieni od bólu i tortur.

- Wniebowzięcie - powiedział Ben. - *Sam bowiem Pan zstąpi z nieba na hasło i na głos archaniola, i na dźwięk trąby Bożej. Potem będziemy porwani na obłoki naprzeciw Pana, i w ten sposób zawsze będziemy z Panem.*

- Amen - szepnęła panna Vale.

Cleaver uśmiechnął się do Bena.

- Cieszę się, że wpuściłeś Naszego Pana Jezusa Chrystusa do swojego serca, Benedykcie. Bolałoby mnie bardzo, gdybyś był pozostawiony samemu sobie. Nikt bowiem z Trybulacji nie ujdzie z życiem.

- Gdy siedem lat dobiegnie końca, Chrystus wróci, aby stawić czoło swojemu wrogowi w bitwie Armagedonu - rzekł Ben.

- Tak będzie - odpowiedział Cleaver. - Wtedy nastąpi złoty okres dla wszystkich chrześcijan, którzy w czasach ciemności nie wyrzekli się swojej wiary. Nagroda, którą otrzymają, będzie doprawdy wielka.

*

Po kolacji wrócili do salonu, gdzie na tacy już na nich czekała karafka z brandy i kryształowe kieliszki. Panna Vale przeprosiła i na chwilę wyszła.

- To była bardzo ciekawa dyskusja, Claytonie - powiedział Ben, siadając w fotelu z kieliszkiem brandy. - Chciałbym jednak porozmawiać z tobą o czymś innym.

Clayton rozłożył ręce. - Strzelaj, synu.

- W rzeczywistości chcę pomówić o pewnej osobie.

- Naprawdę? O kogo ci chodzi?

- O Zoë Bradbury. - Ben obserwował twarz Cleavera, dając mu czas na przyswojenie informacji.

Cleaver z wysiłkiem zachował spokój.

- Taak? - wykrztusił, nerwowo przełykając ślinę.

- Wiesz, o kim mówię - powiedział Ben.

- Słyszałem o niej - odparł Cleaver chłodno, przyglądając się swoim paznokciom. -
Wydaje mi się, że jest przyjaciółką Augusty.

- Twoją chyba nie jest, to fakt.

Cleaver twardo spojrzał się na Bena.

- Co właściwie masz na myśli?

- Dwadzieścia pięć kawalków, które od ciebie dostała. I dziesięć milionów, na które liczyła.

Przez chwilę Cleaver milczał.

- Słyszałeś o tym?

- Wiem też o Skidzie McCluskim. Mam nadzieję, że powiesz mi coś więcej na ten temat.

- Właściwie kim ty, do cholery, jesteś?

- Kimś, kto szuka odpowiedzi na pytania. I je znajduje.

Cleaver bawił się kieliszkiem. Wyraźnie zbladł.

- Uważam, ee, Benedykcie, że ten temat powinniśmy przedyskutować gdzieś indziej. W cztery oczy.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparł Ben. - Jestem pewny, że nie chcesz, by zbyt wiele dotarło do uszu panny Vale. Sporo w nią zainwestowałeś.

Cleaver milczał.

- Nie myśl też, że się mnie pozbędziesz - mówił dalej Ben. - Musisz ze mną porozmawiać.

Augusta wróciła w towarzystwie pokojówki, niosącej na srebrnej tacy dzbanek z kawą i trzy delikatne, białe porcelanowe filiżanki na spodeczkach. Uśmiechnęła się.

- Właśnie się zastanawiałam, czy nasz nowy przyjaciel nie chciałby obejrzyć jutrzejszych zawodów.

Cleaver zaśmiał się nerwowo.

- Augusto, to nie jest coś, co Benedyktowi mogłoby przypaść do gustu. On jest Anglikiem, pamiętaj.

Panna Vale zatrzepotała rzęsami.

- Czyżby w Anglii nie używali strzelb? - Ze zdziwieniem przyjrzała się Cleaverowi. - Claytonie, czy się dobrze czujesz? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

- Nic mi nie jest, dziękuję ci za troskę - odparł Cleaver. - Może trochę za dużo zjadłem.

- Co to za zawody? - spytał Ben.

Cleaver robił wszystko, aby w towarzystwie Augusty Vale znów wyglądać normalnie.

- To tylko taka mała impreza, którą corocznie u siebie organizuję - bąknął. - Ale...

Panna Vale wybuchła śmiechem.

- Mała impreza? Clayton jest taki skromny. Przyjadą najlepsi strzelcy z Georgii, Alabamy i Missisipi. Dwadzieścia dolarów za bilet, oczekujemy co najmniej dwóch tysięcy gości.

- Wszystkie dochody, oczywiście, będą przeznaczone na cele dobroczynne - wtrącił Cleaver, próbując się uśmiechnąć.

- Oczywiście - odparł Ben, nie spuszczać oczu z rozmówcy.

- Trafiają na konto Szpitala Dobroczynnego pod egidą Fundacji Vale. Ten szpital jest jednym z projektów wspieranych przez moją organizację charytatywną - wyjaśniła panna Vale, widząc pytający wzrok Bena. - Pomagamy biednym i społecznie upośledzonym rodzinom z Georgii i Alabamy, które nie mogą sobie pozwolić na ubezpieczenie zdrowotne. - Uśmiechnęła się smutno. - W zeszłym roku uruchomiliśmy nowe skrzydło, świadczące bezpłatne usługi medyczne dzieciom chorym na raka. Ta działalność jest tak bardzo potrzebna, że myślę o jej rozszerzeniu. Dlatego też podczas tegorocznych zawodów chciałabym przyciągnąć nowych sponsorów, to by nam pozwoliło na zwiększenie pomocy dla najbardziej potrzebujących.

- Brzmi to pięknie, panno Vale - rzekł Ben, wpatrując się w Cleavera.

- Musisz przyjechać - odpowiedziała. - To będzie wspaniały dzień.

Cleaver zaczerwienił się i odchrząknął.

- Ale, Augusto, jak już powiedziałem, może to nie jest coś, co Benedykt...

- Bardzo chętnie to zobaczę - powiedział Ben.

29

dzień piętnasty

Posiadłość wielebnego Cleavera leżała piętnaście kilometrów na zachód od Savannah. W miarę upływu godzin poranka powietrze stawało się coraz cięższe i bardziej wilgotne. Okolica była płaska, lecz malownicza. Po obu stronach drogi, aż po horyzont, rozciągały się dębowe lasy.

Za tablicą informującą o zawodach Ben zjechał z autostrady i po trzech kilometrach jazdy prywatną drogą dotarł w towarzystwie innych samochodów na miejsce. Gdy pokonał ostatni zakręt, ujrzał przed sobą wielki plac i setki stojących na nim aut. Zaparkował i z torbą przerzuconą przez ramię wyszedł na prażące słońce.

Przejęta perspektywą niezwykłego dnia panna Vale wyjechała z Savannah limuzyną z szoferem bardzo wczesnie rano. Do ostatniej chwili była tak zaaferowana telefonami i ustalaniem szczegółów organizacyjnych, że Ben nie miał okazji dowiedzieć się czegoś więcej o sponsorach dzisiejszych zawodów. Rozglądając się po parkingu, daleko w rogu dostrzegł jej majestatycznego białego lincolna Continental.

Posiadłość Cleavera musiała się ciągnąć kilometrami, samo pole parkingowe miało znacznie ponad hektar powierzchni. Z parkingu tłum przechodził na sąsiedni kilkakrotnie większy plac, gdzie na przyjezdnych czekały dziesiątki różnych stoisk i namiotów. Kręciło się tam już co najmniej dwa tysiące osób, goście pod gołym niebem jedli, pili, rozmawiali i bawili się. Sądząc po liczbie obecnych tu kobiet i dzieci, dzisiejsza impreza była traktowana w kategoriach rozrywki rodzinnej.

Zawody musiały stanowić ważne wydarzenie medialne, bo blisko wejścia stały telewizyjne ciężarówki, wszędzie widać było kamery i dziennikarzy. W środku tłumu królował wielki namiot z logo Fundacji Augusty Vale, obok niego sprzedawcy gorących posiłków oferowali na kartonowych talerzykach pieczone kurczaki, kolby kukurydzy z masłem, hamburgery i frytki. Na stoisku NRA [Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie] rozdawano ulotki z informacjami o zasadach bezpieczeństwa. Gdzie indziej sprzedawano broń, amunicję, książki, czasopisma, nauszniki przeciwhałasowe, wszelkiego rodzaju sprzęt

myśliwski. Takiej ilości zgromadzonych w jednym miejscu akcesoriów strzeleckich Ben nigdy jeszcze nie widział.

Podszedł do ogrodzenia i osłaniając oczy przed słońcem, przyjrzał się strzelnicy. Widok był imponujący - wielki obszar po wykarczowanym lesie, z ustawionymi w odległości 100, 500 i 1000 metrów tarczami, rozciągał się aż po horyzont. Przy jego końcu usypano solidny wał z ziemi, który miał zapobiegać lądowaniu zbłąkanych pocisków na terenie sąsiedniego stanu. Osobna strefa była wytyczona dla widzów, zawodnicy mieli do dyspozycji dobrze przygotowane stanowiska ogniowe z matami i podpórkami na broń.

Zawody mniejszej rangi odbywały się nieopodal głównej strzelnicy. Była tam nawet strzelnica dla dzieci, na której instruktorzy NRA demonstrowali juniorom podstawowe zasady bezpieczeństwa i obchodzenia się z bronią małokalibrową.

Z programu przybitego na słupie obok stanowiska sędziego Ben wywnioskował, że zawody broni mniejszego kalibru już się zakończyły; obok wisiała tablica z nazwiskami zwycięzców poszczególnych kategorii. Głównym punktem dnia były jednak zawody w klasie otwartej dla broni wielkokalibrowej, które miały rozpocząć się za chwilę. Startujący w nich zawodnicy podchodzili już do swoich stanowisk ogniowych, otwierali futerały na broń, przeglądali karabiny.

Zawody strzeleckie nie były jednak dla Bena najważniejsze. Przyjechał tu, żeby dopaść Clayтона Cleavera i wycisnąć z niego prawdę.

Strategia nie była zbyt skomplikowana, bo lubił proste plany. Ten nie był wyjątkiem. Jeżeli Cleaver od razu się nie przyzna i nie powie, co się stało z Zoë, zmusi go do tego siłą. Zresztą, niezależnie od tego, czy Zoë żyła, czy nie, los Cleavera i tak był przesądzony. Musi zapłacić za śmierć Charliego. Po odbytej rozmowie Ben zamierzał zaprowadzić go w ustronne miejsce i zabić. A później wrócić do domu i swojego przerwane życie.

Zastanawiał się, gdzie teraz może być Cleaver. W oddali widział jego dom - prześwitujący przez drzewa duży biały budynek w kolonialnym stylu, z kolumnami i werandą. Gniewnie zacisnął pięści, przez chwilę zmagając się z chęcią złożenia gospodarzowi natychmiastowej wizyty.

Wreszcie go dostrzegł. *Oczywiście*. Powinien pamiętać, że tacy ludzie nie stronią od zgiełku i reporterów. Cleaver znajdował się pośrodku tłumu zgromadzonego wokół namiotu z napisem Fundacja Augusty Vale. Otoczony fotografami prasowymi ścisnął wyciągane do niego dłonie, szeroki uśmiech nie schodził mu z ust. Koło niego stała elegancka, jak zawsze taktowna Augusta Vale, która jednocześnie dyrygowała asystentami i rozmawiała ze zgromadzonymi gośćmi. Na widok zbliżającego się Bena skinęła ręką. Uśmiechnął się i

odwzajemnił jej gest.

Cleaver, gdy tylko go zauważył, głośno oznajmił, że musi teraz załatwić inne ważne sprawy, i wtopił się w tłum.

- I tak wkrótce się zobaczymy - mruknął pod nosem Ben.

Podszedł do panny Vale, która ujęła go pod rękę.

- Jest wspaniale, prawda? Popatrz na tych wszystkich ludzi. - Spojrzała na niego promiennie. - Jest tu ktoś, kogo powinieneś poznać. - Zwróciła się do dwóch stojących obok asystentek, z których jedna była przysadzistą kobietą o rudych włosach, a druga wyglądającą na Japonkę, atrakcyjną dziewczyną w wieku dwudziestu paru lat.

- Harriet, gdzie jest młody Carl? Już za kwadrans dwunasta, za piętnaście minut zaczynają się zawody.

- Chyba właśnie przyjechał - odparła rudowłosa Harriet.

- No tak, w ostatniej chwili. Chyba będę musiała mu powiedzieć coś do słuchu.

Japonka z uśmiechem spojrzała na Bena.

- Wyjdźmy mu na spotkanie - powiedziała panna Vale.

Ruszyli w stronę parkingu. Augusta rozmawiała z Harriet, Ben z Japonką zostali z tyłu.

- Mam na imię Maggie - powiedziała. - Miło mi.

- Ben - odpowiedział. - Pracujesz w fundacji Vale?

Skinęła głową.

- Panna Vale opowiedziała nam o tobie.

- Naprawdę? Kto to jest ten Carl, którego mam poznać?

- To jeden z ulubieńców panny Vale - odparła Maggie. - Fundacja umożliwia wielu dzieciom z niezamożnych rodzin naukę w szkole średniej. Wspieramy ich i przygotowujemy do życia. Carl Rivers ma dopiero dziewiętnaście lat, lecz jest już mistrzem w strzelectwie. Fundacja opłaca koszty jego treningu, mamy nadzieję, że pewnego dnia, na olimpiadzie, będzie reprezentował USA.

- Ciekawe - powiedział Ben.

- Panna Vale wymyśliła dzisiaj specjalną imprezę dla sponsorów tegorocznych zawodów. Do puli nagród dołożyła sto tysięcy dolarów i namówiła mnóstwo innych bogatych ludzi, aby również wsparli jej pupila. Carl będzie się musiał zmierzyć z zawodowymi strzelcami z pięciu różnych stanów, ale jesteśmy dobrej myśli. Jeżeli wygra otwartą klasę konkursu karabinu wielkokalibrowego, zdobędziemy pół miliona na szpital. To dla nas naprawdę ważne.

- Panna Vale mówiła mi o dziecięcym skrzydle szpitala.

Maggie smutno pokiwała głową.

- Tak, to naprawdę przykre.

Doszli do wydzielonego obok strzelnicy parkingu dla zawodników.

Przy poobijanym pontiacu stał czarnoskóry chłopak w towarzystwie białego kolegi. Kolega ubrany w podarte na kolanach dzinsy był chudy i sprawiał wrażenie niezdary. Nosił tak silne szkła, że w oprawkach widać było tylko jego powiększone oczy. Właśnie wyciągał z bagażnika samochodu długi czarny futerał na karabin.

- Przypuszczam, że Carl Rivers to nie ten w okularach - powiedział Ben.

Maggie zaśmiała się.

- Nie, to Andy. Myślę, że Andy nie jest najlepszym strzelcem.

Carl prowadził ożywioną dyskusję ze swoim przyjacielem, prawą rękę oparł o bagażnik samochodu. Andy położył futerał na trawie i musiał powiedzieć coś śmiesznego, bo Carl odchylił głowę i wybuchnął śmiechem. Śmiał się też Andy, mrużąc oczy powiększone przez szkła. W pewnej chwili sięgnął ręką do bagażnika i zatrzasnął jego klapę. Prosto na palcach Carla.

Śmiech przeszedł w skowyt bólu. Carl podskakiwał, kręcił się w kółko i wciskał zranione palce między nogi.

Podbiegła panna Vale. - Drogie dziecko, niech się przyjrzę.

- Co, do diabła, się stało? - spytała wystraszona Maggie.

Carl miał powody, aby krzyczeć. Ben przyjrzał się dłoni chłopaka i stwierdził, że pierwsze trzy palce są zmiążdżone.

- Możesz je zgiąć? - spytał Ben.

Gdy Carl spróbował nimi poruszyć, krzyknął z bólu.

- To mi wygląda na złamanie - stwierdził Ben.

- Niedaleko jest namiot, gdzie udzielają pierwszej pomocy - powiedziała panna Vale. Zaniepokojona patrzyła na Carla, z bólu przygryzającego wargi.

- Mogłabym opatrzyć ci palce, ale lepiej, żeby to zrobił lekarz.

- Słusznie - odrzekł Ben.

- Ale miałem dzisiaj startować - zaprotestował chłopak.

Zaraz po słowach Carla głos w głośnikach oznajmił, że za chwilę zacznie się konkurencja karabinu wielkokalibrowego i że zawodnicy są proszeni o zajęcie miejsc na stanowiskach strzeleckich.

Szybko zaprowadzili Carla do namiotu z pierwszą pomocą, gdzie pielęgniarka opatrzyła i zabandażowała mu palce. Powiedziała też, że Carl, i to jak najszybciej, powinien zgłosić się do szpitala na prześwietlenie.

- Ale ja nie mogę, zaraz muszę strzelać - oponował Carl.

- Na pewno nie tymi palcami - stwierdziła sucho pielęgniarka. - Chyba że, synu, umiesz strzelać z lewej ręki.

Carl omal nie rozplakał się z bólu i frustracji. Wyszli z namiotu i skierowali się z powrotem do samochodu. Z tyłu, nie szczędząc bezużytecznych rad, szedł załamany Andy. Panna Vale zachowywała spokój, chociaż w jej oczach widać było rozczarowanie.

- Teraz musisz pojechać do szpitala, gdzie zajmą się twoją ręką.

- Ale pieniądze... Pieniądze na fundację...

- Nic na to, dziecko, nie poradzisz - odparła zrezygnowana. - Zobaczymy, może uda nam się zorganizować podobną imprezę w przyszłym roku.

- Czy nie ma tu kogoś, kto mógłby zastąpić Carla? - spytała Harriet. - Może jego przyjaciel?

- Andy z dziesięciu metrów nie wceluje nawet w ścianę domu - mruknął Carl i z wściekłością kopnął leżący na drodze kamień.

Od strzelnicy dochodził już odgłos kanonady. Zawodnicy zaczęli rozgrzewkę, dokonując ostatnich, minimalnych poprawek w ustawieniu broni.

- Zaczynają - jęknął Carl.

- Może ja wam pomogę - powiedział Ben.

Carl obrócił się i spojrzał na niego.

- Ty, Benedykcie? - ze zdziwieniem spytała panna Vale. - To ty umiesz strzelać?

- Kiedyś strzelałem - odparł.

Gdy zbliżyli się do pontiaca, Ben podszedł do leżącego wciąż na ziemi futerału z bronią.

- Dystans dojdzie do tysiąca metrów - powiedział niepewnie Carl, podpierając zranioną rękę i patrząc na Bena. - Czy masz pojęcie, jak mały jest cel, kiedy strzelasz z takiej odległości?

Ben kiwnął głową.

- Mam trochę doświadczenia.

- Jeżeli naprawdę chcesz spróbować, to nie widzę żadnych przeszkód - rzekł Carl. - Możesz wziąć mój karabin. Ale będziesz miał za przeciwników takich strzelców, jak Raymond Higgins czy Billy Lee Johnson z Alabamy, były instruktor snajperów piechoty morskiej. To zawodnicy klasy światowej. Wdepczą cię w błoto.

Ben zdjął z ramienia torbę i rzucił ją w trawę, następnie kucnął przy futerałach.

- Zobaczymy, co tutaj masz.

30

Odpiął zatrzaski i popatrzył na leżący w środku karabin z lunetą.

- Mogę?

- Proszę bardzo - odparł Carl.

Ben wyjął broń z wyłożonego gąbką futerału i dokładnie się jej przyjrzał. Był to model 70 samopowtarzalnego winchestera na naboje kaliber .300 H&H Magnum, wyjątkowo mocny karabin, nadający wystrzelonemu pociskowi prędkość 700 metrów na sekundę. W rękach utalentowanego strzelca broń taka potrafiła być skuteczna na wprost niewiarygodną odległość. Ben miał przed sobą najwyższej klasy sprzęt strzelecki, w który zainwestowano setki godzin pracy, by go doprowadzić do stanu mechanicznej perfekcji. Karabin miał ciężką wyczynową lufę, jego mechanizm działał płynnie, a sama luneta była warta tyle co chrysler, którym Ben tu przyjechał.

Wyjął papierosa, kciukiem otworzył i uruchomił zapalniczkę Zippo. Okazało się, że zabrakło w niej gazu. Cicho zaklął i poklepał się po kieszeniach, szukając zabranych z hotelu zapalek. W końcu je znalazł i zapalił papierosa.

- Czy jest tu coś, o czym powinienem wiedzieć?

- Ma bardzo lekki spust - powiedział Carl. - Uważaj, żeby za wcześnie nie strzelić.

- Na jaką odległość jest wyzerowany?

- Trzysta metrów.

Ben pokiwał głową, obrócił karabin w rękach, spojrział przez lunetę. Odłożył go z powrotem do futerału, otworzył pudełko z amunicją i przyjrzał się jednemu z długich, stożkowatych naboju.

- Sam je składasz?

Carl z dumą potaknął. Wzorem wielu innych wyczynowych strzelców poświęcał mnóstwo czasu na przygotowanie własnej amunicji, chcąc uzyskać optymalne proporcje między łuską, pociskiem i materiałem wybuchowym. Aż trudno było uwierzyć, że robił to wszystko tylko w tym celu, by na koniec wydrążyć małą dziurkę w płachcie papieru. Małe czarne kółko na białym tle wydawało się epicentrum jego świata.

Między strzelcami sportowymi, takimi jak Carl, a ludźmi, których nauczono strzelać do żywych celów, istnieje przepaść. Kiedyś Ben należał do tych drugich. Przez chwilę

zastanawiał się, czy jego młody kolega ma pojęcie, jakie straszne zniszczenie powoduje pocisk, który trafia w żywą istotę.

Wystrzelony na odległość tysiąca metrów pocisk pod koniec lotu wytraca swoją energię kinetyczną i porusza się po paraboli, by w swój cel uderzyć z góry. Kula, która z takiej odległości trafi wroga w czubek głowy, przebija całe ciało.

Jako młody spadochroniarz w SAS, Ben widział szczątki żołnierza, który zginął w taki właśnie sposób. Był to iracki wojskowy, zastrzelony z odległości 1200 metrów z karabinu snajperskiego kaliber .50. Ciało trafionego żołnierza zostało rozerwane na strzępy - zarówno przez pocisk, jak i wywołany trafieniem szok hydrostatyczny. Jedną z rąk ofiary znaleziono w odległości prawie stu metrów od miejsca śmierci.

Widok rozerwanego ciała przez długi czas nie dawał Benowi spokoju. A jeszcze bardziej dręczyła go świadomość, że to on był tym snajperem, który po okopaniu się na szczycie wzgórza i wielogodzinnym bezszelestnym czuwaniu zabił w ten sposób wroga.

Dzisiaj jego ofiarą miały paść tylko płachty papieru. To zaś sprawiło, że potencjalnie groźna broń Carla nabrała w oczach Bena bez mała dobrotliwego charakteru.

- Myślisz, Benedykcie, że dasz sobie radę? - spytała stojąca obok ze zmartwioną miną panna Vale.

- Spróbuję - odpowiedział. - Chociaż już od dawna nie strzelałem.

- Będziemy się za ciebie modlić. Carl, musisz pojechać do szpitala. Odwiezie cię Andy czy mam po kogoś zadzwonić?

- Nigdzie nie pojedę przed końcem zawodów - odparł Carl. - Chcę je zobaczyć.

W głośnikach usłyszeli zapowiedź sędziego, że za chwilę zaczyna się konkurs karabinu wielkokalibrowego.

- Musimy się pośpieszyć - powiedziała panna Vale.

Ben odrzucił papierosa, podniósł futerał z bronią i ruszył w stronę stanowisk strzeleckich. Z wyrazem bólu w zaczerwienionych oczach, podtrzymując zranioną rękę, podążył za nim Carl. Panna Vale poszła zgłosić sędziemu nazwisko nowego zawodnika.

Na stanowiskach czekało już trzydziestu strzelców. Ben schylił się, przeszedł pod liną oddzielającą zawodników od publiczności i zajął swoje miejsce. Z jednej strony maty położył torbę, z drugiej futerał z bronią. Wyjął winchestera. Było już za późno na próby czy rozgrzanie lufy. Sto metrów dalej pracownicy obsługi zawodów już zdejmowali tarcze treningowe i zakładali nowe.

Ben wsunął na uszy elektroniczne ochraniacze i automatycznie przybrał pozycję strzelecką dawno temu wyuczoną na treningach snajperskich. Miał nadzieję, że zadanie, przed

którym stanął, nie przerośnie jego możliwości. Czuł przyspieszone bicie serca. W takich warunkach już dawno nie strzelał. Czy aby nie zbyt dawno?

Rzucił okiem na sąsiedniego zawodnika. Na stojącej obok zielonej metalowej skrzynce z amunicją zobaczył na sposób wojskowy wytłoczone nazwisko - B. L. Johnson. Były snajper z piechoty morskiej, o którym wspominał Carl. Na sekundę ich spojrzenia się spotkały. Johnson zachowywał się inaczej niż Carl - widać było, że ten człowiek strzelał w swoim życiu nie tylko do papierowych tarcz. Uśmiechnął się do Bena - ani przyjaźnie, ani agresywnie. Ot, posłał mu krótki uśmieszek wtajemniczonego, po czym znów zajął się swoją bronią.

Patrząc na cel przez lunetę, Ben czuł, że serce zaczyna mu szybciej bić. W odległości stu metrów tarcza miała rozmiar talerza stołowego i była podzielona na serię koncentrycznych pól ze środkiem wielkości spodka. W samym centrum czarnego koła znajdowało się małe kółko, zwane oczkiem, o średnicy dużej monety. Trafienie w oczko dawało dziesięć punktów, sąsiednie pole było warte dziewięć punktów, kolejne osiem i tak dalej.

Reguły zawodów były do bólu proste. Zawodnicy mieli strzelać do tarcz oddalonych o sto, pięćset i tysiąc metrów. Dziesięć strzałów w każdą tarczę, wynik poniżej dziesięćdziesięciu oznaczał dyskwalifikację. Czekał go trudny egzamin ogniowy. Wstrzymując oddech, Ben przypiął magazynek i powoli przeładował.

Do dzieła.

Tłum zamilkł.

Gdy w ostatniej chwili zerknął przez ramię, zobaczył, że tuż za odgradzającą linią stoi panna Vale ze swoimi asystentkami oraz obserwujący go chłodno Cleaver.

Sędzia dał znak rozpoczęcia zawodów.

Ben kciukiem odbezpieczył broń i szybko dokonał niezbędnej kalkulacji balistycznej. Wiedząc, że broń jest wyzerowana na odległość trzystu metrów, musiał opuścić punkt przecięcia skrzyżowanych linii celownika o kilka centymetrów poniżej środka tarczy.

Po lewej stronie usłyszał trzask wystrzału Billy'ego Lee Johnsona, przed lufą jego karabinu wzbil się obłoczek kurzu.

Mimo zwolnionego oddechu skrzyżowane linie celownika nadal tańczyły na tarczy. W górę, dół, w bok. Spływający z czoła pot sprawił, że zaczęły go piec oczy. Zamrugał.

Wtedy w myślach zobaczył Charliego. Przypomniawszy sobie okaleczone i martwe ofiary zamachu na Korfu. Pomyślał o Nikosie Karapiperisie, Zoë Bradbury, o cierpieniu jej rodziny i o Rhondzie, której dziecko nigdy nie zobaczy ojca. Wszystko to było winą stojącego niedaleko człowieka, którego obecność prawie namacalnie odczuwał.

Gdy ludzie wpadają w złość, zachowują się różnie. Najczęściej stres zmniejsza

umiejętność koncentracji, zwalnia procesy myślowe i opóźnia refleks.

Ben na stres reagował inaczej. Zawsze potrafił kontrolować swój gniew, nadawać mu kierunek i sprawiać, żeby energia w nim zawarta działała nie przeciw niemu, lecz dla niego. Złość tylko wzmagala u niego koncentrację. Teraz pod rękami wyczuwał każdy najmniejszy szczegół kolby. Gdy znów spojrzal w lunetę, celownik był nieruchomy jak skała, a tarcza ostra i dobrze widoczna. Wyobraził sobie, że celuje w głowę Cleavera.

Opuszkciem palca lekko dotknął spustu. Pociągnął go do siebie i poczuł mocne kopnięcie karabinu w ramię. Na moment stracił cel z oczu, gdy jednak znów spojrzal przez lunetę, zobaczył mały otwór na brzegu oczka.

Chyba całkiem, jeszcze nie zapomnialeś, jak się strzela - pogratulował sobie w myślach.

Pół godziny później już wiedział, że jego wcześniejsze doświadczenie snajperskie nie poszło na marne.

Po pierwszej rundzie z trzydziestu strzelców odpadło siedmiu. Podczas dwudziestominutowej przerwy pracownicy obsługi zdjęli stare tarcze i, czterysta metrów dalej, założyli nowe. Choć w rzeczywistości były one nieco większe od poprzednich, w celowniku wydawały się wyjątkowo małe.

Zacęła się druga runda. Wiedział, że strzelanie na odległość pięciuset metrów mocno przerzedzi szeregi zawodników, i nie pomylił się. Po skończonej rundzie na placu boju zostało tylko dziewięciu - wśród nich Ben. Nadal strzelał też Billy Lee Johnson, były snajper piechoty morskiej, który, zerkając na sąsiada, już się nie uśmiechał.

Jednak Ben nie przejmował się Johnsonem. Zamiast tego cieszył się świadomością, że jest obserwowany przez Cleavera. Strzelając, przysyłał mu bezpośrednią wiadomość. Chciał, żeby Cleaver zaczął się go bać, i miał wrażenie, że jest blisko celu.

Wraz z założeniem następnych tarczy zaczął się prawdziwy test umiejętności dla pozostałych w szrankach strzelców. Z odległości tysiąca metrów, nawet przy użyciu powiększających soczewek mocnej lunety, cel wygląda mikroskopijnie. W takich warunkach nie chodzi jedynie o utrzymanie broni w bezruchu i płynne pociągnięcie za spust, bowiem na trajektorię wystrzelonego z daleka pocisku wpływają też wiatr i grawitacja. Ben wiedział, że pułap lotu pocisku w drodze do celu oddalonego o tysiąc metrów może się obniżyć nawet o metr i że należy to kompensować, celując powyżej tarczy. Czuł, że dopiero teraz rzeczywiście przyda mu się snajperskie wyszkolenie.

Sędzia dał znak do rozpoczęcia ognia. Ben przeładował, spojrzal w lunetę. Tarcza była ledwie widoczna. Tak mała, że właściwie wymykająca się ludzkim zmysłom. Jednocześnie Ben poczuł, że ten odległy cel staje się dla niego wszystkim.

Do diabła z tym.

Strzelił. Rozładował, wyrzucił łuskę, znów przeładował, wprowadził do komory kolejny nabój.

Strzelił. Karabin odskoczył od ramienia jak żywa istota. Znów rozładował. Wszedł już bez reszty w swój świat, w którym istnieli tylko strzelec, tarcza i siły stojące na przeszkodzie w drodze do celu. Zapomniał nawet o swoim karabinie, który był teraz jedynie przedłużeniem umysłu i ciała strzelca.

W tym świecie nie było miejsca nawet dla Cleavera. Strzelał, aż mu się skończyły wcześniej przygotowane naboje. Dopiero wtedy sprawdził, jak mu poszło.

Głęboko odetchnął. W tarczy była tylko jedna dziura - poszarpana na brzegach szczelina, w którą trafiły wszystkie pociski. Idealny wynik. Serce mu zabiło. Wygrał.

Radość Bena okazała się przedwczesna. Gdy pracownicy obsługi podjechali do nich wózkami golfowymi, okazało się, że do końcowej rundy przeszło jednak dwóch zawodników. Aplauz widowni był ogłuszający. Ben i Billy Lee Johnson. Ramię w ramię. Remis.

Snajper piechoty morskiej podszedł do Bena, aby mu pogratulować.

- Nieźle strzelasz, przyjacielu. Gdzie się tego nauczyłeś?

- W harcerstwie - odparł Ben.

- Remis, panowie - powiedział sędzia. - Jak to zamierzacie rozstrzygnąć?

Johnson się uśmiechnął.

- Twój wybór - rzucił Benowi.

- Cokolwiek?

Johnson skinął głową.

- Wybór należy do ciebie.

- Więc trochę przybliżmy cel - powiedział Ben. - Powiedzmy na sto metrów. Jeden strzał, lepszy wygrywa.

- Sto metrów? To jakieś żarty?

Ben nie odpowiedział.

- Jak chcesz. - Johnson teatralnie popatrzył w górę, potem na sędziego, który tylko wzruszył ramionami.

Wyszli razem na odległość stu metrów, aby ustawić tarcze.

- Poczekajcie chwilę - powiedział Ben. Ukłękł w trawie, aby zawiązać sznurowadło. Johnson i sędzia już zawrócili w stronę stanowisk strzeleckich. Wreszcie Ben wstał i truchtem do nich dołączył. Przechodząc przed rzędem widzów, zauważył, że wszyscy mu się przyglądają z ciekawością i podziwem. Nadal stała tam też panna Vale ze swoim wciąż

obserwującym go zimno towarzyszem. Ben odwzajemnił spojrzenie Cleavera i nie spuszczał z niego oczu aż do momentu, gdy wielebny zaczerwienił się i wlepił wzrok we własne buty.

Z powrotem zajęli pozycje strzeleckie.

- Ty pierwszy - powiedział Johnson.

Benowi się nie śpieszyło. Na plecach czuł gorące słońce. Wokół słyszał głośny koncert cykad, których granie w ciepłym powietrzu mieszało się z pomrukiem oczekiwania widowni.

Pod delikatnym naciskiem palca spust wreszcie ustąpił. Karabin szarpnął do tyłu i w górę, obraz celu w wizjerze lunety na chwilę zniknął.

Hałas tłumu narastał, wszyscy szukali dziury po pocisku. Na tak małą odległość, patrząc przez lunetę czy lornetkę, można było dostrzec każdy ślad na tarczy.

- Przestrzeliłeś. Całkiem poza celem - roześmiał się Johnson.

- Nawet nie trafił w papier tarczy - zawołał ktoś z tłumu. Rozległ się ogólny szmer rozczarowania.

Ben spojrział przez wizjer lunety i się uśmiechnął.

- Poczekajcie - krzyknął ktoś. - On w ogóle nie celował w żadną cholerną tarczę.

Gdy Carl dostrzegł cel Bena, prześlizgnął się pod oddzielającą zawodników od widowni liną i podszedł do niego z wytrzeszczonymi oczami.

- Rany... - wymamrotał.

W końcu również Johnson zobaczył, co się stało, i zbladł.

U stóp tarczy w niskiej trawie tkwiły dwie oddalone od siebie o dziesięć centymetrów zapalki. Jedna z nich się paliła, jej błądy płomień migotał w lekkim wietrzyku.

- Do diabła! Zapalił ją! - krzyknął ktoś.

Usta Carla były nadal otwarte, chłopak nie mógł wykrztusić z siebie słowa.

Szmer tłumu przeszedł w podnieconą wrzawę. W jednej chwili Ben stał się bohaterem.

- Nie widziałem jeszcze nigdy lepszego strzału - oznajmił sędzia, klepiąc go po ramieniu.

- Raz na milion. Nie, do cholery, na dziesięć milionów.

- To niemożliwe - rzekł Johnson. - Musiał ją zapalić wcześniej.

Sędzia potrząsnął głową.

- Wykluczone. Już by się cała spaliła. Dlatego tak długo czekałeś ze strzałem, co? - uśmiechnął się do Bena.

- Trafić w zapalkę z odległości stu metrów - wymamrotał Carl - to jedno. Ale żeby ją zapalić? - zamrugał i roześmiał się.

- Twój strzał - powiedział Ben Johnsonowi. - Została jeszcze jedna zapalka.

- Gdzie do licha się tego nauczyłeś? - spytał Johnson.

- Stara wojskowa sztuczka - odparł Ben.
- W naszym wojsku takich sztuczek nie uczą.
- W moim tak. Zwłaszcza w mojej jednostce.

Snajper piechoty morskiej odłożył karabin na bok.

- Nie dam rady - powiedział. - Nawet nie będę próbował. - Wyciągnął rękę i uściskał dłoń Bena.

To był koniec zawodów. Ben spokojnie odłożył winchestera do futerału i oddał go właścicielowi. Mimo bólu uśmiech nadal nie schodził Carlowi z twarzy. Gdy Ben wmieszał się w tłum widzów, gorąco uściskała go panna Vale.

- Myślałam, że ze zdenerwowania zemdleję - szepnęła mu do ucha.

- Carl musi teraz jechać do szpitala - powiedział Ben. Poczul, że ktoś za nim stanął. Odwróciwszy się, ujrzał drobną postać Maggie, wpatrującej się w niego z uwielbieniem.

- Ja go zawiozę - zaproponowała. - Wydaje mi się, że Andy'ego już nie ma, biedak czuł się taki winny.

Ben kiwnął głową.

- Dzięki. Miło cię było poznać, Maggie. - Spojrzał na Carla. - A ty uważaj na siebie.

- Człowieku, wciąż nie mogę uwierzyć w to, co zobaczyłem - powiedział Carl.

Maggie ujęła go za łokieć i razem poszli w stronę parkingu. Dziewczyna znowu się odwróciła, posyłając Benowi ostatnie spojrzenie.

Oparta na ramieniu Bena panna Vale nie szczędziła mu pochwał, które on z uśmiechem przyjmował. Podszedł sędzia.

- Musisz odebrać nagrodę - oznajmił. - Prasa też na ciebie czeka.

- Później - odparł Ben. Wzrokiem przeszukiwał zgromadzony tłum. Zauważył, że miejsce, w którym niedawno stał Cleaver, było już puste.

- Gdzie się podział Clayton? - zapytał pannę Vale.

- Musiał zadzwonić, przypomniał sobie o jakiejś pilnej sprawie i poszedł do domu.

- W takim razie zobaczymy się później - powiedział Ben.

- Dokąd idziesz?

- Muszę porozmawiać z Claytonem.

31

Dom Cleavera miał neoklasycystyczną fasadę i wysokie kamienne kolumny. Z zewnątrz wyglądał imponująco. Ben wszedł po schodach, otworzył drzwi i znalazł się w holu. W środku nie było już tak okazale jak u panny Vale, miało się wrażenie, że wnętrze tego domu widziało już lepsze czasy.

Z bocznych drzwi wyszła kobieta. Wyglądała na pracownicę Cleavera, mogła być jego gospodynią lub sekretarką. Na widok Bena przystanęła zdziwiona.

- Gdzie jest Cleaver? - spytał ostro.

- Kim pan jest?

- Gdzie on jest?

- Nie wiem - odparła. Jednak nerwowe spojrzenie, które rzuciła w kierunku kręconych schodów prowadzących na piętro, powiedziało mu wszystko, czego potrzebował. Przecisnął się obok niej i nie bacząc na protesty, wbiegł po dwa stopnie naraz. Znalazł się w długim korytarzu z licznymi drzwiami, które zaczął po kolei otwierać.

Za czwartymi drzwiami zobaczył Cleavera siedzącego przy biurku po drugiej stronie pokoju. Wszedł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi. Zauważył, że w wyglądającym na gabinet pomieszczeniu brakuje niektórych mebli, a na ścianach widać, robiące smutne wrażenie, ślady po wiszących tam kiedyś obrazach. Domyślił się, że Cleaver jeszcze nie wszedł w posiadanie części fortuny panny Vale.

Cleaver wstał, wyglądał na wytrąconego z równowagi. Przed nim stały butelka burbona i szklanka.

- Czas, żebyśmy porozmawiali - powiedział Ben. - A może już o wszystkim zapomniałeś?

Cleaver osunął się z powrotem w skórzany fotel, Ben przysiadł na brzegu biurka, w półmetrowej odległości od gospodarza.

Z hukiem otworzyły się drzwi, do środka wpadło dwóch mężczyzn w garniturach. Ujrawszy Bena, stanęli w pozycjach bojowych.

- Czy wszystko w porządku, proszę pana?

- Odeślij ich z powrotem - powiedział Ben. - Inaczej będziesz odpowiedzialny za to, co za chwilę się z nimi stanie.

Cleaver machnął do nich ręką.

- W porządku. Wszystko pod kontrolą.

Rzucając wymowne spojrzenia na Bena, mężczyźni wyszli i zamknęli za sobą drzwi.

- Nie jesteś studentem teologii - rzekł Cleaver.

- Jestem. Ale nie zawsze nim byłem. Wszyscy mamy tajemnice, Clayton. Teraz ty mi opowiesz o swoich.

- A jeżeli nie?

Ben sięgnął do płóciennej torby, wyciągnął z niej pistolet kaliber .475 linebaugh i wymierzył go w pierś Cleavera. - Widziałeś, jak strzelałem w środek tarczy z odległości tysiąca metrów. Z tak bliska nie mogę chybić.

- Dobrze - rzekł Cleaver. - Więc porozmawiajmy.

- Gdzie jest Zoë Bradbury?

- Na to pytanie nie znam odpowiedzi.

- Dobrze to przemyśl. Bez nóg też będziesz mógł mówić.

- Mówię prawdę. Nie wiem, gdzie ona jest.

- Nie nadużywaj mojej cierpliwości - rzekł Ben. - To niemądre.

- Co ja według ciebie jej zrobiłem?

- Szantażowała cię. Postanowiłeś nie płacić.

- Ależ ja zapłaciłem - zaprotestował Cleaver. - Natychmiast wysłałem jej uzgodnioną sumę. I zapłacę resztę, kiedy dostanę pieniądze od Augusty. Zrobię tak, jak powiedziałem. Potrafię dotrzymać słowa.

Ben uniósł pistolet na wysokość głowy Cleavera i odciągnął kurek. Ciszę pokoju zakłócił metaliczny szczęk.

Spojrząwszy w lufę pistoletu, Cleaver oblał się potem.

- Ma więc jakieś kłopoty, tak? Czy coś się jej stało?

- To ty mnie o to pytasz?

- Nigdy jej nawet palcem nie tknąłem - oświadczył Cleaver z naciskiem, ale i paniką w głosie. - Kazałem paru ludziom trochę za nią pochodzić, to wszystko.

- W Grecji, prawda? Obaj wiemy, co było później.

Cleaver zrobił zdziwioną minę.

- Wybacz, ale nie wiem, o co ci chodzi.

- Twoje gierki już mi wychodzą bokiem - odparł Ben.

- Powiedziałeś coś o Grecji. Co ma do tego Grecja?

- W Grecji kazałeś podłożyć bombę, która zabiła Charliego Parkera - powiedział Ben. - To twoi agenci zamordowali tam Nikosa Karapiperisa i porwali Zoë. Powiem ci coś więcej.

Kaplan i Hudson też nie żyją.

Na twarzy Cleavera malował się całkowity brak zrozumienia.

- Widziałem też, co twoi ludzie zrobili z nogami Skida McClusky'ego - dodał Ben.

Cleaver uniósł ręce.

- Chwileczkę. Jesteś w jednym wielkim błędzie. Nigdy nie słyszałem o żadnym Kapłanie, Hudsonie, Charliem Parkerze czy Nikosie jakimśtam. A jedynym miejscem, gdzie wysłałem swoich ludzi, żeby zobaczyli, jak ta mała się ze wszystkimi pieprzy, był dom Augusty.

Ben się zawahał. Z doświadczenia wiedział, że ludzie trzymani na muszce zwykle mówią prawdę. Miał wrażenie, że ratując życie, przerażony Cleaver rzeczywiście się wypowiedział. Jednak to, co powiedział, zabrzmiało dla Bena wysoce niewiarygodnie.

- O czym ty mówisz, Cleaver?

- Słuchaj, czy możesz zabrać ten pistolet z mojej twarzy? - spytał Cleaver. - Przeszkadza mi w mówieniu.

Ben zabezpieczył broń i trochę ją opuścił.

Cleaver odchrząknął i pociągnął spory haust burbona. Otarł pot z czoła.

- Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło - zażądał Ben.

Cleaver głęboko westchnął.

- Słyszałeś, że mam dostać pieniądze od Augusty. Nie wiem, jak się o tym dowiedziałeś, nie mam też zamiaru o to wypytywać.

Ben tylko skinął głową.

- Mów dalej.

- Augusta ma mnóstwo pieniędzy - powiedział Cleaver. - Jest miliarderką. Jest też prawdziwie dobrą chrześcijanką, toteż zaoferowała mi te sto milionów z dobroci i z potrzeby serca. Nie może mi ich jednak ot tak przekazać, ponieważ większa część tej sumy jest uwikłana w holdingi, fundusze powiernicze czy nieruchomości. Po prostu nie ma żadnego worka bez dna, do którego może sięgać, kiedy tylko potrzebuje pieniędzy.

- Dlatego, gdy pojawiła się Zoë, zaczęła się bać, że panna Vale się rozmyśli.

- Tak też, do cholery, faktycznie się stało - ze złością przyznał Cleaver. - Ta dziewczyna jest najbardziej przebiegłą dziwką i manipulatką, jaką, na swoje nieszczęście, spotkałem w całym moim życiu. Właśnie mam dostać te wszystkie pieniądze, a tu się pojawia ta nieznośna angielska gówniara i zaczyna się napraszać o sfinansowanie jakiegoś projektu, wykopalisk czy wyprawy naukowej. A Augusta, która nigdy nie miała własnych dzieci, przez cały czas mówi o niej jak o córce - wyjątkowej, wspaniałej i tak dalej. Umiem myśleć. Uznałem, że przegrałem, i to na całym froncie. - Cleaver znów łyknął burbona. - Później jednak, gdy

spotkałem Zoë, zrozumiałem, że jej zależy tylko na pieniądzu i że te jej wielkie plany są wielkim oszustwem. Ta cyniczna wyzyskiwaczka potrzebowała forsy tylko na imprezowanie i picie.

- A ty jesteś inny?

W oczach Cleavera pojawiła się złość.

- A co, może uważasz, że powinienem zrezygnować z hojności Augusty? Moja książka trafiła na rynek kilka lat temu. Pieniądze, które na niej zarobiłem, już dawno zniknęły. Zresztą jak wiele innych rzeczy. Jestem mocno zadłużony. Nie masz pojęcia, jakie są koszty działania na tak dużą skalę. Wszystko wskazuje na to, że finansowo trochę przeholowałem.

- Wyprzedajesz się z mebli i dzieł sztuki?

- To prawda. Znalazłem się w naprawdę trudnym położeniu. Augusta rzuciła mi koło ratunkowe. Musiałem z niego skorzystać. Byłbym durniem, gdybym postąpił inaczej.

- Daruj sobie te dyrdymały i przejdź do rzeczy.

- OK W towarzystwie Augusty mała Bradbury zachowywała się jak cnotka. Długie spódnice, zapinane pod szyję bluzki, wypisz, wymaluj, istne niewiniątko. Osóbka całkowicie poza wszelkim podejrzeniem. Ja jednak wiedziałem, że na mieście ta dziwka pieprzy się z każdym. A z typami w rodzaju Skida McClusky'ego robiła to nawet pod dachem Augusty. Skid był tylko jednym z jej licznych miejscowych trofeów.

- Twoi ludzie ci o tym donieśli?

Cleaver znów otarł pot z czoła.

- Zapłaciłem paru fachowcom, żeby za nią pochodzili. Wiedziałem, że w ten sposób znajdę na nią haka. To zresztą nie było takie trudne, bo przemycała swoich facetów do powozowni. Czasami nawet więcej niż jednego naraz.

Ben domyślił się, co Cleaver zrobił.

- Więc twoi ludzie ją sfilmowali. A ty użyłeś tego nagrania, aby zrazić do niej pannę Vale.

- Augusta nawet nie wiedziała, kto przysłał jej kasetę - powiedział Cleaver. - Nadawca podpisał się tylko jako „życzliwy”. Nigdy o tym nagraniu nie wspomniała. Ale zauważyłem, że jej podejście do Zoë rzeczywiście uległo zmianie, a przy kolejnej wspólnej kolacji panowała już zupełnie inna atmosfera. Zorientowałem się, że plan się powiódł. I że jeszcze nie straciłem szansy na pieniądze.

- Jednak wkrótce zaatakowała cię Zoë.

- Bo zrozumiała, że zmiana w zachowaniu Augusty była moim dziełem. Wyjechała ze Stanów, a gdy już myślałem, że nigdy więcej jej nie zobaczę, zadzwoniła do mnie.

- Wiem. Dwadzieścia pięć kawałków z góry, dziesięć milionów później.
- Czyli wiesz wszystko - rzekł Cleaver. - Zapłaciłem i zapłacę resztę. Nie ma problemu.
- Tak po prostu? Dlaczego?

- A co cię to obchodzi? Powiedziałem ci prawdę. Pogodziłem się z myślą, że jej zapłacę. Jeżeli ostatnio coś jej się przytrafiło, ja nie mam z tym nic wspólnego. A teraz, mój drogi, jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym zakończyć tę rozmowę, bo czekają mnie inne sprawy. - Cleaver zaczął się podnosić.

- Stop. Nigdzie nie idziesz. - Ben znów uniósł pistolet.
- Nie wierzysz mi?
- Chcę usłyszeć resztę. O proroctwie.

Cleaver znów usiadł w fotelu.

- Więc dlatego wczoraj wieczorem tak się interesowałeś przepowiedniami.
- Co było w pudełku, które dostarczył ci Skid McClusky?
- Fragment glinianej skorupy. Nic więcej.

Ben przypomniał sobie, że podczas lunchu w Summertown Tom Bradbury wspomniał coś o znalezieniu przez Zoë jakichś starożytnych glinianych skorup.

- Nie rozumiem - powiedział. - Dlaczego miałbyś płacić dziesięć milionów za kawałek skorupy?

- Tego ci nie powiem - odparł Cleaver.

- Nie wyjdiesz stąd, zanim tego nie zrobisz - stwierdził Ben i odbezpieczył broń. - Uwierz mi i zrób to dla swojego dobra. Mów.

- Sprawdziłem wiek skorupy metodą węglową. Zgadzał się - powiedział zrezygnowany Cleaver.

- Z czym się zgadzał?

Cleaver ze złością spojrzał na Bena. - Z czasem powstania Księgi Objawienia.

Teraz Ben, mrugając, wpatrywał się w Cleavera. - Nic nie rozumiem.

- Pokazała mi jeden mały kawałek - powiedział Cleaver.

- Resztę zachowała dla siebie.

- Resztę czego?

- Resztę dowodu. Zoë twierdzi, że znalazła zbiór glinianych tabliczek pochodzących z Grecji z czasów biblijnych. I że te tabliczki są niezbitym dowodem na to, że autorem Objawienia wcale nie był święty Jan.

- I co jeszcze?

- To wszystko, czego się od niej dowiedziałem. Nie dała mi niczego innego. Jestem

jednak zmuszony uwierzyć, że to, co mówi, jest prawdą. Nie mogę ryzykować.

- Nie jesteś zbyt pewny swoich racji - powiedział Ben.

- Dobrze, dobrze, mogę ci się przyznać. Widziałeś moją książkę. Wiesz, o czym jest.

- Że przemówił do ciebie Jan Apostoł.

Cleaver skinął głową i skrzywił się.

Ben się uśmiechnął.

- Chcesz mi powiedzieć, że tak naprawdę żaden Jan nigdy do ciebie nie przemówił.

- Oczywiście, że nie - wymamrotał Cleaver. - To, do cholery, niemożliwe. Przecież ten człowiek od prawie dwóch tysięcy lat nie żyje.

- Tak właśnie myślałem, Cleaver.

- Napisałem to, bo potrzebowałem jakiegoś nowego pomysłu - odpowiedział z rezygnacją w głosie Cleaver. - Czegoś, co by mnie wyróżniło spośród tej całej rzeszy kaznodziejów Czasów Ostatecznych.

- Masz na myśli tych uczciwych kaznodziejów - powiedział Ben. - Takich, którzy nie próbują nikogo oszukać.

- To nieważne. Wszystko, do czego w życiu doszedłem, zawdzięczam tej książce. - Cleaver wskazał rozciągającą się za oknem posiadłość. - A miliony Amerykanów uwierzyły, że mam bezpośredni kontakt ze świętym Janem i że sam Jan osobiście gwarantuje prawdę wszystkich przepowiedni z Księgi Objawienia. A później pojawia się ta mała dziwka i mówi, że wykopała coś, co mogłoby mnie całkowicie pogrążyć, i że ma w rękach poszukiwane od wieków dowody na temat prawdziwego autora Księgi Objawienia.

- I że za dziesięć milionów dolarów dobrze je ukryje.

Cleaver wykonał bezradny gest.

- Tak właśnie powiedziała. A ja musiałem ją potraktować poważnie. Gdyby była zwykłą studentką, mógłbym ją oskarżyć o błąd. Ale Zoë Bradbury, choć trudno w to uwierzyć, jest szanowanym naukowcem. Píše książki. Gdyby więc zaczęła rozpowiadać o swoim odkryciu, potraktowano by ją poważnie. Mogłaby nawet wystąpić ze swoimi rewelacjami w telewizji. A setka przeklętych badaczy Biblii tylko na to czeka. To by mnie dobiło. Koniec ze sprzedażą książek, koniec mojej kariery politycznej.

- I pa, pa stu milionom dolarów. - Cleaver smutno pokiwał głową. - Ten mały tasiemiec groził też, że o wszystkim powie Auguście. I sprawi, że w jej oczach stanę się oszustem.

- No bo nim jesteś. Przecież właśnie się do tego przyznałeś.

Przez chwilę Cleaver wyglądał przez okno.

- Dobrze. Jestem oszustem. Jestem kłamcą. Ale nikim więcej. Nigdy nikogo nie

skrzywdziłem. Ani nie wysłałem do Grecji. Nie mam pojęcia o żadnych zamachach bombowych ani o łamaniu nóg. Skida McClusky'ego spotkałem tylko raz, kiedy przyniósł mi to pudełko. To wszystko. Dałem mu pieniądze i sobie poszedł. - Twarz Cleavera robiła się coraz czerwiejsza. Wstał zza biurka. - Teraz wychodzę. Jeżeli chcesz, możesz mnie zastrzelić. Ale będziesz strzelał do niewinnego człowieka.

- Jeżeli się okaże, że mnie okłamałeś - rzekł Ben - wrócę tu, żeby cię zabić. Zrobię to albo z bliska, albo z odległości tysiąca metrów. A ty nawet się nie zorientujesz, skąd nadejdzie śmierć. Wiesz o tym, prawda?

Odprowadzał wzrokiem wychodzącego Cleavera. Miał świadomość, że gdzieś po drodze musiał popełnić straszny błąd.

Gdy Bud Richmond pojawił się na scenie politycznej, był tylko jednym z wielu niewyróżniających się zbytnio, bogatych młodych ludzi o bliżej nieokreślonych ambicjach. Jego ojciec, kiedyś prosty drwal z Indiany, do swojej wielomilionowej fortuny doszedł ciężką pracą. Sam Bud nigdy nie uważał pracy za coś szczególnie interesującego i przez długie lata nie splamił się nawet jednym uczciwie przepracowanym dniem. Zajmowały go przede wszystkim gra w golfa, przyjaciółki, wypadki na ryby i jego ukochane porsche 959.

Dwa lata temu jego osobisty sekretarz i szef biura, Irving Slater, stracił nadzieję na karierę u boku Buda i był już bliski rezygnacji. Wydawało mu się, że mając trzydzieści siedem lat, tylko traci czas u boku rozwydrzonego dupka, który politykę traktuje jako zabawę.

Później zdarzyło się coś, co wywróciło świat Buda Richmonda do góry nogami. Były to dwa niepowiązane ze sobą zdarzenia, które miały miejsce w odstępnie sześciu miesięcy. Właśnie one sprawiły, że Irving Slater w końcu zwietrzył swoją wielką szansę.

Wkrótce po pięćdziesiątych urodzinach Richmond miał wejść na pokład samolotu lecącego z macierzystej Montany do Waszyngtonu, lecz nagle zmienił zdanie. Jak później mówił, usłyszał w głowie jakiś dziwny głos, który go ostrzegł, że właśnie tym samolotem absolutnie nie powinien lecieć. Uparł się i, ku ogromnej irytacji Slatera, postanowił poczekać na następny lot. Gdy zaś samolot, z którego właśnie zrezygnowali, rozbił się zaraz po starcie, a prawie wszyscy pasażerowie zginęli, zaczął mówić o cudzie.

Drugi cud zdarzył się, gdy Richmond jechał górską drogą w okolicach swojego domu. Właśnie wchodził w kolejny zakręt, gdy zdjęła go nieodparta chęć przyjrzenia się pięknemu zachodowi słońca, co było do niego zupełnie niepodobne. Przez dziesięć minut przyglądał się niebu, później wrócił do swojego porsche i popędził dalej. Niecałe dwa kilometry dalej natknął się na wrak zmiażdżonego przez lawinę skalną autobusu. Z trzydziestu dziewięciu pasażerów przeżyły tylko dwie osoby. Z ich relacji wynikało, że kamienie spadły na autobus dokładnie w momencie, w którym według późniejszych obliczeń na miejscu tragedii powinien się znajdować Richmond, oczywiście gdyby się wcześniej nie zatrzymał, aby popatrzeć na zachód słońca.

Według senatora wyjaśnienie mogło być tylko jedno. Ponownie zostało mu darowane życie, ponieważ Opatrzność potrzebuje go do realizacji wyższych celów. Senator

momentalnie się nawrócił, a w ciągu kolejnych osiemnastu miesięcy jego polityczny profil uległ drastycznej zmianie. Sam Richmond też się zmienił - dojrzał, poważniej spojrzął na życie. Wyborcy przyjęli to z entuzjazmem. Powtórnie narodzony polityk przystąpił teraz z niepokromioną energią do pracy. Nieoczekiwanie otrzymał też poparcie ze strony społeczności, której dotychczas był obojętny i na którą nigdy nie liczył: szerokiego nurtu fundamentalistów chrześcijańskich, w liczbie ponad pięćdziesiąt milionów obywateli.

Slater natychmiast zrozumiał, że pięćdziesiąt milionów wyborców gwarantuje Richmondowi czołową pozycję w wyścigu do Białego Domu. Obserwował więc rozwój sytuacji - i nie wierzył własnym oczom. To, że zwykły dupek stał się religijnym i zaangażowanym człowiekiem, wydało mu się o wiele dziwniejsze niż same cuda, na które Richmond się powoływał. Jednak fala popularności senatora rosła, a on sam był zbyt sprytny, by tego odpowiednio nie wykorzystać.

W tym też okresie bliżej zainteresował się Biblią. Niewzruszona wiara senatora w prawdziwość prorocत्व Czasów Ostatecznych z Księgi Objawienia zmusiła Slatera do szczegółowego przestudiowania biblijnego tekstu oraz wszystkich innych wiadomości na ten temat. Najwięcej dało mu do myślenia niezłomne przekonanie milionów amerykańskich chrześcijan, wierzących, że w każdej chwili świat może doświadczyć przepowiedzianej przez Biblię Trybulacji i Wniebowzięcia. Fenomen ten potraktował dwojako. Po pierwsze - jako wierutną bzdurę. Po drugie, i z jego punktu widzenia najważniejsze, jako najprawdziwszą żyłę złota.

Obserwując lawinowo rosnące poparcie dla Richmonda, wpadł na niezwykle pomysł. Wiedział, że na wszystkich zjazdach i spotkaniach senator mógł liczyć na pełne sale pragnących go wysłuchać sympatyków. Oglądalność programu telewizyjnego z udziałem Richmonda osiągnęła apogeum. Jego chlebobawca w niekwestionowany sposób stał się pożądanym towarem. Szeroką rzeką popłynęły datki na jego działalność.

To jednak miał być tylko początek. Slater był świadomy, że istnieją miliony ludzi głęboko wierzących, że przepowiedziany w Księdze scenariusz musi się ziścić. Miliony, które tak naprawdę *chcą*, żeby to się w końcu stało. Jeżeli wola Boga jest wojna, to niech wreszcie zapanuje wojna. Slater był przekonany, że tacy ludzie faktycznie *czekają*, by świat pogrążył się w ciemności i chaosie, ponieważ później i tak przyjdzie Bóg i ich ocali, sprawiając, że ich szare, nudne, zagonione życie przeminie, a oni jednocześnie uzyskają potwierdzenie, że, mimo wszystkich wątpliwości, ich wiara była słuszna, a dusze są warte zbawienia.

Księga zapowiada, że zanim wkroczy Bóg, nawet ci najwierniejsi będą mieli przed sobą niewiarygodnie trudny i pełen cierpienia okres. W tych skomplikowanych czasach milionom

ludzi będą więc potrzebni prawdziwi przywódcy, na miarę wodza narodu wybranego, Mojżesza.

Slater obserwował Richmonda i ciągle nie mógł pozbyć się wątpliwości. Richmond i Mojżesz - to zestawienie wydawało się po prostu komiczne. Gdy jednak się dobrze przyjrzał tłumom zwolenników senatora, zrozumiał, że nowo powstająca sytuacja daje praktycznie nieograniczone możliwości. Gdyby Richmond trafił do Białego Domu, on, jako człowiek stojący za Richmondem, byłby przecież głównym rozgrywającym!

Aby to wszystko mogło się urzeczywistnić, musiałyby jednak zdarzyć się coś niesłychanego, powinny też najpierw powstać warunki odpowiednie do realizacji katastroficznego scenariusza. I Slater takie warunki chciał stworzyć, jednak miał świadomość, że sam nie podola i że będzie potrzebował pomocników.

Na jednym z towarzyskich przyjęć Richmonda spotkał fanatycznego wyznawcę teorii Czasów Ostatecznych. Z podobnymi ludźmi miał do czynienia już przedtem, jednak ten przypadek wydawał się inny. Mężczyzna był urzędnikiem, i to wyższego szczebla, amerykańskiej agencji wywiadowczej. To, co od niego usłyszał Slater, było porażające. Okazało się, że wewnątrz systemu bezpieczeństwa Ameryki funkcjonuje, i to już od jakiegoś czasu, dobrze zakonspirowana grupa wyznawców teorii Czasów Ostatecznych.

Po tym spotkaniu szalony pomysł Slatera szybko zaczął nabierać konkretnych kształtów. Z pomocą nowego sprzymierzeńca Slater stworzył wyselekcjonowaną grupę agentów. Większość z nich należała do fanatycznych wyznawców teorii Czasów Ostatecznych; niektórych, jak na przykład agenta specjalnego CIA Jonesa, skusiła perspektywa władzy i pieniędzy, które Slater podkradał z funduszu wyborczego Richmonda. Z niewielkim kręgiem wtajemniczonych współpracowali agenci, którzy wykonywali polecenia przełożonych, lecz nie mieli pojęcia, o co naprawdę chodzi, zaś znajdujący się w epicentrum zdarzeń Richmond był całkowicie nieświadomy rozgrywanych wokół niego intryg.

Szybkość powstania oraz możliwości nowo utworzonej tajnej organizacji zaskoczyły nawet samego Slatera. Nareszcie miał Strategię Czasów Ostatecznych, potrzebował jeszcze tylko bardziej szczegółowego planu działania.

Skala zamierzeń była wielka, a sam pomysł niezwykle prosty: plan wojny, którą, uwzględniając rzeczywistą siłę oddziaływania prorocstwa, można było łatwo sprowokować.

Według przepowiedni, główny konflikt miał się zacząć na Bliskim Wschodzie. To akurat wydawało się całkiem możliwe, zresztą taka była wola boska. Do podpalenia beczki z prochem potrzebowano więc iskry i pomocnej ręki, która by pożar podsyciła. Iskra ta musiała być wystarczająco skuteczna, by wywołać wybuch muzułmańskiej furii na niespotykaną

wcześniej skalę. Slater i jego towarzysze wiedzieli już, co mają zrobić; obecnie musieli tylko wprowadzić swój plan w życie.

Aby projekt był skuteczny, winę za zbrodnię należało przede wszystkim zrzucić na odwiecznych wrogów islamu, Żydów. Wszystko to zostało już opisane na biblijnych stronach. Wojna, której eskalacja miała doprowadzić do Czasów Ostatecznych, powinna się zacząć od gigantycznego odwetu muzułmanów na Izraelu, a głowice nuklearne miały zastąpić przepowiedzianą w Biblii siarkę i ogień piekielny. Slater wierzył, że gdy świat stanie na krawędzi wyniszczającej wojny, miliony obywateli Stanów Zjednoczonych nabiorą przekonania, że oto są świadkami opisanych w Biblii zdarzeń, i wierząc, że zbliża się koniec świata, zagłosują na Richmonda. W wyścigu do Białego Domu senator będzie nie do pokonania.

Wszystko to wydawało się szaleństwem. Realizacja projektu miała spowodować śmierć milionów ludzi, nie tylko Żydów i muzułmanów, lecz również Amerykanów. Jednak Slater tym się nie przejmował. Uważał, że logika jego planu poraża prostotą i pięknem, które cechują najprostsze i najlepsze pomysły. Nawet przez chwilę nie zakładał, że wojna faktycznie może stać się początkiem odliczania czasu pozostałego do Armagedonu. Zamiast tego wierzył, że wojna to pierwszy krok na drodze do władzy. Czas był jego sojusznikiem. Musiał tylko zacząć przygotowywać Buda Richmonda do przyszłej roli przywódcy wiernych.

Richmond miał konkurencję. Nie był jedynym ważnym politykiem, który wykorzystywał temat nadchodzącego Czasu Ostatecznego. Agenci Slatera obserwowali więc każdego potencjalnego chrześcijańskiego lidera. Szczególną uwagę zwrócili na jednego z nich - Clayтона Cleavera z Georgii. Slater jechał limuzyną na kolejną konferencję prasową z Richmondem, gdy dowiedział się przez telefon o problemie Cleavera z Zoë Bradbury.

Spacerował teraz po ogromnym biurze głównej siedziby Buda Richmonda w Montanie i rozmyślał o zdarzeniach ostatnich kilku miesięcy. Rozległy dom był wbudowany w górski stok, jego panoramiczne okna oferowały niczym nieprzesłonięty widok na tysiącakrową posiadłość senatora.

Przystanął i ze stojącej na biurku butelki wypił łyk mleka. Potem opadł na miękki skórzany fotel stojący przed ścianą z ogromnym telewizyjnym ekranem, złapał pilota i wcisnął PLAY.

Nagrana trzy miesiące temu na płycie DVD dyskusja panelowa z udziałem Richmonda poruszała bieżące wydarzenia, a program był świetnym sposobem zwiększenia popularności jego uczestników. Slater opłacił ludzi w audytorium, którzy mieli zadawać senatorowi z góry przygotowane pytania, odpowiedzi opracował sam. Z początku wszystko szło dobrze,

Richmond był w świetnej formie. Zestawienie autentycznej wiary tego dupka z gładkimi i dowcipnymi komentarzami autorstwa Slatera sprawiło, że program oglądało się z przyjemnością.

Później jednak, na dwie minuty przed końcem programu, gdy wydawało się, że bezpiecznie dopłynęli do portu, zdarzyło się nieszczęście. Jakiś siedzący z tyłu długowłosej cholerny student podniósł rękę i zadał fatalne niespodziewane pytanie.

Slater wycelował pilota w ekran i znalazł ten straszny moment.

Student podniósł rękę. Najazd kamery, powiększenie.

- Senatorze, wielu badaczy Biblii ma wątpliwości, czy Księga Objawienia powinna być częścią Biblii. Jakie jest pana zdanie na ten temat?

Przejdźcie do kamery numer dwa, teraz Richmond wypełnia ekran.

- Przeczytałem wszystko, co owi badacze mieli do powiedzenia - odparł spokojnie. - Moja wiara pozostaje niewzruszona.

Jednak student jeszcze nie skończył.

- Ale co by się stało, gdyby ktoś udowodnił, że to nie święty Jan jest autorem Księgi Objawienia, czyli że Objawienie nie jest prawdziwym Słowem Bożym? Czy to by nie zachwiało pana wiary?

Obserwując rozmowę po raz kolejny, Slater ścisnął mocniej poręcz fotela.

Richmond na chwilę się zawahał, następnie z powagą kiwnął głową.

- Dobrze - powiedział. Przesunął oparte o stół łokcie w kierunku studenta, żarliwie się w niego wpatrując. - Powiedzmy, że jakiś badacz faktycznie dostarczy rzeczywistych, konkretnych dowodów na to, że Księgi Objawienia nie napisał święty Jan. Załóżmy, że ktoś zdołałby dowieść, że prorocтва Księgi nie są Słowem Bożym. - Zamilkł dla spotęgowania efektu. - Wtedy musiałbym przemyśleć swoją wiarę w prawdziwość Księgi. Jednocześnie potraktowałbym to zdarzenie jako dany mi od Boga znak, by zmienić kierunek, w którym zmierzam. - Richmond szeroko się uśmiechnął. - I powiem wam, że byłbym wielce zadowolony, gdybym wcale nie musiał przechodzić przez Trybulację.

Audytorium zareagowało śmiechem.

Początkowo uczucie niepokoju, które wywołała u Slatera spontaniczna wypowiedź senatora, było niewielkie i nie trwało długo. Szybko o nim zapomniał.

Katastrofa przyszła później, gdy zespół obserwujący Clayтона Cleavera w Georgii zameldował, że ich obiekt inwigilacji stał się obiektem szantażu. Gdy Slater poznał szczegóły, zrozumiał, że za sprawą komentarzy Richmonda wszystkie, tak już zaawansowane plany stanęły pod poważnym znakiem zapytania.

Nigdy dotąd nie słyszał o żadnej Zoë Bradbury. Jednak gdy wpisał jej nazwisko do Google'a, poczuł się nieswojo. Okazało się, że ma do czynienia ze znaną badaczką Biblii, która mogła unicestwić jego plan. Gdyby opierała swój szantaż na realnych przesłankach i potrafiła dostarczyć świadectwo, że święty Jan nie jest autorem Objawienia, a więc że zasadność Księgi jako części Nowego Testamentu jest wątpliwa, gdyby dowiodła, że Objawienie jest po prostu, bez owijania w bawełnę, zwykłym oszustwem - jego Strategia Czasu Ostatecznego nadawałaby się już tylko na śmietnik. Księga Objawienia była filarem podtrzymującym strop jego koncepcji, a każda próba podkopania jej autorytetu byłaby ciosem dla całego projektu. Na domiar złego Richmond w czasie feralnego programu oznajmił, że jest gotowy odstąpić od wiary w przepowiednię, jeżeli utraci ona swoją wiarygodność. Gdyby do tego faktycznie doszło, senator straciłby poparcie chrześcijańskich fundamentalistów, a jego doradca - szansę na przeprowadzkę do Białego Domu.

Slater był biznesmenem i miał pragmatyczny umysł. Nie potrzebował wiele czasu, aby przeanalizować istniejące możliwości działania.

Pierwsza. Kupić ją. Chciała dziesięciu milionów dolarów od Cleavera, ale czy pochodzenie pieniędzy miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie? Mógł jej dać nawet dwa razy tyle, byle tylko zniknęła. Ale jeśli potem znów chciałaby więcej? Albo, tak czy owak, się wygadała? Nie można jej było zaufać.

Wolał drugą opcję. Uważał, że powinni ją złapać i zmusić do przekazania znalezionych dowodów, a następnie bezpowrotnie je zniszczyć. Podobnie zresztą jak i samą Bradbury.

Dlatego Slater zadzwonił do swoich ludzi w służbach specjalnych. Wspólnik z CIA przydzielił zadanie uprowadzenia Bradbury człowiekowi o nazwisku Jones i posłał swój zespół na Korfu. Dziewczyna była teraz pod ich opieką, ukryta w miejscu, gdzie nikt nie mógł jej znaleźć. W trakcie wystąpiło jednak zbyt wiele problemów i komplikacji, a on nie mógł sobie pozwolić na dłuższe czekanie. Nadszedł czas na bardziej zdecydowane działania.

Wyłączył odtwarzacz DVD i masując skronie, zagłębił się w miękkim fotelu. Przed nim, na niskim drewnianym stoliku ze szlachetnego drewna, stała miseczka ze słodyczami. Sięgnął od razu po trzy czekoladowe batony, rozpakował je i pochłoniął.

Przełykając resztę słodyczy, złapał leżący na oparciu fotela telefon i wybrał numer.

Po drugim sygnale usłyszał głos.

- Musimy porozmawiać - powiedział Slater. Wysłuchał odpowiedzi. - Nie. Przyjedź tutaj. Jestem sam. Wysłałem mojego dupka na kilkudniowy urlop.

- Potrzebuję trzech godzin - powiedział rozmówca.

- Masz dwie.

Doktor Joshua Greenberg w wypożyczonej hondzie zjechał z autostrady i zaparkował przed przydrożną jadłodajnią. Chwycił leżącą na fotelu pasażera teczkę, wysiadł i jęknął z bólu. Zdecydowanie zbyt długo siedział za kierownicą. Przeciągnął się i przetarł oczy.

Przez drogę z hukiem przetoczyła się ciężarówka firmy Freightliner, wzbijając tuman kurzu i spalin. Doktor ruszył do jadłodajni, powoli i sztywno pokonując dwa schodki wiodące do wejścia. Klientów nie było zbyt wielu - nad późnym lunchem siedziało tylko kilka rodzin i paru smętnie wyglądających kierowców. Wybrał miejsce w rogu pomieszczenia, usiadł na obitej czerwonym winylem ławie i zamówił kawę. Na jedzenie nie miał ochoty. Brązowa lura, którą podsunęła mu pod nos kelnerka, nie bardzo przypominała kawę, ale ją wypił.

Siedział tak z trzydzieści minut, wpatrując się w swoje ręce na blacie stołu. Powinien jechać dalej. Pewno w ośrodku już na niego czekali, miał przecież coś dla Jonesa. Przed nim były jeszcze dwie godziny jazdy.

Krótko i gorzko się zaśmiał. *Ośrodek*. Czy to nie zbyt wielkie słowo jak na zruinowany hotel na bezdrożu, służący jako miejsce nielegalnego przetrzymywania porwanej niewinnej młodej kobiety?

Rzucił okiem na teczkę na sąsiednim siedzeniu. Wyciągnął rękę, odpiął zamek, sięgnął do środka i wyjął małą buteleczkę. Postawił ją przed sobą na stole. Miała bursztynowy kolor i zawierała 100 mililitrów bezbarwnego gęstawego płynu. Nie miała etykiety i wyglądała całkiem nieszkodliwie. Trudno było zgadnąć, co jest w środku - równie dobrze mógł to być jakiś niewinny eliksir z ziół. Jednak doktor wiedział, że gdyby wlał zawartość buteleczki do kawy bulgocącej w dzbanku na ladzie, amatorzy tego napoju w ciągu dwunastu godzin zostaliby klientami szpitala psychiatrycznego.

Najpierw opanowałyby ich nienaturalna gadatliwość i brak wszelkich zahamowań, pozwalający na dobrowolne udzielanie nawet najbardziej intymnych informacji. Później lek zacząłby działać na podświadomość, uwalniając każdy mroczny epizod z ich przeszłości:

każdy tłumiony lęk, każdą złą lub nieprzyjemną emocję, każdą niepokojącą lub agresywną myśl. Wszystko to by się z nich wydostało, zagłuszając świadomość falą gniewu, paranoi, smutku i przerażenia, całym spektrum najbardziej krańcowych uczuć, jakich może doświadczyć człowiek. Jednocześnie, nieubłagane, bez końca. Pętli sprzężenia zwrotnego nie można już zatrzymać. Na końcu czekało ich szaleństwo, na które nie istniało antidotum.

Przeszedł go dreszcz. Przecież miał właśnie przekazać środek Jonesowi, który zamierzał go zaaplikować niewinnej młodej kobiecie i nieodwracalnie ją zniszczyć.

Oparł głowę na rękach.

Jak ja, do cholery, w coś takiego wdepnąłem?

Dokładnie pamiętał, jak to się stało. Wystarczyła jedna pomyłka, błąd przeszłości, o którym chciał zapomnieć. Mała pomyłka, która jednak całkowicie zniszczyła mu życie.

Joshua Greenberg urodził się w biednej rodzinie i nigdy nie zapomniał, co znaczy ubóstwo. Jego ojciec był robotnikiem fabryki w Detroit, matka sprzątaczką biurową. Obydwoje pracowali od świtu do nocy, żeby swojemu jedynakowi zapewnić wyższe wykształcenie. Nie zawiódł ich nadziei, ukończył studia na wydziale medycyny, później uzyskał specjalizację w dziedzinie neurologii i psychiatrii. W wieku czterdziestu ośmiu lat był człowiekiem sukcesu, miał własną praktykę lekarską w Nowym Jorku i wykładał na Uniwersytecie Columbia, gdzie nawet został kierownikiem katedry. Był też właścicielem dużego domu w Hamptons, o którym zawsze marzyła jego żona Emily: w dwuakrowym ogrodzie, z basenem i stajnią, w której jego dwie nastoletnie córki trzymały swoje ukochane arabskie wierzchowce. Niedawno powiększył dom o luksusową przybudówkę, w której zamieszkali dumni z niego starzy rodzice.

Nigdy nie przypuszczał, że wrócą duchy z przeszłości. Wszystko zaczęło się w chwili, kiedy nerwowy osiemnastolatek Joshua wyjechał z domu na studia i zamieszkał w akademiku. Jego kolega z pokoju nazywał się Dickie Engels.

Pamiętał go dobrze. Dickie był synem adwokata. Dwa lata, o które był od niego starszy, spędził, podróżując po Francji i Włoszech, miejscach tak odległych dla Joshuy jak, nie przymierzając, księżyc. Dla kolegi z pokoju Dickie był prawdziwym światowcem. Palił papierosy Sobranie Black Russians, znał się na winie, przeczytał Tolstoja i Joyce'a. Przez sześć miesięcy Joshua wielbił Dickiego na odległość i miał nadzieję, że jego gorące emocje nie są zbyt widoczne. Kiedyś jednak, po wypiciu pierwszego w życiu szampana, stracił kontrolę nad sobą i chciał swego kolegę pocałować. Do niczego nie doszło, wkrótce jednak Dickie poprosił o przeniesienie do innego pokoju. Kilka miesięcy później Joshua spotkał Emily i zapomniał o żenującym incydencie. Przeprowadził się, zajął nowym życiem.

Duchy z przeszłości wróciły równo czternaście miesięcy temu, w momencie pojawienia się Jamesa. Dokładnie zapamiętał chwilę, kiedy pierwszy raz zauważył urodziwego studenta o ciemnych gęstych włosach, aksamitnej skórze i ciemnobrązowych oczach. Dawne emocje niespodziewanie odżyły. To nie było przelotne zauroczenie, piękny zaś student zdawał się okazywać ponadprzeciętne zainteresowanie swoim otyłym wykładowcą w średnim wieku. Na początku Joshua próbował schodzić mu z drogi i skutecznie unikał zaproszeń typu „może jakaś kawa”.

Pewnego dnia jednak z przerażeniem usłyszał, że Emily zamierza wydać przyjęcie dla wszystkich studentów pierwszego roku. Nie było mowy o żadnych zmianach, Emily potrafiła być bardzo uparta. Zresztą jakikolwiek sprzeciw z jego strony wyglądałby bardzo dziwnie.

Wieczór przyjęcia był burzowy, w oddali grzmiało. Joshua mieszał w kuchni drinka, gdy na dłoni poczuł czyjś dotyk. Z tyłu, bezszelestnie, podszedł James. Pocałowali się przy świetle błyskawicy.

Joshua przepadł z kretesem. Po przyjęciu zaczęli się spotykać w samochodzie na uniwersyteckim parkingu. Z perspektywy czasu wszystko to było czystym szaleństwem. James nigdy nie pozwolił mu na całkowite zbliżenie - zawsze znalazł powód, by się wycofać, kiedy pieszczoty stawały się zbyt gorące. Doszło do tego, że Joshua zaczął się kręcić pod oknami akademika, licząc, że zobaczy Jamesa przynajmniej na chwilę. Mówił wtedy Emily, że musi zostać dłużej w pracy.

Pewnego dnia James zniknął. Joshua dowiedział się, że jego student przeniósł się na uniwersytet UCLA, i nigdy więcej go już nie zobaczył.

Wkrótce jednak przekonał się, że istnieją problemy większe niż złamane serce. W dzień po wyjeździe Jamesa otrzymał przesyłkę pocztową z szokującą zawartością. Zdjęcia były wyraźne, twarze łatwo rozpoznawalne. Towarzyszyła im krótka i rzeczowa informacja. Kontakt z doktorem zostanie nawiązany, z góry zakładano zgodę na współpracę.

W pierwszym odruchu Joshua chciał pójść do Emily i z nią porozmawiać. Przecież powinna zrozumieć. Potem uświadomił sobie, że nie, Emily go nie zrozumie. Załamie się i odejdzie od niego, zabierając ze sobą ich cudowne córki. Straci dom. Jego rodzice przeżyją niewyobrażalne upokorzenie. Prawdopodobnie zdjęcia trafią do jego uniwersyteckich pracodawców. Skończy się kariera wykładowcy, skandal pociągnie za sobą również zamknięcie prywatnej praktyki.

Skontaktowano się z nim po kilku tygodniach. Rozmowa telefoniczna trwała dwadzieścia minut, instrukcje były jasne. Skłamał Emily, że jedzie na szkolenie. Powiedział, że ktoś w ostatniej chwili nie mógł przyjechać i że musi go zastąpić.

Był to początek serii niespodziewanych wyjazdów szkoleniowych, które potrafiły trwać tygodniami. Nigdy się nie dowiedział, kto jest jego pracodawcą. Pieniądze, które dostawał za swoje usługi, były godziwe, robił więc wszystko, aby zapomnieć o sposobie, w jaki został zmuszony do współpracy.

Spotkania odbywały się w różnych anonimowych, szarych budynkach na terenie całego kraju. Za każdym razem ich scenariusz był podobny. Z lotniska odbierał go samochód. Milczący mężczyźni w garniturach dowozili go do miejsca, gdzie w cichym pustym pokoju przetrzymywany był pacjent. Niektóre eksperymentalne, zmieniające zachowania sesje wiązały się z koniecznością stosowania nietypowych farmaceutyków i nowych technik prania mózgu. Joshua był potrzebny, aby oceniać stan psychiki badanych, przeprowadzać testy i stosować nieznanne mu najczęściej terapie. Nigdy nie wiedział, kim są jego pacjenci. Wmawiał sobie, że wszystko, co robi, służy interesom państwa. Jednak czasami, gdy budził się w nocy, wspomnienie rzeczy, które zobaczył i w których brał udział, sprawiało, że oblewał się zimnym potem.

Parę razy odmówił współpracy. Natychmiast pojawiały się zdjęcia i groźby.

Ten przypadek był odmienny. Gorszy. Skontaktowano się z nim innym kanałem. Miejsce, do którego został wezwany, znajdowało się w dzikiej części Montany, a budynek, w którym miał prowadzić sesje, był ciemny i zaniedbany. Naprawdę czuł, że ten przypadek jest nietypowy. Pacjent nie był żadnym ponurym typem, mogącym stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju; miał teraz do czynienia z kruchą dziewczyną, którą kazano mu zniszczyć. Przerazał go Jones. Bał się też innych członków zespołu - nawet Fiorante, wysokiej, atrakcyjnej dziewczyny o rudych włosach, jedynej kobiety i najmłodszej spośród nich. Była piękna, lecz miał całkowitą pewność, że również śmiertelnie niebezpieczna.

Joshua znów spojrzał na stojącą przed nim buteleczkę. Czuł, że wreszcie musi coś zrobić. Uwolni uwięzioną dziewczynę. Potem pójdzie do Emily i opowie jej o wszystkim. Niech się dzieje wola boska. Miał już dosyć.

Wyszedł z lokalu i ruszył w dalszą drogę, planując następne kroki. Po drodze zatrzymał się w jakimś miasteczku. W sklepiku typu „mydło i powidło” kupił wszystko, czego potrzebował, po czym zjechał w długą, krętą drogę prowadzącą do dzikiej części Montany.

Gdy wyrósł przed nim hotel, lekarz zaparkował hondę tuż przy bramie wjazdowej. Wsiadł, zabrał bagaż z samochodu, zapiął guziki długiego palta i zdecydowanym krokiem wszedł po schodach do przeszklonych drzwi wejściowych. Na znajdującej się z boku tablicy wprowadził kod dostępu, poczekał na sygnał akceptacji i pchnięciem otworzył drzwi.

Gdy znalazł się na obskurnym korytarzu, poczuł znajomy, nieprzyjemny zapach. Jak

dotąd nikogo nie spotkał. Spojrzał na zegarek, czuł, że pot zalewa mu czoło, a serce wali jak młotem.

Szybko dotarł na górne piętro przed drzwi Zoë. W pobliżu pokoju stał rosły mężczyzna w ciemnym garniturze i go obserwował.

- Po co to grube palto, doktorku?

- Przeziębilem się - odparł Joshua i dla większego efektu pociągnął nosem.

- Pocisz się.

- Chyba dopadła mnie grypa. Czy możesz mnie wpuścić?

- W grafiku nie ma twojej wizyty - powiedział agent.

- Właśnie mi się przypomniało - zająknął się doktor - że w środku zostawiłem swój BlackBerry.

- Tutaj i tak nie ma zasięgu, doktorku.

- Wiem. Ale BlackBerry jest mi potrzebny. Mam w nim ważne dane.

- Jesteś nieostrożny.

- Wiem. Przepraszam.

- Masz minutę - powiedział agent. - Ani chwili dłużej.

- Dzięki. - Joshua blado się uśmiechnął, wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Zoë dopiero co się obudziła, siedziała teraz na łóżku i wpatrywała się w niego ze zdziwieniem. Doktor, który zawsze nosił biały fartuch, dzisiaj miał na sobie długie palto i w dodatku był rozczochrany.

- Jestem tu bez wiedzy Jonesa - szepnął. - Rób, co ci każe. Mam zamiar cię uwolnić.

Agent właśnie myślał o przerwie na kawę, gdy z pokoju dobiegł go hałas. Przez chwilę nadstawiał ucha, później otworzył drzwi i wbiegł do środka.

Dziewczyna leżała obok łóżka, z nogami podciągniętymi pod brodę, miała drgawki.

Obok niej na podłodze, z przerażeniem w oczach, klęczał doktor.

- Ona jest chora. Bardzo chora.

- Co się tu, do diabła, dzieje? - spytał przestraszony agent.

- Ma jakiś atak - odparł doktor. - Kiedy wszedłem, obudziła się i nagle dostała konwulsji.

Poczekaj tutaj, w samochodzie mam leki. - Poderwał się i ruszył do drzwi.

- Co mam robić?

- Nic. Nie dotykaj niczego i nie odchodź od niej.

Agent wpatrywał się w Zoë. Była sztywna, drżała, miała mokre włosy i pianę na ustach. Pomyślał, że mogą być kłopoty, ponieważ rozchorowała się na jego dyżurze. Dzięki Bogu, że akurat pojawił się doktor.

Była to jego ostatnia myśl.

Po wyjściu z pokoju doktor szybko rozpiął płaszcz i wyciągnął zza paska kij baseballowy, którego rączka sięgała mu aż po pachę. Wrócił, trzymając kij w obu rękach. W ustach czuł suchość. Na studiach sporo grał w baseball, jednak myśl o uderzeniu kogoś w głowę napawała go wstrętem. Teraz nie miał wyboru. Wziął mocny zamach, usłyszał łomot ciosu, w rękach poczuł wstrząs. Agent, twarzą do ziemi, padł na podłogę.

Zoë błyskawicznie się poderwała, plując pianą i kawałkami tabletek Alka Seltzer, które nie zdążyły się jeszcze rozpuścić. Z przerażeniem w oczach spojrzała na leżącego plackiem agenta.

- Pośpiesz się - szepnął Joshua. Odrzucił kij, zdjął palto i okrył nim szczupłe ramiona dziewczyny. Trzymając ją za rękę, wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

Poprowadził ją korytarzem w stronę tylnych i jak mu się wydawało, nieużywanych, schodów. Wystraszona Zoë tylko nerwowo rozglądała się na boki. Osłabiona przez ostatnie przejścia i brak ruchu, oddychała ciężko. Gdy zbiegali ze schodów, trzymał ją mocno za rękę. Jemu serce też waliło jak młotem.

Na kolejnym podeście wyrzwał ostrożnie zza drzwi przeciwpożarowych i zobaczył, że droga jest wolna. Szarpnął dziewczynę, pobiegli dalej korytarzem. Zoë potknęła się, pomógł jej wstać.

- Zwolnij - jęknęła.

- Nie mogę. Musimy stąd uciec. Już niedaleko.

Nagle z boku otworzyły się drzwi i Joshua stanął twarzą w twarz z agentką Fiorante. Obydwoje zamarli, wpatrując się w siebie.

Kobieta nie wykonała żadnego ruchu, milczała.

Wyczuł, że mogą uciekać dalej. Jeszcze bardziej przyśpieszył, pociągając za sobą Zoë.

- Zobaczyła nas. - W głosie Zoë słychać było panikę.

Nie odpowiedział. Hol wejściowy był już blisko, biegli najszybciej jak mogli.

Dziesięć metrów do holu. Pięć.

Położył rękę na zimnej stali klamki drzwi wejściowych.

Wtedy usłyszał głos, jak nóż rozcinający ciszę pustego budynku.

- A dokąd to, dokorku?

Joshua obrócił się na pięcie. Na korytarzu, kilka metrów dalej, stał Jones, przy nim agentka Fiorante. Dwaj inni agenci nadbiegali z bronią gotową do strzału.

Joshua wyszarpnął z kieszeni palta kluczyki samochodu i wcisnął je w dłoń Zoë.

- Niebieska honda - wysapał. - Pędź. Uciekaj stąd. No dalej. - Wiedział, że jej nie

zastrzelą. O siebie się nie martwił. Na to było za późno.

Podszedł Jones z luźno opuszczonym pistoletem.

Zoë się zawahała.

- Biegnij! - krzyknął Joshua.

- Stąd nie uciekniesz, Zoë - powiedział spokojnie Jones i podszedł jeszcze bliżej. - To dzika okolica. U nas będziesz bezpieczniejsza.

Zoë stała w drzwiach wyjściowych, bezradnie wpatrując się w Greenberga i otaczających go agentów. Fiorante unikała jej wzroku.

Jones zrobił trzy kroki, złapał Zoë za przegub, odciągnął od drzwi i popchnął w stronę dwóch czekających agentów. Krzyczała, szamotała się, kopała, ale była zbyt słaba. Trzymali ją za ręce, gdy Jones odwrócił się do Greenberga.

- Nie róbcie mu krzywdy - prosiła. - Nie...

Strażnicy pociągnęli ją w stronę korytarza, którym wcześniej uciekała. W pewnym momencie usłyszała strzał. Gdy szarpnęła się do tyłu, na szybie drzwi ujrzała bryzgi krwi. Doktor leżał u stóp Jonesa.

W drodze powrotnej do pokoju cały czas krzyczała.

Tuż po wpół do drugiej Ben opuścił dom Cleavera i dyskretnie wmieszał się w tłum. Nadal rozgrywano konkurencje mniejszej rangi, lecz główny punkt programu już się skończył, więc widzów ubywało. Z dala widział rozmawiającą z dziennikarzami pannę Vale.

Nie chciał, aby go zauważyła, toteż skierował kroki prosto na parking. Wiedział, że nie powinien się wymykać bez pożegnania, jednak musiał spokojnie od nowa przemyśleć sytuację.

Wsiadł do chryslera i bez konkretnego celu ruszył w kierunku południowo-zachodnim. Przeciął rzekę Altamaha i wjechał na tereny rolnicze. Mijał rozpadające się szopy, stodoły z falistej blachy i rozległe, płaskie pola z czerwoną żyzną glebą spaloną słońcem. Zostawiał za sobą osady przyczep kempingowych, przyglądał się ich groźnie wyglądającym, ubogim białym mieszkańcom, którzy, widząc samochód, wychodzili na pobocze drogi i machali. Po godzinie takiej jazdy już nie wiedział, gdzie się znajduje.

Jechał, czując gorzyc porażki. W swoim życiu popełnił już niejedną błąd, jednak tym razem rozmiar pomyłki całkowicie go przygnębił. Gorzej już być nie mogło. A taki był pewny, że jego celem jest Clayton Cleaver. Teraz wiedział, że Cleaver może być draniem, oszustem i hipokrytą, lecz na pewno nie jest porywaczem ani mordercą.

Próbował uporządkować powstały zamęt, a resztki informacji, którymi dysponował, przepuścić przez sito zdrowego rozsądku. Nieustannie nasuwały się tylko kolejne pytania, wiele z nich bez szansy na odpowiedź. Czy Zoë żyje? A może nadal jest na Korfu? Czy jego podróż do Stanów była błędem? Czy powinien uwierzyć w to, co usłyszał od Kaplan? Czyżby popełnił kolejny błąd?

Myślał o fragmencie glinianej skorupy, którym Zoë szantażowała Cleavera. Dziewczyna powiedziała Skidowi McClusky'emu, że wkrótce będzie bogata. Co właściwie znalazła? Jeżeli jej twierdzenia były prawdą, wpływ tego odkrycia na chrześcijańską teologię byłby ogromny. Cleaver miał całkowitą słuszność: rewizjoniści biblijni tylko czekali na taką okazję, a tak sensacyjne znalezisko dostarczyłoby im argumentów mogących z łatwością zdyskredytować

Księgę Objawienia jako pełnoprawną część Biblii. Zresztą implikacje sensacyjnego odkrycia Zoë byłyby znacznie większe niż tylko zniszczenie kariery jakiegoś podpierającego się Biblią krzykacza z południa Stanów Zjednoczonych. To zdarzenie dla chrześcijan mogłoby być równie ważne jak papiirusy znad Morza Martwego czy całun turyński. Może nawet ważniejsze, ponieważ spowodowałoby poważną rewizję Biblii.

Powracały wciąż te same pytania. Kto jeszcze mógł się poczuć zagrożony odkryciem Zoë? I to tak bardzo, że zrobiłby wszystko, aby ją uciszyć? Czy celem porwania było ukrycie sprawy szantażu? A może wartość rynkowa starożytnych tabliczek była tak wielka, że to właśnie dla niej ktoś posunął się do morderstwa?

Zgadywał, dryfował po oceanie możliwości. Jednocześnie nie opuszczała go świadomość, że zamiast tego powinien działać, i to szybko. Nie miał jednak pojęcia, co ma robić ani w jakim kierunku podążać. Czy polecieć z powrotem do Grecji i na miejscu szukać elementów układanki, nie dając się przy tym złapać Stephanidesowi? A może od razu przyznać się do porażki, wrócić do Oksfordu i zmierzyć się z koniecznością przyznania się Bradburym, że nie znalazł ich córki? Czuł, że obie opcje są fatalne.

Nagły głośny sygnał policyjnej syreny przywołał go do rzeczywistości. We wstecznym lusterku zobaczył radiowóz; jego umocowane na dachu, pulsujące na czerwono i niebiesko światła ledwie było widać przez pokrytą pyłem tylną szybę samochodu Bena. Po kolejnym skrzeczącym sygnale zaklął i włączył kierunkowskaz, aby zjechać z drogi. Z chrzęstem żwiru zatrzymał się na poboczu, za nim zahamował radiowóz. Oba pojazdy spowił tuman kurzu. Z radiowozu wysiadło dwóch policjantów i z obu stron podeszło do chryslera.

Nie była to rutynowa kontrola czy chęć wlepiania mandatu za przekroczenie prędkości, bo mężczyźni trzymali broń gotową do strzału. Ten z lewej wyciągnął zza pasa pistolet, drugi policjant ścisnął w rękach skrócony karabinek automatyczny. Wyglądało, że działają na konkretne zlecenie i że to, co usłyszeli, wzmogło ich czujność.

Ben siedział spokojnie, ręce oparł na kierownicy. Patrzył na zbliżających się policjantów i szybko analizował sytuację. Dlaczego go zatrzymali? Co o nim wiedzą?

Policjant z pistoletem podszedł bliżej i pokręcił palcem, wskazując na okno. Ben opuścił szybę. Funkcjonariusz był młody, miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. W jego okrągłych z przejęcia oczach malował się strach.

- Wyłącz silnik - krzyknął.

Ben powoli sięgnął ręką do stacyjki i wyłączył silnik. Zapanowała cisza, zakłócana tylko hałasem wszechobecnych cykad.

- Prawko - powiedział policjant. - Tylko spokojnie.

Ben ostrożnie włożył rękę do kieszeni i wyciągnął prawo jazdy. Policjant wyszarpnął je Benowi z ręki, zerknął na dokument i skinął głową do swojego kolegi z karabinkiem, jakby mówiąc: tak, to on. Wyglądał teraz na jeszcze bardziej przestraszonego.

- Wychodź - krzyknął. - Ręce trzymaj tak, żebyśmy je widział.

Ben otworzył drzwi i powoli wysiadł. Ręce trzymał w górze, policjantowi patrzył w oczy, oceniając jego możliwości. Młodego funkcjonariusza rozpieła adrenalina, jego ściągniętą twarz przebiegał nerwowy tik. Lufa rewolweru, wycelowana w pierś Bena, lekko drżała.

Broń znajdowała się o jakieś sześćdziesiąt centymetrów od Bena. Był to smith & wesson, model 19. Gdy broń jest odbezpieczona, wystarczy lekki nacisk palca na spust, aby strzelić. Gdy nie jest, pociągnięcie za spust najpierw obraca cylinder, a dopiero później odciąga zabezpieczający kurek. Ben wiedział, że druga opcja wymaga naprawdę mocnego ściągnięcia spustu i że jeżeli rewolwer nie został przerobiony przez rusznikarza, spust jest twardy. Miał też świadomość, że im więcej wysiłku trzeba włożyć w jego naciśnięcie, tym późniejszy jest strzał.

Ten rewolwer nie był odbezpieczony. Ben miał więc dodatkowe pół sekundy, aby podejść bliżej, unieszkodliwić policjanta i odebrać mu broń, a później w ciągu kolejnego ułamka sekundy skierować zdobyty rewolwer na funkcjonariusza z karabinkiem. Wcale nie musiał ich poważnie ranić, wystarczyło, że tylko chwilowo ich unieruchomi.

Taka sytuacja spowodowałaby jednak różne kłopoty, których chciał uniknąć, więc tylko spokojnie zapytał:

- O co chodzi?

Policjant machnął rewolwerem w stronę samochodu.

- Ręce na maskę.

Ben sapnął z irytacją i szeroko rozłożył ręce na ciepłej karoserii chryslera. Policjant z karabinkiem celował w niego z odległości mniej więcej trzech metrów. Jego kolega, który wrócił do samochodu i zaczął rozmawiać przez radio, nadal był bardzo zdenerwowany i pobudzony.

W pewnym momencie Ben usłyszał chrzęst opon na żwirze pobocza i niski pomruk ośmiocyndrowych silników. Nie odrywając rąk od maski samochodu, wykręcił szyję, aby zobaczyć, co się dzieje. Za radiowozem zatrzymały się dwa potężne, czarne, terenowe chevrolety. Podniesiony przez nie obłok kurzu powoli opadał, w przyciemnionych szybach samochodów odbijały się promienie słońca.

Wysiadło pięć osób - z pierwszego wozu dwóch mężczyzn i kobieta, z drugiego dwóch mężczyzn, wszyscy w eleganckich ciemnych garniturach. Najstarszy mężczyzna był kościsty,

szczupły, około pięćdziesiątki, miał zapadnięte policzki, zaczesane do tyłu włosy i ciemne okulary. Gdy się uśmiechał, widać było jego nierówne zęby. Kobieta o wyrazistych rysach była w tym towarzystwie najmłodsza, miała jakieś trzydzieści pięć lat. Jej kasztanowe włosy, związane z tyłu gumką, rozwiewał lekki wiatr. Nie wyglądała na zadowoloną.

Starszy mężczyzna pokazał policjantom swój identyfikator.

- Agent specjalny Jones. Przejmujemy tę sprawę.

Policjanci przyglądali się znaczкови agenta, jakby nigdy czegoś podobnego nie widzieli, jednak opuścili broń.

Jones skinął na jednego ze swoich ludzi, który podszedł do samochodu Bena, otworzył drzwi i wyciągnął leżącą na siedzeniu płócienną torbę. Agent specjalny wyjął z kieszeni marynarki gumowe rękawiczki, włożył je, a potem odebrał z rąk podwładnego torbę Bena i sięgnął do środka.

- No, no, popatrzcie tylko, co my tu mamy - roześmiał się Jones, dobywając na światło dzienne linebaugha .475. Rzucił torbę na ziemię i z udanym podziwem przyjrzał się wielkiemu rewolwerowi. Palcem otworzył magazynek, obrócił cylinder. Później zakręcił rewolwerem na palcu, udając kowboja. Jeden z jego kumpli parsknął śmiechem. Jones zwrócił się do Bena. - Masz fajny sprzęt.

Ben milczał, szybko i intensywnie analizując sytuację.

Agenci podeszli bliżej. Przez chwilę Ben miał wrażenie, że w oczach obserwującej go kobiety dostrzegł cień wątpliwości lub wahania. Rudowłosa agentka nie wyglądała już tak twardo jak na początku.

Jones wyciągnął z kieszeni telefon i gdzieś zadzwonił.

- To ja. Dobre wieści. Właśnie znaleźliśmy pana Hope. OK.

Ben zmarszczył czoło. Co za dziwna procedura.

Jones zatrasnął telefon i zwrócił się do dwóch policjantów:

- Was już chyba nie będziemy potrzebować.

Policjanci spojrzeli na siebie i ruszyli w stronę radiowozu. Otwierali już drzwi, gdy Jones, jakby zmieniając zdanie, zawołał ich.

- Chwileczkę, panowie. Jeszcze coś.

Młodszy policjant zmrużył oczy.

- Co?

Jones się uśmiechnął, twarz położyły mu zmarszczki, a oczy zwęziły się w szparki.

Rzucił okiem na linebaugha .475, którego trzymał w ręku.

Po czym odciągnął kurek, wyprostował rękę i z odległości trzech metrów strzelił

młodemu policjantowi prosto w twarz.

dom Richmonda

Montana

Nad przepaścią, po grubych linach sunął z wizgiem przekładni wagonik kolejki górskiej. Dwaj mężczyźni, znajdujący się w środku metalowej atakowanej przez wiatr kapsuły, czuli pod nogami jej wstrząsy.

Irving Slater uwielbiał to miejsce. Zawieszony wysoko nad kamienistą doliną widział wszystko w promieniu wielu kilometrów. Dawało mu to poczucie wszechmocy, wyobrażał sobie, że jest orłem czatującym w swoim górskim punkcie obserwacyjnym. Wiedział, że tak właśnie zachowują się drapieżniki - siadają na wzniesieniach i obserwują swoje terytorium z miejsca, które zapewnia im pełen ogląd sytuacji. Nikt nie mógłby go tu znaleźć ani nagrać jego rozmów, ponieważ wycie wiatru zagłuszało nawet najbardziej wyrafinowane środki podsłuchu. Do spraw bezpieczeństwa Slater podchodził fanatycznie, już ze sto razy zlecił przeczesanie domu Richmonda w poszukiwaniu urządzeń podsłuchowych. Jak dotąd nic nie znalazł, mimo wszystko najbezpieczniej się czuł w wagoniku kolejki i tylko tutaj prowadził najważniejsze rozmowy.

Lina kolejki miała prawie pięćset metrów długości i łączyła pomost w pobliżu domu Richmonda z małym budynkiem po drugiej stronie doliny. W środku kapsuły zamontował urządzenie, które pozwoliło mu wyprowadzać wagonik i w dowolnym miejscu go zatrzymać. Wiedział, że w każdej chwili może zawisnąć nad trzystumetrową przepaścią niby ostatnie jabłko na jabłoni.

Nikt, oprócz Slatera, od dawna tu nie przyjeżdżał. Dirk Richmond, ojciec Buda, zainstalował kolejkę wiele lat temu, inwestując w to przedsięwzięcie ogromne pieniądze. Kupił tysiącakrową farmę u stóp Gór Skalistych, ponieważ chciał, aby jego rodzina miała bezpośredni dostęp do trasy narciarskiej na zboczu góry. Jednak ani żona, ani rozpieszczony synalek nigdy nie wykazywali najmniejszego zainteresowania sportowym trybem życia. Kiedy Dirk przeniósł się do lepszego świata, był bardzo bogatym, lecz zgorzkniałym starym człowiekiem. Jego największym rozczarowaniem był marnotrawny syn, Bud.

Slater skierował pilota na tablicę kontrolną i nacisnął czerwony guzik. Znad głowy dobiegł go stłumiony szum poruszających się lin i przekładni, wagonik z szarpnięciem stanął. Włożył pilota z powrotem do kieszeni płaszcza i przez chwilę cieszył się widokiem doliny. Trzymając się poręczy, kołysał się lekko razem ze smaganym wiatrem wagonikiem.

W końcu spojrzał na swojego spoconego i wystraszonego towarzysza.

- Powinieneś się już do tego przyzwyczaić.

- To miejsce mnie przeraża.

Uśmiech Slatera nagle znikł.

- Mów, jak wygląda sytuacja.

Gość nerwowo wzruszył ramionami.

- Bradbury powiedziała niewiele. Nadal nad nią pracujemy.

- To już słyszałem ostatnim razem. Dlaczego w ogóle utrzymujemy ją przy życiu? Jej adwokata też, jak przypuszczam, jeszcze nie znalazłeś.

- McClusky'ego?

- Czy znasz innego adwokata, któremu pozwoliliście się wymknąć, a który mógł wiedzieć, gdzie Bradbury ukryła dowody? I który jest w stanie nas całkowicie pogrążyć?

- Nadal go poszukujemy.

Slater przeszył wzrokiem rozmówcę.

- Mam nadzieję. Przecież to nie jest takie trudne. Co nowego w sprawie Kaplan i Hudsona? Zaskocz mnie, proszę. Powiedz mi, że ich znalazłeś.

- Niestety nie. I mam wrażenie, że już ich nie zobaczymy.

Slater machnął pogardliwie ręką i znów zapatrzył się w górską dolinę.

- Nie masz więc żadnych dobrych wiadomości, prawda? - Wyjął z kieszeni czekoladowy batonik i zdał opakowanie. - Chcesz kawałek?

Gość potrząsnął głową i nerwowo zakasłał.

- Zdarzyło się coś nowego. - Sięgnął do stojącej przy nogach teczki i wręczył Slaterowi cienki plastikowy folder.

Slater, przeżuwając batonik, otworzył folder. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, było powiększone zdjęcie jasnowłosego mężczyzny w wieku trzydziestu kilku lat.

- Kto to jest?

- Nazywa się Hope. Benedykt Hope. Anglik. Parę dni temu nasi agenci donieśli, że był na Korfu. Przyleciał tam, żeby się zobaczyć z Palmerem. Jak wiesz, Palmer...

- Nie ucz mnie historii - uciał Slater. - Palmer szukał tam Bradbury i rozmawiał z jakimś greckim palantem. Wiem. Myślałem, że to już mamy z głowy.

- Nam też się tak wydawało. Likwidacja Karapiperisa i podłożenie bomby miały wyglądać na walkę gangów narkotykowych. Anglik jednak ocalał. Słyszeliśmy o tym od Kaplan i Hudsona, ale dopiero teraz się dowiedzieliśmy, kim jest.

Slater odsunął zdjęcie i zajął się resztą materiałów. Świadczenia wojskowe Palmera i Hope'a. Najpierw, marszcząc brwi, przekartkował dane Palmera. Informacje o Benedykcie Hope były obszerniejsze i na nich się skupił. Jeszcze przed końcem lektury ogarnął go niepokój. Podniósł głowę.

- Czy ty to widziałeś?

Wspólnik kiwnął głową.

- Niesamowite. Najmłodszy major w historii SAS. Medale wychodzą mu uszami. Albo prawdziwy bohater, albo urodzony morderca, udający zwykłego człowieka. Tak czy owak by się nam przydał.

- Próbowaliśmy zasięgnąć informacji o tym, czym Hope się zajął po wyjściu z wojska, ale bez większego skutku - powiedział wspólnik. - Działa jako „konsultant do spraw kryzysowych”, dużo podróżuje, ciężko jest ustalić coś konkretnego. Wie, jak zacierać za sobą ślady. Nie mamy nawet jego adresu domowego.

- Konsultant do spraw kryzysowych - powtórzył Slater pod nosem. - To bardzo pojemne określenie, które może wiele oznaczać.

- Podejrzewamy, że zlikwidował Kaplan i Hudsona.

- Wcale się nie dziwię. - Slater zamknął folder. - O co tu, do diabła, chodzi? Dlaczego na tropie tej przeklętej archeolożki znalazło się aż dwóch facetów z SAS? Co tu robi taki człowiek jak Hope?

- Nie wiemy. Może pracuje z Bradbury?

Slater rzucił szybkie spojrzenie na rozmówcę.

- W takim przypadku wiedziałby o wszystkim. Faktycznie, mogą być partnerami.

- Jest taka możliwość.

Slater się wściekł.

- Mówisz mi więc, że ta, od początku spieprzona sytuacja, stała się jeszcze bardziej spieprzona? Mamy teraz do czynienia z byłym oficerem służb specjalnych, który likwiduje naszych agentów i może wszystko wiedzieć od Bradbury i McClusky'ego. Innymi słowy, nie zajmujemy się już podrzędnym, chwytającym się wszystkiego adwokatem i przestraszoną małą dziewczynką, lecz stanęliśmy oko w oko z cholerną wyszkoloną maszyną do zabijania ludzi. Ten człowiek jest co najmniej tak dobry jak nasi najlepsi żołnierze armii amerykańskiej. Zdajesz sobie z tego sprawę, co?

- Tak - odparł przygnębiony wspólnik.
- Czy mamy jakiegokolwiek pojęcie, gdzie się ten sukinsyn znajduje?
- Właśnie do tego zmierzałem. Jest tutaj.
- O czym ty mówisz?
- Dwa dni temu, w Atlancie, przekroczył amerykańską granicę.

Zdesperowany Slater pochylił głowę.

- I chcesz mi powiedzieć, że CIA nie może go złapać?
- Nasi ludzie za późno przyjechali na lotnisko. Już go nie było.

Slater zmroził go wzrokiem i zde gustowany potrząsnął głową.

- Musimy zachować ostrożność - powiedział rozmówca. - Nie działamy całkiem oficjalnie, pamiętaj. A Hope nie jest zwykłym facetem.

- Płacę wam mnóstwo pieniędzy - odparł Slater. - Tu chodzi o pojedynczego człowieka. Tylko jednego faceta. Płacisz kilkudziesięciu agentom, masz kontakt z kolejną setką ludzi. Czy on rzeczywiście jest taki sprytny, czy to wy jesteście tacy nieudolni?

Wspólnik stracił cierpliwość.

- Zrobiliśmy wszystko, co nam zleciłeś. Przechwyciliśmy Bradbury. Zajęliśmy się Karapiperisem. Ściągnęliśmy Herzoga do zamachu bombowego. Te sprawy nie są łatwe w realizacji. To nie to samo co zorganizowanie konferencji prasowej. Jedna pomyłka - i po nas.

Slater pogardliwie prychnął.

- Gdybym wiedział, że jesteście taką bandą nieudaczników, to wszystko bym zlecił Herzogowi.

- To najemnik - zaprotestował wspólnik. - On w nic nie wierzy.
- A jakie to ma znaczenie? Dla mnie ten krety n może być nawet satanistą.
- W naszej sprawie chodzi o coś innego.

Slater beznamiętnie spojrział na rozmówcę.

- Och, ty myślisz, że wykonujesz boskie polecenia. No to teraz się dowiedz, że w tym przypadku chodzi o biznes. Od początku do końca. Kiedy Herzog pracuje, przynajmniej mam gwarancję, że nie zostawi śladów, które znajdzie nawet ślepiec.

Wspólnik miał właśnie zamiar odpowiedzieć, gdy zadzwonił jego telefon. Odwrócił się od Slatera i cicho rozmawiał. Uniósł brwi.

- Jesteś pewien? - spytał. - OK. Wiesz, co robić. - Zamknął telefon i z triumfalnym uśmiechem popatrzył na Slatera.

- Co się stało?
- Dzwonił Jones. Właśnie złapał Hope'a.

Po raz pierwszy od początku rozmowy na twarzy Slatera pojawił się uśmiech.

- No, nareszcie. Dobrze. Teraz przywieź sukinsyna na miejsce, żeby nam wszystko opowiedział.

- Wiesz, że tam nie pojedę - odparł współnik. - Nikt nie może mnie zobaczyć.

- Wiem, ale ja, do cholery, zjawię się na pewno. Muszę poznać tego typu.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł.

- Ależ jak najbardziej - odparł Slater. - A później go wykończę.

Powietrze rozdarł głuchy trzask wystrzału. Twarz młodego policjanta zmieniła się w krwawą maskę, pocisk odrzucił go do tyłu, na samochód. Wierzgając konwulsyjnie nogami, ciężko upadł na ziemię.

Jones zarepetował rewolwer i uprzedzając wszelki ruch ze strony drugiego policjanta, strzelił ponownie. Tym razem kula trafiła w pierś, wrywając serce i płuca przez dziurę w plecach, przednią szybę zalała krew. Ciało drugiego funkcjonariusza osunęło się obok radiowożu.

Na moment wszyscy zamarli.

Odgłos kanonady rozniósł się echem po całej okolicy. Dwóch policjantów leżało bez ruchu. Jones odwrócił się do nich tyłem.

Ben rzucił okiem na Jonesa, później spojrział na pozostałych agentów. Jeden z nich się głupio uśmiechał, dwóch innych nie zdradzało żadnych emocji. Tylko na twarzy agentki dostrzegł zgrozę, widać tego się nie spodziewała.

- Ależ ta zabawka ma kopyto - zdziwił się Jones, ważąc w dłoni wielki rewolwer. Zdjął ciemne okulary i zmierzył Bena ironicznym spojrzeniem. - Wydaje mi się, że wdepnął pan w niezłe gówno, panie Hope.

Ben odsunął się od chryslera. Wskazał na dwóch martwych policjantów.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Ja? Niczego nie zrobiłem. To twoja sprawka. Wszyscy widzieliśmy, co się stało. To twoja broń, wszędzie są na niej odciski twoich palców.

- Czego ode mnie chcesz?

- Odpowiedzi. Ale nie tutaj.

Podszedł bliżej. Już się nie uśmiechał. Znów zarepetował rewolwer i przystawił go Benowi do twarzy.

- Aresztuję cię, zabójco policjantów.

Ben przyjrzał się agentom. Pięć osób stało w pobliżu, prawdopodobnie co najmniej dwie

siedziały w samochodach z przyciemnionymi szybami. Zaczął szybko kalkulować odległości, analizować pozycje i język ciała agentów. Rzucił okiem na Jonesa, na wylot lufy rewolweru, znów na Jonesa. Już drugi raz w ciągu ostatnich kilku minut ktoś do niego w ten sposób celował. Młodemu policjantowi to darował, ale tym razem miarka się przebrała.

Jones popełnił wielki błąd taktyczny. Może przywykł do przystawiania ludziom do głowy pękatych pistoletów z krótką lufą, w rodzaju glocka czy siga? A może chciał się po prostu popisać przed swoimi ludźmi, pokazać im, jaki z niego bohater? Długość lufy myśliwskiego rewolweru sprawiła, że jej wylot znalazł się tylko o dziesięć centymetrów od głowy Bena.

Już na jednym z pierwszych szkoleń Ben się dowiedział, że nie można podchodzić z wycelowanym pistoletem zbyt blisko. Zawodowiec zachowuje właściwą odległość, stoi odpowiednio daleko od swojego wroga, utrudniając mu podjęcie jakiegokolwiek próby rozbrojenia. Wpojone w trakcie niezliczonych szkoleń metody odbierania broni uratowały Benowi życie w tak wielu przypadkach, że stracił już ich rachubę.

Przez chwilę się zastanawiał. Czy i tym razem mu się uda?

To amerykańscy agenci rządowi, do tego jest ich pięciu. Nie poradysz sobie.

Zawahał się.

Pieprzyć to, do roboty.

Pierwszy ruch trwał ułamek sekundy. Złapał wylot lufy i ostro popchnął pistolet w stronę twarzy Jonesa. Zaokrąglona krawędź ebonitowej rękojeści trafiła agenta w zęby i, łamiąc je, wbiła mu się w usta.

Jones wrzasnął, z warg trysnęła mu krew. Ben wyszarpnął broń z ręki Jonesa. Agent runął do tyłu, trzymając się za twarz i wijąc z bólu, między palcami widać było kawałki połamanych zębów.

Zanim ktokolwiek zdążył się poruszyć, Ben padł na ziemię i błyskawicznie, wykonując ciałem półobrót, jednym ruchem złapał torbę, sięgnął po klamkę drzwi chryslera, szarpnął ją i wskoczył za drzwi jak za tarczę obronną. W tym czasie agenci dopiero wydobyli broń.

Rozpoczęła się nerwowa kanonada, pociski z łomotem grzęzły w drzwiach chryslera.

Odbezpieczył rewolwer, w ostatniej chwili się zawahał. Czy na pewno chciał to zrobić?

Nie miał w planie wdawania się w pojedynek ogniowy z rządowymi agentami, bez uzasadnionego powodu nie chciał z nimi zadzierać.

Czuł jednak, że tym razem nie ma wyboru. Biorąc jednego z nich na muszkę, miał świadomość, że z takiej broni nie ma sensu strzelać po to, by ranić, ponieważ trafienie w ramię tak czy owak by je oderwało, powodując śmierć ofiary wskutek wykrwawienia i szoku. Wystrzelił więc wprost w agenta. Broń huknęła i mocno odrzuciła do tyłu, cel padł jak ścięte

drzewo.

Pistolet był pięciostrzałowy. Trzy pociski wykorzystane, zostały jeszcze dwa.

Karoseria chryslera zadrżała od kolejnych trafień. Ben podniósł się i pochyłony stanął za drzwiami samochodu. Zobaczył, że agentka ma go na muszce, tylko musi pociągnąć za spust.

Szybko zorientował się, że kobieta nie ma zamiaru strzelać. Zabił więc stojącego obok niej agenta, którego pocisk odrzucił na jeden z dwóch wielkich czarnych samochodów terenowych.

Kolejni dwaj agenci wypadli z chevroletów, dobywając broni.

Czas uciekać.

Wskoczył do chryslera wprost pod kierownicę, przekręcił kluczyk w stacyjce i przesunął dźwignię automatycznej skrzyni biegów na jazdę. Jedną ręką trzymając kierownicę, drugą z całych sił nacisnął pedał gazu. Masywny samochód, buksując i kołysząc otwartymi drzwiami, skoczył do przodu. Przez pierwsze dwadzieścia metrów Ben jechał z pochyloną nisko głową, aby uniknąć dziurawiących karoserię pocisków i deszczu odłamków z rozbijanych szyb. Dopiero gdy ostrzał zmalął, usiadł w fotelu kierowcy i wyprostował koła jadącego zygzakiem samochodu.

Rudowłosa kobieta pomogła Jonesowi wstać, wszyscy pobiegli do samochodów. Czarne chevrolety z piskiem opon rzuciły się w pogoń.

Kręta wiejska droga była pusta. Ben jechał środkiem, miękkie zawieszenie chryslera i ciężar karoserii powodowały, że musiał ostro ścinać zakręty. Przednia szyba była jedną nieprzezroczystą pajęczyną pęknięć, więc ręką ręką pistoletu wybił jej resztki. Do środka z hukiem wdarł się wiatr. Na prostej wskazówka szybkościomierza doszła do stu dwudziestu, a zaraz potem do stu trzydziestu kilometrów.

Siedzieli mu na ogonie, a on miał jeszcze jeden nabój. Niestety tego pistoletu nie można było ładować w ruchu, tak jak każdej innej, współczesnej broni automatycznej. Była to broń myśliwego, a więc człowieka cierpliwego, a każdy jej nabój musiał być pojedynczo usuwany lub ładowany, co w tej sytuacji było niemożliwe.

Huknął strzał, Ben się schylił. Boczne lusterko i rama okna zamieniły się w chmurę plastikowych i metalowych odprysków. Rzucił okiem przez ramię i spostrzegł, że z okna jednego z goniących go samochodów wychylił się agent, celując do niego z krótkiego, pękatego pistoletu. Kolejny strzał wyszarpnął kawałek sąsiedniego siedzenia.

Manewrując po całej drodze, Ben skierował rewolwer na ścigający go samochód. Ostatni nabój. Wypalił, zbytnio nie celując, odrzut broni mało nie oderwał mu ręki. Wielki pocisk linebaugha wybił resztki tylnej szyby samochodu Bena i trafił w przód chevroleta. Czarny

samochód wpadł w poślizg, obrócił się bokiem i w końcu dachował. Strzelec wyleciał z okna jak wyrzucony z katapulty, z przewróconego samochodu poodpadały części karoserii. Drugi chevrolet tylko go ominął, nie przerywając pościgu.

Takiej jazdy Ben jeszcze nie pamiętał. Znowu usłyszał strzały. Z przodu zobaczył okolony drzewami i krzakami zjazd z drogi, skierował chryslera w wąski przesmyk.

Nagle, tuż przed maską, dostrzegł starego mężczyznę prowadzącego muła.

Odruchowo skręcił kierownicą, samochód wystrzelił w bok, wbijając się w gąszcz zarośli. Gałęzie, jak lance, przeszywały pozbawione szyb okna, wstrząsy były tak gwałtowne, że z trudem utrzymywał się w fotelu. Gnał w dół zbocza.

Przez moment wydawało się, że nawet i z tej przygody wyjdzie obronną ręką.

Gdy dostrzegł leżący w poprzek pień drzewa, było już za późno, by cokolwiek zrobić.

Z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę chrysler wyrzwał w przeszkodę. Gwałtownie rzucony do przodu Ben utknął w poduszce powietrznej, samochód przekoziółkował i z hukiem wylądował na dachu.

Ogłuszony, przez chwilę nie wiedział, co się stało. Dzwoniło mu w uszach, w ustach czuł smak krwi. Wisiał głową w dół, opierając się na kierownicy, pogięty dach wbijał mu się w ramię.

Nagle usłyszał tupot biegnących stóp, trzask łamanych gałązek. Głosy. Okrzyk:

- Tam, na dole!

Nogami odepchnął się od deski rozdzielczej, próbując wydostać się przez pogięte okno. W końcu udało mu się obrócić i wypełznąć z wraku, sięgnął jeszcze po torbę i pustego linebaugha. Wiedział, że nawet nienaładowany rewolwer jest lepszy od gołych rąk.

Od razu wpadł w gęstwinę splątanych zarośli, które jak zwoje drutu kolczastego złapały go za rękę i twarz. Gdy się wyswobodził, chwiejnie stanął na nogi i rozejrzał się. Z trudem łapał oddech, waliło mu serce. Potrzebował chwili, aby dojść do siebie po tym paralizującym zmysły wypadku. Otaczały go tylko drzewa i krzaki. Przez parawan zieleni usłyszał odgłosy pościgu, więc wziął torbę na ramię i rzucił się do ucieczki, przedzierał się przez poszycie, prześlizgiwał przez wąskie szczeliny między drzewami. W pewnym momencie odsunął na bok zwisającą przed nim gałąź i stanął twarzą w twarz z unoszącym broń do strzału agentem. Nie zwalniając biegu, osunął się na ziemię, unosząc w górę wyprostowaną prawą nogę. Agent, uderzony w kolano, upadł, a pistolet, który trzymał, wypalił w niebo. W mgnieniu oka Ben znalazł się przy leżącym wrogu i uderzył go kolbą swojego pustego rewolweru. Agent, nadal ściskając służbowy pistolet, stracił przytomność. Ben odrzucił linebaugha w krzaki i wyszarpnął broń z palców leżącego mężczyzny. Magazynek był pełny, a brzydka czarna stal

na nowo przywróciła Benowi poczucie bezpieczeństwa.

Odgłos wystrzału zaalarmował resztę. Ben usłyszał trzask gałęzi i głosy przedzierających się przez gęstwinę, zbiegających się ze wszystkich stron agentów. Byli coraz bliżej.

Gnał dalej. Wpadł do strumienia, suche czerwone podłoże lasu zamieniło się w śliski muł. Przedostał się po kamieniach na drugi brzeg i wdrapał na stromą skarpe.

Las stawał się coraz gęstszy. Ben skakał nad leżącymi pniami drzew, przedzierał się przez gęste chaszczę. Gdy zieleń się przerzedziła, ujrzał przed sobą trawiaste wzniesienie. Pobiegnął w jego kierunku, oddalając się od ścigających go głosów. Wydawało się, że wciąż jeszcze ma szansę wymknąć się pogoni.

W pewnej chwili łomot serca Bena musiał ustąpić głośnieму dźwiękowi wirnika śmigłowca. Biorąca ostry zakręt maszyna pojawiła się na wysokości dziesięciu metrów nad wzgórzem i niczym drapieżny ptak z opuszczonym dziobem i zadartym ogonem z rykiem podfrunęła do uciekiniera. Podmuch powietrza szarpnął włosy i ubranie Bena, położył trawę na ziemi. Z obu boków śmigłowca wychylili się strzelcy z karabinkami automatycznymi. Gdy ich pociski zakosem uderzyły w ziemię, Ben rzucił się za leżący pień i oddał trzy szybkie, podwójne strzały w przelatujący z hukiem helikopter. Otwory po trafieniach ułożyły się na czarnym kadłubie w prostą linię. Huraganowy podmuch wirnika podrywał w górę pył i szczątki roślin. Ben czuł, że zaczynają mu łzawić oczy. Aby uniknąć zderzenia z drzewami, śmigłowiec gwałtownie wzbił się wyżej, znów ostro zakręcił i zaczął kolejny nalot.

Pistolet kalibru 9 mm nie jest bronią, która mogłaby coś zdziałać przeciw helikopterom czy karabinom wojskowym, ale Ben nie dysponował niczym innym. Wziął więc nadlatujący śmigłowiec ponownie na muszkę i wystrzelił w niego kolejnych pięć naboji. Znów bez skutku. W pewnym momencie dostrzegł skaczącą na jego nodze czerwoną plamkę laserowego celownika, na szczęście w porę rzucił się w bok. Z pnia, za którym się schronił, najpierw wystrzeliła w górę fontanna drzazg, w chwilę później rozległ się odgłos kanonady. Poderwał się i pobiegł szukać schronienia w krzakach. Śmigłowiec znów przeleciał górą, pociski ścigające Bena wyrzucały w powietrze gejzery ziemi. Na oślep przeskakując kamienie i koleiny, biegł jak tylko mógł najszybciej. Dwa razy potknął się i prawie przewrócił. Za ubranie chwyciły go kolczaste gałęzie, w końcu wybiegł na trawiastą polanę.

Nie był tam jednak sam. Pięć metrów dalej stało dwóch agentów celujących z pistoletu i karabinu, którzy krzyczeli, żeby się zatrzymał.

Na chwilę zapanował impas. Ben, kołysząc pistoletem, też trzymał ich na muszce i gorączkowo analizował sytuację. Najpierw powinien zabić agenta z karabinem, bo wiedział, że łatwiej jest przeżyć pojedynczy strzał z pistoletu niż morderczy grad kul z krótkolufowego

rozpylacza.

W chwilę potem sytuacja znów uległa zmianie, bo z krzaków wyszli kolejni agenci. Z prawej strony, na osi godziny trzeciej, zobaczył kobietę. Jones pojawił się z kierunku godziny dziesiątej. Między nimi wyszedł trzeci agent. Pięciu na jednego. Był otoczony i bez szans na ucieczkę. Rzucił broń, podniósł ręce do góry.

Znad lufy pistoletu, z grymasem na twarzy, przyglądała mu się kobieta. Jej spojrzenie mówiło, że ucieczką tylko pogorszył swoją sytuację. Tak jakby jego los nie był jej obojętny. Nie wiedział dlaczego, ale miał wrażenie, że agentka znalazła się tu wbrew własnej woli.

Twarz Jonesa wyglądała jak krwawe pobojuwisko, w jego oczach czaiła się furia. Wydał niewyraźne polecenie, po którym dwóch agentów złapało Bena za ramiona, rzuciło twarzą na ziemię, a następnie plastikową linką skrupowało mu przeguby. Na plecach poczuł ucisk kolana, do głowy przystawiono mu pistolet. Na koniec zapamiętał ostre ukłucie igły.

- Teraz trochę sobie pośpisz, skurwielu - powiedział przez rozbite wargi Jones.

Ben zanurzył się w czarnym basenie, w którym otaczające go głosy najpierw zamieniły się w echa, a potem umilkły.

37

Po tysiącu lat dryfowania w mglistym wszechświecie chaotycznych snów i koszmarów Ben z początku usłyszał głosy, a potem się obudził. Gdy usiadł na łóżku, najpierw uświadomił sobie, że leży na nagim materacu w kącie brudnego pokoju. Następnie zobaczył, że przykuto go kajdankami do ściany, i poczuł, jak ich stalowe obręcze wbijają mu się w ciało. Długi łańcuch prowadził od lewego przegubu, w górę zdewastowanej ściany, zakręcał wokół solidnej żelaznej rury i wracał do prawego przegubu. Potrząsnął nim. Rura ani drgnęła.

Zegarek wskazywał godzinę 20:36. Złapali go pięć i pół godziny temu. Dokąd, do diabła, trafił?

Powoli wracała mu zdolność analizy sytuacji. Jego więzienie wyglądało na jakąś starą chłodnię. Bez okien, z jednymi, obitymi aluminiową blachą, drzwiami. Pomieszczenie od dawna musiało być nieużywane, bo podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu, na ścianach wisiały pajęczyny, a powietrze było pełne wilgoci i mysiego fetoru. Magazyn od wielu lat ewidentnie stał odłogiem.

Głosy na zewnątrz, które go obudziły, były coraz wyraźniejsze. Kroki. Cień w pasku światła pod metalowymi drzwiami. Grzechot kłódki. W końcu drzwi się otworzyły i do środka weszło dwóch rośliwych mężczyzn. Jeden, chudy i żyłasty, miał palce przypominające ptasie szpony i krótko przystrzyżone włosy. Drugi wyglądał jak przegrany ciężarowiec - taki, co je za dużo bułek z serem, a za mało czasu spędza na siłowni. Sto czterdzieści kilo otłuszczonych mięśni wieńczyła malutka łysa głowa z czarną kozią bródką.

Obydwaj mieli garnitury, białe koszule i stonowane krawaty. Nie ryzykowali. Żyłasty zatrzymał się o kilka kroków od Bena i wycelował w niego pistolet. Muskularny podszedł do więźnia, ostrożnie się schylił i otworzył lewą obręcz kajdanków.

- Obsługa hotelowa jest tu do kitu - powiedział Ben.

Siłacz prawie niedostrzegalnie wykrzywił usta. Bez słowa, ostro zerwał obręcz z przegubu Bena i na łańcuchu przeciągnął ją przez szczelinę między ścianą a rurą.

Ben się przyglądał. Poruszali się szybko, pewnie i profesjonalnie. Mając wolne ręce, przez chwilę zmagał się z pokusą, aby zaatakować. Tłusty mężczyzna, stojący tak blisko, że Ben czuł jego nieświeży oddech, nie powinien być żadnym problemem. Jednak ten drugi, żyłasty, przez cały czas uważnie trzymał Bena na muszce. Ben widział białe czubki jego

palców na czarnej stali i wiedział, że na razie nie ma szans.

Potężny facet ponownie złapał go za przegub i zatrzasnął obręcz kajdanków, tym razem nawet ciaśniej, następnie złapał Bena za koszulę i mocnym szarpnięciem postawił go na nogi.

- Ruszaj się - powiedział niskim głosem. Ben spojrzał mu w oczy. Były puste. - Idź - powtórzył, popychając go ręką.

Cały czas na muszce pistoletu, Ben wyszedł z chłodni i znalazł się w kuchni.

Podobnie jak chłodnia, również to pomieszczenie było zaniedbane i wyglądało na dawno opuszczone. Szczury i myszy rozpruły spiętrzone w rogu worki ze śmieciami, kafelki podłogi były pokryte porzrzuconymi resztkami i kurzem. Odpadki piętrzyły się na stołach do pracy i w zlewach, które od lat nie widziały wody. Na pokrytych pajęczyną półkach stały naczynia i szkło kuchenne. W starej zapleśniałej desce do krojenia nadal tkwił wbity nóż.

Kiedyś musiała tu działać restauracja lub hotel, jednak najwyraźniej miejsce to nie funkcjonowało już od lat. W powietrzu czuło się chłód, który musiał mieć inne źródło niż tylko wilgotne ściany. Dokąd on trafił?

Dwaj mężczyźni popychali go, chcąc, by przyśpieszył kroku. Przeszli przez kuchnię, otworzyli podwójne drzwi i znaleźli się w ciemnym korytarzu. Przed nimi z mroku wychyły stalowe drzwi windy towarowej. Siłacz nacisnął guzik, drzwi rozsunęły się na boki. Ben poczuł pod żebrami ucisk pistoletu i wszedł do środka.

W windzie unosił się ten sam smród rozkładu co w kuchni. Zrobił trzy kroki, zatrzymał się w kącie, odwrócił się i oparł o ścianę. Żyłasty prześladowca stanął z drugiej strony i znów wycelował w niego pistolet. Dopiero wtedy do windy wszedł atleta, zatrzęsła się pod nim podłoga, wcisnął guzik na ścianie. Kabina, sycząc i grzechocząc, ruszyła. Nikt się nie odzywał. Stanęli na parterze, Ben został wepchnięty do kolejnego korytarza. Na ścianach kwitły tu plamy czarnej pleśni, smród szczurów i myszy był jeszcze silniejszy.

- Nie zatrzymuj się - powiedział idący przodem siłacz.

Ben szedł wolno, czuł na plecach ucisk lufy i przez cały czas bacznie się rozglądał. Trafili do kolejnej windy, która zawiozła ich na pierwsze piętro. Znow obskurny korytarz, w nim minęli kilkoro drzwi ze starymi zaśniedziałymi numerami hotelowymi. Siłacz zatrzymał się przed pokojem numer trzydzieści sześć i energicznie zapukał do drzwi. Usłyszeli czyjś głos, zbliżające się kroki, drzwi się otworzyły.

W progu stanął kościsty mężczyzna z zaczesanymi do tyłu włosami.

- Już się spotkaliśmy - powiedział Ben. - Jak tam uzębienie?

Gdy Jones się wykrzywił, widać było, że niektórych zębów mu brakuje.

- Dajcie go tutaj - rozkazał strażnikom.

Z powodu opuchniętych warg głos miał zniekształcony. Ben został wepchnięty do pokoju i rzucony na krzesło. Siedział spokojnie, łańcuch kajdanków położył sobie na kolanach.

Biuro było urządzone prowizoryczne, stało tu kilka krzeseł, liche biurko oraz stolik z odtwarzaczem DVD i monitorem. Ale Ben wiedział, że nie przyszedł tu w celach rozrywkowych.

Jones zamknął drzwi i dotykając warg i szczęki, stanął pośrodku pokoju. W jego oczach płonęła nienawiść. Drugi mężczyzna, którego Ben nie znał, siedział na biurku, szczerząc w uśmiechu białe zęby. Wyglądał niemal dobrodusznie. Dobiegający czterdziestki, szczupły, niewysoki, o zdumiewająco rudych włosach. Na przegubie miał masywny zegarek ze złota w ramce wysadzanej diamentami. Wyglądał na człowieka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów - takiego, który nie musi się uciekać do przemocy, by wyegzekwować posłuch. Na człowieka, który też lubi znajdować się zawsze o krok przed innymi i przewiduje każdy wariant rozwoju sytuacji. Był niebezpieczny.

- Fajne miejsce - powiedział Ben.

- Naprawdę tak uważasz? - Nieznajomy mężczyzna miał nosowy głos, a mówiąc, szeroko gestykulował. - No tak, jesteś Brytyjczykiem. Osobiście uważam, że jest tu dość koszmarnie. A ile mnie to wszystko kosztuje! Ale kiedy tu skończę, pilot bardzo szybko pokona te 100 kilometrów dzielące nas od cywilizacji.

- Rozmowny jesteś - powiedział Ben.

- Za chwilę ty też taki będziesz. - Uśmiech na jego twarzy nieco przygasł.

- Mam wrażenie, że się nie znamy.

- Nazywam się Slater. Z Jonesem już chyba się spotkałeś. - Slater wyjął z kieszeni cienki batonik czekoladowy i zaczął go rozwijać. - Lubisz czekoladę, Hope?

Ben przecząco potrząsnął głową.

- Uważam też, że nie powinieneś częstować nią Jonesa, jego dentysta byłby bardzo niezadowolony.

W oczach Jonesa zabłysła furia. Slater się tylko uśmiechnął.

- W porządku, lubię dowcipy, ale nie po to tu przyleciałem. Nie utrudniaj mi pracy. Uwierz mi, wszystko stanie się łatwiejsze, jeżeli nie będziesz się już wygłupiać.

- Wiele się ode mnie nie dowiecie - powiedział Ben.

- Myślę, że wprost przeciwnie - odparł Slater. - Majorze.

- Nie jestem majorem, tylko studentem teologii.

- Jasne - parsknął Slater. - Widocznie w komputerze CIA figuruje jakiś inny Benedykt Hope. Z twoją twarzą.

- Jestem teraz studentem teologii.
- Prawdziwy człowiek Boga, co?
- Próbuję. Wy mi w tym przeszkadzacie.
- O teologii rozmawiałeś z Claytonem Cleaverem?
- Można tak powiedzieć.

Slater nagle spowaźniał.

- Dlaczego pracujesz z Zoë Bradbury?
- Bardzo się mylicie. Nie pracuję z nią. Ja jej szukam, chociaż ledwo ją znam. Jeszcze osiem dni temu nie poznałbym jej na ulicy.

- Tak więc dwóch facetów z SAS przylatuje, ot tak sobie, na jakąś grecką wysepkę w poszukiwaniu dziewczyny, którą ledwo znają, tak?

Ben wzruszył ramionami. Nie widział powodu, żeby kłamać.

- Jak mówiłem, jestem studentem. Jej ojciec jest jednym z moich wykładowców. Gdy Zoë zniknęła, poprosił, żebym pojechał na Korfu i ją znalazł. Sam odmówiłem, lecz wysłałem do Grecji jednego z moich znajomych, który akurat szukał pracy. Natrafił tam na trudności, więc pojechałem, żeby mu pomóc.

- To wszystko?

- Tak. - Ben spojrzał twardo na Slatera. - A później ktoś tego mojego znajomego wysadził w powietrze. Myślałem, że zlecił to Clayton Cleaver. Dlatego przyjechałem tu, żeby z nim porozmawiać. Ale się pomyliłem. Teraz mam inną teorię. Myślę, że to ty zabiłeś Charliego. Oraz Karapiperisa i innych niewinnych ludzi, ponieważ chcesz się dowiedzieć, gdzie Zoë schowała resztę ostraka, którym szantażowała Cleavera. - Ben zrobił przerwę. - Odpowiedziałem na twoje pytania, teraz ty odpowiedz na moje. Po co ci ten ostrak? Dlaczego to wszystko robisz? Czyżby Agencja zrobiła się raptem taka religijna?

- To nie twoja sprawa - odparł Slater.

- Gdybyś naprawdę chciał dostać te skorupy, tobyś jej nie zabił.

Slater zacisnął usta.

- Dlaczego myślisz, że ją zabiliśmy?

- Gdyby żyła, byłbym wam niepotrzebny.

- Żyje - odpowiedział Slater. - Co więcej, jest tutaj i wkrótce się spotkacie.

Ben intensywnie myślał. *Żyje. A więc nadal jest szansa.* Od razu zaczął analizować wszystkie możliwości. Nie pozwolił jednak, aby Slater to zauważył.

- Macie ją od dwóch tygodni i nie możecie jej zmusić do mówienia? A wszystkim się wydaje, że jesteście tacy twardziele.

Jones wyciągnął palec w kierunku Bena.

- Ty nam to powiesz, dupku.

- Nie powinienes otwierać ust, Jones. Już wcześniej, zanim ci wybiłem zęby, nie byłeś najpiękniejszy, a teraz wyglądasz po prostu tragicznie. - Zwrócił się do Slatera. - Domyślam się, o co wam chodzi. Ona po prostu nie wie, prawda?

Slater tylko beznamietnie go obserwował, przeżuwiąc czekoladę.

- Skuter, który wynajęła na Korfu, przepadł razem z nią - kontynuował Ben. - Myślę, że była w drodze do Nikosa Karapiperisa, kiedy twoi ludzie próbowali ją złapać. Tacy sami eksperci jak ten Jones. Pewno ją przestraszyli, wpadła w panikę i miała wypadek. A powód, dla którego nic wam nie mówi, jest taki, że niczego nie pamięta, bo od uderzenia w głowę dostała amnezji. Wy zaś się boicie, że już nie wyzdrowieje. Jednym słowem macie problem!

Slater skrzyżował ręce.

- Nie mam wątpliwości, że jesteś bardzo sprytny. Szkoda tylko, że nie pracujesz dla nas.

- Jestem sprytniejszy od was - rzekł Ben. - Małpy zamknięte w klatce poradziłyby sobie lepiej niż wy. Teraz widzisz, co się dzieje, gdy zatrudniasz takiego bezmózgowca jak Jones.

- Zwykły człowiek, znajdujący się w twoim położeniu, próbowałby mnie zjednać - powiedział Slater. - Zastanawiam się, dlaczego ty zachowujesz się inaczej.

- Nawet jeszcze nie zacząłem - odparł Ben. - Tracisz na mnie czas. Nawet gdybym rzeczywiście miał informacje, których poszukujesz, i tak nic bym ci nie powiedział.

- Zapominasz, że nawet spryciarzom może powinąć się noga. Nie masz pojęcia, w jaki wdepnąłeś syf. Możemy cię pogrzebać na całe życie. Zastrześliś dwóch policjantów, tak na początek.

- To akurat zrobił Jones - odparł Ben. - Ten prawdziwy twardziel.

- Mamy wielu świadków na to, że to ty z zimną krwią zamordowałeś dwóch funkcjonariuszy policji - rzekł Slater. - Nie możemy też odnaleźć dwóch agentów CIA w Grecji. Uważam, że to też twoja sprawka.

Ben milczał.

Slater się uśmiechnął.

- Już nie pamiętasz? A może ciebie też ktoś walnął w głowę? Zobaczmy więc, czy to nie odświeży ci pamięci. - Skinął na Jonesa, który pilotem uruchomił płaski monitor na stole. Gdy ekran ożył, Ben od razu rozpoznał ukazaną na kolorowej taśmie scenę. Siedział z Charliem przy stoliku w kawiarni na Korfu. Dźwięk był wyciszony. Slater pozwolił, aby film trwał jeszcze przez kilka sekund. Ben obserwował, jak on sam obraca się w fotelu, słuchając relacji Charliego. Później pojawia się chłopiec z piłką, on rzuca się na jezdnię, aby uratować

dziecko przed nadjeżdżającą furgonetką, a Charlie wstaje z fotela. W tym momencie następuje eksplozja.

- OK, wystarczy - rzucił Ben. Chciał o tym zapomnieć. Zbyt wiele razy wracał w myślach do tego makabrycznego momentu.

Jones tylko rozciągnął pokiereszowane wargi na wyłamanych zębach, wycelował pilota i nacisnął guzik pauzy akurat w chwili, gdy na ekranie podmuch eksplozji przetacza się przez taras kawiarni i uderza w Charliego, roznosząc go na krwawą miazgę. Gdy obraz znieruchomiał, Jones jeszcze raz dokładnie mu się przyjrzał. Wyglądał na zadowolonego.

Ben wpatrywał się w ekran monitora. Widział teraz eksplozję z całkiem innej perspektywy. Zauważył, z której strony nadszedł niszczący wszystko podmuch, i zrozumiał, gdzie była ukryta bomba. Wróciły wspomnienia. Chłopca z piłką. Siedzącego przy sąsiednim stoliku mężczyzny z laptopem, wściekłości w jego oczach, tego, jak krzyknął na chłopca.

Tej twarzy już nigdy nie zapomni. Zwłaszcza teraz.

Nie zauważył wtedy, że gdy rozmawiał z Charliem, gość z laptopem niepostrzeżenie zniknął. Tak zachowują się ludzie w kawiarniach - piją coś i znikają, każdy stolik jest małym, samowystarczalnym światem. Nie ma w tym nic dziwnego. Teraz wiedział, że powinien zwrócić na to większą uwagę. Na zatrzymanym obrazie wyraźnie widać było moment, w którym znajdująca się pod pustym stołem torba na laptop, zionąc ogniem i śmiercią, rozpada się na kawałki.

Ben odwrócił się od monitora i twardo spojrział najpierw na Slatera, później na Jonesa.

- Miałem rację. To wy podłożyliście tę bombę.

Slater zamachał rękami.

- Jestem biznesmenem. Nie podkładałam żadnych bomb. Ja tylko płacę innym, żeby to robili.

- To nagranie było ostatnim, jakie dostałem od agentów, zanim straciłem z nimi kontakt - powiedział Jones. - Co z nimi zrobiłeś?

- Zakopałem ich na plaży - odpowiedział Ben. - Jeżeli się pośpieszycie, znajdziecie ich, zanim zrobią to kraby.

Slater się uśmiechnął.

- A więc postanowiłeś grać z nami w otwarte karty.

- Powiem ci coś jeszcze - rzekł Ben. - Wkrótce też zabiję ciebie.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Jonesa też. Szykujcie już swoje groby.

Zapadła cisza. Slater zbladł, próbując pokryć zmieszanie nerwowym uśmiechem.

- A ja miałem nadzieję, że zachowasz się rozsądnie. Przecież tylko pogarszasz swoją sytuację.

- Pokazaliście mi swoje twarze - powiedział Ben. - Więc nie macie zamiaru wypuścić mnie żywego. Nie mam pojęcia, gdzie jest ostrak. Ale nawet gdybym wiedział, to i tak niczego bym wam nie powiedział.

Slater wrzucił opakowanie po batoniku do kosza na śmieci.

- Dobrze. Pamiętaj jednak, że oprócz szybkich i łatwych sposobów zadawania śmierci są też inne, powolne i strasznie bolesne.

- Sam zdecyduję, na co zasługujecie - rzekł Ben.

Slater westchnął.

- Boże, ależ ty jesteś uparty. Dobrze, pokażę ci coś jeszcze. - Znów skinął na Jonesa. Agent nacisnął inny guzik pilota, z odtwarzacza doszedł ich wibrujący odgłos zmienianej płyty DVD. Przez chwilę ekran pozostawał ciemny, potem pojawił się na nim obraz chudego, wynędzniałego człowieka w zniszczonym mundurze polowym, uczeponego krat brudnej celi lub klatki. Jaskrawe światło, padające na twarz więźnia, ukazywało świeże siniaki na szczęcie i policzku oraz zamknięte fioletową opuchlizną oko.

- Patrzysz teraz na materiały z tajnego archiwum CIA - powiedział Slater. - Nie musisz wiedzieć, o co chodzi. Zresztą chyba się domyślasz, to ciągle ta sama, stara historia. Powiem ci tylko, że ten facet był w posiadaniu pewnych informacji, które stały się obiektem zainteresowania innych ludzi. To był twardy skurwiel, taki jak ty. Odporny na wszystkie tortury. Kiedy kamera się cofnie, na jego stopach zobaczysz krew po wydartych paznokciach. Jeszcze chwilę. O, teraz.

Ben obserwował ekran, Slater podniósł się i zaczął spacerować.

- Jestem biurokratą - powiedział Slater. - I nie wstydzę się o tym mówić. Lubię, jak ktoś mówi prawdę, ale nie czuję się dobrze, gdy widzę krew czy przemoc, przynajmniej z bliska.

- Gdy dzwonisz, czujesz się zupełnie inaczej, prawda? - spytał Ben.

Slater go zignorował.

- Mógłbym sprawić, żeby moi ludzie w krótkim czasie przerobili cię na karmę dla kotów. Obciąliby ci palce, uszy i jaja, usmażyli prądem, podtopili w wannie, zawiesili za kciuki i zrobili inne ciekawe rzeczy. Ze swoją przeszłością na pewno orientujesz się, o czym mówię. Ale to raczej zajęcie dla Jonesa. Osobiście wolałbym dostać to, czego chcę, bez takiego zamieszania. Lubię sytuacje, które są klinicznie czyste. Jeżeli zaś muszę kogoś załatwić... - Slater się uśmiechnął. - Przyjrzyj się temu.

Ben znów spojrzał na ekran. Dwaj strażnicy w nieoznakowanych mundurach przechylili

siedzącego mężczyznę do przodu. Trzeci podszedł ze strzykawką, wbił mu igłę w szyję i do oporu wcisnął tłok. Gdy wyszarpnął igłę, trysnęła krew.

Slater sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął jasnobrazową buteleczkę i postawił ją na biurku. Z drugiej kieszeni wyciągnął małe skórzane etui. Rozpiął je i położył koło buteleczki. W środku znajdowała się strzykawka.

- Czy wiesz, co jest w buteleczce?

Ben rzucił okiem na biurko.

- Tak, wiem. Wydawało mi się jednak, że Jones prosił, żebyśmy nie poruszali jego sytuacji osobistej.

- Och, ale z ciebie komediant. Wiesz, co jest w środku, prawda?

- Tak, słyszałem o tym.

- Tak myślałem. To preparat z górnej półki, już obrosły legendą. I prawie nieosiągalny. Uprzejmy pan doktor, który go dostarczył, niestety nie może dotrzymać nam towarzystwa. - Slater machnął ręką w stronę ekranu. - Ten facet był dokładnie taki jak ty. Utrzymywał, że nie wie niczego, co nam mogłoby się przydać. Rany, jaki on był tego pewny. A jednak w końcu się rozgadał. Wystarczyła tylko jedna igła. Przed upływem godziny wypaplał wszystko, co wiedział. A może nawet więcej. Naprawdę niesamowite. I wiesz co - nawet nie musieli go później zastrzelić. Sam zresztą zobacz, co się stało.

Jones znów wziął pilota i trzy razy wcisnął guzik. Obraz najpierw ośmiokrotnie przyspieszył, później zwolnił. Ujęcie było teraz inne: nowy kąt widzenia, inne światło. Człowiek na ekranie też zachowywał się inaczej. Zupełnie inaczej. Z przerażonego, ciężko pobitego więźnia stał się rozwrzeszczanym szaleńcem o dzikich oczach, wyszczerzonych zębach, z pianą na ustach, szarpiącym kraty swojego więzienia. Wyglądał jak istota z innej planety.

- Całkowita paranoja. W sześć godzin po zastrzyku. Tak ten szajs działa. Skutki są stałe, nieodwracalne. Niektórzy wariują już po godzinie. Twardsi opierają się dłużej, nawet znacznie dłużej, ale, w końcu, wszyscy się poddają. Ostra psychoza aż do samej śmierci. Czy rozumiesz, o czym mówię?

Jones się uśmiechnął. Zatrzymał na ekranie obraz szaleńca, odłożył pilota i z satysfakcją skrzyżował ręce na piersiach.

- Rozumiem - odparł Ben.

- To dobrze. Bo chcę, żebyś to sobie dobrze przemyślał.

- Zamierzasz mnie poczęstować tym koktajlem?

- Bez dodatków - powiedział Slater. - Ale jeszcze nie teraz. Plan jest następujący. -

Spojrzał na zegarek. - Jest teraz tuż po dziewiątej. Do dziesiątej masz się zdecydować, co mi powiesz. Za godzinę zamierzam zaprowadzić cię do twojej przyjaciółki Bradbury, gdzie będziesz się przyglądał, jak jej wstrzykujemy serum. Usłyszemy, co ma nam do powiedzenia, ty też możesz sobie posłuchać. Będzie wesoło. Gdy tutaj wrócę rano, zobaczysz, co się z nią stało. I co czeka ciebie. - Slater się uśmiechnął. - Potem polecę daleko stąd i będę popijał szampana, ty zaś wrócisz do piwnicznej celi, gdzie spędzisz swoje ostatnie świadome godziny. Jutro zaczniesz się zachowywać jak zwierzę w klatce, a ja podpiszę ci skierowanie do wariatkowa, gdzie, waląc głową w miękką ścianę, spędzisz resztę życia.

- Po co marnować pieniądze podatników? - spytał Jones. - Wyrzuciłbym szalone ścierwo gdzieś na bocznej ulicy i spokój.

- Niezły pomysł - powiedział z uznaniem Slater. - Ale starczy już tego gadania. Jones, daj tu swoich ludzi.

Jones otworzył drzwi. Mężczyźni, którzy eskortowali Bena w windzie, stali w korytarzu.

- Weźcie tego kutasa z powrotem do piwnicy i zamknijcie - powiedział Jones. Wskazał na muskularnego agenta. - Boyter, staniesz przed jego drzwiami. McKenzie, wrócisz tu ekspresem.

- Masz godzinę - powiedział Slater do Bena.

Boyter złapał Bena za ramię.

- Idziemy, dupku.

Ben wstał, strząsnął z siebie grube łapy Boytera i ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się, odwrócił i przygwoździł Slatera wzrokiem.

- Pamiętaj, co ci wcześniej mówiłem - powiedział cicho. Wyszedł z pokoju.

Jones z uśmiechem obserwował, jak Boyter i McKenzie prowadzą Bena korytarzem do windy. Spojrzał na Slatera, który wyglądał na wyprowadzonego z równowagi.

- Nie martw się - powiedział Jones. - To już nieboszczyk.

38

Slater nerwowo spacerował, Jones palił papierosa. Minęło pięć minut, później dziesięć.

- Spokojnie - powiedział Jones.

- Nigdy nie jestem spokojny. Te papierosy śmierdzą. Co się stało z tym twoim McKenzie? Wydawało mi się, że kazałeś mu tu zaraz wracać.

- Za chwilę będzie - odparł Jones. - Pewno poszedł do ubikacji.

Slater potrząsnął głową. Zacisnął zęby, palcami przecesał włosy. - Coś jest nie tak. Czuję to.

- Zwariowałeś. Hope siedzi jak sardynka w puszcze.

- Jeżeli tak, to chcę to zobaczyć. Mam złe przeczucia.

- Ty i te twoje przeczucia - mruknął Jones. - Dobrze, zobaczmy.

- Nie zjadę tam tylko z tobą. Ilu ludzi masz w tym budynku?

- Mam dwunastu agentów. Chyba nie chcesz mi powiedzieć...

- Właśnie, że chcę. Zostaw dwóch ludzi przy Bradbury, resztę chcę mieć przy sobie.

Jones głośno protestował, lecz Slater się uparł. W końcu agent wyciągnął krótkofalówkę. - Fiorante, idź do Jorgensena i pilnuj kobiety. Wszyscy inni, biegiem do mnie.

W ciągu dwóch minut siedmiu agentów zameldowało się przed drzwiami biura. Slater ostrożnie wyszedł na korytarz. Jones, z widocznym zniecierpliwieniem, wysforował się do przodu.

- Nie jedziemy windą. Zejdziemy po schodach - zażądał Slater.

- Ten facet naprawdę cię przestraszył - zadrwił Jones.

- Jestem tylko ostrożny - odparł Slater. - I sprytny.

Na końcu klatki schodowej przecięli brudne lobby i zeszli po schodach prowadzących do piwnicznej kuchni.

- Wyciągnąć broń - szepnął Slater.

- Chyba zwariowałeś - powtórzył Jones. - Nie ma...

Z impetem otworzył podwójne drzwi prowadzące do kuchni. Za chwilę się zatrzymał i opadła mu szczeka.

- O cholera...

- A nie mówiłem... - wymamrotał Slater.

- Co się tu, kurwa, stało?

Slater rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Myślę, że wszystko jest jasne, prawda?

Kuchnia była pełna porozbijanych sprzętów. Na środku leżeli martwi Boyter i McKenzie, a w szerokim, wolno płynącym strumieniu krwi odbijało się światło neonówek.

Slater przyjrzał się bliżej Boyterowi i jakiemś dziwnemu, okrągłemu przedmiotowi, który wyglądał jak przylepiony do jego głowy. Nagle zrozumiał. W skroni agenta głęboko tkwiła złamana nóżka kieliszka do wina. Obok, pod kątem do rozkrzyżowanego kolegi, z niebieską twarzą i wywalonym na brodę językiem, spoczywał McKenzie, na którego szyi widniały świeże ślady po duszeniu. Kajdanki z użytym do zabicia agenta stalowym łańcuszkiem leżały tuż obok, koło nich kluczyk. Marynarki martwych mężczyzn były rozpięte, brakowało ich pistoletów.

Slater i Jones wlepili w siebie oczy.

- Hope grasuje po budynku - szepnął Jones.

- Bez wątpienia. A ty go znajdziesz.

- Znajdziemy go - powiedział Jones.

- Mam nadzieję, do cholery. Uciekł ci. Jeżeli go nie złapiesz, już po tobie. Rozumiesz?

- Znajdziemy go - powtórzył Jones. - A ty wracaj na górę do biura.

- Nie ma mowy. Wyjeżdżam. To miejsce jest dla mnie niebezpieczne.

- Dla wszystkich jest niebezpieczne.

- Ciebie można zastąpić. Mnie nie. - Slater wycelował palec w stronę agentów. - Ty, ty i ty. Będziecie moją eskortą. - Ruszył z miejsca, znów się zatrzymał. - Jones. Chcę go mieć żywego, zrozumiałeś?

- Dorwiemy go - odpowiedział Jones.

Slater sprintem rzucił się do lobby, tuż za nim, z bronią w pogotowiu, pobiegło trzech agentów. Z impetem otworzył drzwi frontowe, wypadł z budynku i pognał w stronę stojącego na środku parkingu smukłego helikoptera Bell.

Gdy pilot zobaczył, że Slater się zbliża, odstawił termos z kawą i włączył silnik. Wirnik już powoli się kręcił, gdy Slater szarpnięciem otworzył drzwiczki i wskoczył do kabiny. W ciągu kilku minut helikopter stał się szybko znikającą kropką nad czubkami drzew.

Jonesa nie paraliżowała już obecność Slatera. Zgromadził agentów wokół siebie.

- Słuchajcie, ludzie. To tylko jeden człowiek. Nie ma już Boytera i McKenziego, ale nadal jest nas dziesięciu. - Uniósł krótkofalówkę. - Jorgensen, jesteś tam?

- Tak, dokładnie tam, gdzie mnie postawiłeś - zabrzmiał głos agenta.

- Fiorante jest z tobą?

- Tak, jest ze mną.

Jones kiwnął głową. Machnął pistoletem do swoich ludzi. - Cash, Muntz, jedźcie na górę i dołączcie do nich. Tam zjawi się Hope. - Zachichotał. - Na pewno będzie chciał się dostać do dziewczyny.

Szybko rozejrzał się dookoła siebie, obmyślając taktykę. W żadnym wypadku Hope nie da sobie rady z czterema ludźmi przy drzwiach. W tym samym czasie dwie trzyosobowe grupy przetrząsną budynek i znajdą uciekiniera. - Bender, Simmons, idziecie ze mną. Kimble, Davis, Austin - zajmiecie się lewą stroną budynku. Utrzymujcie łączność. Gdy go zobaczycie, strzelajcie. Jest zbyt niebezpieczny, aby żył.

- Slater mówił, żeby go nie zabijać - zaproponował Austin.

- Gównu mnie obchodzi, co mówił Slater. - Jones dotknął językiem zębów, poczuł ich ostre krawędzie, które nieustannie przypominały mu o wrogu. - W ciągu najbliższych dziesięciu minut chcę skurwiela zobaczyć w plastikowym worku.

39

Pomyślał z lekkim żalem o dwóch martwych agentach. Nie byli przygotowani na kogoś tak szybkiego jak on i nawet nie spostrzegli, gdy nadeszła śmierć.

Zostawił ich tam, gdzie upadli. Z kieszeni grubasa wyciągnął kluczyk do kajdanków, zabrał też ich beretty z tłumikami i pełnymi magazynkami. Zadowolony ze zdobyczy, włożył jeden z pistoletów do prawej kieszeni, drugi do tylnej. Szybko się rozejrzał po kuchni. Wyszarpnął nóż ze starej deski do krojenia. Nierdzewne ostrze było ząbkowane i nadal ostre. Ostrożnie wsunął je za pasek.

Wiedział już, którędy ucieknie. Gdy podszedł do kwadratowego schowka w ścianie i podciągnął do góry jego metalowe drzwiczki, ujrzał przed sobą kuchenną windę. Otwór mógł mieć z metr średnicy, na ścianie obok wisiała zakurzona stara tabliczka z trzema przyciskami. Jeden z nich, w kształcie strzałki, wskazywał górę, druga strzałka skierowana była w dół. Trzeci przycisk nosił wytarty napis „stop”.

Płaską dłonią uderzył strzałkę w górę. Miał nadzieję, że urządzenie, mimo upływu czasu, jest nadal sprawne. Usłyszał głuchy stuk, winda podskoczyła o parę centymetrów. Szybko nacisnął guzik stopu.

Wystarczy, pomyślał. Wewnątrz było wystarczająco dużo miejsca, żeby się zmieścić. Znów poczuł odór starego tłuszczu, wilgoci i mysich bobków. Sięgnął ręką na zewnątrz, wymacał strzałkę w górę, nacisnął ją. Winda zatrzęsała się i ruszyła. Szybko cofnął rękę, przed sobą miał teraz tylko ścianę. Najpierw widział mur z cegły, potem zapanowała całkowita ciemność. Winda, trzęsąc się i zgrzytając, wiozła go w górę. W mroku wyjął jeden z pistoletów, nie wiedział, czy przy wyjściu ktoś na niego nie czeka.

Gdzieś nad głową usłyszał zgrzyt i wydało mu się, że za chwilę pękną liny. Przygotował się na katastrofę, ale skończyło się na strachu. Winda zatrzęsała się i zatrzymała. Delikatnie wyciągnął rękę, czegoś dotknął, nacisnął. Przed nim rozchyliły się podwójne, blaszane drzwiczki. Tak jak przypuszczał, znalazł się za kontuarem w barze hotelowym. Wyczołgał się z klaustrofobicznej windy i przykucnął na zakurzonej podłodze.

Bar był na parterze. Gdzie trzymano Zoë? Może w jednym z pokoi na górze? W każdym razie gdzieś niedaleko. Od dziewczyny dzielił go już tylko z tuzin agentów z pistoletami. Nie przejmował się tym zbytnio, bo wiedział, że i z nimi sobie poradzi.

Odbezpieczył broń, po cichu wyślizgnął się z baru na korytarz. Omiatając mrok pistoletem, ostrożnie przesuwał się do przodu. Nie wychodził z cienia, trzymał się blisko ściany, wyęzając wszystkie zmysły. Wykorzystywał swoje umiejętności kamuflażu i zachowania absolutnej ciszy, z powodu których stał się legendą swojego pułku. W lobby usłyszał głosy i tupot biegnących stóp. Na pewno się podzielili na grupy, aby go złapać. Po dwóch, trzech ludzi w każdym zespole, reszta oddelegowana do pilnowania pokoju Zoë.

Koniec korytarza miał kształt litery L i otwierał dostęp do szerszego holu z drzwiami po obu stronach. Jedne z nich, prowadzące do pomieszczenia, które kiedyś mogło być salą telewizyjną, były otwarte. Sączyło się z nich słabe światło.

Zamarł. Przed sobą dostrzegł trzech zdążających w jego stronę mężczyzn. Wtopił się w ciemność, licząc, że światło z otwartych drzwi stworzy wystarczający kontrast z mrokiem korytarza, by ukryć jego obecność. Przebiegli obok tak blisko, że gdyby chciał, mógłby ich dotknąć. Dopiero gdy ostatni z nich był już dwa metry od niego, wyszedł na środek holu, podniósł broń i strzelił mu w tył głowy. Biegący agent upadł na podłogę, z rozpędu jego ciało jeszcze przez chwilę ślizgało się po linoleum. Nim dwóch pozostałych zorientowało się w sytuacji, Ben dwukrotnie wystrzelił. Zrobił to tak szybko, że odgłos wyciszonej tłumikiem kanonady zabrzmiał jak niezbyt głośne, przeciągłe szczeknięcie. Trafieni agenci wpadli na siebie i znieruchomieli na podłodze, pistolet jednego z nich upadł na zakurzoną wykładzinę korytarza.

Ben pozbierał broń. Znów beretty, tego samego typu. Odczepił trzy magazynki i wsunął je do kieszeni. Potem podszedł do ciała i przyjrzał im się.

Nigdy nie był zwolennikiem dobijania przeciwników i zawsze miał nadzieję, że go to ominie. Wiedział jednak, że już od czasów starożytnych, zdaniem każdego wojskowego taktyka, upewnienie się, że leżący wróg już nie wstanie, jest jak najbardziej wskazane. Przypominało to jatkę, lecz bezsprzecznie miało sens.

Trzy bliskie strzały z nowoczesnej broni w głowę to coś o wiele bardziej krwawego, niż mogłoby się wydawać. Zasłaniając twarz przed krwią bryzgającą z nieruchomych ciał, Ben szybko dopełnił nieprzyjemnego obowiązku. Dziesięciogramowe półpłaszczowe pociski z wydrążonym wierzchołkiem rozbiły głowy agentów, rozpryskując ich mózgi na ścianie. Ciężki fetor krwi i śmierci wypełnił korytarz.

Czekała go jeszcze inna praca, ruszył więc dalej.

40

Jones pędził korytarzem, celując przed siebie z pistoletu na każdym zakręcie i przy każdych drzwiach. Wiele światel w budynku dogorywało lub w ogóle nie działało, wszędzie rozciągały się wielkie czarne plamy cienia. Potknął się o stertę starych kartonów i puszek po farbie, zaklął. Podniósł do ust krótkofalówkę.

- Kimble, odezwij się.

Cisza.

- Cholera - powiedział Jones. - Jorgensen. Jesteś tam?

- Odbiór. Jesteśmy na miejscu. Nigdzie go nie widać. Co u was?

- Nic. Skurwiel porusza się jak duch. Dobrze, kończę.

Jones skręcił. W powietrzu poczuł metaliczny odór świeżej krwi, zmieszany ze smrodem wilgoci i zgnilizny, przed sobą dostrzegł w mroku trzy leżące ciała. Dał sygnał idącym z tyłu Benderowi i Simmonsowi, aby stanęli. Wszyscy przyglądali się leżącym na podłodze martwym kolegom.

- Załatwił już pięciu, ot tak - powiedział Bender. - On po prostu się z nami bawi.

- Uważam, że podzielenie się na trzy grupy nie było dobrym pomysłem - mruknął stojący obok Simmons.

Jones zgrzytnął zębami i prawie krzyknął z bólu. Otarł zalewający mu oczy pot.

- Potrzebujemy więcej ludzi.

- To chyba niemożliwe - powiedział Bender.

- Mogę ściągnąć nawet setkę ludzi, żeby złapać tego skurwysyna - warknął Jones. - Wystarczy jeden telefon. - Przez chwilę się zastanawiał. Sprowadzenie posiłków zajęłoby kilka godzin. Musiałby się powoływać na różne zobowiązania, większa grupa wymagała też dłuższego czasu na organizację.

Wpadł na inny pomysł.

- Słuchajcie, do cholery. Idziemy teraz na górne piętro do naszych ludzi. Będziemy mieli siódmkę. Niezależnie od tego, jak dobry jest ten facet, z siedmioma sobie nie poradzi. - Wyszczrzył zęby. - A tej małej suce Bradbury damy zastrzyk. Za chwilę. Już za długo się z nią cackamy. Dowiemy się, co naprawdę wie.

- Slaterowi się to nie spodoba.

- Do diabła z tym tchórzem. Jeżeli chce udawać wodza, to powinien tu zostać.

Przeskoczyli ciała martwych kolegów i pobiegli dalej korytarzem. Dopadli do windy, Jones uderzył dłonią przycisk pierwszego piętra. W milczeniu, ze wzrokiem wbitym w podłogę, pojechali w górę. Gdy winda stanęła na piętrze, Jones rzucił się biegiem do biura. Nagle zauważył, że drzwi są niedomknięte. Gorączkowo próbował sobie przypomnieć, czy wychodząc, zostawił je otwarte. Nie. Na pewno zamknął je na klucz.

Wyciągnął broń. Zimne palce strachu ścisnęły mu żołądek, ręka z pistoletem zadrżała. *Weź się w garść.* Wyciągnął broń przed siebie, lewą ręką ostrożnie popchnął drzwi. Zaskrzypiały. Nacisnął mocniej. Z sercem walącym jak młot wszedł do środka.

Biuro było puste.

Biurko też. Zniknęła płócienna torba.

- Hope - wykrztusił. - Był tu.

Stojący z tyłu Simmons patrzył z niedowierzaniem.

- Zabrał serum - jęknął Jones. - Ten skurwiel zabrał buteleczkę z serum.

41

Usłyszeli zduszony krzyk na korytarzu. Simmons i Jones przez chwilę patrzyli na siebie, potem Jones szarpnął za klamkę drzwi i wyskoczyli na zewnątrz. Zapadała noc, mrok w budynku gęstniał. Jones próbował włączyć światło, ale bez skutku. Przeklinając, usiłował przeniknąć wzrokiem ciemności.

- Bender? - szepnął.

Odpowiedziała mu cisza. W mroku świeciły tylko białka oczu Simmons'a. - Gdzie on...

Agent nie dokończył pytania. Jones najpierw poczuł na twarzy wilgoć krwi kolegi, dopiero później usłyszał stłumiony odgłos wystrzału. Simmons, łapiąc go za ramię i przeraźliwie rżąc, osunął się na ziemię. Kilka razy konwulsyjnie poruszył nogami, rżenie przeszło w śmiertelny charkot, wreszcie znieruchomiał.

- Zabiję cię - wrzasnął Jones. Wyciągnął przed siebie rękę z pistoletem i dziko naciskał spust, aż skończył się magazynek. Włożył następny i, jak tylko mógł najszybciej, wystrzelił kolejne piętnaście pocisków w mrok korytarza.

Rozgrzany pistolet znów był pusty. Jones stał na chwiejnych nogach, sapiąc i ciężko dysząc. Na korytarzu gęstniała ciemność. Smuga szarego światła wpadała przez pokryte pajęczyną okno, poza nią wszędzie panował mrok. Zawrócił i ponownie próbował nacisnąć przełącznik światła. Znowu nic.

Nagle na gardle poczuł zimne ostrze noża. Zastygł z ręką opartą na przełączniku.

- Wiedziałem, że tu wrócisz, dlatego na korytarzu wykręciłem wszystkie żarówki.

Czując ucisk noża na tchawicy, Jones bał się nawet przełknąć ślinę.

- Hope? - szepnął.

- Dam ci pewną radę - powiedział Ben. - Jak kogoś trzymasz w kuchni, nie zostawiaj na widoku noży, bo łatwo się skaleczyć.

- Co masz zamiar zrobić? - Głos Jonesa zadrżał.

- Za chwilę odetnę ci głowę.

Jones aż się zachwiał z przerażenia.

- Chyba że zaprowadzisz mnie do Zoë - dodał Ben.

- Jest pilnowana - zduszonym głosem wykrztusił Jones.

- Może cię przekonam, żebyś namówił strażników do odstąpienia od obowiązków -

powiedział Ben. - Chcę ją stąd zabrać, a ty pojedziesz z nami i opowiesz, co się tu właściwie dzieje.

- Ja tylko wykonuję rozkazy. Powinieneś zapytać o to Slatera.

- We właściwym czasie dotrę również do niego - stwierdził Ben. - Myślę jednak, że i ty sporo wiesz. Może wypróbujemy to serum prawdy najpierw na tobie?

- Zginiesz jak pies, Hope.

- Ty najpierw. Teraz ruszaj się. - Ben pchnął Jonesa w głąb korytarza.

W windzie Jones nacisnął guzik drugiego piętra. Ben wsunął nóż z powrotem do torby, nie przestając celować z pistoletu w głowę agenta.

Drzwi windy otworzyły się ze zgrzytem. Ben złapał Jonesa za przegub, ostro wykręcił mu rękę na plecach i trzymając go na muszce, wypchnął z windy. Wyszli na biały, pachnący świeżą farbą korytarz.

- Co tu jest?

- Tylko dziewczyna. A z nią dwudziestu agentów. Nie masz najmniejszej szansy, zobaczysz, co to piekło.

- Przez cały czas żyję w piekle - odparł Ben. - A teraz zamknij się i ruszaj.

Jones szedł powoli, ciężko oddychając i pocąc się z bólu z powodu wykręconej do granicy złamania ręki. Korytarz prowadził w lewo. Ben bezszelestnie kciukiem odbezpieczył pistolet, każdy mięsień miał napięty, wszystkie zmysły wyteżone. Czując, że Jones sztywnieje, domyślał się, że zbliżają się do celu. Puścił jego rękę i wyciągnął drugą berettę.

Gdy wyszedł zza zakrętu, zobaczył, że dziesięć metrów dalej korytarz kończy się drzwiami z numerem trzydzieści sześć. Przed pokojem stało trzech agentów - dwóch mężczyzn i kobieta. Gdy zobaczyli Bena, podnieśli krzyk.

Widział ich wszystkich już wcześniej, zapamiętał zwłaszcza kobietę. Dzisiaj kasztanowe włosy miała związane z tyłu i nakryte bejsbolową czapką, w dłoni trzymała wielki pistolet kaliber 9 mm, a jej niebieskie oczy mierzyły Bena twardym spojrzeniem. Wydawało się, że dobrze zna swój fach. Próbował odgadnąć wyraz jej twarzy.

Podszedł bliżej, używając Jonesa jako tarczy. W lewej ręce trzymał pistolet, mocno wciśnięty w podstawę czaszki Jonesa, w drugiej berettę wycelowaną w trójkę agentów, którzy stali przed nim z wyciągniętą bronią.

- Chcę tylko Zoë - krzyknął. - Reszta mnie nie obchodzi.

Podszedł bliżej. Pięć metrów. Czuł pulsującą w skroniach krew. Twarze i nerwy agentów były napięte do granic wytrzymałości. Palce na spustach, nieruchome lufy. Jeden niewłaściwy ruch, jeden strzał i nikt nie ujdzie z życiem z tak bliskiej wymiany ognia.

- Odejdź od niego i odłóż broń - krzyknął jeden z mężczyzn.

Ben dostrzegł błysk w jego oku i jednocześnie wyczuł ruch za plecami. Zareagował o ułamek sekundy za późno i w krótkim czasie zdarzyło się wiele rzeczy. Ktoś mocno złapał go za rękę z pistoletem i szarpnął na bok. W tym samym momencie poczuł potężny cios w okolicy ucha, który go zamroził. Za chwilę wyrwał mu się Jones, a z wystrzelonej przez agentów salwy trafiła go jedna kula; dziewięciomilimetrowy pocisk uderzył w mięsień lewego ramienia.

Postrzałem postanowił się martwić później. Najpierw wypalił do agenta, który przed chwilą zaatakował go z tyłu. Gdy mężczyzna osuwał się na podłogę, Ben schwycił go i schował się za nim jak za tarczą, czując impet grzęznących w ciebie agenta pocisków. W pewnym momencie stracił równowagę i upadł, a zwłoki przewróciły się, wytrącając mu z lewej ręki pistolet. Odpychając je, zobaczył, że Jones ucieka korytarzem w stronę windy.

Trójka agentów ruszyła na Bena z wycelowanymi w niego pistoletami. Kobieta miała kamienną twarz.

Szanse były nierówne. Trzy pistolety na jeden. Sam nie mógł ich wszystkich zastrzelić. Leżąc na plecach, jedną ręką wyszarpnął berettę i trafił agenta z lewej. W mgnieniu oka wycelował pistolet w drugiego.

Za późno. Zobaczył, że palec agenta już naciska spust. Zrozumiał, że za chwilę ich pociski wyminą się w powietrzu. I że zginie.

Nagle znów wszystko się zmieniło. Kobieta zrobiła krok w tył, obróciła się i strzeliła między łopatki stojącego obok niej mężczyzny, który gwałtownie rozdziawił usta, wypuścił z rąk pistolet, a w końcu upadł na twarz.

Zapanowała cisza. W korytarzu zostały tylko dwie żywe osoby.

Ben wstał, ostrożnie przyglądając się stojącej przed nim kobiecie. Łomotało mu serce, w ramieniu czuł płomień bólu. Zamrugał, bo na chwilę oślepił go pot, i uniósł broń. W tej samej chwili znów w niego wycelowała.

Przez moment krążyli wokół siebie. Lufy ich pistoletów były tak blisko, że prawie mogły się pocałować. Cichy impas. Obficie płynąca z ramienia krew skapywała mu z palców, miękki odgłos padających kropel był jedynym dźwiękiem w wypełnionym dymem korytarzu.

- Odłóż broń - powiedział.

- To ty odłóż broń - odparła nieustępliwie.

- Wszyscy zginęli. Zostałaś tylko ty i Jones.

- Kim, do cholery, jesteś, Hope?

- Kimś, kto poszukuje Zoë Bradbury.

- Chcesz ją stąd wydostać? Ja też.

- Udowodnij to.

Pochyliła się, powolnym ruchem odłożyła broń na podłogę, zrobiła krok do tyłu. -
Widzisz? Jestem po twojej stronie - powiedziała. - Zaufaj mi.

Nadal trzymał ją na muszce, nie wiedział do końca, co o niej myśleć.

- Kim jesteś? Dlaczego tak się zachowujesz?

- Nazywam się Alex Fiorante, pracuję w CIA. Z tymi ludźmi nie mam nic wspólnego.

- Prawie ci wierzę, Alex.

- Oni nie są z prawdziwej CIA, to jacyś renegaci.

Przez chwilę, ciężko dysząc, milczał. Nadal trzymał ją na celowniku.

- Gdzie jest Zoë?

Pokazała palcem.

- Za tymi drzwiami. Chcesz ją stąd wydostać? No to bierzmy się do roboty, bo nie ma
dużo czasu.

- Chcę wiedzieć, o co tu chodzi - powiedział.

- Powiem ci wszystko, co wiem. Ale później.

Przykucnął i podniósł jej pistolet. Każdy ruch lewą ręką był dla niego męczarnią.

Obserwowała, jak wkłada jej broń za swój pasek.

- Naprawdę możesz mi zaufać.

- Może kiedyś tak zrobię - powiedział. - Ale jeszcze nie teraz. Otwórz drzwi.

Alex klęknęła przy jednym z martwych agentów i z trudem przewróciła go na plecy.
Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni marynarki i wydostała z niej klucz. Na jej palcach została
krew. Wytarła ją o ubranie, zrobiła dwa kroki do drzwi i przekręciła klucz w zamku.

- Ty pierwsza - powiedział. Weszła, a on, trzymając ją na muszce, tuż za nią. Rozejrzał
się po więzieniu Zoë.

Pokój był pusty.

42

Nagle usłyszał szloch. Odepchnął Alex pod ścianę.

- Nie ruszaj się. - Ukucnął i zerknął pod łóżko.

Po raz pierwszy od dwudziestu lat znalazł się oko w oko z Zoë Bradbury. Dziewczyna nie przypominała kobiety ze zdjęcia, szczęśliwej i uśmiechniętej. Po prawie dwóch tygodniach więzienia twarz miała bladą i wychudzoną. Ujrawszy Bena, cofnęła się z przerażeniem.

- Jestem przyjacielem, Zoë. - Potęgujący się z każdą chwilą ból ramienia sprawiał, że trudno mu było zachować cichy, krzepiący ton głosu. - Nazywam się Ben Hope. Chcę cię uratować. Twój rodzice mnie tu przysłali.

Odsunęła się jeszcze dalej, prawie wtulając się w ścianę.

- Wychodź stamtąd - powiedział. - Zabieram cię do domu. Koniec twojej udręki.

Zoë ani drgnęła. Nie miał czasu na ceregiele, bo wiedział, że Jones jest nadal w budynku. Łóżko było na kółkach, więc złapał je za stalową ramę i odsunął od ściany. Gdy wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia, dziewczyna zapiszczała ze strachu.

- Rozumiem, że wiele przeszłaś - powiedział. - I wiem, co czujesz. Ale musisz mi pomóc.

- Postawił ją na nogi, nadal jednak była w szoku.

Gdy dostrzegła stojącą po drugiej stronie pokoju Alex, zaczęła się wyrwać.

- Ona jest z nimi!

- Zoë, wszystko w porządku - cicho powiedziała Alex. - Zabieramy cię stąd.

- Nie, nie, ona jest z nimi! - Zoë szarpała się coraz mocniej, jej głos przeszedł w krzyk.

Ben uderzył ją prawym prostym w szczękę.

Upadła bezgłośnie. Podniósł ją i zarzucił na plecy. Ból w ramieniu stawał się nie do zniesienia.

- Można i tak - skomentowała Alex.

- Idziemy. - Ben pchnięciem otworzył drzwi i przyjrzał się korytarzowi. Po Jonesie nie było śladu. Ruszyli w drogę, ostrożnie omijając ciała martwych agentów. Na podłodze za Benem zostawał wyraźny, krwawy ślad.

Na piętrze windy już nie było. Gdy nacisnął przycisk na ścianie, usłyszeli dźwięk kabiny ruszającej z dołu.

- Cofnij się. - Nie wiedząc, co za chwilę może się zdarzyć, wycelował pistolet w drzwi

windy.

Winda była pusta. Zjechali na parter i przekradli się do opuszczonego lobby. Benowi się wydawało, że Zoë staje się coraz cięższa. Ocierał zalewający mu oczy pot, starając się zachować jak największą czujność.

- Tędy do wyjścia - powiedziała Alex i wskazała ręką kierunek. Pośpiesznie wyszli na dwór. Gdy na spoconym ciele poczuł nocny chłód, dostał nieprzyjemnych dreszczy. Wreszcie mógł się dobrze rozejrzeć po najbliższej okolicy.

Opuszczony hotel znajdował się na wysokim skalistym wzniesieniu, do którego prowadziła wąska kręta droga przez las. Zamierający za surową linią gór zachód słońca wyglądał niczym zmieniająca kolory panorama czerwieni i złota. Po drugiej stronie nieba już wschodził księżyc. Wokół hotelu, jak okiem sięgnąć, rozciągał się rozległy, pokryty lasem płaskowyż.

Spojrzał na Alex. - Gdzie jesteśmy?

- W Montanie, jakieś osiemdziesiąt kilometrów na południe od Chinook. Prowadzi tu tylko jedna droga, wokół nas jest milion akrów pustkowia.

- Co my, do diabła, robimy w Montanie?

- Przy odrobinie zdrowego rozsądku uciekamy stąd.

Przed hotelem stało kilka samochodów.

- Weźmiemy ten - powiedział Ben, wskazując zaparkowaną tuż przed nimi terenówkę gmc.

Alex podbiegła do pojazdu, sięgnęła przez otwarte okno i opuściła przeciwsłoneczną osłonę nad głową kierowcy. Wypadły kluczyki.

- Ja poprowadzę.

Ben otworzył drzwi i na tylnym siedzeniu ostrożnie położył nieprzytomną Zoë. Dziewczyna poruszyła się i jęknęła. Było mu przykro, że musiał się z nią w ten sposób obejść, ale nie miał teraz czasu na tego rodzaju zmartwienia. Usiadł z przodu, Alex uruchomiła silnik.

- Pod fotelem masz apteczkę pierwszej pomocy - powiedziała.

Otworzył pudełko i przejrzał jego zawartość. Bandaże. Plaster chirurgiczny i nożyczki. Fiolka z tabletkami kodeiny. Połknął od razu dwie, odchylił się w fotelu. Przez cały czas uciskał ranę, aby zatamować krwawienie.

Alex dodała gazu, szybko oddalali się od hotelu. Droga była wąska i pełna zakrętów, z obu stron rozciągał się las.

- Nie możemy trzymać się drogi - powiedział cicho. - Nie chcę znów się natknąć na twoich czterdziestu kumpli z Agencji, FBI czy czegoś innego. Zjedź w pierwszą lepszą

ścieżkę w bok.

- Chyba zwariowałaś. Zgubimy się w tej dzicy.

- I o to chodzi.

Alex była dobrym kierowcą. Na śliskiej nawierzchni prowadziła wielki samochód pewnie, rzadko zdejmując nogę z gazu. Po kilku kilometrach jazdy po prawej stronie w ścianie lasu zobaczył prześwit i odchodzącą w bok krętą polną drogę.

- Tamtędy - powiedział Ben.

Ostro skręciła w prawo, wchodząc w zakręt z poślizgiem. Samochód zatrząsł się i załomotał na wybojach, oświetlone przez reflektory gałęzie drzew i krzaków przeczesaly przednią szybę. Ben odciągnął zakrwawiony materiał koszuli i pomacał ranę. Dziura po pocisku znajdowała się w mięśniu ramienia, kości chyba były nietknięte. Nadal miał alkohol w piersiówce, połał więc ranę whisky, krzywiąc się z bólu. W końcu zdjął koszulę, rozwinął opatrunek i zaczął się bandażować.

- Jak rana? - spytała, zerkając w bok i przekrzykując hałas silnika.

- Wszystko w porządku - wymamrotał Ben. Ból trochę zelżał, widocznie kodeina trafiła już do krwiobiegu.

- Właśnie, że nie w porządku. Jak najszybciej musimy ten pocisk z ciebie wydłubać.

- Jedź dalej - powiedział.

Droga wrzynała się wciąż głębiej w coraz bardziej dziko wyglądającą okolicę. Po mniej więcej dziesięciu kilometrach musieli się przeciskać przez gęstą zieleń prawie na ślepo. Na tylnym siedzeniu ocknęła się Zoë, próbowała usiąść, masując bolący podbródek, a gdy samochód ostro podskakiwał na wybojach, łapała się za drzwi.

Alex w skupieniu wpatrywała się przed siebie, mocno ściskając kierownicę. Po kolejnych paru kilometrach musiała zwolnić, bo droga, którą dotąd jechali, zniknęła. Wreszcie wpakowali się w gigantyczny, kolczasty krzak, wyswobodzili się i niespodziewanie znaleźli na otwartej przestrzeni. Przed nimi rozciągał się ciemny ocean prairii, na niebie migotały gwiazdy, horyzont zamykała czarna poszarpana sylwetka łańcucha gór.

- Północna Montana - powiedziała Alex. - To tutaj wielkie równiny spotykają się z Górami Skalistymi. Dzikie pustkowie.

Po dalszych dwudziestu kilometrach teren stał się jeszcze bardziej wyboisty, skały i przecinające okolicę wąwozy zmuszały ich do ciągłego kluczenia. Zmęczona Alex zaczęła mieć trudności z utrzymaniem koncentracji. W pewnym momencie samochód gwałtownie podskoczył i tak mocno przechylił się w lewo, że o mały włos nie przewrócili się na bok. Czując, że zsuwa się z fotela, Ben zapał się nogami. Z tyłu usłyszał krzyk Zoë. Stanęli, z

przodu samochodu coś z brzękiem odpadło. Alex, przeklinając, pompowała pedał gazu, jednak koła musiały stracić przyczepność, bo tylko się ślizgały. Jeszcze raz zakłęła.

Ben otworzył drzwi i trzymając się za ramię, wyskoczył. Rana już nie krwawiła, lecz koszulę i dzinsy miał czarne od krwi. Zlany zimnym potem stał w ciemnościach i chwiał się na nogach. Pod wpływem bólu ogarnęło go poczucie całkowitej nierealności. Ich samochód tkwił w kamienistym, zamaskowanym krzakami parowie, zupełnie niewidocznym w mroku.

- Tylko traktor może nas stąd wyciągnąć - powiedział. - Dalej pójdziemy na piechotę.

Zoë nie wytrzymała.

- Mój Boże, to tak według ciebie ma wyglądać akcja ratunkowa? Ja się stąd nie ruszam.

- Dobrze - odparł. - Zostań, jakoś sobie poradzisz z grzechotnikami i grizzly. - Spojrzał na Alex. - Będziemy musieli zamaskować samochód. Jest zbyt widoczny z powietrza.

- Myślisz, że użyją helikopterów?

Uśmiechnął się blado.

- A ty byś zrobiła inaczej?

Z samochodu zabrali ze sobą wszystko, co mogło im się później przydać. W bagażniku znaleźli dwa koce, butelki wody, latarkę Maglite, zapałki i lornetkę. Ben wrzucił wszystko do swojej torby, razem z apteczką pierwszej pomocy. Przy świetle latarki przeszukali z Alex otaczający las, ściągając gałęzie i krzaki, aby zbudować z nich kopiec maskujący samochód. Miał mnóstwo pytań, które chciał zadać Alex, ale wiedział, że musi poczekać. Wydawało mu się, że może jej zaufać, chociaż sam wciąż nie wiedział dlaczego.

Po kilku minutach samochód w świetle księżyca wyglądał już jak zwykła kępa zarośli. Zadowolony Ben z satysfakcją kiwnął głową i zarzucił ciężką torbę na zdrowe ramię. Przez skalisty teren szli gęsiego, drogę oświetlał im księżyc. Ben trzymał się blisko Zoë i nie pozwalał jej na zwalnianie tempa. Dziewczyna miała ponurą minę i ewidentnie nie była skora do współpracy, przy każdym potknięciu o kamień lub korzeń głośno narzekała.

Nie zwracając uwagi na jej humory, parł do przodu. Co jakiś czas spoglądał na gwiazdy, aby utrzymać północny kierunek marszu. Według Alex hotel znajdował się o osiemdziesiąt kilometrów na południe od miasteczka Chinook. Wydawało się więc, że idąc na północ, zbliżają się do cywilizacji, zwiększają swoją szansę na znalezienie jakiejś drogi czy farmy, gdzie mogliby odpocząć i zaplanować kolejne działania. Zdawał sobie sprawę, że z gangreną nie ma żartów i prędzej czy później będzie potrzebował pomocy lekarza. Dziękował też Bogu, że niedawno zaszczepił się przeciwko tężcowi.

Powoli opuszczały go siły, a przeszywający ból w ramieniu był nie do zniesienia. Zwalczył pokusę połknięcia kolejnej tabletki przeciwbólowej, mając świadomość, że

rozzutna gospodarka tak ograniczonymi zasobami jest nierozsądna. Czekala go daleka droga i mnóstwo bólu.

43

Teren gwałtownie się podnosił. Zalesiona dolina została za nimi, w uszach gwizdał im teraz zimny wiatr. Zmęczeni, szli w milczeniu, nawet Zoë nie miała już sił, by narzekać.

U podnóża wapiennej skały, wznoszącej się pięćdziesiąt metrów nad doliną, znaleźli osłonięte skalnym nawisem wejście do jaskini. Ben, z zapaloną latarką, najpierw dokładnie sprawdził, czy jaskinia nie jest już zajęta, nie zauważył jednak odchodów ani żadnych resztek po posiłkach niedźwiedzia czy pumy. Alex oraz wciąż naburmuszona Zoë nabrały suchych patyków i liści paproci na legowiska do spania. W tym czasie na tyłach jaskini Ben rozpałił ognisko, robiąc to w taki sposób, aby unoszący się do sufitu dym opuszczał jaskinię przez jej otwór wejściowy. Na koniec, wyczerpany wysiłkiem i mokry od potu, położył się na zasłanym liśćmi klepisku. Zmartwiona Alex usiadła przy nim. Dotknęła jego czoła, palcami przeczesała wilgotne włosy.

Obok położyła się Zoë, całkowicie ich ignorując. Zrobiła sobie poduszkę z koca i wkrótce zasnęła.

Ben patykiem poprawił ognisko.

- Czas porozmawiać.

- Powiem ci wszystko, co wiem - odparła Alex. - Niestety, nie jest tego zbyt wiele.

- Opowiedz mi o Jonesie.

Westchnęła.

- Zostałam przydzielona do jego zespołu jakieś osiem miesięcy temu. Nigdy go nie lubiłam jako zwierzchnika, bo to palant pierwszej klasy. Miałam właśnie poprosić o przeniesienie do innej jednostki, gdy sprawy przybrały dziwny obrót. Znalazłam się w grupie mającej obserwować faceta o nazwisku Cleaver. Podśluchy telefoniczne, przechwytywanie poczty elektronicznej, śledzenie i tak dalej.

- Ale nikt ci nie powiedział dlaczego.

- Agencja często pracuje w mało przejrzysty sposób. Trzeba pogodzić się z faktem, że pracownikom operacyjnym nie mówi się wszystkiego. Jednak ten przypadek był inny. Tylko Jones przeglądał raporty z inwigilacji, reszta z nas nie miała do nich dostępu. Zaczęłam więc podsłuchiwać pod drzwiami i w ten sposób dowiedziałam się, że nasi ludzie zostali wysłani do Grecji.

- Na przykład Marisa Kaplan - powiedział. - Znasz ją?

- Nie, ale znalazłam to nazwisko w pewnym pliku. Takim, że za samo zajrzenie do niego miałabym niemałe kłopoty. Kaplan już nie jest aktywną agentką CIA.

Teraz jest jeszcze mniej aktywna, niż mogłoby ci się wydawać, pomyślał Ben, nic jednak nie powiedział.

- Jakies dziesięć dni temu sprawy nabrały tempa. Jones zaczął chodzić jak nakręcony, codziennie ze sto razy rozmawiał przez telefon, zrobił się taki opryskliwy, że strach było w ogóle do niego podejść. Wtedy to powołano nasz zespół i wysłano nas do Montany.

- W tym czasie z Grecji przywieziono tu Zoë.

Alex potaknęła.

- Na lotnisko w Helenie przyleciała prywatnym odrzutowcem, dalej przewiózł ją śmigłowiec. Powiedziano nam, że jest kluczowym świadkiem zamachu terrorystycznego w Grecji. Ja tej historyjki nigdy nie kupiłam, bo wiem, że Agencja działa inaczej. Nigdy przedtem nie używaliśmy takich miejsc jak ten hotel. Myślę, że mamy tu do czynienia z przypadkiem wykorzystania rządowych zasobów do nieoficjalnych, prywatnych celów. Miałam zamiar napisać raport do dowództwa, ale w końcu tego nie zrobiłam.

- Dlaczego?

- Bo zobaczyłam, co się stało z Joshua Greenbergiem. Nie znałam go za dobrze, ale zawsze wydawał mi się dobrym człowiekiem. Jones strzelił mu w twarz.

- Jones lubi strzelać ludziom w twarz - powiedział Ben.

- Tak się przestraszyłam, że nie mogłam logicznie myśleć. Czułam, że odstaję od reszty zespołu. Chciałam coś z tym zrobić, ale nie miałam odwagi.

- Znam to uczucie.

- Nie wiedziałam, czy mogę komuś zaufać. Wreszcie dostaliśmy telefon, że mamy wszyscy lecieć do Georgii. To było wtedy, kiedy dowiedzieli się o twoim istnieniu. Resztę znasz.

- Zapamiętałem cię już pierwszego dnia, gdy mnie złapaliście - powiedział. - Miałaś inny wyraz twarzy. Zrozumiałem, że nie jesteś taka jak oni.

Zerknęła na niego.

- Przykro mi, że ci nie pomogłam, powinnam jakoś zareagować.

- Nie mogłaś zrobić zbyt wiele, bobyś skończyła jak ci dwaj policjanci. Ci ludzie mordują każdego, kto stanie im na drodze.

Przez płomienie ogniska spojrzała na śpiącą Zoë.

- Nie wiem, co ona takiego, do cholery, ma. I dlaczego im na tym czymś tak bardzo

zależy - powiedziała. - Wiem jednak, że bardzo chcą to od niej wydostać.

- Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo - skomentował Ben. I w ciągu następnych piętnastu minut opowiedział jej wszystko, co się dotychczas wydarzyło. Gdy opisał zamach bombowy na Korfu, była przerażona. Mówił o każdym zagadkowym elemencie układanki. Nic przed nią nie ukrywał. Skid McClusky. Clayton Cleaver. Sto milionów Augusty Vale. Odkrycie Zoë. Szantaż.

Wysłuchiwała go dokładnie, lecz wydawało się, że nie do końca zrozumiała ogrom problemu, przed którym stanęli.

- To wszystko jest takie dziwne - szepnęła. - Gdzie tu jakiś sens? Dlaczego tak bardzo chcą znaleźć jakąś starą glinianą skorupę? Czy sprawy teologiczne mają dla nich aż takie znaczenie?

- Jak długo obserwowaliście Cleavera?

- Miesiącami.

- To wtedy dowiedzieli się o Zoë, musieli podsłuchać rozmowę, podczas której próbowała go szantażować. Z kolei kiedy Skid McClusky przyniósł do biura Cleavera pudełko z ostrakiem, zobaczyli go i pojechali za nim. Gdyby nie jego dziewczyna, byłoby już po nim.

Alex słuchała w skupieniu i marszczyła czoło.

- A więc twierdzisz, że szantaż Zoë został odkryty właściwie przez przypadek?

- Kluczem jest Cleaver - powiedział Ben. - Wszystko obraca się wokół niego. Jednak myślę, że on nie zdaje sobie nawet z tego sprawy. Pozostaje więc pytanie: dlaczego Cleaver znalazł się pod obserwacją?

Siedzieli w milczeniu, szukając w myślach odpowiedzi.

- Oni coś knują - powiedziała. - Jestem o tym przekonana.

- Tylko co?

- Sama chciałabym to wiedzieć.

- Kim jest Slater?

Z wyrazu jej twarzy Ben wyczytał, że to nazwisko nic jej nie mówi.

- Był z Jonesem w hotelu. Rude włosy. Niewysoki. W modnym garniturze. Nie wygląda na policjanta czy agenta. Szef całej operacji, Jones jest jego podwładnym.

- Nigdy nie słyszałam o żadnym Slaterze.

Nagle w ramieniu złapały go skurcze, zmienił pozycję. Skrzywił się, bo ból zaatakował ze zdwojoną siłą. Jednocześnie poczuł ogromne psychiczne wyczerpanie.

Spojrzała z niepokojem.

- Strasznie cię boli, prawda? Jest jeszcze trochę kodeiny.

- Zostaw ją na jutro - wymamrotał.

- Chcę zobaczyć ranę.

- Jest dobrze - zaprotestował.

- Nie pozwolę ci umrzeć, Ben. Potrzebuję ciebie tak samo jak ty mnie. - Nachyliła się i zaczęła mu rozpinąć zakrwawioną koszulę. Z początku się opierał, później ustąpił i pozwolił, żeby go rozebrała. Ostrożnie rozwinęła bandażę.

- Już to robiłaś, prawda? - spytał słabym głosem.

- Dopiero po trzech latach medycyny pomyślałam, że chcę zasmakować przygody i zobaczyć świat. Była to najgorsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjęłam. - Oświetliła latarką ramię i pierś Bena. - Już wcześniej kilka razy cię trafili - dodała, widząc blade blizny po postrzałach.

- Dwa razy. Raz dostałem szrapnelem.

- Niezły dorobek - powiedziała. Uważnie przyjrzała się ranie. - Wygląda na to, że nie masz żadnego krwotoku wewnętrznego, ale trzeba usunąć kulę. Powinieneś jak najszybciej znaleźć się w szpitalu.

- Wykluczone - mruknął. Był jednak zbyt słaby, aby dalej protestować.

Alex zwinęła koc i wetknęła mu go pod głowę. Ponownie założyła opatrunek, tym razem fachowo, szczelnie bandażując ranę, następnie pomogła mu z powrotem włożyć koszulę i okryła go kocem.

- Musimy spać - szepnęła.

Obserwował ją, jak w migotliwym świetle ogniska przygotowuje posłanie z paproci i się na nim układa. Po paru minutach jej regularny oddech powiedział mu, że usnęła. On sam przez dłuższy czas jeszcze czuwał, nasłuchując dalekiego ujadania kojotów.

Gdy w środku nocy się obudził, w blasku dogasającego ognia spostrzegł, że Alex go obserwuje. Głowę położyła na rękach, włosy opadły jej na twarz, w oczach odbijały się ostatnie płomienie ogniska.

- Miałeś sen - szepnęła. - O kimś, kogo kochasz.

Nie odpowiedział.

- Masz żonę? - zapytała cicho. - Czy w domu ktoś na ciebie czeka?

Zawahał się z odpowiedzią.

- Nie. Nie mam nikogo. A ty?

- Był ktoś. Tam, gdzie mieszkałam, w Wirginii. Miał na imię Frank. Teraz wiem, że nasz związek był z góry skazany na porażkę. Rozstaliśmy się przed dwoma laty. On ma swoją

praktykę weterynaryjną, ja przez cały czas musiałam być albo w kwaterze głównej, albo gdzieś w terenie. Uczucie zmarło śmiercią naturalną. - Uśmiechnęła się smutno. - Wygląda na to, że oddałam serce Agencji.

- Kiedyś postąpiłem podobnie - powiedział. - Wszystko, co miałem, podporządkowałem wojsku. Dopiero później dostrzegamy, że takie życie nie ma większego sensu.

Przez chwilę panowało milczenie.

- Jones coś o tobie powiedział - szepnęła.

- Co konkretnie?

- Że jesteś jednym z najbardziej niebezpiecznych ludzi na świecie.

Potrząsnął głową.

- To tacy ludzie jak Jones są najbardziej niebezpieczni.

- Widziałam twoją kartotekę.

- To tylko moja przeszłość, Alex. To nie jestem prawdziwy ja.

Lekko uniosła głowę i odgarnęła opadające włosy.

- W takim razie jaki jest naprawdę Ben Hope?

- Wciąż się nad tym zastanawiam - wyszeptał. Przewrócił się na drugą stronę i zamknął oczy.

dom Richmonda

o północy

Po wysłuchaniu informacji o ucieczce Hope'a z Zoë i jedną ze strażniczek Slater najpierw zaniemówił, następnie wpadł w furję i zwymyślał Jonesa od ostatnich idiotów.

Teraz, parę godzin później, już ochłonął. Nie mógł jeszcze zasiąść na kanapie przed pięćdziesięciocalowym ekranem monitora i pomyśleć o przyjemnościach, ale był w stanie właściwie przemyśleć nową sytuację.

Zrozumiał, że zbyt długo zwlekał z podjęciem pewnej decyzji.

Podniósł telefon i wybrał numer. Począł. W końcu usłyszał głos w słuchawce.

- To ja - powiedział.

- Jest już późno.

- Mniejsza o to. Słuchaj. Zmiana planu. Sprawy wymykają się spod kontroli. Postanowiłem przyspieszyć nasz projekt.

Usłyszał, jak rozmówca głośno westchnął.

- Dlaczego?

- Bo coś się zdarzyło - powiedział Slater. - Coś bardzo dla nas interesującego. - Omówił sytuację.

- Wszyscy tam będą? Ich prezydent i czterech członków Rady Najwyższej?

Slater się uśmiechnął.

- Pod jednym dachem. I mnóstwo innych ważnych ludzi. To będzie dla nich mocny policzek, co?

- Jeżeli nam się uda...

- Dzwoń do Herzoga. Uroczystość jest za trzy dni. Powiedz, że jeśli zdąży, podwoję mu stawkę.

- Jesteś pewny? - głos współnika zadrżał. - To wielki krok.

- To bardzo wielki krok - zgodził się Slater. - Ale trzeba go zrobić. Teraz albo nigdy. - *Czas już nadszedł.* Tak mówi Księga Objawienia. Widzisz? Ja też czytam Biblię. Jeśli

będziemy dalej zwlekali, dostaniemy tylko kopniaka w dupę.

- To doniosła chwila - wymamrotał współnik. - Przynajmniej mógłbyś nie przeklinać.

- Nie bądź takim cholernym świętoszkiem, to się robi nudne.

- Czy Richmond jest już gotowy?

- Jeszcze nie, ale będzie. Moja w tym głowa. Ty pilnuj swojego i bierz się do roboty.

Gdy zakończył rozmowę, triumfalnym krokiem podszedł do barku z alkoholem. Z wiaderka z lodem wyjął butelkę kruga, nalał duży kieliszek szampana, podniósł go w milczącym toaście. Za siebie i za przyszły sukces. Wypił duszkiem.

Serce biło mu przyspieszonym rytmem. Nareszcie. Skończyło się czekanie. Z trudem kontrolując podniecenie, znów napełnił kieliszek i wyciągnął się na kanapie. Skierował pilota na ogromny monitor i nacisnął kilka guzików. Popijając kruga, zaczął oglądać swój ulubiony kanał z pornografią, nadawany z satelity.

Zadzwonił telefon. Slater wyciszył ustawione wokół, teraz pełne jęków, głośniki i podniósł słuchawkę.

Dzwonił współnik.

- Załatwione. Za trzy dni.

- Powiedz Herzogowi, że jest prawdziwym zawodowcem.

- Myślę, że już o tym wie. - Wspólnik się rozłączył.

Slater dopił resztkę szampana i rękawem jedwabnej koszuli wytarł usta. Znów podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Po trzecim sygnale odezwał się Jones.

- To ja - powiedział Slater.

- Jak kamień w wodę - odparł Jones, przewidując pytanie. - Cały czas szukamy. Złapiemy ich. Sytuacja jest pod kontrolą.

- To już wcześniej słyszałem. Kiedy ich w końcu znajdziecie, zabijcie ich.

- Wszystkich? Razem z Bradbury?

- Tak, Bradbury też.

- Ale ostrak...

- To już dla nas nie ma znaczenia - przerwał mu Slater.

- Plan się zmienił. Zaczynamy projekt Jerozolima.

- Rany boskie.

- Właśnie tak. Alleluja.

- Kiedy początek?

- Za trzy dni - odparł Slater. - No dobrze. Teraz ich tylko znajdź i wrzuć do grobu.

- Z przyjemnością.

45

dzień szesnasty

Gdy otworzył oczy, było już jasno, a w powietrzu unosiła się woń smażonego mięsa. Alex klęczała przy ogniu i opiekowała królika na ruszcie opartym na dwóch rozwidlonych patykach.

- Ale zapach! - wykrzyknął.

Odwróciła się i spojrzała z nieukrywaniem ciepłem w oczach. Nie zdążyła się jeszcze uczesać.

- Jesteś głodny. To dobry znak.

Opierał się o ścianę jaskini i patrzył. Alex dokładała do ognia, starając się, żeby jak najmniej dymił. Kapiący w płomienie tłuszcz z królika skwierczał i strzelał w górę. Po raz pierwszy dotarło do niego, że Alex jest bardzo atrakcyjną kobietą. Szczupła i wysoka, poruszała się z wdziękiem lekkoatletki.

Wzrok Bena spoczął na kolbie beretty, wystającej z tylnej kieszeni jej dzinsów.

Alex zdawała się czytać w jego myślach.

- Zaraz ci oddam pistolet, jeśli chcesz. Chyba się nie gniewasz, że go zabrałam, kiedy spałeś. Zoë musi jeść. Zresztą ty też. Jesteś blady.

Powoli usiadł. Czuł się tak, jakby ktoś ucinał mu ramię piłą tarczową. Sięgnął po kodeinę i wrzucił do ust dwie tabletki.

- W porządku. Możesz go zatrzymać.

Uśmiechnęła się.

- Już mi ufasz?

- Czy mam jakiś wybór?

- Tak naprawdę to nie. - Wbiła ząbkowane ostrze noża w bok królika i zdjęła go z rusztu, następnie położyła pieczeń na płaskim kamieniu i pokroiła. Jeden kawałek nadziała na czubek noża i podała Zoë.

Dziewczyna ze wstrętem odwróciła głowę.

- Nie będę tego jadła.

Alex zmarszczyła czoło.

- Musisz odzyskać siły. Czeka nas długi marsz.

- Jestem wegetarianką.

- Dobrze, nie jedz - odezwał się Ben. - Zostanie więcej dla nas. Ale jeśli myślisz, że cię później będziemy nieść, to jesteś w błędzie.

Zoë wycelowała palcem w Alex.

- Nigdzie z nią nie idę. To jej wina, że zginął doktor Greenberg.

- Nie chciałam tego. Ale nie mogłam nic zrobić, żeby temu zapobiec.

Zoë tylko zakasłała i jeszcze bardziej się skuliła. Siedziała w swoim kącie, gniewnie obserwując, jak jedzą.

- Nie zwracaj na nią uwagi - rzucił Ben. - Jak chce umrzeć z głodu, to jej sprawa.

- Nigdy przedtem nie strzelałam do królików z dziewiątki - powiedziała Alex. - Trochę się bałam, że nic z nich nie zostanie. - Wytarła usta, wstała, podeszła do wejścia jaskini i wyjęła komórkę.

- Odłóż ten telefon - powiedział Ben. - Każdy wysłany stąd sygnał doprowadzi ich do nas.

- OK, zadzwonię później, ze stacjonarnego.

- Wiedziałam - wybuchła Zoë. - Chce z nimi porozmawiać.

- Nie, dziewczynko - ostro odparła Alex. - Mam zamiar dopilnować, żebyś jak najszybciej trafiła do aresztu prewencyjnego i poczekała tam, aż wszystko się wyjaśni.

Ben potrząsnął głową.

- To wykluczone. Ja za nią odpowiadam. Zoë nie może się nawet zbliżyć do CIA. Przyrzekłem jej rodzinie, że bezpiecznie wróci do domu i mam zamiar dotrzymać słowa.

- Przecież ona nie ma żadnych dokumentów. Jak ją, na litość boską, wywieziesz z terytorium USA?

- Przewiozę ją do najbliższego brytyjskiego konsulatu, skąd mogą ją odebrać rodzice.

- A później?

- Później ruszę śladem tych, którzy to wszystko rozpętali.

- Sam? Myślisz, że zabijając jeszcze więcej ludzi, rozwiążesz cały problem?

- Nie jest to moim zamiarem - odparł Ben. - Zawsze pragnąłem życia w spokoju i unikałem wojny.

- Jednak się tu znalazłeś.

- I muszę dokończyć to, co zacząłem.

Potrząsnęła głową.

- Nie masz szans, Ben. Jesteś poszukiwany za zabójstwo dwóch policjantów. Złapią cię,

nim zdążysz się zbliżyć do konsulatu. Będziesz musiał załatwić to tak, jak mówię. I nie zapominaj, że jestem twoim jedynym alibi.

- Jesteś w podobnej sytuacji - powiedział. - Spróbuj wyjaśnić swoim przełożonym, dlaczego zabiłaś jednego z agentów i pomogłaś zbiegowi.

Alex nie odpowiedziała.

Ben odwrócił się do Zoë. Dziewczyna siedziała oparta o ścianę i z ponurą miną gapiała się przed siebie.

- Będziesz musiała wyjaśnić wiele rzeczy - powiedział.

- Ja?

- Tak, ty. Gdzie jest ostrak?

Zachnęła się.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Greenberg twierdził, że robisz postępy - powiedziała Alex. - Nadal niczego nie pamiętasz?

Zoë skrzywiła się i ukryła twarz w rękach.

- Chcę do domu.

Ben spojrzał uważnie.

- Skąd wiesz, że masz jakiś dom, skoro podobno niczego nie pamiętasz?

Zoë rzuciła mu wściekle spojrzenie.

- Odwał się. I daj mi spokój.

- Nie masz pojęcia, co musiałem zrobić, aby do ciebie dotrzeć. Przez twój głupi, szczeniacki pomysł zginęło wiele osób.

- Nie bądź okrutny - powiedziała Alex. - Jej też nie było łatwo.

Przez chwilę Ben milczał.

- Dobrze. Przepraszam. Nie chciałem być nieprzyjemny.

- Wczoraj wieczorem prawie złamałeś mi szczękę - powiedziała Zoë, dotykając policzka.

- Za to też przepraszam. - Wyciągnął rękę i dotknął Zoë. Znow poczuł rwący ból w ramieniu. Dziewczyna w milczeniu się odsunęła.

- Czas ruszać w drogę - powiedziała Alex. - Przed nami długi dzień.

Wygasili ogień, Ben zawiązał resztki królika w świeże liście i włożył do torby. Po spakowaniu dobytku wszyscy po kolei umyli się w zimnym strumieniu, płynącym u stóp leśnego wzgórza. Aby iść dokładnie na północ, powinni przeciąć góry, dlatego maszerowali u ich podnóża, przez ciągnące się kilometrami lasy iglaste.

- W ten sposób przez tygodnie niczego nie znajdziemy - powiedziała zdyszana Alex. -

Jesteśmy w jednym z największych i najsłabiej zaludnionych stanów USA. Trzeba znaleźć jakąś drogę.

Po kolejnych kilometrach marszu Ben zrozumiał, że Alex ma rację. W ciągu ostatnich kilku godzin, prócz nielicznych sępów nad głową, raz tylko zobaczyli ogromnego łosia, który wychynął z lasu i jak duch z powrotem w nim zniknął.

Zatrzymali się na odpoczynek, za chwilę znów ruszyli w drogę. Z wyczerpania Benowi zaczęło się kręcić w głowie, wrócił też szarpący ból ramienia. Przeszedł jeszcze kilkaset metrów i przystanął.

- Jesteś wykończony - oceniła Alex. - Słuchaj. Sama pójde szybciej i zobaczę, co jest przed nami. Może znajdę jakąś farmę albo drogę, wtedy po was wrócę. Jeżeli dopisze mi szczęście, zobaczymy się za kilka godzin.

Wiedział, że dyskusja z Alex nie ma sensu.

- Bądź ostrożna.

Uśmiechnęła się.

- Dam sobie radę. Wracam za chwilę, OK? - Sprawdziła pistolet, wypła duży łyk wody z bidonu i bez słowa zniknęła w zaroślach.

Nagle uświadomił sobie, że jej odejście sprawiło mu przykrość.

- Wróci, ale w towarzystwie Jonesa - powiedziała Zoë, obserwując oddalającą się Alex. - Jesteś naiwny, że pozwalasz jej samej odejść.

Zignorował ją.

- Czekając na nią, musimy się gdzieś schować i odpocząć.

Po paru minutach poszukiwań znaleźli złamany pod kątem prostym świerk. Ben chwycił za zwisającą gałąź. - Pomóż mi ściągnąć ją niżej - powiedział.

- Co robisz?

- Kryjówkę. Nie możemy siedzieć pod gołym niebem, bo będziemy widoczni z powietrza. Skrzywiła się.

- Będą mnie szukać, prawda?

Kiwnął głową. Złapała za drugą gałąź, razem pociągnęli złamane drzewo w dół. Po kilku próbach pień świerka z trzaskiem pękł do końca, a jego ciężki wierzchołek wylądował na ziemi. Oboje wczołgali się pod zielony dach, kryjący ich przed spojrzem z góry. Ben wygodnie się usadowił i oparł o torbę. Zoë przysunęła się bliżej i rozłożyła koc. Kiedy się położyła, głośno westchnęła i znów zaczęła narzekać.

- Jestem tak piekielnie zmęczona, że nie czuję już nóg, do tego tu się aż roi od robactwa. Chryste, ile bym dała za gorącą kąpiel!

Ben nie zwracał na nią uwagi. Po kilku minutach zorientowała się, że jej skargi niczego nie zmienia, i umilkła. Zapanowała cisza. Nadal dokuczało mu ramię, ale dzięki kodeinie ból był mniejszy. Powoli zapadał w drzemkę. Czas płynął. Rzucił okiem na zegarek. Od odejścia Alex minęło nieco ponad pół godziny.

- Jestem taka głodna - jęknęła Zoë.

Wyciągnął zza pleców torbę, rozpiął ją i sięgnął do środka po zawiniątko z liści. Otworzył je i podał Zoë.

- Jedz. Alex zrobiła to specjalnie dla ciebie.

- Nie jem martwych zwierząt.

- W takim razie nie jesteś naprawdę głodna.

- Umieram z głodu.

- Już to widzę - powiedział.

Z obrzydzeniem spojrzała na resztki królika i na Bena. Później, z wahaniem, podniosła do ust kawałek pieczeni i ostrożnie spróbowała. Drugi kęs był większy, po chwili jadła już z widocznym apetytem. Tylko wtedy, gdy czuła, że jest obserwowana, demonstracyjnie okazywała swoją odrazę. Ben jedynie się uśmiechał. Gdy skończyła jeść i ukradkiem oblizywała palce, rzucił jej swoją piersiówkę.

- Wiem, jakie to było dla ciebie nieprzyjemne - skomentował. - Napij się, to zmienisz sobie smak.

Zdjęła nakrętkę i gdy powąchała, zabłyśły jej oczy. Pociągnęła długi łyk i oddała mu butelkę. Napił się z niej trochę i znów oddał ją Zoë. Gdy piła, wyciągnął papierosy. Chciał ją poczęstować, ale odmówiła.

- Papierosy to powolna śmierć - powiedziała.

- To dobrze, nigdzie się nie spieszę.

Roześmiała się.

- Od paru tygodni nie miałam w ustach alkoholu - powiedziała. - Trochę mi się zakręciło w głowie.

- Wypij do końca - powiedział, zapalając papierosa.

Wychyliła resztę whisky, zamknęła piersiówkę, następnie położyła się z powrotem na kocu i przeciągnęła. Nad głową widziała niebieskie niebo, prześwitujące przez zieloną koronę drzewa.

- Jakie to wspaniałe uczucie znaleźć się na wolności - szepnęła. - Wydawało mi się, że już do końca życia będę siedzieć pod kluczem.

- Wkrótce zawiozę cię do domu - obiecał jej Ben.

- Uratowałeś mnie, a ja ci nawet za to nie podziękowałam.

- Zrobisz to, gdy już będziemy bezpieczni. - Znów zamknął oczy. Czuł, że wstrząsają nim to zimne, to gorące dreszcze. Koniecznie powinien usunąć ten pocisk z ramienia.

Kiwnęła głową.

- Czegoś tu nie rozumiem. Skąd znasz moich rodziców?

- Jestem studentem twojego ojca.

- Ty jesteś studentem teologii?

- Często słyszę takie pytanie. Widzisz, kiedyś byłem żołnierzem. Teraz jednak szukam nowej drogi życia.

- Kościół?

- Może.

- Zmarnujesz się. Jak na wikarego jesteś zbyt przystojny - powiedziała z uśmiechem.

- Dzięki. Będę o tym pamiętał.

- Masz dziewczynę?

Pokręcił głową.

Znów się uśmiechnęła.

- Nie jesteś chyba gejem, co?

- Z tego, co wiem, to nie.

- To dobrze. - Przynęła się bliżej. Odgarnęła z twarzy kosmyk włosów. - Ciekawa jestem, jak długo jej nie będzie.

- Mówisz o Alex? Prawdopodobnie nie wróci tak szybko.

- Jestem zadowolona, że możemy sobie tak porozmawiać.

- Ja też.

- Wcale nie jesteś podobny do innych studentów mojego taty, to takie wymoczki.

Słońce stało wysoko na niebie, jego promienie przedzierały się przez gałęzie zwalonego świerka. Mrużąc oczy, obserwowała plamy światła.

- Robi się ciepło - powiedziała. Ściągnęła gruby sweter i położyła go na ziemi. Pod spodem miała cienką bluzeczkę. Z uśmiechem spojrzała na Bena.

- Spadła ci bransoletka - powiedział, wskazując na leżącą w trawie złotą ozdobę.

- Cholera. Cały czas ją gubię.

- Musisz być bardziej ostrożna - powiedział. - Wygląda na drogą.

- Należała do mojej prababci.

Zamyślony kiwnął tylko głową.

- Myślę o Whisky - powiedział nagle.

- Tak, trochę mnie rozluźniła - odpowiedziała. - Szkoda, że nie mamy więcej - zachichotała.

Pokręcił głową.

- Nie mówię o alkoholu, tylko o twoim psie, Whisky. Wpadł pod samochód. Nie żyje.

W oczach Zoë pojawiło się przerażenie. Zesztywniała i odsunęła się od Bena.

- Co? Kiedy to się stało?

- Kiedy ty się zabawiałaś na Korfu.

- Te sukinsyny nic mi o tym nie powiedziały - odparła.

Zorientowawszy się, co właśnie zrobiła, zakryła usta dłonią.

- Nic ci nie powiedzieli, bo to nieprawda. Właśnie to wymyśliłem. Twój pies żyje i ma się dobrze. A ja myślę, panno Zoë Bradbury, że wpadając w zastawioną pułapkę, odkryłaś swoje karty.

Zaczerwieniła się.

- Nie wiem, dlaczego właśnie tego nie zapomniałam. Niestety to wszystko, co pamiętam.

Złapał ją za przegub i mocno ścisnął, nie zważając na paraliżujący ból w ramieniu.

- Oczywiście, że niczego nie pamiętasz. Oprócz faktu, że twój ojciec jest teologiem, a jego studenci to wymoczki. Że nie jesz mięsa. Że noszona przez ciebie bransoletka należała kiedyś do twojej prababki. Czy tego, że parę tygodni temu imprezowałaś na Korfu. Wiesz, co myślę? Że pamiętasz o wiele więcej, niż się wszystkim wydaje.

Próbowwała wyszarpnąć rękę.

- Puść mnie!

Ścisnął ją mocniej.

- Nie ma mowy, Zoë. Dzisiaj, po raz pierwszy w życiu, powiesz mi całą prawdę.

46

Wyrwała się i zaczęła się czołgać na zewnątrz. Próbował jej przeszkodzić i złapał ją za kostkę. Wierzgnęła, trafiając go w ramię. Krzyknął z bólu i osunął się na ziemię. Zaczęła uciekać na oślep.

- Co ty, na litość boską, robisz? - krzyknął za nią.

Biegła przez las, przedzierając się przez gęstwinę gałęzi. W pewnym momencie stanęła jak wryta i wrzasnęła. Z gąszczu wynurzyła się sylwetka człowieka.

Zgrzana długim marszem Alex miała czerwoną z wysiłku twarz, w zmierzwionych włosach pełno liści i przemoczone aż po uda dzinsy.

- Dokąd się wybierasz, Zoë?

Ciężko oddychając i trzymając się za ramię, dotarł do nich wściekły Ben.

- Teraz, idiotko, powiesz nam wszystko!

Alex obserwowała ich, nic z tego nie rozumiejąc.

- O co chodzi? Właśnie wracam z dobrymi wiadomościami. Jakies trzy kilometry za tym wzgórzem jest farma.

- Ta mała odzyskała już pamięć, tylko to przed nami ukrywa - powiedział Ben.

Zoë zalała się łzami i upadła na kolana.

Alex patrzyła z niedowierzaniem.

- Czy to prawda?

- No dalej, mów. Gdzie jest ostrak? O co w tym wszystkim chodzi? Czego chcą Jones i Slater?

- Nie wiem - odpowiedziała ze szlochem Zoë.

- Nie ruszymy się stąd, dopóki nie usłyszymy od ciebie prawdy - powiedział Ben.

- Mówię prawdę! - wrzasnęła Zoë. - Nie wiem, do czego jest im potrzebny ostrak.

Użyłam go tylko do szantażu Cleavera.

- W takim razie powiedz mi, gdzie jest - powiedział Ben, na siłę starając się opanować. -

Ta informacja może się nam przydać w ucieczce.

Zoë gwałtownie kręciła głową i głośno płakała.

- Niczego wam nie powiem.

- Dlaczego? - dopytywał Ben.

- Bo... bo nie mogę. - Znowu wybuchnęła płaczem i zakryła twarz drżącymi rękami.

Alex podeszła bliżej i ujęła ją za ramię.

- Nie bój się. Chcemy ci tylko pomóc. Powiedz nam. Za chwilę pójdziemy na farmę i wszystko się skończy.

Zoë wytarła oczy i ze strachem spojrzała na Bena. Pociągnęła nosem i spuściła głowę.

- A więc? - spytał Ben.

- Nie mogę wam niczego powiedzieć, bo... tego ostraka w ogóle nie ma. - Skuliła się. - No to macie teraz to, co chcieliście. Powiedziałam wam. Jesteście zadowoleni?

Zszokowany Ben przez chwilę nie mógł wydusić z siebie słowa.

- Co ty powiedziałaś? - spytał cicho.

Zoë usiadła prosto i podciągnęła kolana pod brodę.

- Blefowałam - szepnęła. - To wszystko były kłamstwa, rozumiecie? Nie istnieją żadne dowody, nie ma nic. Wszystko wymyśliłam sama.

Ben gorączkowo próbował zrozumieć sens słów Zoë.

- Ale ten fragment skorupy, który w pudełku przesłałaś Cleaverowi przez Skida McClusky'ego, był prawdziwy. Cleaver go sprawdził.

Zapłakana Zoë potrząsnęła głową.

- Ustalił tylko metodą węglową jego wiek, a wiek tego akurat kawałka się zgadzał. Jak myślisz, dlaczego właśnie ten wybrałam? Ale napis na nim nic nie znaczy i nikt nie jest w stanie go sprawdzić. Podczas wykopalisk znalazłam parę małych kawałków, które kiedyś mogły być częścią jakiegoś starego hebrajskiego przepisu kulinarnego lub rachunku. Nie wykopaliliśmy wystarczająco dużo, żeby chociaż określić, czego dotyczyła całość.

Ben patrzył na nią i czuł, że powoli ogarnia go wściekłość. Zapomniał nawet o bólu w ramieniu.

- Książka z przepisami kuchennymi, powiadasz - powtórzył.

- Nie byłam pewna, czy Cleaver się na to nabierze - wykrztusiła Zoë. - To był tylko jeden z wielu głupich pomysłów, które mi przyszły do głowy w Turcji. Nawet nie martwiłam się o szczegóły, ponieważ wiedziałam, że i tak to wszystko blef. Chciałam tylko zrewanżować się temu sukinsynowi i trochę go postraszyć. Ta jego głupia książka... Kogo on próbuje oszukać? - Zaczerwieniła się. - I dlaczego to właśnie jemu miałyby się dostać te wszystkie pieniądze Augusty? Ona była najpierw moją przyjaciółką i to ja je powinnam dostać, nie on.

- I to jest ta cała prawda? - spytał Ben. - A więc nigdy nie było żadnych nowych informacji ani na temat świętego Jana, ani Księgi Objawienia?

- O ile w ogóle istnieją tego rodzaju dowody - pociągnęła nosem Zoë - to nadal leżą

gdzieś głęboko pod ziemią.

Kiedy do Bena w końcu dotarło, co się stało, wpadł w furję. Pomyślał o Charliem, o chwili, w której jego przyjaciela rozerwało na strzępy.

- Podejrzewam, że i tak byś się nie przejęła, gdybym ci opowiedział o ludziach, którzy wskutek twojego pomysłu stracili życie - wycedził. - Mniejsza też o to, że twoja rodzina ze zmartwienia odchodzi od zmysłów. Czy o to, że nie żyje Nikos. Słyszałaś już o tym? Czy w ogóle cię to zmartwiło? - W ramię, jak kawałek roztopionej stali, ponownie wrzynał się ból.

Przestraszona Zoë spojrzała na niego, zacisnęła powieki i milczała.

- Nie mówię o ofiarach zamachu bombowego na Korfu, o których pewno nie słyszałaś - ciągnął Ben. - Ale ci ludzie zginęli albo zostali okaleczeni z twojego powodu. Nie wspominam o doktorze, który zaryzykował życie, aby ci pomóc, i dlatego musiał umrzeć. Czy też o twoim przyjaciolem, Skidzie McCluskim, ukrywającym się z połamanymi nogami w jakimś podrzędnym moteliku. Wszystko to zdarzyło się przez ciebie, ty nędzna, mała idiotko. - Ból powodował, że nawet oddychanie przychodziło mu z trudem. Przez cały czas musiał ze sobą walczyć, żeby nie złapać jej za włosy i nie przyłożyć pięści. - Zawsze traktowałem kobiety na równi z mężczyznami. Teraz ci tylko powiem, że gdybyś była mężczyzną, tobyś nie dożyła następnego ranka. Nawet nie masz pojęcia, co zmalowałaś.

Zapanowała dłuższa chwila ciszy, zakłócana tylko szlochaniem Zoë, szelestem liści na wietrze i krzykiem sępów, krążących wysoko na niebie.

Przerwała ją Alex.

- Czyli co robimy?

Nikt nie odpowiedział.

Ben poczuł, że ogarniają go mdłości. Całą rękę znowu miał we krwi. Spojrzał na dłoń i zobaczył, że z palców na leśne poszycie skapują grube krople. Spostrzegła to również zmartwiona Alex.

W oddali usłyszeli miarowy łopot wirników helikoptera. Ben spojrzał w górę. Maszyna była tylko małą plamką na tle nieba, ale szybko się zbliżała.

- Mamy towarzystwo - mruknęła Alex.

- Chowamy się - powiedział. - I to szybko. - Złapał Zoë za rękę, ostro poderwał ją na nogi i popchnął w krzaki. Za nią skoczyła Alex, na końcu Ben. Kucając przy Alex, poczuł zapach jej włosów i rozgrzanej skóry. Nawet ból nie mógł mu odebrać przyjemności przebywania blisko takiej kobiety.

Pulsujący hałas wirnika wypełnił powietrze. Śmigłowiec z rykiem, od którego zadrżały drzewa, przemknął nad leśną doliną i zniknął.

Alex głośno odetchnęła.

- Myślisz, że znaleźli samochód?

Ben przecząco potrząsnął głową.

- Po prostu przeczesują całą okolicę. Ja bym tak zrobił. Pewno Jones dostał posiłki. -
Wstał, nadal nasłuchując niknącego w oddali warkotu helikoptera. - Musimy iść dalej.

Ostatnie trzy kilometry były dla Bena niekończącą się udręką. Czuł, że z każdym krokiem traci siły. Alex, z torbą na ramieniu, szła przodem i pomagała mu w trudniejszych miejscach trasy. Trzydzieści metrów za nimi, ze wzrokiem wbitym w ziemię, wlokła się milcząca, blada Zoë. Przedzierali się przez las iglasty, potem, idąc długim kamienistym zboczem, dotarli nad rzekę.

- Musimy przejść na drugą stronę - powiedziała Alex. - Prąd jest szybki, ale nie jest głęboko. - Chwyła Bena za rękę, razem weszli do wody. Potknął się, upadł i z pomocą Alex ciężko się podniósł. Kontakt z lodowatą wodą sprawił, że znów dostał dreszczy. - Już niedaleko - powiedziała Alex i uśmiechnęła się pokrzepiająco.

Zacisnął zęby, walcząc z powracającymi zawrotami głowy. Krok po kroku przebrnął przez rzekę, upadł dopiero na jej skalistym brzegu. Gdy po kilku minutach dołączyła do nich Zoë, ostatkiem sił się podniósł i ruszył dalej. Alex wyjęła z torby lornetkę i usiadła na wysokim brzegu rzeki, aby się przyjrzeć dolinie.

- To tam! - wykrzyknęła.

Mimo bólu i wyczerpania Ben docenił piękno okolicy. Przed nimi, aż po sam horyzont, rozciągała się preria, a słońce wczesnego popołudnia odbijało się w śnieżnych czapach górskich szczytów. Przez lornetkę zobaczył rozrzucone w falujących trawach zabudowania farmy. Małe górskie gospodarstwo znajdowało się w odległości niecałych dwóch kilometrów i miało zaskakująco dużo budynków. W jego zagrodach, otoczonych białymi płotami, pasły się konie.

- Nie widzę nikogo - powiedział Ben. - Ale z komina unosi się dym.

- Podejźmy bliżej i przyjrzyjmy się - odparła Alex.

Dojście do farmy zabrało im kolejnych czterdzieści pięć minut, w końcu dotarli do bramy i stanęli na piaszczystej ścieżce między zaniedbanymi drewnianymi zabudowaniami. Ben oparł się o słupek ogrodzenia, Zoë niepewnie płątała się gdzieś z tyłu, do domu poszła tylko Alex. Jedno z okien budynku było zabite deskami, zjedzone przez robaki stopnie schodów podpierało kilka cegieł.

Alex mocno zapukała do drzwi.

- Halo, jest tam ktoś? - Odpowiedziała jej cisza. Obserwując okna, odeszła kilka kroków

od domu, w końcu, zrezygnowana, spojrzała na Bena i wzruszyła ramionami.

Słońce stało już wysoko na niebie i mocno przygrzewało. Żeby rozejrzeć się po farmie, Ben musiał osłonić oczy ręką.

Wtedy zobaczył ciało.

Sto metrów dalej, w trawie przy zagrodzie dla koni, leżał starszy mężczyzna. Podeszli do niego szybko, Alex uklękła i zmierzyła mu puls.

- Żyje - powiedziała.

Z najbliższego padoku Ben przyniósł konewkę z wodą i skropił twarz leżącego. Staruszek, ubrany w znoszone dżinsy i flanelową koszulę w czerwoną kratę jęknął, zamrugał i próbował wstać. Miał długie, białe włosy i brodę, a skórę na twarzy brązową i jakby wygarbowaną. Ścisnął mocno spuchniętą kostkę i krzywił się z bólu.

- Ten cholerny żrebak tak mnie szarpnął, że upadłem - powiedział i pokazał palcem młodego kasztana na pastwisku. Koń uniósł głowę i spojrzał w ich kierunku, z uzdy zwisała mu lonża.

- Nic nie mów - powiedziała Alex. - Zaraz cię przeniesiemy, nie możesz tak leżeć w pełnym słońcu.

Pomogli mu wejść na spróchniałe schody ganku i dalej do domu. W środku poczuli chłód i wilgoć. Za ciemnym korytarzem zobaczyli pokój stołowy z odklejającą się tapetą. Pod ścianą stała kanapa z lat pięćdziesiątych, na której położyli staruszkę. Ben wytarł mu twarz z potu i delikatnie podciągnął do góry nogawkę spodni.

- Skręcona kostka - oceniła Alex, przyglądając się nodze.

- Jestem bardzo zadowolony, że akurat się zjawiliście, dobrzy ludzie - powiedział gospodarz. - Nie odwiedza mnie tu zbyt wielu gości. - Miał pomarszczoną twarz. Jego wzrok na chwilę zatrzymał się na zakrwawionej koszuli Bena, lecz staruszek powstrzymał się od komentarza. Wyciągnął rękę. - Nazywam się Riley Tarson.

- Ben Hope. A to Alex.

Do domu weszła Zoë, która niezdecydowanie stanęła w drzwiach, przyglądając się tej scenie.

- A ta młoda panienka? - spytał Tarson. - Czy też ma jakieś imię?

- Taak - odparł Ben. - Na imię jej kłopot. - Ostrożnie zdjął staruszkowi but i zwrócił się do Alex. - Wydaje mi się, że na podwórku rośnie żywokost lekarski, jego wywar zmniejsza opuchliznę.

- Nie ma takiej potrzeby - powiedział Riley. - Na półce kuchennej Ira trzyma słoik jakiejś cholernej indiańskiej maści.

- Ira?

- Pomaga mi w obejściu. Ale dzisiaj go nie ma. Wyjechał dwa dni temu szukać byka, który nam zginął. Jeszcze nie wrócił.

- Spróbuję znaleźć tę maść - powiedziała Alex, Zoë poszła za nią.

Riley przyjrzał się Benowi dokładniej.

- Trochę zabłądziliście, co? Coś mi się zdaje, że nie jesteście zwykłymi turystami.

- Dobrze ci się zdaje - odparł Ben.

- Wydaje mi się też, że ten śmigłowiec, co tu wcześniej się pokazał, szukał właśnie was.

Czy znów mam rację?

Ben milczał.

Stara facjata Riley'a rozpromieniła się w uśmiechu. - Wiem, co znaczą te śmigłowce. Ja też nie lubię rządowych ważniaków.

- To śmigłowce CIA - cicho powiedział Ben. - Szukają nas.

- Nie widzę problemu, synu. Gdybyś chciał mnie załatwić albo obrabować, to już byś to dawno zrobił. Nie znam twoich kłopotów, ale domyślam się, że im mniej się dowiem, tym mniej będę mógł później opowiadać innym. Dla mnie najważniejsze jest to, jak ktoś się zachowuje - odchrząknął Riley. - Ten sukinsyn w helikopterze zszedł naprawdę nisko i widział, że leżałem na ziemi, ale tylko się uśmiechnął i poleciał dalej. Gdybyście się nie zjawili, pewno bym nie wytrzymał do rana. Tak więc jeżeli mam już stawać po którejś stronie, to na pewno nie będzie to strona rządowa. To ci gwarantuję.

Do pokoju wróciła Alex ze słoikiem zielonkawej mikstury, którą Ben obejrzał.

- To faktycznie żywokost - orzekł. - Przyda się. - Posmarował spuchniętą kostkę, następnie ją usztywnił, przywiązując do nogi poduszkę i oblepiając wszystko taśmą. - Musisz teraz odpoczywać - powiedział Rileyowi.

- Sam nie wyglądasz zbyt dobrze - odparł staruszek. - Rany postrzałowe to dla mnie żadna nowość.

Benowi znów zrobiło się słabo. Jeszcze przez chwilę widział poruszające się wargi gospodarza, ale w uszach słyszał już tylko dudniący hałas. Osunął się na podłogę z wrażeniem, że pokój wiruje. Jak zza ściany, dobiegł go krzyk Alex.

48

Świadomość powracała falami. Niczym przy zwolnionym efekcie stroboskopowym, w momentach całkowitej ciemności unosił się poza czasem, aby w chwilę później znów słyszeć dźwięki, widzieć światło i krzątających się ludzi. Otaczając ramieniem szyję Alex, wspinał się po schodach. Weszli do jakiegoś pokoju. Stało tam łóżko. Na skórze poczuł dotyk sztywnej pościeli, na białym prześcieradle zobaczył swoją krew. Z bliska widział twarz Alex, która się nad nim pochylała z troską w oczach. Znow stracił przytomność.

Gdy ponownie ją odzyskał, po drewnianej podłodze nieznanego mu pokoju skradało się czerwone światło brzasku. Zamrugał, próbując unieść głowę z poduszki. Zobaczył, że ma świeżo zabandażowane ramię. Nadal go bolało, lecz ból był już inny.

Sięgnął po obrączkę na szyi. Nie znalazł jej.

Rozejrzał się wokół. Znajdował się w dużej prosto umeblowanej sypialni. W odróżnieniu od pomieszczeń na dole ten czysty i wysprzątany pokój stwarzał wrażenie, jakby od dawna nie był używany. Leżał w podwójnym łożu z mosiężnymi gałkami, przykryty kołdrą zrobioną z różnokolorowych kawałków materiału. W rogu pokoju stała miednica. Przy łóżku zobaczył bujany fotel, na którym ktoś starannie ułożył czystą odzież - niebieską drelichową bluzę i dzinsy. Na samej górze sterty ubrań spoczywała nawleczona na rzemyk złota obrączka.

Obok niego na łóżku leżała Alex. Jej splątane włosy rozsypały się na kołdrze, rękę trzymała na nogach Bena. Zastanawiał się, czy długo mu się przyglądała, zanim zasnęła.

Drgnęła, otworzyła oczy i natychmiast się w niego bystro wpatrzyła. Miała umiejętność, którą zauważył tylko u dzikich zwierząt i wyszkolonych żołnierzy - potrafiła przejść z głębokiego snu do stanu pełnej świadomości, bez fazy przejściowej, bez ziewania, bez opuchniętych od snu oczu. Uśmiechnęła się i usiadła. Nie nosiła już grubego wełnianego swetra, teraz ubrana była w kraciatą, obszerną koszulę farmera, związaną na węzeł w pasie.

- Witaj w krainie żywych - powiedziała.

- Poradziłaś sobie?

Kiwnęła głową.

- Musiałam sięgnąć głęboko, ale go wyciągnęłam. Nie trafił w żadną kość. Czubek miał trochę spłaszczony, ale nie aż tak bardzo. Na szczęście się nie rozpadł. - Sięgnęła po cynowy kubek na szafce przy łóżku i potrząsnęła nim. Ben zerknął do środka, na dnie leżał

zdeformowany pocisk. Był niewielki i wyglądał całkiem niewinnie.

- Uratowałaś mi życie - powiedział. - Już drugi raz. Muszę ci się jakoś odwdzięczyć.

Wzięła od niego kubek z nabojem i chłodnymi palcami dotknęła jego czoła.

- Nadal masz gorączkę. Odpoczywaj.

Opuścił głowę na poduszkę.

- Musimy iść dalej.

- Przez parę dni możemy tu zostać. Riley mówi, żebyśmy się tu zatrzymali tak długo, jak chcemy.

- Jak on się czuje?

- Śpi teraz. Nic mu nie będzie. - Uśmiechnęła się. - Myśli, że ty i ja jesteśmy parą.

- Gdzie Zoë?

- W innym pokoju, ale w naszym korytarzu. Jest bardzo zmęczona, nie możesz traktować jej zbyt ostro.

- Za to, co zrobiła, mógłbym ją zabić.

- Ma wyrzuty sumienia.

- Powinna, na litość boską!

Pogłaskała go po czole, odgarnęła opadający mu na oczy kosmyk włosów. Na dworze robiło się coraz jaśniej. W oddali usłyszał rzenie konia i szczekanie psów.

- Muszę teraz zająć się końmi - powiedziała. - Riley przez jakiś czas nie powinien chodzić.

- Zostań jeszcze chwilę.

Znowu się uśmiechnęła.

- OK.

Przez kilka minut milczeli.

- Miałeś sny - powiedziała. - I gorączkowałeś.

- Naprawdę?

Skinęła głową.

- Znowś mówiłeś przez sen.

Nie odpowiedział.

- Rozmawiałeś z Bogiem.

- Nie mam mu zbyt wiele do powiedzenia.

- Prosiłeś go o wybaczenie, Ben. Widocznie to jest dla ciebie ważne. Dlaczego? Co zrobiłeś, żeby teraz prosić Boga o wybaczenie?

Odwrócił się.

- Chcę ci pomóc - powiedziała.

Spojrzał na nią.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Po prostu. - Uśmiechnęła się. - Myślę, że poznałam cię całkiem nieźle. Rozebrałam cię i położyłam do łóżka. Wyciągając ci z ramienia kulę, umazałam się twoją krwią aż po łokcie. Zamknęłam ranę i ją zabandażowałam. Wykąpałam cię i przesiedziałam z tobą pół nocy, ocierając twój pot. Więc dlaczego nie chcesz, żebym ci teraz pomogła? Powinieneś porozmawiać.

- W moim życiu zdarzyło się wiele złego - powiedział. - Nie chcę mówić o tych sprawach.

- Złe rzeczy zdarzają się wszystkim.

- Wiem.

- Nie jesteś winny śmierci Charliego - powiedziała. - Wiem, że myślisz inaczej, ale nie powinieneś. Przecież nie mogłeś wszystkiego przewidzieć. Próbowalesz tylko pomóc koledze.

Przez chwilę chciał coś powiedzieć, jednak zmienił zdanie i się nie odezwał.

- Co?

- Nic - mruknął. - Może powinnaś już pójść do koni. Ale nie przebywaj na zewnątrz zbyt długo. Śmigłowiec może wrócić.

Uśmiechnęła się.

- Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

- Pewnie masz rację - odparł. - A co do Charliego, może to nie była moja wina.

- Ale jeszcze coś innego cię gryzie, prawda?

Zamknął oczy.

- Powiedz mi.

Długo milczał, wreszcie odpowiedział:

- Nie mogę.

49

W miarę upływu poranka Ben czuł się coraz lepiej i zaczynała go ogarniać niecierpliwość. Leżał w rozrzuconej pościeli, czytał Biblię, po raz kolejny analizował ostatnie zdarzenia.

Nie mógł przestać myśleć o Slaterze. Kim jest ten człowiek? Przecież nie agentem, policjantem ani żołnierzem w rodzaju Jonesa. Jest przywódcą, organizatorem, mózgiem projektu. Człowiekiem o dużej władzy. Jednym z tych, którzy przesuwają pionki na szachownicy. Jeżeli jest politykiem, to niezbyt znanym, bo nigdy o nim nie słyszał. Może działa w kuluarach, nie wychodząc nigdy z cienia? Czemu jednak zainteresował się polityczną karierą Clayтона Cleavera? I dlaczego poczuł się zagrożony z powodu starych glinianych skorup, znalezionych przez Zoë Bradbury?

Religia i polityka. Cleaver miał ambicje zostania gubernatorem stanowym, jednak w grze o jeszcze wyższą stawkę był tylko płotką. Czy w to wszystko nie był zaangażowany ktoś, kto miał więcej do zyskania lub stracenia aniżeli Cleaver? Ben wiedział, że głosy wyborców i władza dostarczają motywacji do różnych działań - nawet do zbrodni.

Jednak jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że to nie tłumaczy wszystkiego. Czy za sprawą li tylko politycznych ambicji Slater lub siły przez niego reprezentowane mogliby z taką łatwością zawładnąć zasobami CIA? Czuł, że na to pytanie jeszcze nie zna odpowiedzi.

Gdy kartkował leżącą przy nim Biblię, niektóre myśli mroziły mu krew w żyłach.

*

Nie mogąc już dłużej znieść beczynności, tuż po południu wstał. Nadal kręciło mu się w głowie, ale czuł, że wracają mu siły. Miał na sobie tylko krótkie spodenki, pierś i ramię opasywał mu zrobiony przez Alex ciasny opatrunek.

Sięgnął najpierw po obrączkę i z powrotem zawiesił ją na szyi. Podszedł do okna, przyjrzał się budynkom farmy, zagrodom, rozległej prerii i górom na horyzoncie.

Pewien szczegół przyciągnął jego uwagę. W stodole, między wysłużonym sprzętem gospodarczym i różnymi rupieciami, dostrzegł zardzewiałą karoserię starej półciężarówki Forda. Przez dłuższy czas się jej przyglądał, potem skinął głową.

Podszedł do miednicy, ochlapał twarz zimną wodą, włożył pozostawione na fotelu obok

łóżka dzinsy. Zastanawiał się, do kogo mogą należeć, bowiem pasowały na niego jak ulał. Na pewno nie do Riley, miały rozmiar 32. Przypomniał sobie, że staruszek coś wspominał o pomocniku imieniem Ira. Na koniec włożył leżącą na fotelu koszulę.

Z dołu dobiegały go odgłosy krzątania i zapach kawy. Zerknął w lustro, poprawił włosy i po szerokich drewnianych schodach zszedł na parter.

W dużej wiejskiej kuchni zobaczył Alex, która stała przy zasilanej z butli staroświeckiej kuchni gazowej i na poobijanej patelni smażyła plastry bekonu. Gdy wszedł do kuchni, odwróciła się ze zdziwieniem.

- Miałam ci właśnie zanieść coś do jedzenia.

- Kto w amerykańskiej polityce używa Boga jako platformy wyborczej? - spytał.

Alex przez chwilę mu się przyglądała.

- Nie mówisz chyba o pewnym prezydencie, który stwierdził, że wypowiedział wojnę Irakowi, bo tak mu nakazał Bóg?

- Myślę o kimś niżej w hierarchii - powiedział Ben. - O kimś, kto teraz bardzo się stara o awans na scenie politycznej.

- Istnieją setki religijnych kandydatów na polityków - odparła. - Mniejszego lub większego kalibru. Niełatwo więc wyciągnąć z kapelusza tylko jedno nazwisko. Dlaczego o to pytasz?

- Nieważne. To czysta spekulacja. Mogę się mylić.

- Nie powinieneś tak szybko wstawać.

- Czuję się już znacznie lepiej.

- Lepiej wyglądasz, ale nie możesz tak nagle wyskakiwać z łóżka. Powinieneś jeszcze poleżeć.

- Nie wracam do łóżka. Przez okno zobaczyłem, że w stodole stoi ciężarówka. Wygląda na starą, ale może nas stąd wywiezie. Dam Rileyowi dwa razy tyle, ile jest warta, kupi sobie lepszą.

- Niezły pomysł - powiedziała. - Ale, przynajmniej na razie, tą ciężarówką nigdzie nie pojedziemy. Już ją obejrzałam. Akumulator jest w porządku, ale nie działa rozrusznik.

- Czyżbyś oprócz medycyny znała się na mechanice? - zapytał Ben.

- Przyrzędam też dobrą kawę. Napijesz się?

- Z ogromną chęcią. - Z wdzięcznością przyjął od Alex kubek i wypił łyk kawy.

- Zrobiłam też francuski tost. I bekon z fasolką. - Roześmiała się, widząc jego minę. - Czy tam, skąd pochodzisz, nie macie francuskich tostów?

- Znam tylko irlandzkie, zwykłe tosty moczone w guinnessie.

- Spróbuj mojego. To smażony chleb z cukrem.

Usiadł przy stole i zabrał się do jedzenia.

- A gdzie nasza szanowna panna?

Alex kciukiem wskazała na piętro.

- Nie wychodzi z pokoju.

- A Riley?

- Jest tak samo uparty jak ty. Kuleje, ale dogląda zwierząt. Twardy staruszek. Powiedział mi, że kiedyś służył w piechocie morskiej.

- W Wietnamie?

- W Korei. - Usłyszeli szorstki głos. Zaskrzypiały drzwi i do środka, z kijem w żylastej dłoni, wszedł utykający Riley. - Ładnie pachnie - rzucił i sztywno usiadł w swoim fotelu przy końcu stołu. Alex podała mu kopiasty talerz ze śniadaniem, staruszek wymamrotał parę słów pacierza i z animuszem zabrał się do jedzenia. Przez jakiś czas wszyscy w skupieniu pałaszowali śniadanie, wreszcie Ben poruszył sprawę stojącej w stodole ciężarówki.

- Jest wasza, jeżeli zdołacie ją uruchomić - powiedział Riley. - Powiem wam więcej. Jak dobrze poszukacie, to gdzieś z tyłu stodoły, pod plandeką, znajdziecie jeszcze jedną starą landarę. Dawno temu wysiadł jej silnik, ale rozrusznik chyba jest jeszcze w porządku. W każdym razie można sprawdzić.

- Dzięki, zrobimy to na pewno.

Riley sięgnął przez stół i z kredensu wyjął butelkę z bezbarwnym płynem.

- Zawsze po jedzeniu wychylałem jednego. Dotrzymacie mi towarzystwa? - Wyciągnął korek i rozlał alkohol do trzech kubków. Jeden zatrzymał dla siebie, pozostałe przesunął w ich stronę. - Towar pierwszej klasy - powiedział. - Sam pędzę.

Ben wypił łyżeczek. Zorientował się, że bimber Riley'a jest dwa razy mocniejszy od whisky.

- Przypomina mi *poteen*. Irlandzką księżycówkę.

- Znałem faceta, który używał mojego wyrobu jako paliwa do dodge'a chargera z sześćdziesiątego dziewiątego roku - mruknął staruszek.

Ben przyglądał mu się z przyjemnością. Riley był starym twardzielem, ale miał dobre serce.

- Chcę ci podziękować, że pozwoliłeś nam się tu zatrzymać. Nie musiałeś jednak oddawać swojej sypialni, mogłem spać w stodole.

Riley podrapał siwą szczecinę na podbródku i uśmiechnął się smutno.

- Jesteś w starej sypialni Maddie. Ja tam w ogóle rzadko wchodzę. Ale wiem, że ona byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, że właśnie ty ze swoją kobietą używacie jej pokoju.

Ben wymienił spojrzenia z Alex, ale nic nie odpowiedział. Za chwilę usłyszeli skrzypnięcie zawiasów i w drzwiach, z niepewną miną, stanęła Zoë.

- Weź sobie krzesło i usiądź z nami, panienko - powiedział Riley.

Alex sięgnęła po patelnię na piecyku i kolejny talerz.

- Chodź i zjedz coś z nami.

Przygnębiona Zoë usiadła i zaczęła dziobać widelcem znajdujące się przed nią jedzenie. Ben ją całkowicie ignorował. Riley skończył jeść, ze smakiem wylizał do czysta swój talerz i wychylił resztkę księżycówki.

- Pycha. - Odchylił się w fotelu i wyciągnął zmiętą paczkę lucky strike'ów.

Ben wziął jednego, zapalili razem.

Zoë spojrzała na tani plastikowy telefon, który wisiał na ścianie w kącie kuchni.

- Ben - spytała nieśmiało - czy mogłabym zadzwonić do rodziców?

Ben miał właśnie zamiar odmówić, gdy do rozmowy wtrącił się Riley.

- Telefon nie działa, panienko - powiedział. - Już od dwóch lat tylko tak wisi i zbiera kurz. Nie płacę rachunków. Maddie miała zwyczaj co jakiś czas dzwonić do swojej siostry, ja jednak nigdy nie lubiłem rozmawiać przez telefon. Uważam, że jak człowiek z kimś rozmawia, to powinien patrzeć mu w oczy. - Machnął ręką przez ramię. - Najbliższy telefon jest teraz u Hermana, jakieś piętnaście kilometrów na zachód, po drugiej stronie gór.

Zoë zwróciła się do Alex.

- Może masz komórkę?

- Tu nie ma zasięgu - powiedział Riley. - Zresztą u Hermana jest podobnie.

- Dobrze, w takim razie pojedę do Hermana - odparła Zoë.

- Czy pożyczysz mi konia?

- Nigdzie nie pojedziesz - powiedział Ben.

W tym momencie na podwórku usłyszał tętent końskich kopyt i wyjrzał przez okno. Przez zakurzoną szybę zobaczył ubranego w dżinsową kurtkę, ciemnoskórego młodego mężczyznę o połyskliwie czarnych włosach, który zeskoczył z wysokiego, szarego konia i zaczął go przywiązywać do płotu.

- To Ira - powiedział Riley. - Musiał znaleźć tego byczka. - Wstał od stołu i pokuśtykał na dwór.

Zoë z zaciekawieniem patrzyła przez okno, a Ben domyślał się dlaczego. Ira, wyglądający na Indianina z niewielką domieszką białej krwi, był przystojny i wysportowany. Mógł mieć ze dwadzieścia trzy lata.

- Pamiętaj, co ci mówiłem - powiedział jej Ben. - Nie wychodź na zewnątrz. Jesteśmy

poszukiwani.

Nie odpowiedziała.

- No to do roboty - powiedział. - Najpierw zobaczmy, czy tę ciężarówkę da się uruchomić.

50

- Tylko zerwiesz gwint - stwierdziła Alex. - Wtedy tej śruby już nigdy nie odkręcisz.

Przez szczeliny między starymi deskami ścian stodoły przeciskały się promienie słońca, malując na klepisku jaskrawe paski światła i wydobywając z ciemności leżące wokół graty: sterty palików ogrodzeniowych, narzędzia, beczki z olejem i worki z nawozem. Na strychu z sianem słyszeli gdakanie kur.

Ben wychylił się spod karoserii starej ciężarówki, znalezionej na tyłach stodoły. Na twarzy miał czerwone płatki rdzy, które osypały się ze śrub podtrzymujących obudowę rozrusznika.

- Spróbuj klucza łańcuchowego. - Alex podała mu narzędzie.

Odłożył płaski klucz, którego do tej pory używał, i wziął nowy. Patrząc w górę, znów pomyślał, że Alex jest wyjątkowo atrakcyjną kobietą. Kasztanowe włosy miała związane z tyłu, a zwisające luzem kosmyki wyglądały bardzo sexy. W stodole było gorąco, więc rękawy koszuli podwinęła aż do ramion, a samą koszulę prawie do końca rozpięła. Na gładkich, twardych mięśniach lewej ręki widać było smugę z oleju. Właśnie odgarniała z oczu niesforne pasemko włosów.

- To w CIA uczą też mechaniki?

Uśmiechnęła się wesoło.

- Dorastałam wśród czterech starszych braci, opętanych na punkcie samochodów, to wszystko.

Ben objął śrubę nowym kluczem i pociągnął do siebie. W końcu, ze zgrzytem, ustąpiła. Wkrótce trzymał rozrusznik w rękach i mógł wyjść spod ciężarówki. Wstając, skrzywił się z bólu.

Alex wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia. Przez koszulę poczuł miękkość i ciepło jej ręki.

- Nie powinieneś się przemęczać - powiedziała. - Mogłam to zrobić sama.

- I tak zrobiłaś już bardzo dużo.

Spojrzała na rozrusznik, który trzymał Ben.

- Urządzenie przypominało bryłę rdzy z wystającymi przewodami. - Myślisz, że go uruchomimy?

- Trudno powiedzieć.

Wyjęła mu rozrusznik z rąk. Wydało mu się, że dotknięcie jej palców trwało nieco dłużej niż zwykle, bardziej przypominając pieszczotę. Spojrzała na niego.

- Wiesz, jestem szczęśliwa.

- Z jakiego powodu?

- Mimo tego, co się zdarzyło i jeszcze może się zdarzyć, jestem szczęśliwa, że cię spotkałam. Cieszę się, że nic ci się nie stało i że mogę tu być z tobą. Boję się tylko, że to nie potrwa długo.

Nie odpowiedział. Stali tak przez jakiś czas. Jej niebieskie oczy intensywnie wpatrywały się w jego oczy. Przez chwilę pozwoliła Benowi zajrzeć w swoją duszę. Rozchyliła usta.

- Czujesz się samotny, prawda? - Znow dotknęła jego palców, tym razem dłużej, i splótła je ze swoimi. - Wiem. Widzę to. Ja też się tak czuję. Jestem samotna. I potrzebuję drugiej osoby.

Czując, jak przyspiesza mu serce, wyciągnął do niej dłoń. Miała ciepłą i gładką skórę. Położył rękę na jej ramieniu, pogłaskał ją po włosach i policzku. Gdy dotknął kciukiem kącika jej ust, opuściła głowę i miękko go pocałowała. Podeszli bliżej siebie. Mocno, impulsywnie schwyciła go za rękę.

Ich pocałunek był gwałtowny i pełen pasji. Przyciągnął ją do siebie, poczuł gorąco jej ciała. Objęła go za szyję, jej włosy dotykały jego twarzy.

Z wysiłkiem wyrwał się z jej objęć.

- Nie mogę.

- Dlaczego boisz się ze mną całować? - Wpatrywała się w niego. - Przecież oboje tego chcemy, prawda?

- Tak - odpowiedział. - Oczywiście, że tego chcę. Ale nie powinienem tego robić.

- Ale dlaczego? Dlaczego z tym walczyć? Przecież nie zostało nam wiele czasu.

Nie znał odpowiedzi. Nigdy nie potrafił znaleźć właściwych słów, nawet w tych samotnych, najgorszych chwilach.

- Straciłem kogoś - szepnął. - Kogoś, kto był mi bardzo bliski. Bliższy, niż przypuszczałem. To się zdarzyło niedawno.

Zagryzła wargi i westchnęła. Pogłaskała go po włosach.

- Widziałam obrączkę.

Zamknął oczy. Powoli skinął głową.

- Czy chcesz o tym porozmawiać?

- Ona nie żyje - powiedział.

- Jak miała na imię?

- Leigh.

- Jak to się stało?

Podniósł wzrok.

- Została zamordowana.

Słowa te na nowo przeraziły go swoją nieodwracalnością. Nagle, w wyobraźni, znów to wszystko zobaczył, tak jakby ten koszmarny film miał się nigdy nie skończyć.

Czarne ostrze noża. Wbijane w nią, odbierające jej życie.

Jej ostatnie spojrzenie. I słowa, gdy umierała. Słowa, których nie zapomni do końca życia.

Powoli, głęboko, zaczerpnął powietrza.

- To była moja wina. Miałem ją chronić przed mężczyzną, który ją zabił, ale nie potrafiłem. Morderca mi ją zabrał. - Przez chwilę milczał. Potem szepnął: - Tęsknię za nią. Tak bardzo mi jej brakuje.

Alex położyła mu rękę na ramieniu. Jej ciepły dotyk uspokajał.

- To nie ty ją zabiłeś, Ben. Nie powinieneś się za to winić.

Potrząsnął głową. Czuł, że ból znów się wzmacnia.

- Czuję się odpowiedzialny za jej śmierć - odparł. - Każdego dnia proszę Boga o przebaczenie, że do tego dopuściłem. Jednak Bóg mnie nie słucha. Tak naprawdę to myślę, że nigdy, w całym moim życiu, Bóg mnie nie wysłuchał. Opuścił mnie już dawno temu.

- Wcale tak nie uważasz.

Ujął jej rękę i delikatnie ją ścisnął.

- Znajdź sobie lepszego mężczyznę, Alex. Ja nie jestem dla ciebie.

- Ty jesteś najlepszy - powiedziała. - Nie znam cię długo, ale czuję to.

Nie odpowiedział.

W tym momencie usłyszeli pulsujący furkot wirników helikoptera, kanonadę, krzyk Zoë, a wystrzelone pociski poderwały gejzery ziemi na podwórzu farmy.

51

Znudzona i zrezygnowana Zoë bez celu snuła się po domu. Czuła, że po długim okresie niewoli zaczyna ją rozpierać energia. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała ruchu.

Przez okno, w oddalonej o niecałe sto metrów zagrodzie, widziała Iry. Indianin właśnie trenował żrebaka, który wcześniej przewrócił starego Riley'a. Niebo było błękitne, bez jednej chmurki, trawa na pastwisku delikatnie kołysała się na wietrze. Zoë poczuła, że koniecznie musi wyjść na zewnątrz i porozmawiać z Iry. Chłopak był atrakcyjny, szczupły i wysportowany, poruszał się tak sprężysto i zwinnie. Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie dotyk jego skóry.

Pamiętała, że Ben zabronił jej wychodzić z domu. Ale niech się wypcha. Czy naprawdę uważa ją za takiego głuptasa? Przecież już z daleka usłyszy nadlatujący helikopter i wróci do domu, zanim ktoś ją zobaczy. Ma już dosyć tego traktowania jej jak małej dziewczynki!

Wyszła z domu i ruszyła w stronę zagrody. Na twarzy czuła słońce, we włosach wiatr. Ira już z daleka ją zauważył, z przyjaznym uśmiechem podeszła bliżej.

- Cześć, mam na imię Zoë. Nazywasz się Ira, prawda?

Ira zeskoczył ze żrebaka, wytarł ręce i podszedł do ogrodzenia.

- Miło cię poznać, Zoë - powiedział.

Zoë lubiła flirtować i sztukę tę opanowała do perfekcji. Reakcja Iry była natychmiastowa, przecież w tych stronach nie widywało się zbyt często ładnych, młodych blondynek. Minęło kilka minut i już ze sobą swobodnie rozmawiali i żartowali. Wiele bliskich spojrzeń, wzajemnego dotyku - przede wszystkim z jej strony. Jakkolwiek na razie Ira był jej zalotami nieco oszołomiony, Zoë już wiedziała, że jej pobyt na tym pustkowiu będzie miał też swoje plusy.

- Lubisz jeździć konno? - spytał.

- Tak, ale nie jestem pewna, czy poradzę sobie z amerykańskim siodłem.

- To łatwe - powiedział. - Siedzisz w nim jak w wielkim fotelu. Chcesz spróbować?

- Pomożesz mi wsiąść? - Przeskoczyła przez ogrodzenie i za chwilę, z przyjemnością, poczuła na nodze dotyk palców Iry, pomagającego jej usadowić się w siodle. Koń był już ujeżdżony i nie sprawiał Zoë większych kłopotów. Krążyła więc na nim po całym padoku, oswajali się ze sobą, później poderwała go do kłusa.

- Nie unoś się w siodle - krzyknął Ira. - Trzymaj tyłek na dole, w rytmie konia.

Gdy już to opanowała, szarpnęła wodzami najpierw w lewo, później w prawo, zmuszając konia do wydłużonego galopu. Ira stał pośrodku zagrody, Zoë z rozwianymi włosami jeździła wokół niego, spod kopyt młodego wierzchowca pryskały grudki ziemi.

Ale super, pomyślała, gdy nagle na twarzy Iry dostrzegła strach. Odwróciła się i z przerażenia zamarła. Żrebak rzucił się w bok.

Nad ich głowami pojawił się wielki cień. Od strony słońca, z rykiem silnika wyskoczył nachylony do przodu helikopter.

W jednej chwili koń szarpnął zadem i wysadził Zoë z siodła. Runęła na ziemię, podbiegł do niej wystraszony Ira. Czarny helikopter, jak atakujący rekin, znów nadlatywał, warkot silnika wypełnił powietrze, podmuch powietrza poderwał z ziemi pył i piasek. Zobaczyła, że po jej ciele pełźnie czerwony punkt laserowego celownika i wrzasnęła ze strachu. Przerażony żrebak nie mógł się uspokoić.

Ziemię podziurawiła seria pocisków.

Ira złapał ją za ramię, rzucili się pędem w stronę domu. Wsparty nogą o jedną z płóz helikoptera mężczyzna z automatem posłał kolejną serię za potykającą się ze strachu Zoë. Gdy się obejrzała, zobaczyła twarz, której na pewno już nigdy w życiu nie chciałaby więcej oglądać.

Nad celownikiem szturmowego karabinu M16 szczyrzył się Jones. Znów otworzył ogień; widać było, że sprawia mu to ogromną przyjemność. Gdy uciekająca dziewczyna potknęła się i upadła, serce zabiło mu szybciej. Za chwilę jednak, gdy Indianin pomógł jej wstać, zrozumiał, że tylko się przewróciła.

Krzyknął do pilota, żeby nie szarpał maszyną, i na nowo wycelował. Jednak uciekająca para wpadła już do domu, zatraskując za sobą drzwi. Zaklął i w furii przejechał długą serią po ganku. Pociski dziurawiły drewniane ściany budynku, sypały się drzazgi i szkło z rozbitych okien. W salonie fruwały odłamki szyb, łopotały poszarpane kulami strzepy firanek, pociski rozbijały podłogę. Leżąc na podłodze Zoë krzyczała, Ira osłaniał ją własnym ciałem.

Ben i Alex biegli ze stodoły, obserwując wiszący nisko nad podwórkiem helikopter. Ben wyciągnął z tylnej kieszeni dzinsów berettę i wycelował. Śmigłowiec zawrócił i ponownie nadleciał, tym razem prawie dotykając płozami ziemi.

Gdy Ben poznał twarz człowieka z karabinem, bez wahania otworzył ogień. Jones szybko się cofnął i ukrył w kabinie, a krótkie serie z beretty podziurawiły tylko podwozie agresora. Śmigłowiec wykonał gwałtowny skręt, wspiał się wyżej i znów z rykiem silnika przemknął nad podwórkiem. Ben oddał jeszcze kilka strzałów w podbrzusze helikoptera i zaklął.

Zorientował się, że w tej sytuacji amunicja 9 mm nie wystarczy.

Gdy wpadli na ganek, śmigłowiec był już daleko. Ben szarpnięciem otworzył drzwi, zobaczył Iрэ osłaniającego własnym ciałem leżącą na podłodze Zoë.

- Czy ktoś jest ranny? - krzyknął. Ira, kręcąc głową w szoku, wstał i pomógł się podnieść dziewczynie.

Za chwilę do pokoju chwiejnym krokiem, z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami, wszedł Riley. W rękach ścisnął obdrapaną strzelbę marki Ithaca.

Opadał kurz, po ataku znów zapanowała cisza. Ira odprowadził płaczącą Zoë do jej pokoju na piętrze. Riley, nadal ze strzelbą, chodził po kuchni, oglądał zniszczenia i głośno przeklinał.

Alex wyszła za Benem na zewnątrz. Zamyślony, stał na ganku i mrużąc oczy przed słońcem, wpatrywał się w horyzont.

- To był Jones. I na pewno tu wróci.

- Tym razem z całą armią - powiedziała Alex. - Będzie tu najpóźniej za kilka godzin. Musimy uciekać.

- Zobacz, czy można przełożyć ten rozrusznik do ciężarówki.

- Dokąd idziesz?

Ben znów wszedł do domu.

- Riley, chciałbym wiedzieć, czy nie masz tu jakiegoś karabinu.

Staruszek przyglądał się Benowi przez chwilę. W jego oczach pojawił się dziwny błysk, wyglądało to tak, jakby w palenisku, w którym ogień dawno temu już wygasł, znów zapalił się płomyk. Chrząknął i skinął na Bena. Utykając, poszedł przodem i pchnięciem otworzył drzwi na końcu korytarza. Ben zobaczył drewniane schody prowadzące do zaniedbanej piwnicy.

Przy wejściu, w domowej roboty szafce na broń, wisiał karabinek. Delikatny, niewielki, z mieniającej się niebieskawo stali, wykończony drewnem orzecha włoskiego. Staruszek wyjął go i bez słowa podał Benowi.

Ben przyjrzał się broni. Był to marlin kaliber .22 ładowany z dołu. Niezły, ale nadający się bardziej do polowania na wiewiórki czy króliki niż na wojnę.

Riley spostrzegł minę Bena i uśmiechnął się.

- Wiem, o czym myślisz, synu. Marzy ci się coś cięższego, co?

Ben milczał.

- Poczekaj chwilę. - Staruszek pokuśtykał w głąb piwnicy, gdzie w ciemności, pod grubą warstwą pajęczyn i kurzu, leżała sterta skrzynek i starych mebli. Sapiąc z wysiłku, zaczął

sobie torować drogę wśród brudnych gratów. Wreszcie, schylając się nisko, wyciągnął coś ciężkiego. Ben podszedł bliżej i zobaczył stary kufer.

- Nie otwierałem tej skrzyni od powrotu z Korei - powiedział Riley. - Myślę, że z jakiegoś powodu po prostu nie chciałem już do tego wracać. Jednak gdybym wierzył w przeznaczenie, mógłbym teraz powiedzieć, że nie bez powodu ciągnąłem to żelastwo przez pół świata. - Zdmuchnął kurz z wieka kufra i otworzył go.

W środku zobaczyli mnóstwo starego papieru pakowego, który Riley wygarnął i rzucił na ziemię. Pod papierem leżał materiał, z którego kiedyś robiło się worki. Był umazany smarem i pachniał starą oliwą do konserwacji broni. Riley chwycił za brzeg i odchylił go do góry.

- Oto on - powiedział. - Teraz chyba bym go już nie uniósł, ale kiedyś był bardzo przydatny. - Odsunął się od skrzyni.

Ben podszedł bliżej, nie wierząc własnym oczom. - Niesamowite. Przecież to erkaem Browninga.

Ręczny karabin maszynowy Browninga widział dotychczas tylko raz w życiu. Był to solidny, lekki karabin maszynowy wykorzystywany już podczas pierwszej wojny światowej, wycofany z armii amerykańskiej dopiero w połowie lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Broń Riley'a wyglądała na zupełnie nieużywaną i z pewnością powinna się znajdować w jakimś muzeum. Zrobiona była z oksydowanej szarej stali i naoliwionego drewna, miała żelazny celownik z muszką. Wyglądała zupełnie inaczej niż dzisiejszy korzystający z techniki laserowej sprzęt z gumy i polimerów.

Ben sięgnął do kufra i wyciągnął ciężki, śliski karabin. Przyjrząwszy mu się bliżej, stwierdził, że jest w świetnym stanie, ma czystą lufę i się nie zacina. Nawet płócienny pas wyglądał jak nowy. Podpięty magazynek był długi i zakrzywiony, pięć sztuk zapasu leżało na dnie skrzyni.

- Specjalna, bardzo wydajna wersja przeciwlotnicza. Tymi zabawkami kiedyś zestrzeliwaliśmy samoloty. - Wszedł jeszcze głębiej, odsuwając na bok zawadzające graty. Stękając, wyciągnął na środek piwnicy ciężką skrzynię na amunicję. Pomalowana na oliwkowozielony kolor, na brzegach trochę zardzewiała, na bokach miała wyblakłe żółte napisy.

Riley rozpiął stalowe spinki i ze zgrzytem podniósł wieko. W środku błysnęły stary mosiądz tysiąca porządnie poustawianych naboju o kołnierzach w kształcie butelek. Była to dobrze utrzymana, lekko naoliwiona amunicja wojskowa kaliber .308, licząca ponad pięćdziesiąt lat, lecz nadal z błyszczącymi zapalnikami. - Teraz możesz im wypowiedzieć wojnę, synu.

- Tak właśnie zrobię - powiedział Ben. Odpiął magazynek i zaczął wciskać do niego naboje.

Obserwujący go starszek pokiwał głową.

- Zachowujesz się jak żołnierz. Popraw mnie, jeżeli się mylę.

- Kiedyś byłem żołnierzem - potwierdził Ben.

- W jakiej jednostce?

- Armia brytyjska. Special Air Service, SAS.

- Słyszałem o was. Tajne akcje. Na przykład oblężenie ambasady Iranu w Londynie, co?

- To akurat było z dziesięć lat wcześniej, nim wstąpiłem do wojska. Służyłem w Zatoce Perskiej. W Afganistanie. W Afryce. Zwykle działaliśmy w trybie tajnym. Robiliśmy takie rzeczy, że wolałbyś nawet o nich nie wiedzieć. Ja zresztą też.

Riley prychnął.

- Tajne świństwa.

- Brudna robota, żeby ludziom w garniturach żyło się łatwiej. Ale już z tym skończyłem.

- Ci sami ludzie w garniturach teraz was ścigają.

- Tak, mniej więcej ten sam gatunek - powiedział Ben. - Ale to mnie ścigają. I to nie jest twoja wojna, Riley. Wolałbym, żebyś się w nią nie mieszał.

Riley splunął.

- To się jeszcze okaże. Z cholernym rządem mam na pieńku już od pięćdziesięciu lat. Ty uratowałeś mi życie, przynajmniej za to ci się odwdzięczę.

- Mamy tu do czynienia z naprawdę złymi ludźmi.

- Ja też, synu, nie jestem aniołem. Mam już swoje lata, ale nadal nie dam sobie w kaszę dmuchać.

Ben kiwnął głową.

- Potrzebuję jeszcze paru rzeczy.

52

Wrócił do budynków gospodarczych. Zobaczył, że Alex skończyła pracę przy starej ciężarówce i teraz wyciera szmatą ręce z rdzy i smaru. Na policzku miała plamę po oleju. Wyglądała na zafrasowaną, ale na widok Bena na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- Poradziłaś sobie?

Podeszła do szoferki, otworzyła skrzypiące drzwiczki i wsiadła do środka. - Oto moment prawdy.

Z rykiem silnika i w chmurze błękitnych spalin ciężarówka odpaliła. Na twarzy Alex pojawił się triumfalny uśmiech, jeszcze mocniej nacisnęła gaz. Wskoczyła z szoferki, rozpromieniona podbiegła do Bena i go uściskała.

- Teraz możemy stąd wiać.

Nie odpowiedział.

- Co ty na to?

- To nie takie proste, Alex.

- O czym ty mówisz?

- Ty pojedziesz. Piętnaście kilometrów przez góry na zachód i znajdziesz się u Hermana. Zadzwonisz wtedy do swoich ludzi, którzy zajmą się Zoë.

W jej oczach zabłyśł strach, gwałtownie potrząsnęła głową.

- Wszyscy pojedziemy. Jest na to jeszcze czas.

Położył rękę na ramieniu Alex i kciukiem popieścił ciepłą skórę jej szyi.

- Na otwartym terenie nie mamy szans, wkrótce by nas dopadli. Zabiją Riley'a i Irę, jeżeli obu tu zostawimy. Nie chcę ich mieć na sumieniu. Ktoś musi powstrzymać tych ludzi. Jedź. Ja tu zostanę i poczekam na nich.

- Jeżeli ty zostaniesz, to ja z tobą.

Znów potrząsnął głową.

- Chcę, żebyś dotarła w jakieś bezpieczne miejsce - powiedział. - Nie zniósłbym, gdyby...

- Nie dokończył.

- Ja też nie chcę, żeby coś stało się tobie - szepnęła.

- Uwierz mi. Nic mi nie będzie.

- Nie wiesz, z kim się zmierzysz.

- O tym akurat mam niezłe pojęcie - odparł.

Ciężko westchnęła i pogłaskała go po rękę. Na rękach miała łzy. Gdy Ben to zobaczył, z uśmiechem otarł jej oczy. Śmiała się i płakała.

- To wariactwo - szlochała. - Nigdy nie przypuszczałam, że coś takiego może mi się przydarzyć. - Przez chwilę wpatrywała mu się w oczy, potem mocno go uściśnęła. Czuł jej emocje i tęsknotę.

Na moment zapomniał o świecie, myślał tylko o niej, o zapachu jej włosów. Zaciśnął powieki, pragnąc zapamiętać tę chwilę na zawsze. I uwierzyć, że wszystko znów może być proste, a życiowe wybory nieograniczone.

Ale nic nie jest proste. Zwłaszcza takie sytuacje.

Złapał ją za rękę i delikatnie odepchnął.

- Musisz już jechać - powiedział.

Ze smutkiem kiwnęła głową.

- Dobrze, pojedę.

*

Przestawili ciężarówkę pod dom. Sprawdzili poziom oleju, opony, pasek klinowy. Samochód był gotowy do drogi. Ben wszedł na górę do pokoju Zoë i powiedział, że za chwilę będzie musiała odjechać. W milczeniu skinęła głową, zeszła do nich, wsiadła do ciężarówki i siedziała tam bez słowa.

Z bólem i rozpaczą obserwował szykującą się do odjazdu Alex, pocieszał się jednak myślą, że wkrótce znajdzie się w bezpiecznym miejscu. Włączyła silnik, pomachała do niego ręką i ruszyła. Oslaniając oczy przed słońcem, obserwował, jak trzęsąca się ciężarówka powoli pokonuje nierówności wiejskiego podwórka i dojeżdża do ogrodzenia.

Przed bramą samochód stanął, a z kabiny wyskoczyła Alex. Podbiegła, objęła Bena za szyję i jeszcze raz pocałowała.

- Uważaj na siebie, Benie Hope. To rozkaz.

- Nie żegnamy się - odparł. - Teraz już idź. Uciekaj stąd.

Ze łzami w oczach pobiegła z powrotem, usiadła za kierownicą i mocno nacisnęła pedał gazu. Samochód ruszył.

Tym razem już się nie zatrzymał. Ben stał na podwórku i w milczeniu patrzył na podskakującą na wybojach ciężarówkę, dopóki nie wjechała w krętą drogę, prowadzącą w stronę gór, i nie zniknęła mu z oczu.

Teraz musiał się zająć czymś innym.

Przez następną godzinę, w kurzu i znoju, przygotowywał się do walki. Analizował położenie budynków, zastanawiał się nad możliwym kierunkiem ataku, myślał, jak on sam by postąpił na ich miejscu.

Czekała go walka z uzbrojonymi po zęby przeciwnikami, profesjonalistami, którzy potrafią uderzyć mocno i zdecydowanie. Nie tracił jednak nadziei, bo wiedział, że dysponuje czymś, czego tamci się nie spodziewają.

Znalazł potrzebne mu rzeczy, ułożył je przy ścianie stodoły. Niektóre były bardzo ciężkie, przydał się więc stary wózek do przewożenia worków ze zbożem. Riley był zbyt słaby, aby uczestniczyć w przygotowaniach, na szczęście szybkim i pojętym pomocnikiem okazał się Ira.

Gdy razem ładowali wózek, młody Indianin spojrzał na Bena.

- Będzie ich całe mnóstwo, prawda? - spytał. Perspektywa ta zdawała się sprawiać mu szczególną przyjemność.

- Tym razem nie będą ryzykowali - powiedział Ben. - Będą chcieli nas jak najszybciej załatwić. Ale wolałbym, żebyście z Rileyem w to się nie mieszała, rozumiesz?

- Pochodzę z plemienia Czarnych Stóp - stwierdził Ira cicho, lecz z widoczną dumą. - Uważam tych ludzi za potomków najeźdźców, którzy odebrali nam ziemię, umieścili w rezerwach i pozbawili naszych uświęconych praw. - Poważnie pokiwał głową. - Jeżeli będę mógł się na nich zemścić, nawet dziesięć dzikich mustangów mnie od tego nie odciągnie. - Uśmiechnął się wesoło. - Zresztą muszę taką walkę, tak czy owak, zobaczyć.

Ben spojrzał na chłopaka. - Nie patrz na wojnę tak romantycznie. To, co dzisiaj ujrzysz, będzie najstraszniejszym widokiem w twoim życiu.

Gdy skończyli pracę na podwórku, Ben pomógł Irze wyprowadzić konie na oddalone o prawie pół kilometra, najbezpieczniejsze pastwiska. Ciągły wysiłek i ostre słońce spowodowały, że w ramieniu znów poczuł pulsujący ból. Gdy ostatni koń wybiegł za ogrodzenie, Ben rzucił okiem na zegarek. Właśnie minęła czwarta po południu.

Za chwilę miało się zacząć.

Gdy spojrzał na błękitne niebo nad łańcuchem górskim, zobaczył, że instynkt go nie mylił.

Nadlatywali.

53

Helikoptery wyglądające jak czarne plamki na niebie leciały w szyku trójkowym w kształcie litery V, szybko zbliżając się do farmy. Były coraz bliżej, warkot ich silników stawał się z minuty na minutę coraz wyraźniejszy.

Ben kazał Irze schować się w piwnicy i pilnować Rileyę, żeby ten przed końcem walki stamtąd nie wychodził. Po chwili wahania chłopak pobiegł w stronę domu. Ben ruszył do murowanego magazynu, gdzie w jednym z okien na piętrze rozstawił na dwunogu erkaem Rileyę. Wszedł do budynku, zaciągnął zasuwę na drzwiach, wspiął się po chwiejnych schodach na piętro i usiadł przy broni. Obok leżała jego stara torba, wypełniona teraz amunicją do erkaemu i beretty.

Śmigłowce nadleciały nad farmę. Hałas był ogłuszający, podmuchy powietrza kładły trawę na ziemi, nawet konie na odległych pastwiskach wpadły w panikę.

Ze swojego punktu obserwacyjnego śledził przez muszkę celownika erkaemu schodzące coraz niżej helikoptery. Nadal utrzymywały szyk trójkowy, jeden wysunął się do przodu, dwa ubezpieczały go z tyłu. W pewnym momencie na bokach pierwszej maszyny pojawili się ubrani na czarno mężczyźni, którzy, jak pająki po sieci, zaczęli zjeżdżać w dół po linach. Było ich sześciu, po trzech z każdej strony śmigłowca. Wszyscy mieli na sobie ochronne kamizelki bojowe, gogle, hełmy, w rękach automatyczne karabinki. Był to pokaz siły, który mógł przerazić i wzbudzić strach nawet w najbardziej odważnych sercach.

Zbliżał się czas na demonstrację umiejętności Bena. Nie chodziło tu o erkaem, już załadowany i gotowy pokryć ogniem całe podwórko, czy o wszechstronne wyszkolenie bojowe Bena. Kluczem do sukcesu miała być jego psychika, to coś, co pozwoliło mu zostać tak wyjątkowym żołnierzem.

Nigdy nie lubił śmierci, a zarazem wiedział, że ma rzadko spotykaną łatwość zabijania. Od początku swojej wojskowej kariery potrafił w walce wykorzystać wszystko, co mu się akurat nawinęło pod rękę. Robił to szybko, agresywnie, nieoczekiwanie i niezwykle skutecznie. Jego wrogowie mogli być pewni, że staną się świadkami wojny, jakiej nigdy jeszcze nie widzieli. Ben wiedział, że nawet jeśli na koniec zginie, to i tak przedtem zabije wielu przeciwników.

Zanim sześciu mężczyzn w czerni zdążyło dotknąć ziemi, odbezpieczył erkaem i

otworzył ogień do śmigłowca. Celował w zbiorniki paliwa. Tam, gdzie słaba amunicja z pistoletu nie miała szans, pełnopłaszczkowe pociski kaliber .308, wystrzeliwane z szybkością dziewięciuset sztuk na minutę, weszły w kadłub jak gorąca brzytwa w osełkę masła. Ze zgrzytem metalu i szklanych włókien zbiorniki pękły, a potem, z ogłuszającym hukiem, eksplodowały. Śmigłowiec stanął w płomieniach i runął na ziemię, ogromna kula ognia pochłonęła wszystkich znajdujących się pod nim komandosów. Z takiej katastrofy nikt nie mógł ujść z życiem.

Bez litości, bez brania jeńców, podobnie jak przeciwnik. Ben strzelał w płomienie, erkaem podrygiwał w rękach jak pneumatyczny młot, pod stopami ścieleły się łuski po wystrzelonych nabojach, powietrze wypełniała woń kordytu. Kiedy widział, że płonący komandosi próbują wstawać, znowu strzelał. Zataczali się, wymachiwali rękami, wpadali z powrotem do ognistego piekła.

Kolejna eksplozja rozerwała śmigłowca na strzępy, a masywny, wciąż rosnący grzyb ognia, wystrzelił w niebo kolumną czarnego dymu. Płonące szczątki posypały się na podwórze farmy.

Jeden z głowy.

Dwa pozostałe śmigłowce wzbily się ostro w górę, zaraz jednak, z rykiem silników, zatoczyły w szyku łuk nad farmą i znów zawisły nad podwórzem. Z ich kabin wychylali się mężczyźni w czarnym bojowym ekwipunku, z bronią gotową do użycia.

Ben celował w kolejny helikopter. Z gorącego zamka erkaemu sypały się łuski po wystrzelonych nabojach, pociski uderzały w cel, kreśląc na podwoziu linię poszarpanych dziur. W pewnym momencie trafił kogoś w środku i kokpit wypełniła różowa mgiełka. Pod ostrzałem pękły szyby z pleksiglasu.

Nagle helikopter przechylił się ostro w bok, wytracił wysokość i zaczął pikować. Rytm łopat jego wirnika przeszedł w nieregularne umpf-umpf-umpf, maszyna zaczęła się obracać wokół własnej osi. W powietrze znów wzbily się obłoki pyłu. Przez chwilę wydawało się, że spadający helikopter uderzy w podwórko tuż przed domem, jednak wcześniej rotor zahaczył o dach starej obory, rozrywając drewnianą szopę na kawałki. Wszędzie fruwały deski, drzazgi i kawałki falistej blachy.

Drugi zestrzelony. Został jeszcze jeden.

Trzeci śmigłowiec, chcąc znaleźć się jak najdalej od latających szczątków, z rykiem silnika wspiął się wyżej.

W kilka sekund później z drzwi zrujnowanej obory wybiegli komandosi, którzy przeżyli katastrofę drugiego helikoptera. Skosił ich krwawą serią.

Jak dotychczas, wszystko przebiegało zgodnie z planem.

Za chwilę jednak sytuacja bardzo się zmieniła.

Współczesna broń długa jest wyposażona w urządzenie tłumiące błysk wystrzałów, mające utrudniać wrogowi identyfikację miejsca, w którym znajduje się strzelec. Erkaem Rileya pochodził z epoki, w której takich ulepszeń nie stosowano. Gdy strumień ognia przebił dach magazynu, roztrzaskując ściany i podłogę wokół jego stanowiska, Ben zorientował się, że jaskrawy pulsujący ognik przy wylocie lufy erkaemu został zauważony przez pilota trzeciego śmigłowca.

Na głowę posypały mu się odłamki dachówek i drzazgi z belek podtrzymujących dach. Ekspłodowały okna, w powietrzu fruwały kawałki muru. Trzeci śmigłowiec zawisł nad budynkiem i ostrzeliwał Bena skoncentrowanym ogniem co najmniej dwóch, a może nawet trzech, karabinów szturmowych.

Odtoczył się na bok, ciągnąc ze sobą wielkiego browninga i torbę z zapasową amunicją. Uniósł karabin pionowo do góry i czując sypiący mu się na twarz pył z rozprutego dachu, otworzył ogień w podwozie wiszącego nad głową śmigłowca.

Maszyna odleciała dalej. Ben skoczył na nogi, zarzucił torbę na ramię, zbiegł po trzeszczących schodach i wypadł na oślepiające słońce.

Wbiegł teraz w zagracone przejście między budynkiem magazynu a ruinami obory. Z lewej strony, w odległości jakichś trzydziestu metrów, widział rozbebeszoną skorupę starego traktora. Piętnaście metrów bliżej niego, po obu stronach przejścia, tuż pod ścianami stały dwie bezkształtne przykryte plandekami sterty, o które opierał się stary, bezużyteczny sprzęt rolniczy.

Z prawej strony prześwitu między budynkami zobaczył wiszący nad podwórkiem trzeci śmigłowiec, z którego właśnie zsuwało się po linach sześciu komandosów. Przywarł do ściany. Mężczyźni w czerni go nie widzieli, rozproszyli się po całym obejściu, utrzymując między sobą ciągłą komunikację za pomocą krótkich sygnałów.

Ale zauważył go pilot. Nos maszyny opadł, śmigłowiec ruszył w stronę Bena, nabrał prędkości, niemal dotykając płozami ziemi.

Ben rzucił się do ucieczki w kierunku starego traktora. Przebiegł między stertami po obu stronach przejścia, słysząc za sobą terkot kanonady. Jeszcze bardziej przyśpieszył. Ścigające go pociski wzbijały w powietrze kręty ślad pyłu i piasku. Szczupakiem rzucił się za traktor.

Podniósł karabin. Helikopter, w obłokach piasku, nadal się zbliżał.

Na chwilę zawisł nad przesmykiem między stertami.

Właśnie tam, gdzie chciał go zobaczyć Ben.

Wystrzelił. Nie celował jednak w śmigłowiec, wypalił najpierw w lewą stertę, później w prawą. W ten sposób opróżnił cały magazynek, strzelając w ukryty pod plandekami dorobek życia Riley'a. Następnie odrzucił bezużyteczny już erkaem w bok, padł za traktorem na ziemię i objął rękami głowę.

Najpierw nastąpił oślepiający błysk światła, potem wybuch, który zniszczył wszystko w swoim zasięgu.

Parę godzin temu Ben znalazł w stodole zapasowe, długie butle z propanem do starej kuchenki gazowej. Obok nich leżały worki dziesięciocentymetrowych gwoździ. Ira przytrzymał butle, Ben taśmą klejącą szczelnie przytroczył do nich worki z gwoździami. W ten sposób skonstruowali wielkie prymitywne bomby odłamkowe, które następnie schowali w okrytych brudnymi plandekami stertach z rupieciami Riley'a.

Miał tylko jeden problem: nie przewidział, że w momencie wybuchu będzie tak blisko.

W zamkniętej przestrzeni między budynkami efekt eksplozji okazał się prawdziwie niszczący.

Śmigłowiec, który znalazł się w epicentrum wybuchu, najpierw znieruchomiał, jakby wpadł na ścianę, później, jak odrzucona dziecięca zabawka, spadł na ziemię, gnąc się i pękając. Okna kabiny wpadły do środka. Łopaty wirnika rozprysły się na kawałki. Potem od ognistej kuli eksplozji zapaliły się ustawione rzędem pod ścianami budynków i schowane w starych śmieciach kanistry z paliwem i wokół śmigłowca zamknęła się ściana ognia. Do otwartego kokpitu, wypalając wewnątrz i wszystko spopielając, wdarły się płomienie. Członkowie załogi skakali, krzyczeli, machali, padali, umierali.

Gdy wciąż rosnąca kula ognia dotarła do jego kryjówki, Ben przycisnął twarz do ziemi. Poczul gorąco na plecach, przez jedną, przerażającą chwilę myślał, że zaraz zapali się jak pochodnia. Jednak po chwili gorący oddech ognia się cofnął i Ben chwiejnie stanął na nogi.

Znajdował się w środku strefy zniszczenia. Paliły się zrujnowane budynki, na ziemi pokotem leżeli martwi ludzie, w powietrzu unosił się smród ich spalonych ciał. Z ostatniego śmigłowca został tylko płonący szkielet.

Wyszedł zza traktora. Kalka metrów dalej na ziemi leżał erkaem. Gdy go podniósł, zobaczył, że uderzenie odłamka zniszczyło podajnik amunicji. Zaklął, z torby wyjął pistolet, już bezużyteczną amunicję do erkaemu wyrzucił.

Nagle Ben zorientował się, że jego sytuacja staje się krytyczna.

Szóstka komandosów z trzeciego śmigłowca, w goglach z odblaskiem ognia, przeciskając się między skorupą wypalonego śmigłowca i zrujnowanymi budynkami, biegła do niego z bronią gotową do strzału. Z drugiej strony zbliżali się kolejni komandosi, a ich dowódca

szeroko się uśmiechał.

Jones. Gdzieś, za osłoną drzew, musiał wylądować czwarty helikopter. A Jones słusznie założył, że pierwsze trzy śmigłowce całkowicie odwrócą uwagę od czwartego. Ze sobą miał pięciu ubranych w taktyczne kamizelki bojowe komandosów, celujących w Bena z karabinków szturmowych M-16.

Miał teraz przeciwko sobie tuzin komandosów, którzy w jednej chwili mogli wystrzelić w niego 350 naboju. Stał w środku, między wrogami, bez żadnych szans na znalezienie jakiegokolwiek schronienia.

- Mam cię - krzyknął Jones. - Jesteś sam.

54

Gdy Ben usłyszał strzał, podświadomie zeszywniał jak spodziewający się ciosu bokser. W ostatnim mgnieniu życia, w chwili, w której cały świat bezpowrotnie ginie, przygotował się na uderzenie śmiertelnościanego pocisku.

Zdarzyło się jednak coś zupełnie innego. Jeden z agentów, jakby ktoś zahaczył go linką z pędzącego pociągu, nagle uniósł się w powietrze i z rozłożonymi szeroko ramionami przewrócił się na plecy, wypuszczając z rąk karabin. Hałas wystrzału poniósł się echem po całej farmie.

- Wcale nie jest sam - krzyknął ktoś.

Nagle zapanował chaos. Wydawało się, że kule lecą ze wszystkich stron. Kolejny agent runął, trzymając się za głowę. Pozostali komandosi, kryjąc się w pośpiechu za starymi maszynami, przerdzewiałymi beczkami czy stosami opon od traktora umykali we wszystkie strony.

Tajemniczy napastnicy musieli dobrze znać rozkład budynków gospodarczych. Znów padł strzał, tym razem o ton niższy. Trafiony w udo agent wrzasnął z bólu, trysnęła krew. Następny pocisk trafił agenta stojącego przy Jonesie.

Snajperów było dwóch, używali marlina kaliber .22 i strzelby Ithaca. Do gry wkroczyli Riley i Ira.

Ben jednym susem rzucił się za traktor. Z lewej miał czterech komandosów kucających za płonącym śmigłowcem, z prawej Jonesa i jego ekipę, schowanych teraz za stertą drewna na opał.

Przerażeni ludzie Jonesa strzelali na oślep. Ben wycelował z beretty, jednego trafił. Odpowiedzieli kanonadą, lecz ich pociski odbijały się od zderzaka traktora. Znowu strzelił, następny trafiony.

Nagle ujrzał widok, który zaparł mu dech w piersiach. Na końcu alejki, między zrujnowaną, płonąca oborą i magazynem, o dziesięć metrów od Jonesa i agentów, z podniesionym podbródkiem i dumnym błyskiem w oku, na otwartą przestrzeń wyszedł Ira z marlinem kaliber .22. Za nim, ze wściekłą miną, kuśtykał ze strzelbą w rękach stary Riley, krzycząc:

- Wyoście się stąd!

Jones skierował na nich karabin, ale po kilku szybkich strzałach Bena z powrotem schował się za stertę drewna.

Rozpoczęła się masakra. Strzały padały z lewej i prawej strony. Trafiony Ira upadł, wijąc się z bólu. Riley stał w miejscu i strzelał bez wytchnienia ze swojej starej ithaki. Beretta w rękach Bena kopała i szarpała, dopóki nie zabrakło w niej amunicji.

Walka skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Na farmie zapanowała niezwykła cisza. Alejkę między budynkami pokrywały ciała agentów.

Przeżył tylko Jones, który wyskoczył z kryjówki, odrzucił pusty karabin i osłaniając twarz przed żarem płonącego śmigłowca, uciekał co sił w nogach, aż w końcu zniknął między zabudowaniami farmy.

Riley cisnął strzelbę i przykleknął obok leżącego Iry. Młody Indianin, jęcząc z bólu, trzymał się za obficie krwawiącą nogę.

Gdy podszedł Ben, staruszek zerknął w górę.

- Pomyśleliśmy, że przyda ci się mała pomoc.

Ben kiwnął głową. - Jestem waszym dłużnikiem.

Ira uśmiechnął się blado.

- Ale im dokopaliśmy, co?

Ben przykucnął i przyjrzał się postrzałowi.

- Rana jest powierzchowna - powiedział. - Riley, odprowadź go stąd. Nie wiemy, czy nie pojawią się znowu.

- Dokąd idziesz?

- Muszę dopaść Jonesa. - Odwrócił się na pięcie i szybko odszedł. Wyrzucił pusty magazynek pistoletu, wsunął pełny.

Nie zważając na nadal płonącą ścianę budynku, wskoczył do środka magazynu i po jego drugiej stronie wybiegł na podwórze. W ostatniej chwili zobaczył, jak Jones, potykając się, wpada do stodoły. Widać było, że kamizelka bojowa utrudnia mu ruchy. Ben spokojnie przeciął podwórko i wszedł za agentem do jednego z niewielu budynków, których jeszcze nie strawił ogień.

W środku było ciemno i chłodno. Rozejrzał się dookoła.

Z mroku wyskoczył Jones z widłami.

Ben zrobił unik, widły utkwily w drewnianej ścianie stodoły.

Agent odskoczył w bok, w oczach miał furję. Sięgnął w dół i jednym ruchem rozpiął na nodze pasek futerału z nożem szturmowym, wyszarpnął nóż i przykucnął jak gotowe do skoku zwierzę.

- Nie powinieneś się tu pojawiać - cicho powiedział Ben. - Popełniłeś ogromny błąd.

Agent z rykiem rzucił się do ataku, celując nożem w gardło Bena. Ben zrobił krok do przodu, przeciął łuk ciosu, złapał Jonesa za przegub i mocno go wykręcił. Nóż wypadł z ręki napastnika i z brzękiem wylądował na klepisku.

Jones wrzasnął z bólu i rzucił się do tyłu, w mrok. Biegł do prowadzącej na strych drabiny i rozglądał się na boki, szukając czegoś, co mogłoby mu posłużyć za broń. Wpadł na pustą beczkę, przewracając wiązkę palików do grodzenia. Złapał jeden z nich. Żerdź miała półtora metra długości, zrobiona była z grubego, prymitywnie zaostzonego sosnowego drewna. Spróbował nią rzucić jak włócznią, ale była za ciężka. Trafił tylko w obudowę dużej piły tarczowej, na której żerdź, zaostrzonym końcem do góry, się zaklinowała.

Ben podchodził coraz bliżej, Jones już nie miał gdzie uciekać.

- Wszedłeś mi w drogę - powiedział Ben. - Słaby, bez broni. To już twój koniec. Nie powinieneś tego robić.

Jones z jękiem zaczął się wspinać po rozchwianej drabinie, Ben spokojnie wszedł za nim. Znaleźli się na zawieszanej na wysokości dziesięciu metrów platformie z osnutymi pajęczyną belami siana, na które padało niewyraźne światło z okienka w dachu. Ben podniósł pistolet i wycelował w głowę agenta.

Jones zbladł z przerażenia i uklęknął.

- Nie zabijaj mnie, proszę.

Ben opuścił pistolet i wsunął go za pasek.

- Nie - powiedział. - Nie mam zamiaru cię zabić. - Sięgnął do torby.

Widząc, że Ben wyjmuje buteleczkę ze strzykawką, Jones wrzasnął ze strachu. Ben zsunął torbę z ramienia, podszedł bliżej. Wbił igłę w korek butelki i pociągnął za uchwyt tłoka. Głośno szlochając, Jones usiłował odczołgać się na bok. Ben złapał go, przytrzymał i wbił mu igłę strzykawki głęboko w szyję, wciskając tłok do końca.

Jones zaskowytał, szczerząc w szaleńczej panice połamane zęby.

- Co ty mi zrobiłeś?

Ben cofnął się o krok, pustą strzykawkę odrzucił w mrok za sobą.

Jones oszalał. Walił głową o podłogę, rwał sobie włosy, wpychał do gardła palce, próbując zwymiotować zaaplikowane mu serum, po twarzy spływały mu łzy.

- Jak się teraz czujesz, Jones? - spytał Ben. - Wiesz, że za parę godzin zwiariujesz jak ten biedny sukinsyn na wideo.

- Zabij mnie - szlochał Jones z mokrą twarzą, oblepioną żdźbłami siana.

- Nie ma mowy - odpowiedział Ben. - Najpierw mi wszystko powiesz. - Oparł się o bele

siana i bez emocji obserwował działanie krążącego w żyłach Jonesa narkotyku. Po mniej więcej minucie agent uspokoił się i położył na sianie. Po kolejnych paru minutach jego twarz całkowicie straciła wyraz, tak jakby mu podano środki zwiotczające mięśnie. Zaczął przewracać oczami, potem mamrotać.

Ben wiedział, co powinien robić. Miał też świadomość, że jest bliski końca długiej drogi, usłanej ciałami agentów i policjantów. Droga ta oznaczała wielkie tarapaty. Teraz musiał uzyskać dowody swojej niewinności i miał nadzieję, że Jones mu w tym pomoże.

Sięgnął do torby i pod palcami wyczuł podłużny kształt telefonu. Wyjął go i włączył funkcję nagrywania kamerą wideo. Skierował obiektyw aparatu w stronę Jonesa.

Mówił głośno i wyraźnie:

- Powiedz do kamery, kim jesteś.

Powieki agenta drgnęły.

- Nazywam się Alban Hainsworth Jones - wymamrotał bez wahania. - Jestem pracownikiem CIA.

Ben skinął głową. Wydawało się, że narkotyk już zaczął działać. - Teraz powiedz do kamery nazwisko osoby porwanej na Korfu przez byłych pracowników CIA, Kaplan i Hudsona, z dużą pomocą aktywnych agentów CIA.

W oczach Jonesa widać było narastający konflikt. Konwulsyjnie przebierał palcami, jakby mimo sygnałów wysyłanych przez narkotyk do mózgu, desperacko próbował zapobiec ujawnieniu prawdy.

- Zoë Bradbury - wydusił z siebie. - Zoë Bradbury została porwana przez amerykańskich agentów i przewieziona na przesłuchanie do nielegalnego punktu odosobnienia w Montanie.

- Jaką w tym odegrałeś rolę, agencie Jones?

- Miałem, za wszelką cenę, wyciągnąć z niej informacje, nawet za pomocą brutalnych metod i tortur - odpowiedział Jones. - Miałem też likwidować wszystkich, którzy mi w tym przeszkadzają, dlatego zabiłem doktora Joshuę Greenberga i dwóch funkcjonariuszy policji w Georgii. - Z twarzy spływał mu pot, usta miał wykrzywione, na czole pulsowała mu purpurowa żyła w kształcie igreka. Tocząca się wewnątrz mózgu agenta walka musiała być mordercza.

Ben znów podsunął telefon z kamerą.

- Dlaczego wiedza, będąca w posiadaniu Zoë Bradbury, była tak ważna?

- Z powodu Jerozolimy.

- Wytlumacz to dokładniej.

Żrenice Jonesa uciekły w górę, tak że widać było tylko białka oczu. Rozciągnął wargi,

szczerząc połamane zęby. Tak bardzo przypominał żywego trupa, że Ben poczuł na plecach dreszcze.

- Za późno, żeby cokolwiek zatrzymać - mamrotał Jones. - Już się zaczęło. Nie da się cofnąć. Wszystko się zdarzy za dwadzieścia cztery godziny.

- Na co jest już za późno?

- Dziewczyna jest nieważna. Tu chodzi o wojnę.

- Jaką wojnę?

Żrenice Jonesa powróciły na swoje miejsce, spojrzał na Bena i dziwnie się uśmiechnął.

- O wojnę z Biblii.

Ben zastanawiał się nad słowami Jonesa i nic z tego nie rozumiał.

- Mów dalej.

Z czubka nosa agenta skapywał pot. Ben nigdy jeszcze nie widział, żeby z kogoś aż tak się lało. Kałuża zebrała się Jonesowi w dołku pod szyją, całe ubranie miał już mokre. Widać było, że ogarnia go szaleństwo. Przewracał oczami, rzucał przerażone spojrzenia na boki.

- Koniec świata - wycharczał. - Czasy Ostateczne. Armagedon. Właśnie zaczynają. Mają to zrobić. Początek w Jerozolimie.

- Co chcą zrobić?

- Coś strasznego - odparł Jones. - I nikt ich nie zatrzyma.

Oszołomiony Ben za wszelką cenę próbował zrozumieć sens spowiedzi Jonesa.

- Czy Slater tym dowodzi? Kim on w ogóle jest?

Uśmiech Jonesa stawał się coraz bardziej usztywniony, wreszcie agent zaczął się gwałtownie trząść i niezrozumiale mamrotać.

- Mów wyraźnie - powiedział Ben.

Jones spojrzał w górę, białka miał teraz całkowicie przekrwione.

- Zaraz zwariuję - wyszeptał.

- Tak, za chwilę. A teraz odpowiadaj na pytania.

Może sprawił to narkotyk, może strach przed zbliżającym się oblędem. W każdym razie Jones podjął decyzję, na którą Ben nie był przygotowany.

Agent zaczął wstawać. Ben wyciągnął rękę, aby go z powrotem pchnąć na miejsce, ale szaleńca już nie można było zatrzymać.

Zanim Ben zorientował się w sytuacji, Jones przebiegł dziesięć kroków dzielących go od brzegu platformy i, nie zwalniając kroku, rzucił się w dół. Leciał w powietrzu, obracając się wokół własnej osi, Ben zdążył tylko jeszcze zauważyć dziki błysk jego oczu.

Nie spadł na klepisko. Jego lot przerwał skierowany w górę, zaostrowany palik

ogrodzeniowy, którym wcześniej rzucał w Bena. Żerdź trafiła go między łopatki, a ciężar spadającego ciała spowodował, że przebiła go na wylot. Jej drewniany, zakrwawiony czubek wystawał teraz z klatki piersiowej szaleńca.

Martwy Jones patrzył w górę. Głowę, pod nienaturalnym kątem, miał odrzuconą do tyłu. Po chwili Ben zauważył, że w jego czaszce tkwi ostrze starej piły tarczowej, a po zardzewiałym stalowym dysku i stole maszyny spływają na klepisko krew i płyn mózgowy agenta.

Wyłączył telefon i wsunął go do kieszeni. Podniósł torbę i zszedł po drabinie. Nadal jednak nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

Porwali Zoë, ponieważ chcą Armagedonu.

Brzmiało to tak szaleńczo, że przez chwilę zastanawiał się, czy to, co usłyszał, było prawdą, czy też skutkiem uszkodzenia mózgu Jonesa przez narkotyk.

Jednak to musiała być prawda. Widział to w oczach Jonesa, nawet wtedy, gdy ogarniał go już obłęd. Było tak, jak mówił agent.

Teraz, stojąc przy zwłokach, próbował zrozumieć sens usłyszanych wiadomości.

Nagle usłyszał na dworze hałas, po którym na moment zamarł, a następnie rzucił się do drzwi stodoły i wypadł na słońce. Na środku podwórka i w alejce między budynkami dopalały się wraki, na twarzy nadal czuł żar pożogi. Przez migotliwą rozgrzaną mgiełkę i coraz wyższą kolumnę dymu zobaczył lądujące tuż za furtką cztery helikoptery o ciemnozielonych, prawie czarnych kadłubach, z białymi napisami FBI.

Pierwszy wylądował wielki boeing z podwójnym wirnikiem, takie helikoptery Ben pamiętał tylko z wojska. Z kabiny wyszedł mężczyzna, który nie był ubrany w kamizelkę bojową. Miał na sobie szary garnitur. Podmuchy obracających się jeszcze łopat wirnika rozwiewały mu jasne włosy, szedł przez łąkę z pochyloną głową.

Za nim podążała Alex. Z niedowierzaniem patrzyła na zniszczoną farmę, płonące budynki i rozbite śmigłowce. Gdy zobaczyła Bena, jej twarz pojaśniała.

Ben szedł im na spotkanie, zostawiając zniszczenia za sobą. Sięgnął po berettę i rzucił ją na ziemię.

Z helikopterów wychodziło coraz więcej osób. Mężczyzna w szarym garniturze zdecydowanym krokiem podszedł do Bena, wsunął dłoń do kieszeni marynarki i wyjął odznakę. Uzbrojeni agenci stali po jego bokach z wycelowanymi pistoletami.

Zrezygnowany Ben podniósł ręce do góry.

- Agent specjalny CIA, Callaghan - przedstawił się mężczyzna w szarym garniturze. - Jesteś aresztowany.

Rośli, milczący mężczyźni w ciemnych okularach i garniturach przeszukali sprawnie Bena i odprowadzili go do jednego z helikopterów. Siedząc już w środku, przez okno zauważył, że Alex i Zoë, w towarzystwie mężczyzny w szarym ubraniu, wsiadły do innego śmigłowca.

Lot trwał długo, dopiero wieczorem wylądowali na prywatnym lotnisku, gdzie czekał na nich czarny samochód terenowy z uzbrojonymi mężczyznami. Wszyscy musieli się przesiąść do smukłego samolotu odrzutowego, strażnicy pilnowali, żeby nikt nie rozmawiał.

Po pewnym czasie samolot wylądował na lotnisku, które tym razem wyglądało na wojskowe. Znowu czekały na nich czarne samochody. Ben pod eskortą wsiadł z tyłu do jednego z nich, Callaghan zajął miejsce przy kierowcy. Szybko ruszyli, za nimi kolumna pozostałych pojazdów. Jechali w milczeniu.

Ben domyślał się celu ich podróży.

Langley, Virginia, kwatera główna CIA. Kiedy kolumna samochodów podjechała pod rozległy kompleks budynków, Ben już wiedział, że się nie pomylił. Uzbrojeni wartownicy pilnowali wysokiej stalowej bramy z insygniami CIA, wizerunkiem orła i gwiazdy. Callaghan tylko machał kartą identyfikacyjną, kolejne bramy bezszelestnie otwierały się przed nimi. Jechali wzdłuż budynków wyglądających jak statki kosmiczne nocą, z tysiącem jasnych okien, mijali oświetlone trawniki z ustawionymi w rzędach amerykańskimi flagami trzepoczącymi na wietrze. Wszystko było tu nieskazitelne i wyglądało jak imponujący pomnik - zarówno bezkompromisowej dumy narodowej, jak i przekonania o własnej wyjątkowości.

Samochód wreszcie stanął, a Ben wszedł pod eskortą do budynku, w którym panował ogromny ruch. Przechodzili przez kolejne punkty kontroli, w korytarzach widzieli setki śpieszących się pracowników. Callaghan szedł szybko, Ben podążał za nim ze świadomością, że za plecami ma kilku mężczyzn w czarnych garniturach. Gdy obejrzał się przez ramię, spostrzegł, że piętnaście metrów za nim, pod eskortą takich samych typów, idzie Alex. Uśmiechnęła się do niego, lecz wyglądała blado. Nigdzie nie widział Zoë.

Szli przez labirynt pomieszczeń operacyjnych, w których na otwartej przestrzeni tłoczyły się biurka ze stanowiskami komputerów, roili się pracownicy i personel ochrony. Całość

przypominała londyńską giełdę. Szeregi zegarów pokazujących czas w różnych krajach. Setki migających monitorów, na ścianach gigantyczne ekrany przekazujące wiadomości z całego globu. Jaskrawo podświetlone polityczne mapy świata, animacje mające obrazować zjawiska, których znaczenia Ben mógł się tylko domyślać. Gdziekolwiek spojrzeł, wszędzie pracowali ludzie, którzy nie odrywali wzroku od ekranów, tak jakby tylko od tego miało zależeć bezpieczeństwo Ameryki.

W końcu stanęli przed podwójnymi szklanymi drzwiami. Pomieszczenie było ukryte za pionowymi żaluzjami. Gdy się zbliżyli, zza biurka wstał pracownik ochrony, któremu Callaghan się wylegitymował. Drzwi rozsunęły się z cichym szumem i weszli do długiej sali konferencyjnej.

Na środku stał błyszczący stół, otoczony skórzanymi krzesłami. Trzy ściany pokrywała drewniana boazeria, na czwartej znajdowało się wielkie okno z lustrzanego szkła. Z lewej strony okna zatknięto flagę USA, Stars and Stripes, z drugiej białą-złotą flagę CIA. Nisko zawieszony sufit usiany był punktowymi światłami.

Milczący agenci wprowadzili Alex do środka i wyszli, drzwi za nimi automatycznie się zamknęły. Alex spojrzała na Bena. Tak wiele chciała mu powiedzieć, ale czuła, że na razie powinna zachować milczenie. Przez chwilę popatrzył jej w oczy, próbując dodać otuchy.

U szczytu stołu siedział rosły barczysty mężczyzna w klasycznym garniturze i granatowym krawacie. Mógł mieć sześćdziesiąt kilka lat, wokół siebie roztaczał aurę powagi, niczym sędzia. Callaghan obszedł stół, usiadł po prawej stronie, poprawił krawat i czekał na sygnał do rozpoczęcia rozmowy. Widać było, kto w tym pokoju jest szefem.

- Nazywam się Murdoch - powiedział mężczyzna. Miał głęboki, dźwięczny głos i inteligentne spojrzenie. Powolnym spokojnym gestem wskazał krzesła z lewej strony. - Proszę. Siadajcie.

Ben usiadł. Metr dalej zajęła miejsce Alex i nerwowo odkaszlnęła.

Ben wiedział, że musi przejąć inicjatywę. To miejsce z założenia miało deprymować, a do tego nie chciał dopuścić.

- Gdzie jest Zoë? - zapytał ostro.

- Panna Bradbury znajduje się w bardzo dobrych rękach - spokojnie odpowiedział Murdoch. - Agent Callaghan odpowiada za jej bezpieczeństwo.

- Czy Zoë jest pod opieką CIA?

- Jest bezpieczna - odparł Murdoch. - Więcej nie musi pan wiedzieć. - Ściągnął usta i nad czymś się zamyślił, następnie oparł się ciężko o stół i uważnie przyjrzał Benowi. - To bardzo przykra sytuacja. Dla nas wszystkich - dodał znacząco. Następnie przeniósł spokojny wzrok

na Alex. - Agentko Fiorante, rozumiesz chyba, że znalazłaś się w bardzo kłopotliwym położeniu. Czy masz coś do powiedzenia?

Ben czuł zdenerwowanie Alex. Dziewczyna dobrze wiedziała, że po drugiej stronie wielkiego lustrzanego okna siedzieli ludzie, którzy obserwowali, słuchali, filmowali i zapisywali każde wypowiedziane tutaj słowo.

- Nie mam do powiedzenia nic, co by się różniło od mojego wcześniejszego oświadczenia - powiedziała oschle.

- Z powodów formalnych chciałbym je znów usłyszeć - rzekł Murdoch.

Callaghan chłodno się uśmiechnął.

Alex mówiła ostrożnie, ważąc każde słowo.

- Należałam do zespołu Jonesa i początkowo wydawało mi się, że działamy zgodnie z wytycznymi organizacji. W miarę upływu czasu stałam się świadkiem wysoce podejrzanych zdarzeń, a jest to bardzo łagodne określenie tego, co zobaczyłam. Jestem gotowa zeznać przed sądem, że Jones osobiście zastrzelił dwóch funkcjonariuszy policji w Georgii oraz doktora Joshuę Greenberga na terenie posiadłości w okolicy Chinook, w Montanie. Wszystkie te morderstwa miały miejsce w mojej obecności. Mogę też potwierdzić, że Jones i jego wspólnicy używali posiadłości w Montanie do uwięzienia Zoë Bradbury. Gdyby nie nasza interwencja, Zoë zostałaby poddana torturom i w końcu zamordowana.

- A ty nie pomyślałaś o tym, żeby zadzwonić i zgłosić swoje podejrzenia przełożonym - agresywnie wtrącił się siedzący po drugiej stronie stołu konferencyjnego Callaghan.

- Moim bezpośrednim przełożonym był agent Jones. Obawiałam się o swoje bezpieczeństwo. Teraz wiem, że powinnam postąpić inaczej.

Twarz Murdocha pozostawała niewzruszona. Z powagą skinął głową.

- To sprawa, którą zajmiemy się później. - Zwrócił się do Bena. - Pomówmy teraz o panu. Widziałem pana kartotekę wojskową. Dokładnie wiemy, kim pan jest. Nie ma więc żadnego sensu, by próbował nas pan zwodzić.

Ben wytrzymał spojrzenie Murdocha.

- Nie miałem zamiaru czegokolwiek przed wami ukrywać.

- Został pan wynajęty przez rodzinę Bradburych, aby znaleźć Zoë.

Ben potrząsnął głową.

- Niezupełnie, ja tylko pomagałem przyjacielowi. Nie byłem w to zaangażowany zawodowo.

- Cokolwiek pan powie, liczba trupów, które pan za sobą zostawił, zaczyna przypominać pana stare operacje wojskowe. Najpierw Grecja. Później Montana. Nasz oddział śledczy nadal

wywozi ciała z hotelu Mountain View. Wszyscy zabici to obecni lub byli pracownicy CIA. Farma, na której pana znaleźliśmy, przypomina teren działań wojennych. Widzę, że wszystko, czego się pan tknie, majorze Hope, kończy się rzezią i zniszczeniem.

- Tylko wtedy, gdy ktoś próbuje mi przeszkodzić w realizacji zadań - powiedział Ben. - Poza tym proszę nie tytułować mnie majorem.

- Dobrze. Wiem, że pan już opuścił wojsko.

- Jestem teraz studentem teologii.

Przez usta Murdocha przemknął cień uśmiechu.

- W takim razie, czy mógłby pan mi powiedzieć, o co w ogóle chodzi porywaczom Bradbury?

- Zoë Bradbury nie jest w tym wszystkim najważniejsza - odparł Ben. - Jej porwanie to tylko dość przypadkowy fragment większej całości. Tu chodzi o coś większego. Znacznie większego.

- Co ma pan na myśli?

- Wojnę - powiedział Ben. - Największą wojnę w historii świata.

- To jakaś bzdura - mruknął Murdoch. - Zaczniemy jednak od początku. Twierdzi pan, że agent do zadań specjalnych Jones był członkiem jakiejś nieformalnej organizacji działającej pod przykrywką CIA.

- Tak, i to tuż pod waszym nosem. On i jego wspólnicy używali zasobów Agencji do realizacji swoich prywatnych celów.

- Takich jak...

- Nie od razu do tego doszedłem - odparł Ben. - Jak wam już powiedziałem, studiuje Biblię. W niej, od tysięcy lat, w formie prorocत्व, znajdują się odpowiedzi.

Callaghan z niedowierzaniem kręcił głową.

- Księga Objawienia - powiedział Ben.

- Opuść sobie te bzdury - skrzywił się Callaghan. - Omen. Numer Bestii.

- Czy może pan zamknąć tego kretyna? - Ben zwrócił się do Murdocha.

- Siedź cicho, Callaghan. Natomiast od pana chciałbym w końcu usłyszeć jakieś sensowne wyjaśnienie całej sprawy.

- Organizacja, do której należał Jones, jest zbrojnym ramieniem fundamentalistycznego odłamu chrześcijaństwa, a jej celem jest przeprowadzenie zamachu terrorystycznego w Jerozolimie.

Callaghan wybuchnął śmiechem. Jednak Murdochowi nie było wcale wesoło.

- Jeżeli mi nie wierzycie, może przekona was wypowiedź jednego z waszych ludzi. Na

farmie odebraliście mi mój telefon. Chciałbym go teraz dostać z powrotem.

- Do kogo chcesz zadzwonić? - zachichotał Callaghan. - Do adwokata? A może do księdza?

- Oddaj mu telefon - powiedział Murdoch.

Callaghan, z przesadnym gestem rezygnacji, sięgnął do swojej teczki, wydobyl z niej przezroczystą, plastikową torebkę i wytrząsnął z niej telefon. Ben włączył aparat, wybrał jedną z opcji menu, zwrócił ekran odtwarzacza w stronę siedzących mężczyzn i włączył film z Jonesem.

Widoczny na małym ekranie agent mówił, a oni go obserwowali i słuchali. Callaghan poluzował krawat i nie przestawał się wiercić, poważna twarz Murdocha jeszcze bardziej sponęniała. Wideo skończyło się wraz ze zniknięciem Jonesa z ekranu i odgłosem jego śmiertelnego upadku. Ben wyłączył przekaz.

- Zdaje pan sobie sprawę, że ta wypowiedź została uzyskana w sposób nielegalny - ostrzegł Murdoch. - Dlatego nie może być włączona do materiałów dowodowych.

- Prawda jest taka, że cała operacja była niezbyt legalna - powiedział Ben. - Wstrzyknąłem Jonesowi to samo serum, które on miał zamiar zaaplikować Zoë Bradbury. Recepty na nie też na pewno nie dostał od lekarza.

Murdoch nie spuszczał ciężkiego spojrzenia z Bena.

- Proszę mówić dalej.

Ben opowiedział więc o wszystkim. Zaczął od samego początku i szczegółowo zrelacjonował kolejne zdarzenia, mające miejsce w ciągu ostatniego czasu. Niczego nie pominął. Pod koniec, gdy zobaczył zmarszczone czoło Murdocha, zrozumiał, że ten mu uwierzył.

Callaghan był nadal sceptyczny.

- Szkoda, że w swojej wypowiedzi Jones ani słowem nie wspomniał o Slaterze, a podobno otrzymywał od niego rozkazy.

- Slater istnieje - wtrąciła Alex, nerwowo obserwując Bena.

- Czy spotkałaś osobiście tego człowieka? - ostro spytał Callaghan.

Przez chwilę milczała, po czym potrząsnęła głową.

- Nie.

Callaghan uśmiechnął się i wskazał na Bena.

- A więc opieramy się wyłącznie na twoich słowach.

- Czy zna pan jego imię? - spytał Murdoch.

- Nie miałem okazji, by go o nie spytać - odparł Ben. - Nie byliśmy w aż tak wielkiej

zażyłości.

- A więc tak naprawdę nie wiesz, kim on jest - powiedział Callaghan.

- Mogę wam go opisać: mniej więcej w moim wieku, Amerykanin, typ kaukaski, rudowłosy, szczupły, wzrost na oko sto siedemdziesiąt trzy centymetry, wykształcony, z pieniędzmi, ma drogi zegarek.

- Takie informacje nam nie wystarczą - warknął Callaghan.

- Mimo wszystko chciałbym się dowiedzieć o nim czegoś więcej - rzucił Murdoch. - Jeżeli ktoś taki istnieje, musi być w naszej bazie danych. - Płasko położył ręce na stole, w skupieniu ściągnął usta. - Jednak zostawmy to na później. Nie rozumiem do końca, co chce mi pan powiedzieć. Dlaczego jakaś chrześcijańska grupka chciałaby wywołać wojnę?

- Będę trochę upraszczał - powiedział Ben. - Ktoś podejmuje próbę, aby proroctwo biblijne się urzeczywistniło. Widzę trzy potencjalne powody takiego postępowania. Pierwszy to autentyczne przekonanie o prawdziwości przepowiedni. Drugi to zniecierpliwienie czekaniem na Boga, żeby się uaktywnił. Trzecia możliwość jest taka, że wszystko to jest oszustwem, mającym skłonić miliony ludzi, by uwierzyli, że zbliżają się Czasy Ostateczne. Jestem przekonany, że w każdym przypadku motywy tej gry są przede wszystkim polityczne.

- Kto miałby być w nią zaangażowany? - spytał chłodno Murdoch. - I na jakim poziomie?

- Nie wiem. Ale ten poziom musi być wysoki. Kimkolwiek są te osoby, w oczywisty sposób mają wiele do zyskania, prowadząc świat do wojny, wywołując masową panikę, lub euforię, wśród fundamentalistycznej, pięćdziesięciomilionowej społeczności amerykańskich wyborców.

- Wszystko to całkowita bzdura - powiedział Callaghan. - Wariactwo. Czysta spekulacja.

Murdoch zignorował go. Patrzył teraz tylko na Bena, wydawało się, że traktował jego słowa bardzo poważnie.

- W jaki sposób doszedł pan do takich wniosków?

- Pomyślcie o Jerozolimie ze strategicznego punktu widzenia - powiedział Ben. - Tam właśnie sąsiadują ze sobą najświętsze miejsca judaizmu i islamu. To miejsce pełne gniewu i frustracji, religijna beczka z prochem, która tylko czeka na swoją iskrę. Jednocześnie Jerozolima jest głównym punktem odniesienia wyznawców Teorii Czasów Ostatecznych. To właśnie na nią kierują się oczy pięćdziesięciu milionów amerykańskich wiernych, interpretujących każde zdarzenie wyłącznie poprzez pryzmat biblijnego proroctwa.

Murdoch skinął głową.

- OK, jak dotąd się zgadzam. Dalej.

- Proroctwo to mówi, że wojna zacznie się od ataku na wybrany przez Boga naród Izraela

- kontynuował Ben. - Teraz niech pan pomyśli, co trzeba zrobić, aby doprowadzić do takiego ataku?

Murdoch zastanowił się przez chwilę.

- Wykorzystałbym religijne napięcie w Jerozolimie. Szukałbym sposobu, aby sprowokować muzułmańskich przywódców do frontального ataku na Żydów.

- A więc pierwszy cios musiałby być wymierzony w muzułmanów - powiedział Ben. - Ze świadomością, że świat islamu będzie natychmiast szukał odwetu na swoim odwiecznym wrogu.

- Dlatego też pierwszym celem będzie islam.

Ben skinął głową.

- Zgadza się. Musi nastąpić coś, co wzburzy świat islamu. Coś, co ich zaszokuje, sprowokuje w sposób dotąd niespotykany i wywoła dramatyczną reakcję.

Murdoch uniósł brwi.

- A konkretnie?

- To tylko moje domysły - powiedział Ben. - Może to być atak terrorystyczny. Na przykład zabójstwo kogoś na szczycie, i to w sposób ostentacyjny, stanowiący wręcz wyzwanie.

Murdoch cmoknął z irytacją.

- To duży obszar do spekulacji. Nie mamy pojęcia, co jest planowane i kto miałby być głównym wykonawcą takiego planu. Nie wiemy, od czego zacząć.

- Jednak znamy dwa fakty - powiedział Ben. - Po pierwsze, wszystko się zdarzy, mniej więcej, w ciągu najbliższych dwudziestu godzin. Po drugie, odpowiedzialnością za to zostanie obarczony izraelski funkcjonariusz.

Callaghan skrzywił się, uderzył ręką w stół.

- To wszystko jest po prostu śmieszne.

Murdoch nie zwracał na niego uwagi.

- Powiem wam, dlaczego mnie to martwi - powiedział. Spojrzał w lustrzane okno, machnął ręką i rzucił w powietrze: - Przestańcie robić notatki i nagrywać.

Ze zmarszczonym czołem odwrócił się do Bena i Alex.

- To, co wam teraz powiem, nie może wyjść poza ten pokój. Otóż nagle, trzy miesiące temu, zniknął nam z pola widzenia agent izraelskiego Mossadu, zawodowy zabójca, znany w CIA pod kryptonimem Salomon. Założyliśmy, że zginął, jednak nie znaleziono jego ciała, nikt też nie przyznał się do zamachu, o ile w ogóle był jakiś zamach. Wiem, że to znowu czyste domysły, ale jego zniknięcie można by z łatwością skojarzyć z tym, co mi pan przed

chwilą powiedział.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby na broni użytej do zamachu znalazły się odciski jego palców - powiedział Ben. - A w pobliżu portfel z kartami kredytowymi. - Uśmiechnął się.

- Tak jak to miało miejsce w przypadku ataków z jedenastego września. Wtedy też w zgliszczech znaleziono portfele zamachowców z ich dokumentami.

Murdoch zmrużył oczy.

- Udam, że tego nie słyszałem.

- Wiem wszystko o brudnej wojnie - odparł Ben. - Nawet zwykły pionek po pewnym czasie poznaje ogólne zasady jej działania.

Callaghan osunął się w fotelu, z przerażeniem wlepiając oczy w przełożonego.

- Chyba nie zamierza pan traktować tego człowieka poważnie? To wariat. I anarchista.

Murdoch powoli się odwrócił i z wściekłością spojrzał na Callaghana.

- Cała sprawa wymaga poważnego potraktowania - warknął. - A ty, Callaghan, jeśli nie masz nic konstruktywnego do dodania, w ogóle się nie odzywaj.

Callaghan nic nie powiedział.

Murdoch oparł łokcie na stole, potarł nasadę nosa i głośno odetchnął.

- Dobrze - powiedział. - Będę to jeszcze musiał uzgodnić z górą, ale jestem przekonany, że gdy usłyszą to, czego się dziś dowiedziałem, niebawem znajdzie się pan w samolocie lecącym do Izraela.

- W jakim celu?

- Spróbuje pan zapobiec planowanej katastrofie. Zaopatrzymy pana we wszystko już po przylocie do Jerozolimy. Callaghan skontaktuje pana z naszymi ludźmi na miejscu.

Ben potrząsnął głową.

- Nie pracuję dla CIA.

- Więc pana zatrudniam. Oczywiście nieoficjalnie.

- Przekazałem panu informacje - powiedział Ben. - Wykonałem swój obowiązek. Teraz chcę polecieć do domu. To pana problem.

Zmarszczki na twarzy Murdocha się pogłębiły.

- Jeżeli się pan nie myli, trzecia wojna światowa będzie problemem, który dotknie nas wszystkich. A my nie mamy zbyt wiele czasu, aby jej zapobiec. - W zamyśleniu cmoknął. - Nie mogę tam posłać naszych agentów. To sytuacja wymagająca kogoś z zewnątrz. Kogoś, kto nie ma powiązań z Agencją.

- Myśli pan o ewentualnej wpadce, prawda? - zapytał. - Byłbym wtedy zwykłym, łatwym do zatuszowania wypadkiem przy pracy.

- Proszę traktować tę misję jako przysługę, którą może pan nam oddać - powiedział Murdoch. - A my oczywiście zapomnimy o incydencie w Georgii. Może istnieje jakiś recydywista, któremu moglibyśmy dodatkowo przypisać zabójstwo dwóch policjantów? Rozumie pan, o czym mówię?

- Pragnę przypomnieć, że byłam świadkiem zabójstwa dwóch funkcjonariuszy policji przez agenta Jonesa - zaprotestowała Alex.

- Uważam, że powinnaś trzymać buzię na kłódkę, agentko Fiorante. Nie zapominaj o swoim udziale w tej sprawie. Przyznałaś się do zastrzelenia swojego współpracownika. Nie jest to coś, nad czym możemy przejść do porządku dziennego. - Murdoch odchylił się do tyłu w fotelu i zaplótł ręce na brzuchu. - A więc, Hope, albo pan z nami współpracuje, albo będzie pan oskarżony o morderstwo dwóch funkcjonariuszy policji oraz wielu agentów rządowych. A agentka Fiorante za to, co zrobiła, spędzi następnych dziesięć lat w więzieniu. Wybór należy do pana.

- Skąd pana pewność, że nadaję się do takiej roboty?

- Skończmy już z tymi wygłupami, majorze. Mamy coraz mniej czasu. Mam informacje, że gdyby miało dojść do pojedynku snajperskiego, nikt panu nie dorówna. - Murdoch sięgnął do kieszeni po pudełko zapalek, otworzył je jednym palcem, wyjął zużytą zapalną i rzucił ją na stół. - Czy to coś panu przypomina?

Ben, nie odrywając wzroku od zapalniczki, powiedział:

- Założmy, że się zgadzam. Ale pod pewnymi warunkami.

Murdoch skinął głową.

- Jestem człowiekiem rozsądnym. Więc słucham.

- Chcę, żeby Zoë Bradbury mogła już wrócić do domu.

- Nie ma mowy. Jest świadkiem.

- Jest też ofiarą - powiedział Ben. - Ofiarą tego, że w pana firmie panuje korupcja, a pracownicy nadużywają swojej władzy. Jeżeli więc pan nie chce, by to wyszło na jaw, proszę ułatwić Zoë wylot do domu, a w Wielkiej Brytanii zagwarantować jej pierwszorzędną ochronę policyjną aż do momentu wyłapania wszystkich przestępców.

Przez chwilę Murdoch się zastanawiał.

- Zgoda. Ale wróci tu, by później złożyć zeznania.

- W zamian za moją współpracę oczekuję też od pana osobistej gwarancji, że agentce Fiorante nie zostaną postawione żadne zarzuty.

Murdoch powoli skinął głową.

- Coś jeszcze?

- W Grecji zostawiłem za sobą skomplikowaną sytuację. Na wyspie Korfu pracuje kapitan o nazwisku Stephanides, który prawdopodobnie bardzo chciałby ze mną porozmawiać.

Murdoch machnął tylko ręką.

- Załatwimy to tak, aby o panu całkowicie zapomniał. Coś jeszcze?

- To wszystko.

- W takim razie umowa stoi - zakończył Murdoch. - A pan leci do Jerozolimy.

56

Było już po dziesiątej wieczorem, gdy opuścili salę konferencyjną. W biurze operacyjnym nadal panował ruch i pośpiech. Ruszyli korytarzem, przeszli przez podwójne drzwi i znaleźli się w laboratorium komputerowym, w którym było tyle sprzętu, że jego sześciu pracowników ledwie się mogło między nim poruszać.

Nad jednym z komputerów nachylał się Callaghan z informatykiem. Gdy zobaczył, że zbliża się Murdoch, podniósł głowę.

- W Stanach Zjednoczonych znaleźliśmy dwadzieścia dwa tysiące mężczyzn o nazwisku Slater, w wieku od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat.

Murdoch oparł się o biurko.

- Czy nie możesz zawęzić pola poszukiwań? Co z kolorem włosów, wzrostem, budową ciała, zawodem?

- Wprowadzenie tych elementów do programu wyszukiwarki wymaga czasu - odpowiedział z irytacją w głosie Callaghan.

- No to weź się do roboty.

Gdy Murdoch poszedł zadzwonić, Ben i Alex na parę minut znaleźli się w korytarzu sami.

- Dzięki za wszystko, co dla mnie zrobiłeś - powiedziała.

- Agencja nie gra uczciwie.

- Przyrzeknij mi dwie rzeczy - powiedział Ben.

Skinęła głową.

- Jasne.

- Po pierwsze, dopilnujesz, żeby Zoë bezpiecznie wróciła do domu.

- Załatwione. A druga obietnica?

- Że zadbasz o siebie. O swoje życie, rozumiesz?

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Czy to twój sposób pożegnania się ze mną?

- Może. Nie wiem, co się wkrótce zdarzy.

- Czy będę mogła do ciebie czasami zadzwonić?

- Będzie mi miło - odparł. Podał jej numer swojej komórki. Powtórzyła go.

W drzwiach znów ukazał się Murdoch.

- Załatwione - poinformował Bena. - O północy wylatuje pan do Izraela.

- Co mam robić na miejscu?

Murdoch się skrzywił.

- W dużej mierze improwizujemy. Mam nadzieję, że do czasu lądowania w Jerozolimie będę dysponował większą ilością danych. Nasi miejscowi agenci robią teraz listę potencjalnych celów zamachu. Skontaktują się z panem. - Niecierpliwie spojrzął na zegarek i zwrócił się do Alex. - Twoim przełożonym jest teraz Callaghan. Przekazujemy ci opiekę nad panną Bradbury, bo cię zna i czuje się w twoim towarzystwie bezpieczna. W tej chwili jest trochę zdenerwowana, ale może uda ci się ją uspokoić.

- Nie ma problemu - odpowiedziała Alex. - Dzisiaj może spać u mnie.

Zadowolony Murdoch życzliwie spojrzął na dziewczynę.

- Dziękuję ci, Alex. Twoje drzwi będą pilnowane przez trzech agentów, choć wydaje mi się, że pannie Bradbury już nic nie grozi. - Skinął w kierunku drzwi i oczekująco spojrzął na Alex.

Zawahała się, zerknęła na Bena.

- No to na razie. Może się jeszcze zobaczymy - powiedział Ben.

- Może tak - odpowiedziała. - Więc do zobaczenia.

- Kiedyś się jeszcze spotkamy - dodał.

Dotknęła jego ręki. Na moment ich palce się splotły. Dostrzegł to Murdoch i odwrócił wzrok.

- Uważaj na siebie - szepnęła Alex.

Ben patrzył, jak wychodzi z pokoju.

- Teraz zobaczymy, czy zdoła pan, wspólnie z Callaghanem, znaleźć tego swojego Slatera - powiedział Murdoch.

*

Kolejne siedemdziesiąt minut Ben spędził w ciemnym pokoju pełnym monitorów, przesiewając setki zdjęć, które agent i informatyk wybrali z bazy danych. Gdy skończył, odchylił się w fotelu i przecząco potrząsnął głową.

Callaghan zmrużył oczy.

- Jesteś całkowicie pewien?

- Tak, jestem pewien - odparł. - Nigdy nie zapominam twarzy.

- W takim razie podał ci fałszywe nazwisko. Tak zresztą, jak przypuszczałem. Nie

rozumiem tylko, dlaczego Murdoch na to nie wpadł. To takie oczywiste. Więc znów jesteśmy w punkcie wyjścia. Zmarnowany czas.

Ben milczał.

Callaghan podciągnął rękaw marynarki i rzucił okiem na zegarek.

- No to w drogę. Muszę cię jeszcze wsadzić do samolotu.

Samochód CIA zatrzymał się przed białym drewnianym domkiem w małym miasteczku niedaleko Centrali w Langley. Alex i Zoë wysiadły i w towarzystwie dwóch strażników poszły ścieżką, wiodącą przez mikroskopijny ogródek do domu. Ulica była ciemna i cicha. Alex otworzyła drzwi, strażnicy przeszukali cały dom. Nie znaleźli nic podejrzanego i wrócili do zaparkowanego samochodu. Za parę godzin miał przyjechać inny zespół i ich zmienić.

Alex wprowadziła Zoë do dużego otwartego salonu. - Czuj się jak u siebie w domu - powiedziała, włączając boczne oświetlenie. W środku było chłodno, wyglądało też na to, że przez jakiś czas nikt tu nie mieszkał. Podeszła do kominka gazowego i włączyła go na cały regulator. Sprawdziła telefon z automatyczną sekretarką. Nie było żadnych wiadomości.

Życie dla firmy, pomyślała gorzko.

Zoë, trąc oczy, rzuciła się na białą, skórzaną sofę.

- Wyglądasz na wyczerpaną - stwierdziła Alex. - Myślę, że przydałby nam się jakiś drink. Co ty na to? - Weszła do przytulnej kuchni, zdjęła ze stojaka butelkę czerwonego wina, otworzyła ją i rozlała wino do dużych kieliszków. Nastroj Zoë od razu się poprawił.

- Za nasze zdrowie - powiedziała Alex.

Zoë się uśmiechnęła.

- Za nasze zdrowie.

- Przeżyłaś koszmar, prawda?

Zoë skinęła głową.

- Nie chcę o tym myśleć. Nawet tutaj czuję się dziwnie i chciałabym już być w domu.

- Rodzice się ucieszą, gdy cię zobaczą.

- Zadzwoiłam do nich z Langley.

- Jak zareagowali?

- Rozplakali się.

- Jak przylecisz, będzie jeszcze więcej łez - powiedziała Alex.

- Pewnie tak.

- Zrobię jakąś kolację. Lubisz pizzę?

- Zjem wszystko.

- Właśnie sobie przypomniałam, że jesteś wegetarianką, a w pizzy jest kielbasa pepperoni i filety z anchois. Chcesz, żebym je zdjęła?

- Zostaw wszystko - odpowiedziała Zoë. - Jestem taka głodna, że mogłabym zjeść marynowanego osła.

Zadzwoił telefon, Alex odebrała, przełączając go na głośnik zewnętrzny.

- Wszystko załatwione. - Usłyszały głęboki głos Murdocha. - Dla panny Bradbury zarezerwowaliśmy miejsce na pokładzie rejsowego samolotu do Londynu z lotniska Arlington. Odlot rano. Callaghan zjawi się u ciebie o dziesiątej i odwiezie dziewczynę do Arlington.

- Zrozumiałam - powiedziała Alex.

- Chcę też, żebyś wzięła urlop - dodał Murdoch. - Miałaś trudny okres.

Alex podziękowała, rozmowa się skończyła.

Zoë siedziała na kanapie, przed ogniem w kominku. W końcu się odprężyła. Gdy poczuła ciepło, zdjęła sweter i rzuciła go na podłogę.

- Więc jedziesz na wakacje - powiedziała.

- Bardzo mi się przydadzą. - Alex wróciła do kuchni, wyjęła pizzę z zamrażalnika, wstawiła ją do mikrofalówki. Kilka minut później usiadły przy śniadaniowym stoliku z drzewa klonowego i jadły pizzę, popijając winem.

- Masz bardzo przytulny domek - powiedziała z pełnymi ustami Zoë.

- Spełnia swoją rolę. Łatwy w utrzymaniu i funkcjonalny. Ale rzadko w nim bywam.

- Mieszkasz sama?

- Samiuteńka.

- Bez chłopaka?

- Nie mam czasu na te sprawy.

Zoë dopiła wino i odstawiła kieliszek na stół. Na jej ustach pojawił się uśmiezek.

- Podoba ci się Ben, prawda?

Alex właśnie unosiła butelkę, aby dolać wina, ale ręka zawisła jej w powietrzu.

- Czy to takie oczywiste?

- Dosyć.

Alex westchnęła. Uniosła brwi.

- Jako tajna agentka powinnam się lepiej kamuflować. - Napelniła kieliszki.

- Ty jemu też się podobasz.

Alex milczała.

- Myślę, że mnie niezbyt lubi - powiedziała Zoë, marszcząc nos i podnosząc do ust kieliszek.

- Nie byłabym tego taka pewna - skłamała Alex.

- Nic dziwnego, byłam wobec niego okropna. Tak naprawdę to zachowałam się strasznie wobec wielu osób.

- Działałaś w wielkim stresie.

Zoë potrząsnęła głową.

- Wszystkie tłumaczenia nie mają sensu. Chcę, żebyś wiedziała, że naprawdę żałuję tego, co zrobiłam. I że przepraszam za skutki mojego zachowania.

Alex uśmiechnęła się i poklepała ją po ręce.

- To już historia - odparła. Został nam jeszcze tylko mały problem związany z wybuchem trzeciej wojny światowej, pomyślała. - Przynajmniej twój udział w tym wszystkim już się skończył - dodała.

- Zobaczysz się jeszcze z Benem?

- Nie wiem. Mam taką nadzieję. Może.

- Jeżeli tak, to czy możesz mu w moim imieniu coś przekazać?

- Jasne.

- Powiedz mu, że nie miałam zamiaru narażać jego przyjaciela na to, co się zdarzyło. Że nigdy nie chciałam, żeby ludzie przeze mnie cierpieli, i że w ogóle nie myślałam o możliwych konsekwencjach swojego głupiego oszustwa.

- Wszystko mu powiem, nie martw się - Alex uśmiechnęła się ciepło.

Zoë przez chwilę patrzyła przed siebie. - Tak mi żal Nikosa - szepnęła. - Nie żyje. I to przeze mnie. - Pociągnęła nosem. - I Skida. Jego biedne nogi. Nie zasłużył na to.

- Na pewno nie zasłużył.

- Zmienię się - powiedziała Zoë. - Zacznę się zachowywać inaczej. Pora dorosnąć.

- A gdybyśmy tak otworzyły drugą butelkę wina? - spytała Alex.

58

*Międzynarodowy Port Lotniczy im. Bena Guriona,
50 kilometrów na zachód od Jerozolimy dzień osiemnasty, godzina 15:30*

Tuż po wyjściu z samolotu, niby obuchem, uderzy! w Bena suchy rozżarzony skwar. Złapał taksówkę przed lotniskiem, oparł się o rozgrzane plastikowe siedzenie i pomyślał o pierśiówce z whisky. Siedząc w pędzącej taksówce, próbował nie zastanawiać się nad celem swojej podróży.

Jerozolima. Miasto, w którym według Talmudu znalazło się dziewięć dziesiątych piękna całego świata i tyleż samo bólu. Najwyższe budynki były tu białe, bezchmurne niebo niebieskie, promienie słońca paliły. Pod wieloma względami Jerozolima przypominała inne miasta Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej - pełne spalin, hałasu, tętniące życiem jak mrowiska. Gorący, ruchliwy tłum tysięcy samochodów, autobusów, tubylców i turystów był ściśnięty na powierzchni paru kilometrów kwadratowych. Na każdym kroku współczesność walczyła o pierwszeństwo z historią, drapacze chmur sąsiadowały z domami, których architektura przypominała o dwóch tysiącleciach religii. A nazwy takie jak Wzgórze Amunicji czy Droga Komandosów - o niedawnych, krwawych walkach.

Jerozolima przeszła przez więcej rąk niż inne historyczne miasta świata, przy czym wszyscy kolejni zdobywcy zostawili w niej po sobie swój ślad. O prymat walczą tu naleciałości chrześcijańskie, żydowskie i muzułmańskie, a miejscowa architektura odzwierciedla polityczną rolę tego ośrodka, od tysięcy lat tak ważnego dla wszystkich. Ben wiedział, że jeżeli Jones nie kłamał, historyczne znaczenie Jerozolimy wkrótce osiągnie mrozące krew w żyłach apogeum.

Przed 16:30 zameldował się w swoim hotelu - obskurnej, sennej dziurze na dalekim przedmieściu, w pobliżu meczetu, z którego głośnie zawołanie muezina nawoływało wiernych do modlitwy. Pokój hotelowy był czysty, prosty i funkcjonalny, ale tym razem dla Bena nie miało to najmniejszego znaczenia. W tej sytuacji mógłby nawet pogodzić się z karaluchami.

Co, u diabła, powinien teraz zrobić? Czuł frustrację. Cały pomysł wysłania go tutaj na

podstawie tak nikłych informacji wydawał mu się absurdalny. Czas płynął, a on nie mógł niczemu zapobiec.

Wziął prysznic, przebrał się. Kilka minut spędził nad planem Jerozolimy. Wędrował po pokoju, niecierpliwie ściskając komórkę, i czekał na obiecany telefon od Murdocha. Nikt jednak nie dzwonił.

Do jasnej cholery. Ze złością opuścił pokój i zszedł do baru, w którym urzędował samotny, zasuszony i wiekowy barman. Usiadł przy kontuarze, z paczki kupionej na lotnisku wyjął papierosa i zapalił. Pomyślał, że w tym duszącym upale duże, zimne piwo będzie lepsze od podwójnej whisky. Oparty o kontuar popijał piwo, obserwując, jak dym z papierosa rozchodzi się spiralą po lokalu. Chociaż nadal czuł ból w ramieniu, miał wrażenie, że od Montany dzieli go już milion kilometrów. Tak samo zresztą jak od Alex.

Dwie minuty po piątej zadzwonił telefon.

- Hope. Tu Callaghan. Zapisz, co ci powiem.

Ben wyjął z kieszeni mały notes i długopis.

- Słucham.

Callaghan przeliterował adres w Jerozolimie.

- To Stare Miasto, na południowo-zachodnim skraju dzielnicy żydowskiej - powiedział. - Masz tam spotkanie o 18:30 czasu miejscowego.

- Z kim?

- Z kimś, kto ci udzieli dalszych informacji. Dostaniesz od niego wszystko, czego potrzebujesz.

- Czy to jeden z twoich ludzi?

- Powiedzmy, że raczej punkt operacyjny.

- Utajniony agent?

- Nazwijmy go atutem.

- Co twój atut ma dla mnie?

- Chyba się nie myliłeś. Człowiek ten przekaże ci niezwykle ważną i delikatną wiadomość. Szykuje się jakaś nadzwyczajna akcja. Myślmy, że powie ci, co jest jej celem. Zresztą najlepiej będzie, jak sam to od niego usłyszysz.

- Szybka robota.

- Tak, hmm, sprawy nabierają tempa. Dzięki tobie - dodał niechętnie.

- Jak się nazywa?

- To bez znaczenia. Czeka na ciebie - niecierpliwie odparł Callaghan. - Wiem, że to wszystko jest niezgodne z regulaminem. Ale nie muszę ci mówić, jak cenny jest czas. Jedź

tam. Liczymy na ciebie.

- A co ze Slaterem?

- Nadal nad nim pracujemy. Zostaw to nam. To już nie twoje zadanie.

- A Zoë?

- Każdą obietnicę traktujemy poważnie. Właśnie jestem w drodze do Fiorante, żeby stamtąd odebrać Zoë i wysłać ją do Anglii.

- Sprawdzę, czy dotarła do domu.

- Nie ma problemu, kolego. Hope?

- Tak?

- Powodzenia. - Callaghan zakończył rozmowę.

Ben odłożył telefon i siedział dalej, popijając piwo. Wydawało się, że pełen niespodzianek pościg przez cały świat wkracza w fazę końcową. Miał też nadzieję, że to, co wkrótce usłyszy, będzie warte włożonego wysiłku.

Wyszedł z hotelu na palące słońce i złapał taksówkę do Starej Jerozolimy. Czas upływał, ale na to nie mógł nic poradzić. Jechał na spotkanie z atutem CIA.

Na Stare Miasto wszedł przez Bramę Damasceną. Od razu otoczył go hałaśliwy tłum kupujących, turystów, sprzedawców ulicznych, handlarzy walutą, chłopców popychających dwukołowe wózki i żebraków. Uliczne stragany oferowały tu wszystko - od jedzenia, gazet i schładzanej na blokach lodu izraelskiej coli po podróbki lewisów i sprzętu elektronicznego. Przez uliczną cizbę butnie przeciskał się oddział izraelskich żołnierzy. Rozpięte koszule. Ciemne okulary. Karabiny szturmowe Galii z miotaczami granatów i nabojem w lufie, zabezpieczone, lecz gotowe do użycia. Witamy w Jerozolimie.

Pogrążony w myślach, dotarł do serca Starego Miasta, gdzie zagłębił się w labiryncie ciemnych krętych uliczek i spalonych słońcem placów, których każdy kamień był świadkiem długiej burzliwej historii.

Doszedł do Via Dolorosa i znalazł się na szlaku, wydeptanym milionami stóp chrześcijańskich pielgrzymów. Tą właśnie Drogą Bólu, niosąc krzyż, szedł Chrystus. Ben wkroczył teraz w sam środek chrześcijańskiej dzielnicy Starego Miasta. Chroniąc oczy przed blaskiem słońca, stanął, aby się dobrze przyjrzeć górującemu nad okolicą budynkowi.

Bazylika Grobu Pańskiego to jedno z najświętszych miejsc religii chrześcijańskiej, upamiętniające pochówek i późniejsze zmartwychwstanie Chrystusa. Na jej pokierszowanych upływem czasu murach widnieją ślady setek lat religijnego graffiti, zostawiane przez pielgrzymów z całego świata. Stara świątynia również dzisiaj miała zwiedzających ją gości, pod jej łukowo sklepioną bramą kręciły się tłumy turystów,

zafascynowanych architekturą budowli. Jaskrawe koszulki, szorty, aparaty fotograficzne, przewodniki turystyczne. W powietrzu unosił się zapach kremu przeciwsłonecznego, po wysokich kamiennych murach niosło się wielojęzyczne echo. Nie brakowało głosów amerykańskich.

Ben patrzył i rozmyślał. Dlaczego ci ludzie tu przyjechali? Czy wszyscy są zwykłymi turystami, którzy pokonali tysiące kilometrów, po to tylko, by zobaczyć i sfotografować starożytny gmach? A może niektórymi kieruje jakaś głębsza motywacja? Czy są wśród nich ludzie, którzy wierzą w nieuchronną apokalipsę i pragną złożyć hołd miejscu, gdzie, w ich mniemaniu, wszystko się zaczęło i gdzie wszystko się skończy? Miliony fundamentalistycznych chrześcijan, których wsparcie umożliwiło polityczne kariery ludzi takich jak Clayton Cleaver i zachęciło ciemne siły do rozpętywania wojny. Tacy ludzie wcale nie muszą być bezrozumnymi podżegaczami do wojny i nie mają nawet pojęcia, że ich wiara jest wykorzystywana do walki o władzę i do zabijania ludzi.

A może już powinno to do nich dotrzeć? Ben pomyślał o długiej historii ludzkości. Czy naprawdę kogoś może nadal zaskakiwać zjawisko, że niewielkie grupy dzierżących władzę cyników nieraz wykorzystują religię do realizacji swych własnych celów? Czyż nie tak właśnie, i to od zarania dziejów, postępowała większość władców? Ludzie lubią się bawić w Boga, zapominając przy tym, że to najniebezpieczniejsza zabawa świata.

Spojrzał na zegarek. Zbliżała się szósta piętnaście. Czas na kolejny ruch. Z kieszeni wyjął kartkę z zanotowanym adresem. W pobliskiej uliczce znalazł wolną taksówkę, kolejnego poobijanego białego mercedesa. Pokazał adres kierowcy z gęstą brodą, ten kiwnął głową. Ben wsiadł, samochód ruszył.

Za parę minut powinien dowiedzieć się znacznie więcej.

A następnie znaleźć sposób, by zapobiec katastrofie.

59

*Shady Oak, Virginia
godzina 10:05 czasu miejscowego*

Alex usłyszała dzwonek, otworzyła drzwi. Na dworze świeciło słońce i wiał lekki wiatr. W progu stał Callaghan z dwoma agentami. Na chwilę weszli do środka.

- Gotowa? - spytał Callaghan.

Zoë właśnie schodziła do nich.

- Gotowa.

- Masz wszystko? - spytała Alex.

- Nie przywiozłam ze sobą zbyt wiele - uśmiechnęła się Zoë. - A więc czas się pożegnać.

Przypuszczam, że już się nie zobaczymy, prawda?

- Chyba masz rację. Życzę ci bezpiecznej podróży do domu, Zoë. Uważaj na siebie.

- Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. - Zoë złapała Alex za rękę i ją uścisnęła. -

Nigdy ci tego nie zapomnę.

Alex obserwowała, jak dziewczyna sadowi się między dwoma agentami na tylnym siedzeniu czarnej furgonetki GMC. Callaghan zajął miejsce z przodu, koło kierowcy.

Pomachała, zamknęła za sobą drzwi i wróciła do środka.

- No i koniec sprawy - mruknęła pod nosem.

Pod stolikiem coś błysnęło, podeszła bliżej. Na podłodze leżała stara, cenna bransoletka Zoë, która musiała jej się zsunąć z ręki, gdy zdejmowała sweter.

- Cholera - mruknęła. Tę bransoletkę Zoë nosiła wszędzie i musiała być z nią bardzo zżyta. Zagryzła wargi, zastanawiając się, co zrobić. Zerknęła przez okno, gmc dojeżdżał właśnie do końca długiej ulicy. Błysnęły czerwone światła hamowania, samochód skręcił w lewo i zniknął z pola widzenia.

Nagle postanowiła, że pojedzie za Zoë. Lotnisko jest oddalone tylko o kilka kilometrów, tam ją dogoni i odda bransoletę.

Jej volkswagen garbus stał tuż przy domu. Złapała wiszące na haku przy drzwiach kluczyki i wybiegła na dwór.

Włączyła silnik i wyjechała na drogę, dopiero potem pomyślała o telefonie do Callaghana. Cholera. Jej komórka została w domu. Było już za późno, aby po nią wracać. Trudno.

Docisnęła pedał gazu, jechała teraz ulicą z cichymi podmiejskimi domkami. Skręciła w lewo, znów przyspieszyła. Wyjechała z miasta w kierunku autostrady, ruch na drodze stawał się coraz większy. Z przodu dostrzegła czarną furgonetkę GMC, była oddalona o jakieś osiem, dziewięć samochodów, poruszała się dobrze jej znaną trasą. Włożyła płytę Creedence Clearwater Revival do odtwarzacza, jechała, nie przekraczając stu kilometrów na godzinę.

Po paru minutach zbliżyli się do wiodącego na lotnisko zjazdu z autostrady. Zerknęła w lusterko wsteczne, gotowa do włączenia kierunkowskazu i zmiany pasma ruchu.

Jednak czarny gmc wcale nie skręcał.

Dalej jechał prosto.

Alex zmarszczyła czoło. Plansze informujące o zjeździe na lotnisko mignęły i zostały z tyłu. Dziwne. Czy Murdoch nie mówił, że odwiozą Zoë od razu na lotnisko? W takim razie dlaczego nie skręcili?

Jechała z nimi dalej, czas upływał. Nawet nie zauważyła, kiedy skończyła się ostatnia piosenka CCR. Niebo pokryły chmury, na przedniej szybie samochodu zobaczyła pierwsze krople deszczu.

Czarna furgonetka zjechała z autostrady w boczną drogę. Z boku minęli zagajniki, ruch był coraz mniejszy, oddalali się od Langley i Waszyngtonu. Intuicja Alex podpowiadała, że nie powinna się zbliżać do samochodu z Zoë. Zwolniła, pozwalając, aby odległość do Callaghana się zwiększyła.

Deszcz zaczął bębnić o szyby samochodu, rytmicznie pracowały wycieraczki. Droga stała się kręta i wąska. W obawie przed zdemaskowaniem trzymała się jak najdalej od śledzonej furgonetki.

Nie miała pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, dużo by dała za telefon do Murdocha w Langley. Pozostawienie komórki w domu okazało się naprawdę niefortunne.

Wskazówki zegara na tablicy rozdzielczej volkswagena zbliżały się do godziny jedenastej, wskaźnik poziomu paliwa już od dłuższego czasu tkwił w czerwonym polu. Wreszcie, z odległości pięćdziesięciu metrów, zobaczyła przed sobą światła hamowania. Czarny samochód, wyrzucając z kałuż w powietrze pióropusze wody, skręcił w zarośniętą leśną drogę. Ostrożnie ruszyła w ślad za nim.

Furgonetka CIA, trzęsąc się i podskakując na wybojach, dotarła do wysokiej, częściowo ukrytej za zaroślami, żelaznej bramy. Deszcz rozpadał się na dobre.

Ostatnie kilka metrów przejechała z wyłączonym silnikiem, zatrzymała się pod osłoną rosnących na poboczu krzaków. Mimo ulewy wyszła z samochodu i ukryła się w lesie. Widziała, jak jeden z agentów wysiada z furgonetki, podchodzi do bramy i otwiera wiszącą na niej kłódkę. Zagrzechotał łańcuch. Brama otworzyła się ze zgrzytem, wjechali do środka.

Po paru sekundach usłyszała krzyk.

Poznała głos Zoë.

Nie miała przy sobie ani telefonu, ani broni. Nigdy jeszcze nie czuła takiej bezsilności. Ostrożnie, żeby nie złamać żadnej gałązki, przecisnęła się przez krzaki parę metrów dalej. Włosy i ubranie przemokły jej do suchej nitki i lepiły się do skóry. Przez bramę zobaczyła solidny, rozłożysty budynek, wyglądający jak dom bogatego myśliwego. Ogród był jednak zarośnięty, a całość wyglądała na zaniedbaną.

Agenci wyciągnęli Zoë z furgonetki i siłą prowadzili do domu. Callaghan otworzył drzwi wejściowe i wszyscy, wraz z krzyczącą i wierzgającą dziewczyną, weszli do środka.

Serce Alex waliło jak młotem. Spojrzała na zegarek. Była godzina 11:09. Nadal nie wiedziała, gdzie trafiła.

Szybko przeszliwnęła się przez otwartą bramę i przecięła zarośnięty ogród. Poruszała się ostrożnie, między krzakami i drzewami, nie chcąc, by ktokolwiek dostrzegł ją przez któreś z licznych witrażowych okien domu.

Podkraśla się pod sam dom. Serce miała w gardle. Nasłuchiwała. Wszędzie panowała cisza.

Nagle usłyszała dźwięk odbezpieczanego pistoletu i z tyłu głowy poczuła dotyk twardego metalu.

- Jesteś nieostrożna. - Usłyszała nieznany głos. - Ty śledziłaś ich, a ja śledziłem ciebie.

Zaryzykowała spojrzenie przez ramię. Mężczyzna z pistoletem był szczupły, w drogim garniturze, na który narzucił długą czarną pelerynę. Miał rude włosy, a w oczach wesoły błysk. Nad głową trzymał parasol, o który z pluskiem rozbijały się krople deszczu.

- Pan nazywa się Slater - powiedziała.

- A ty musisz być agentką Fiorante. Wiele o tobie słyszałem.

Uświadomienie sobie prawdy zaparło jej dech w piersiach. *Callaghan i Slater*. Cały czas razem.

Kiwnął lufą pistoletu.

- Ruszaj się. Ręce trzymaj w górze. Jeśli je opuścisz, zginiesz.

Wepchnął Alex do ponuro wyglądającego środka domu. Ciemna boazeria w mroku lśniła matowo, kamienny kominek był pełen popiołu i osmalonych bali. Ze ścian szklanym

spojrzeniem spoglądały na nich łby myśliwskich trofeów; spiczaste poroża i zakrzywione rogi rzucały dziwne cienie. Wzdrygnęła się, krople z jej mokrego ubrania spadły na kamienną podłogę.

W korytarzu usłyszała kroki, za chwilę otworzyły się drzwi i do środka z wykrzywioną z wściekłości twarzą wpadł Callaghan. Za nim stali trzej mężczyźni z pistoletami gotowymi do strzału.

- Mamy niespodziewanego gościa - powiedział Slater.

Callaghan spojrzał ostro.

- Jesteś sprytna, Fiorante. Ale powinnaś wiedzieć, że spryt od głupoty dzieli cienka linia, którą właśnie przekroczyłaś. - Skinął do swoich ludzi. - Przeszukajcie ją.

Zrobili to brutalnie, lecz dokładnie.

- Nic nie ma.

Alex odgarnęła z twarzy mokre włosy i wyzywająco spojrzała na Callaghana.

- Co zrobiliście z Zoë?

Callaghan się uśmiechnął.

- Chcesz się z nią zobaczyć? Proszę bardzo.

Wypchnięto ją na korytarz, Slater i Callaghan poszli przodem. Na końcu holu, w małej alkowie u podnóża paru schodków zobaczyła ozdobione metalowymi ćwiekami dębowe drzwi. Callaghan wyjął z kieszeni długi żelazny klucz i je otworzył, następnie agenci wrzucili Alex do środka. Stoczyła się w dół po kamiennych schodach i wylądowała na twardej, betonowej posadzce. Podnosząc się, w ustach poczuła smak krwi.

Na stopniach pojawił się Slater, znów z tym samym wesołym błyskiem w oczach. Zatrzymał się w połowie schodów i oparł o żelazną poręcz.

- Jaka szkoda - powiedział, taksując ją wzrokiem. - Jest taka miła.

Alex usłyszała za sobą szloch. Odwróciła się. W mroku, oparta o ścianę, siedziała Zoë. Twarz miała mokrą od łez, nad okiem rozciętą skórę. Alex podeszła i ją uścisnęła.

- Co za sukinsyny - syknęła.

Po schodach zszedł też Callaghan i stanął przy Slaterze. - Wydaje się, że tutaj nasze drogi się rozejdą. - Sięgnął do płaszcza i wyjął glocka kaliber 9 mm. Wycelował najpierw w Zoë, później na muszkę wziął Alex, która nawet nie mrugnęła. Wiedziała, że jej strach sprawiłby mu tylko przyjemność.

Zoë złapała Alex za rękę i zaczęła piszczeć.

- Niech was szlag trafi - powiedziała Alex.

- Ta kobieta naprawdę mi się podoba - rzucił Slater. - Taka dzielna. Szkoda tylko, że nie

poznam jej bliżej.

- To szkodnik. A szkodniki się usuwa. - Callaghan zmrużył oko nad muszką, szykując się do strzału.

- Poczekaj - powiedział Slater.

Callaghan niecierpliwie opuścił broń.

- Co teraz?

- Nie zabijaj ich.

- Co?

- Nie strzelaj. Mam lepszy pomysł. - Slater uśmiechnął się łobuzersko. - Jak często tu bywasz?

- Niestety niezbyt często - odpowiedział Callaghan. - Wiesz, jak to jest.

- Powiedzmy raz na cztery, pięć miesięcy?

- Tylko w latach, kiedy niewiele się dzieje.

- Czy ten rok uważasz za spokojny?

- Ten jest zwariowany.

- Pomyślmy więc, czyby nie zamknąć tu dziewczyn i nie wrócić po sześciu miesiącach, żeby sprawdzić, czy się nie kłóca?

Callaghan się skrzywił.

- Będzie strasznie śmierdziało.

Slater pokręcił głową.

- Nigdy ci nie opowiadałem o moim psie, prawda? Kiedy byłem dzieckiem, miałem retrievera. Przez jakiś czas myślałem, że jest fajny, ale później mi przeszło, więc zamknąłem go w piwnicy, żeby zobaczyć, co się z nim stanie. Zdychał niespodziewanie długo. Mogę cię jednak zapewnić, że po pewnym czasie smród się ulotni - większość mięsa zjedzą szczury, pomogą im w tym robaki, płyny ustrojowe też w końcu wyschną. Zostajesz z czymś, co wygląda jak sucha skorupa.

- Jesteś chorym sukinsynem - powiedziała Alex.

- Podoba mi się ten pomysł - powiedział Callaghan. - Co wy na to, moje panie? Będziecie miały sposobność poznać się bliżej. Możecie nawet spróbować zrobić podkop. Ale uprzedzam was, że fundamenty są tu wyjątkowo głębokie, a sam dom stoi na skale.

- To da wam jakieś zajęcie, kiedy będziecie umierać - z uśmiechem dodał Slater. - Spojrzał na zegarek. - Musimy już jechać. Czeka na mnie samolot senatora.

- Senatora? - z grymasem zapytała Alex.

Uśmiech Slatera stał się jeszcze szerszy.

- Jak myślisz, kto za to wszystko płaci? Armia Zbawienia?

Alex zamrugła z niedowierzaniem.

- Więc za tym wszystkim stoi senator USA?

- Och, on nawet o tym nie wie - powiedział Slater. - Bud Richmond jest bogatym religijnym dupkiem, który nie ma pojęcia, jaki jest dzisiaj dzień tygodnia. To ja podpisuję jego czeki. Senator może nawet zostanie wyznaczony do poprowadzenia wiernych, ale cała operacja jest moja.

- Co wy, do cholery, knujecie? - krzyknęła Alex.

Slater wzruszył ramionami.

- Nie chcę, żeby taka piękna kobieta umierała w niewiedzy. Zdradzę ci więc, że jesteśmy w przededniu podniesienia kurtyny największego przedstawienia, jakie ten świat kiedykolwiek widział. Przykro mi tylko, że nie będziesz tego świadkiem. Celujemy wysoko, zaczynamy też na odpowiednią skalę. Wkrótce zrobimy coś, przy czym zamach bombowy na Korfu będzie małym fajerwerkiem.

Z zadowoleniem obserwował wyraz przerażenia na jej twarzy.

- To szaleństwo - wyszeptała. - Kompletny obłąd.

- My tylko pomagamy - rzekł Callaghan. - Niech ci się nie wydaje, że to nasz projekt. To plan Boga. A jeżeli doprowadzi do wojny, to widocznie tak powinno być.

- Mnie osobiście ten boski element jest niepotrzebny - dodał Slater. - Ale Callaghan cierpi na manię religijną.

Agent CIA ostro spojrzał na Slatera.

- Nie uda się wam - zaprotestowała Alex. - W Anglii czekają na Zoë. Jeżeli nie przyleci, zaczną jej szukać.

Callaghan się uśmiechnął i potrząsnął głową. - Znów pudło. Nikt już na nią nie czeka.

- W samochodzie mnie zmusili, żebym zadzwoniła do rodziców i powiedziała im, że właśnie kogoś spotkałam i że do domu przyjadę później - rozszlochała się Zoë.

- A do takiego zachowania z twojej strony już są przyzwyczajeni, prawda? - dodał Callaghan.

- Murdoch zauważył moją nieobecność - powiedziała Alex. - To porwanie się na was zemści.

- Słuchaj, złotko - wtrącił Slater. - Zanim się ktoś zorientuje, o co w tym wszystkim chodzi, świat już będzie całkiem inny. Myślę, że ludzie będą mieć na głowie ważniejsze problemy niż pamięć o waszej dwójce.

- Możesz nas zabić - spokojnie powiedziała Alex. - Ale Ben Hope i tak cię dopadnie.

Slater i Callaghan z uśmiechem wymienili spojrzenia. - Masz właściwe wyczucie czasu, Fiorante, ponieważ właśnie się zbliża 11:25, co odpowiada godzinie 18:25 czasu izraelskiego. Twój chłopak właśnie wchodzi w zastawioną pułapkę, za pięć minut będzie już martwy.

Slater zachichotał.

- Bawcie się dobrze!

Mężczyźni się odwrócili i weszli po schodach w górę. Trzasnęły ciężkie drzwi, kobiety zostały w ciemnościach.

dzielnica żydowska, Jerozolima

18:29 czasu miejscowego

Obskurny blok mieszkalny znajdował się na końcu wąskiej uliczki wybrukowanej kocimi łbami. Wokół panowała cisza. Zobaczył kobietę w arabskim nakryciu głowy, która pośpiesznie wycofała się do domu. Spojrzał na zegarek. Przyszedł punktualnie.

Wchodząc w chłodny cień budynku, ponownie zerknął do notatnika. Szedł na górę, słysząc echo swoich kroków odbijające się od kamiennej klatki schodowej i podrapanych ścian.

Przyglądał się kolejnym drzwiom, szukał podanego mu numeru mieszkania.

Dom niczym się nie wyróżniał. Pracownicy takich instytucji jak CIA musieli się całkowicie wtopić w swoje środowisko, niekiedy nawet ich żony nie zdawały sobie sprawy, że mężowie wiedzą podwójne życie. Tacy agenci zazwyczaj pochodzili ze skromnych rodzin i zachowywali się tak, by nie zwracać na siebie uwagi policji czy innych służb porządkowych. Ich zadaniem było zbieranie mało istotnych wiadomości, czasami służyli jako posłańcy lub pomagali wyższym w hierarchii agentom w wykonywaniu lokalnych misji.

Ben dotarł do drzwi z podanym numerem i zapukał. Nasłuchiwał chwilę. W środku było cicho. Spojrzał na zegarek. Zjawił się punktualnie. Zapukał ponownie.

Mężczyzna, który mu otworzył drzwi, był szczupły, w ruchach przypominał drapieżnego ptaka. Ubrany w dżinsy i białą koszulę, miał krótko przystryżone czarne włosy i gęstą brodę, jego oczy były ciemne i skupione.

- Pan Hope?

Ben kiwnął głową.

- Tędy, proszę - z zapraszającym gestem powiedział mężczyzna.

Ben wszedł do saloniku. Mieszkanie było małe, skromnie umeblowane, ściany nagie i białe. Na stole leżała szczupła teczka na dokumenty, z której wystawały jakieś papiery. Obok niej znajdował się odbezpieczony pistolet Heckler & Koch i pełny magazynek. Na kanapie zobaczył rozłożony karabin snajperski z tłumikiem i lunetą. *Jeżeli dojdzie do pojedynku*

snajperów, niedawno mówił Murdoch.

- Callaghan powiedział, że masz coś dla mnie - powiedział.

- Zgadza się - z tajemniczym uśmiechem odparł mężczyzna. - Coś ważnego. Jednak może najpierw napijesz się kawy?

- Nie mam czasu na kawę.

- To prawda. Nie masz.

Wszystko odbyło się szybko i niespodziewanie. Poczuł za sobą ruch powietrza. Jednocześnie zdał sobie sprawę, że na właściwą reakcję jest już za późno. Gdy coś mignęło mu przed oczami, zdążył tylko instynktownie wyrzucić ręce do góry. Na jego dłoniach zacisnęła się garota. Próbował się wyrwać, lecz napastnik był bardzo silny. Przewrócił go do tyłu, drut werznął mu się w ciało. Ben wierzgał, nie dawał za wygraną.

Brodaty mężczyzna z uśmiechem sięgał powoli po leżący na stole pistolet.

Ben wiedział, że w tej walce stawką jest jego życie. Napastnik zmienił kąt garoty, ciągnął ją teraz w bok. Nagle Ben zauważył, że do pokoju wchodzi kolejny mężczyzna z długim, zakrzywionym nożem.

Pułapka się zamknęła. Callaghan zwabił go tutaj, aby zabić.

Nagle uświadomienie tego faktu dodało mu sił. Rzucił się na podłogę, dusiciel upadł razem z nim, jeszcze bardziej zaciskając drut. Ben czuł, że za chwilę straci przytomność. Kopnął za siebie z pełnego obrotu, trafiając napastnika w twarz. Ucisk garoty zelżał.

Widząc podchodzącego z nożem mężczyznę, potoczył się w bok i z ogromną siłą kopnął go w kolano.

Usłyszał chrzęst łamanego stawu, mężczyzna wrzasnął i upuścił nóż na ziemię.

Ben skoczył na nogi, złapał dusiciela za włosy i mocno wyrzwał go kolanem w twarz. Następnie z obrotu uderzył dłonią w gardło nożownika, miażdżąc mu tchawicę. Znow odwrócił się do dusiciela, wkładając teraz całą swoją siłę w cios łokciem. Ponownie trafił w twarz, wbijając napastnikowi zęby do gardła. Gdy dusiciel w konwulsjach padł na plecy, Ben z rozmachem skoczył mu na szyję. Z ust zabójcy chlusnęła krew.

W pokoju pojawił się trzeci mężczyzna, szybko chwycił leżącą na stole broń, wbił dłonią magazynkę, po czym uniósł pistolet i wypalił. Huk wystrzału w małym pomieszczeniu był ogłuszający, Ben poczuł podmuch powietrza przelatującej obok kuli. Pocisk minął go o niecałe piętnaście centymetrów i trafił w ścianę, wyrzucając fontannę tynku.

Ben złapał wiszący w ramie za szkłem obraz i cisnął nim, trafiając napastnika w przegub. Szkło pękło na kawałki, mężczyzna krzyknął i upuścił pistolet. Ben skoczył na wroga, zasypując go gradem ciosów, ten nie pozostawał mu dłużny. Szybki chwyt za przegub, skręt

ciała i Ben poszybował w powietrzu. Wylądował na niskim stoliku kawowym, rozbijając szklany blat. Przeciwnik, przyciskając Bena kolanem, wyprowadził błyskawiczny cios, za chwilę jednak kopniak Bena trafił go w splot słoneczny i odrzucił do tyłu. Napastnik zrobił przewrót, stanął na nogi i znów podszedł bliżej.

Walka była szybka i zażarta. Cios, blok, cios, blok, wir pięści. Mocne uderzenie Bena trafiło przeciwnika w gardło, ten odskoczył, trzymając Bena za przegub, i popchnął go na narożnik z książkami. Ben upadł, regał wylądował mu na głowie. Rozsypały się książki, odłamki szkła i kawałki połamanych półek. Złapał jeden z tomów w twardej oprawie i poderwał się na nogi.

Mężczyzna już był blisko, wydawało się, że nic teraz go nie zatrzyma, gdy Ben wyrzucił go kantem trzymanej książki. Z pękniętych warg napastnika trysnęła krew. Następny cios Ben wyprowadził łokciem i trafił go w twarz. Zabójca krzyknął i upadł, Ben złapał go za włosy i grzmotnął jego głową o ziemię. Jeszcze raz. I jeszcze.

Nagle w kieszeni spodni poczuł brzęczyk telefonu i na ułamek sekundy się zawahał. W tym momencie leżący na podłodze mężczyzna mu się wyszarpnął i jak dzikie zwierzę zaczął drapać i wymachiwać pięściami. Znów, złączeni morderczym uściskiem, potoczyli się po podłodze. W pewnym momencie ruchliwa dłoń napastnika wymacała leżący na ziemi pistolet. Czarny wylot lufy chwiejnie uniósł się do góry i zajrzał Benowi w oczy. Palce Bena ślizgały się po chłodnej stali, ale w końcu zdołał odepchnąć lufę w bok. O kontroli nad bronią zdecydowała brutalna siła.

W zdemolowanym pokoju rozległ się huk wystrzału.

61

Alex zastanawiała się nad możliwościami ucieczki. Wiedziała, że drzwi są nie do sforsowania. Na pokrytej pajęczyną półce znalazła latarkę, rzucającą żółte zanikające światło. Miała nadzieję, że trafi na jakiś właz, może wychodzący na górę pas transmisyjny dla węgla.

Ale niczego nie znalazła. Były w potrzasku. Usiadła na twardych kamiennych schodach i trzymając się za głowę, myślała tylko o jednym.

Ben. To pułapka. Chciałaby wyciągnąć rękę, ostrzec go, jakoś mu pomóc. Jednak było już za późno. Przeciwnicy na pewno nie ryzykowali i już go zabili. Czuła, jak do oczu napływają jej łzy.

- Alex? - wyszeptała w ciemności Zoë. - Chyba już sobie poszli. Uciekajmy stąd.

- Nie wygłupiaj się.

- Nie żartuję, uciekajmy.

- Zoë, jesteśmy w potrzasku. Nie możemy się stąd wydostać. - Patrząc w kierunku Zoë, nagle zauważyła mały podświetlony ekran. Serce zabiło jej szybciej. Poświeciła latarką. - Gdzie ty, do diabła, zdobyłaś telefon?

- Wzięłam go sobie od tego troglodyty, który siedział obok mnie w samochodzie. Nic nie zauważył.

Zdumiona Alex roześmiała się.

- Spryciara z ciebie.

- Jako piętnastolatka byłam niezłym kieszonkowcem - powiedziała Zoë. - Tych rzeczy się nie zapomina. I wiesz co, nagrałam na dyktafon wszystko, co te sukinsyny mówiły. Pomyślałam sobie, że kiedyś może się przydać.

- Zadzwońmy - powiedziała Alex.

Zoë zerwała się na nogi i zaczęła przemierzać piwnicę.

- Sygnał jest bardzo słaby. Czekaj. Mam jedną kreskę. Jaki jest u was numer na policję - 911?

- Nigdzie sama nie dzwoń. Daj mi telefon. - Alex podbiegła i wyrwała jej komórkę. Sygnał był kapryśny. Pojedyncza kreska pojawiała się, później znikwała. Alex gorączkowo próbowała przypomnieć sobie numer Bena. Nagle wróciła jej pamięć. Stukała w klawisze najszybciej jak mogła.

Usłyszała sygnał łączenia. Czekwała zdenerwowana. Nikt jednak nie odbierał.

- O mój Boże. Zabili go.

*

Po drugiej stronie kuli ziemskiej Ben, chwiejąc się na nogach, patrzył na zwłoki swojego przeciwnika, którego wystrzał z bliska pozbawił połowy twarzy. Podłoga tonęła we krwi, wokół siebie miał strzępy ciała, fragmenty szczęki i czaszki.

Ciężko oddychał, skok adrenaliny spowodował, że dostał dreszczy. Krew z obrażeń na jego twarzy pomieszała się z krwią trzech martwych mężczyzn, leżących w zdemolowanym mieszkaniu.

W kieszeni nadal brzęczał telefon. Czy nie powinien go odebrać?

Wyciągnął aparat zakrwawionymi palcami, przez chwilę mu się przyglądał, potem nacisnął na odbiór i podniósł komórkę do ucha.

- Ben, to ty?

- Alex? - Ton jej głosu go zaskoczył, od razu zorientował się, że stało się coś złego.

- Jesteś cały i zdrowy. Dzięki Bogu.

- Bóg zbyt wiele mi nie pomógł.

- Callaghan jest z nimi - powiedziała.

- Właśnie się o tym przekonałem na własnej skórze. Gdzie jesteś?

- Jestem z Zoë. Zostałyśmy zamknięte w piwnicy Callaghana. - Szybko mu opowiedziała, jak pojechała za samochodem Callaghana, jak ją złapał Slater i co usłyszała o religijnym senatorze. - Richmond nie zdaje sobie sprawy, co się wokół niego dzieje - szybko dodała. - Używają go tylko jako parawanu.

- W porządku, teraz słuchaj - powiedział Ben, myśląc gorączkowo. - Zrób tak. Nie dzwoń na policję. Czy można zaufać Frankowi, twojemu znajomemu weterynarzowi?

- Całkowicie.

- A więc zadzwoń do niego. Powiedz mu, jak tam dojechaliście, żeby was mógł odnaleźć.

- Chyba mniej więcej wiem, gdzie jesteśmy.

- Dobrze. W jakiś sposób Frank musi was stamtąd wydostać. Wymyśl jakąś historyjkę i dopilnuj, żeby nikomu o tym nie rozpowiadał. A ty i Zoë musicie się gdzieś przyczaić i czekać na telefon ode mnie.

- Wiem więcej - powiedziała Alex. - Wiem, co mają zamiar zrobić. W jerozolimskim meczecie ma się odbyć ważna konferencja religijna, w której weźmie udział przewodniczący i czterech członków Najwyższej Rady Islamu. Slater i Callaghan mają zamiar wysadzić ich w

powietrze.

Ben poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. - W którym meczecie?

- Na Wzgórzu Świątynnym - odpowiedziała Alex.

- Kiedy to ma się stać?

- O dziewiętnastej czasu izraelskiego.

Spojrzał na zegarek.

- Czyli za dwadzieścia minut.

- Idź już, Ben. Musisz ich powstrzymać. - Alex się rozłączyła, Ben został z niemym telefonem w dłoni.

Poczuł się tak, jakby z pokoju ktoś nagle wyssał całe powietrze, w głowie kotłowały mu się tysiące myśli.

Uderzyła go perfidia planu. Jaki był głupi i kompletnie ślepy, że nie dostrzegł jej od razu. W pewien odrażający sposób ich pomysł był bliski perfekcji.

Leżące w sercu Starego Miasta Wzgórze Świątynne jest jednym z najzacieklej kontestowanych skrawków ziemi w religijnej i politycznej historii świata. Dla chrześcijan jest to miejsce, gdzie Bóg stworzył świat i w którym odbędzie się Sąd Ostateczny. Islam nazwał je Szlachetnym Sanktuarium i twierdzi, że właśnie stamtąd Mahomet wstąpił do nieba. Kiedyś też na tym miejscu stała, zburzona w 70 roku naszej ery przez Rzymian, największa i najświętsza świątynia Żydów.

Na jej ruinach powstało trzecie pod względem znaczenia dla islamu, po Mekce i Medynie, miejsce kultu religijnego. Qubbat al-Sakhra. Kopuła na Skale, ogromny, imponujący, ośmiokątny meczet zwieńczony widoczną w każdym miejscu Jerozolimy pozłacaną kopułą. Epicentrum dwóch tysięcy lat krwawej historii, o które rywalizuje wiele krajów. Od momentu wymuszonego w 1967 roku na Izraelu oddania meczetu muzułmanom symbol walki między judaizmem i islamem.

Zniszczenie Kopuły na Skale, znieważenie tak świętego miejsca jak meczet i obarczenie Żydów winą za zbrodnię w praktyce oznaczałoby podpalenie krótkiego lontu apokaliptycznego proroctwa biblijnego. Zaczęłyby się kolejna wojna między Izraelem a światem islamu. Po stronie Izraela zaangażowałyby się Stany Zjednoczone, wezwanie do wojny znalazłoby oddźwięk we wszystkich krajach muzułmańskich. Byłby to tak upragniony przez islamskich fundamentalistów początek Wielkiego Dżihadu. Oraz konfliktu globalnego. W rozpadającym się pośród krwi i chaosu świecie dziesiątki milionów chrześcijańskich fundamentalistów zwróciłyby się do zaufanych liderów. Zdarzenia takie jak zamachy z 11 września 2001 roku stałyby się normą. Ale mogłoby też dziać się jeszcze gorzej. Znacznie

gorzej. Ben pomyślał o Claytonie Cleaverze i jego przepowiedni wojny nuklearnej i przeszedł go zimny dreszcz.

Był to faktyczny scenariusz Sądnego Dnia. A czas do jego rozpoczęcia płynął w zastraszającym tempie.

Należało jak najszybciej przerwać odliczanie minut dzielących świat od katastrofy. Tylko Ben wiedział, jak to zrobić.

Pośpiesznie zbiegł po schodach i wypadł na palące słońce. Przechodnie, widząc pędzącego na złamanie karku zalanego krwią człowieka, uciekali mu z drogi. Tupot stóp Bena odbijał się echem od murów wąskich uliczek.

Biegając, rzucił okiem na zegarek. Miał jeszcze osiemnaście minut.

Coraz ciężiej oddychał, płuca odmawiały mu posłuszeństwa. Po wybrukowanych kocimi łbami ulicach i alejkach, rozganiając przechodniów, gnał krętym szlakiem na północ. W pewnym momencie stanął, żeby się zorientować, gdzie jest. Rozciągająca się przed nim ulica była pełna straganów i sklepów, wszędzie przewalały się tłumy tubylców i turystów. Taksówki i samochody przedzierały się przez ciżbę, nie żałując klaksonów. Motocyklista z plecakiem, siedzący na wysokim przełajowym motocyklu BMW, gazował silnikiem, czekając, aż z drogi zejdzie gromadka turystów.

Ben podbiegł do niego od tyłu, złapał za plecak i pociągnął. Motocyklista runął na ziemię. Ben schwycił przewracające się bmw za kierownicę, wskoczył na siodółko, wrzucił bieg i z rykiem silnika ruszył, rozpędzając ludzi przed sobą. Jechał w szaleńczym tempie, rzucał maszyną w lewo i w prawo, kluczył między straganami i uciekającymi wystraszonymi przechodniami.

By mieć pojęcie o przebytej odległości, nieustannie odliczał czas w sekundach. Stara Jerozolima nie zajmowała wielkiego obszaru, jej cztery dzielnice tłoczyły się na niewielkiej powierzchni, która w najszerszym miejscu miała nie więcej niż dwa kilometry. Kopuła na Skale była oddalona od Bazyliki Świętego Krzyża, którą wcześniej podziwiał, o niecałe pięćset metrów.

Nie zwalniając, Ben gnał dalej. Mijał skwery, podskakiwał na bruku uliczek. Nagle usłyszał za sobą wycie syreny policyjnej i w lusterku wstecznym zobaczył migające światła radiowozu. W biegnącym z prawej strony ulicy murze dojrzał prześwit, a za nim strome schody, wciśnięte między starożytne chropowate budynki. Wykręcił kierownicą i z poślizgiem wszedł w zakręt. Gdy przednie koło uderzyło w pierwszy schodek, niewiele brakowało, żeby wstrząs wysadził Bena z siodółka. Z wyjąciem na najwyższych obrotach silnikiem wspiał się motocyklem po stopniach na samą górę.

Policyjny samochód zniknął z wstecznego lusterka, teraz jednak Ben słyszał syreny co

najmniej dwóch lub trzech nadjeżdżających z różnych stron radiowozów. Mignęła tablica ulicy Batei Mahasse, jechał więc w dobrym kierunku. Gdy znów spojrzął w lusterko, dostrzegł za sobą kolejne pulsujące światła. Dwa radiowozy, które szybko go doganiały.

W pewnym momencie z bramy wypadła gromadka dzieci. W ostatniej chwili skręcił, aby je ominąć, ale stracił kontrolę nad motocyklem, z impetem wjechał w okno wystawowe pobliskiego sklepu i upadł. W pobliżu, z piskiem opon, zatrzymały się goniące go radiowozy, z których wyskoczyli stróże prawa. Stojąc na chwiejnych nogach, uderzył pierwszego biegnącego policjanta i zwałił go z nóg. Drugi złapał go za ramię, więc kopnął go w podbrzusze. Zanim wezwali pomoc, Ben pobiegł dalej.

Było czterdzieści dziewięć minut po szóstej.

Jedenaście minut.

Już niedaleko. Przed sobą widział szeroką aleję, prowadzącą do położonej na skraju dzielnicy żydowskiej Ściany Płaczu. Tuż za nią wznosiła się ogromna Kopuła na Skale, od jej połączanego dachu odbijały się promienie słońca.

Za sobą słyszał okrzyki i zawodzenie syren. Obejrzał się w biegu. Kolejne radiowozy. Dotarł w pobliże Ściany Płaczu i pędził dalej, roztrzając na boki tłum żydowskich wiernych.

Biegł w stronę Bramy Maurów, jedyne wejścia dla niemuzułmanów na teren Wzgórza Świątynnego. Nie zatrzymywał się, przemknął obok kiosku z biletami, odpychając stojących mu na drodze turystów. Ludzie najpierw krzyczeli, później, widząc krew na jego ubraniu, szybko usuwali się na bok. Biegł szeroką kamienną aleją Wzgórza Świątynnego w kierunku Kopuły na Skale. Czuł ogień w płucach, wydawało się, że za chwilę również nogi odmówią mu posłuszeństwa. Poruszał się teraz wyłącznie siłą własnej woli.

Przed nim wyrosła masywna ośmioboczna budowla, miała ściany wyłożone niebieskim marmurem z pięknymi, ozdobnymi cytatami z Koranu. Przed ogromnym meczetem tłoczyli się głęboko przejęci muzułmanie, w powietrzu słychać było szmer ich pełnych podziwu głosów.

Za plecami usłyszał okrzyki przedzierających się przez tłum policjantów, więc schował się jeszcze głębiej w falującej cizbie. W głowie miał gonitwę myśli, serce waliło mu jak młotem. Wierni zaczęli wchodzić do budynku, widocznie za chwilę miała się zacząć ceremonia. Dygnitarze byli już w środku.

Cztery minuty.

Przez cały czas się rozglądał. Bomba mogła być wszędzie. Przywiązana do ciała jednego z tysiąca otaczających go ludzi, być może umieszczona w meczecie miesiąc temu i teraz tylko czekająca na zdalny impuls, który miał ją zdetonować.

Wyobraził sobie widok tej wspaniałej budowli, wylatującej w powietrze. Jej szlachetną, złotą kopułę plującą ogniem i szczątkami, jej rozbebeszone wnętrze. Wzbijającą się w błękitne niebo ognistą kulę nad Jerozolimą, widoczną z daleka kolumnę czarnego dymu, obwieszającą światu, że zdarzył się kataklizm.

Trzy minuty.

Szanse na zapobieżenie katastrofie były już minimalne.

W tym momencie w tłumie dostrzegł znaną mu twarz. Niski mężczyzna był ubrany po europejsku, miał jasne spodnie i sportową bluzę, na ramieniu skórzaną torbę. Nie wyróżniał się niczym od miliona podobnych turystów.

Ben nigdy nie zapominał twarzy, a rysy tego mężczyzny zapadły mu w pamięć na Korfu.

Błyskawicznie przeniósł się w myślach z powrotem do Grecji. Siedzący w ogródku kawiarnianym człowiek z laptopem. Te same ostre rysy. Te same puste beznamienne oczy. To on. Zamachowiec. Zabójca Charliego.

Ben zaczął się przepychać w kierunku mordercy. Policjanci byli już tylko o dwadzieścia metrów od niego. Zaczął biec. Jakaś kobieta krzyknęła.

Zamachowiec go dostrzegł. Zmrużył tylko oczy i zniknął w rozkołysanym tłumie.

Dwie minuty.

Tak szybko Ben jeszcze nie biegł. Minał mniejsze kopuły, jakieś prastare budynki, wpadł na wiodące w dół, śliskie, nierówne schody i znalazł się w podziemnym labiryncie masywnych kolumn i sklepionych łukami przejść. Z przodu widział migającą pod łukami bram i w zadaszonych alejkach z kolumnadami umykającą sylwetkę. Zamachowiec skręcał raz w lewo, raz w prawo, strasząc przypadkowych turystów.

Ben biegł jeszcze szybciej. Tupot ich stóp odbijał się echem od starożytnych murów.

Jedna minuta.

Zobaczył, że uciekający mężczyzna sięga do torby i coś z niej wyjmuje. Mały, czarny, prostokątny przedmiot. Zdalny detonator. Biegąc, stukał teraz w klawisze. Wprowadzał kod cyfrowy.

Ben poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Sięgnął do tyłu, za pasek dzinsów i spod zakrwawionej koszuli wyszarpnął pistolet, odebrany brodatemu zabójcy. Strzelił. Zamachowiec się schylił. Kula odbiła się rykoszetem od starej kamiennej ściany. Przerażeni ludzie znowu podnieśli krzyk.

Mężczyzna wpadł w alejkę z wieloma wyjściami w różnych kierunkach. Ben nawet na chwilę nie mógł go stracić z oczu, bał się, że zamachowiec do końca wprowadzi kod aktywujący. I że do realizacji celu zostanie mu tylko naciśnięcie klawisza SEND.

Dzisiaj śmierć poniosłyby setki, a może tysiące ludzi. Później ofiar byłoby jeszcze więcej. O wiele więcej.

Była dokładnie godzina siódma.

*

Daleko od Jerozolimy, na tylnej kanapie pędzącej limuzyny siedział Slater i obserwował, jak wskazówka jego złotego zegarka odlicza ostatnie sekundy dzielące go od triumfu. Odchylił się w skórzanym siedzeniu i uśmiechnął.

- Zaczynamy!

63

Zamachowiec z detonatorem w ręce przebiegł pod zniszczonym łukiem bramy.

W chwilę później wpadł pod pędzący skuter - i z głośnym okrzykiem bólu i zaskoczenia przekoziółkował w powietrzu.

Przewrócony pojazd ślizgał się dalej, krzesząc po drodze iskry, kierowca spadł z siodełka i potoczył się na bok, detonator wylądował na bruku alejki.

Z zakrwawioną twarzą, szczerząc zęby z bólu, zamachowiec zaczął się czołgać w kierunku czarnego pudełka. Z odległości dziesięciu metrów przerażony Ben patrzył, jak drżąca dłoń wroga sięga po niewielkie urządzenie z klawiaturą, zaciska się na nim i przyciąga do siebie.

Ben jednym skokiem dopadł zamachowca i uderzył go. Poprawił jeszcze raz. Głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu, z ust trysnęła mu krew. Ben sięgnął po detonator, żeby go wyszarpnąć z palców szaleńca.

Za plecami usłyszał głośny okrzyk. Odwrócił się. W odległości trzech metrów stał młody, zdyszany i spocony policjant z pistoletem w drżącej dłoni. Machnął bronią. W oczach miał strach, ale nie żartował. Krzyknął coś po hebrajsku.

Ben wstał i podniósł ręce do góry.

Młody policjant wycelował w uciekiniera.

Ale zamachowiec tylko się uśmiechnął. Usiadł na brudnej ulicy i wyciągnął kciuk w kierunku klawisza SEND.

Widocznie cały kod był już wprowadzony i wystarczyło tylko dotknąć przycisku, aby nieodwracalnie zmienić świat.

Tak szybko Ben nie poruszał się nigdy swoim życiu. Łokciem uderzył policjanta w twarz, sięgając jednocześnie po swój pistolet. Strzał był całkowicie instynktowny, nie celował.

Kula trafiła w rękę zamachowca i pośród czerwonej mgielki oderwała mu połowę palców. Strzaskany detonator upadł na ziemię.

Morderca klęczał, trzymając się za zmasakrowaną rękę i patrzył na Bena.

- Kim jesteś? - wycharczał.

- Nikim - powiedział Ben i strzelił mu w głowę.

64

- A więc to koniec - powiedział Murdoch. - Wywiązałeś się ze swojej obietnicy.

Ben siedział na brzegu hotelowego łóżka w Jerozolimie i zastanawiał się, czy w ogóle ma jakiś kawałek ciała, który by go nie bolał.

- Teraz wy musicie dotrzymać słowa - powiedział. Nie chciał rozmawiać ani o Callaghanie, ani o Slaterze, wobec nich miał własne plany.

- Zawsze dotrzymuję przyrzeczeń - odparł Murdoch. - Zajmiemy się wszystkim. A ty jesteś wolnym człowiekiem. Nigdy cię tu nie było. I nigdy o tobie nie słyszałem.

Ben zadzwonił pod numer, który mu podała Alex z piwnicy Callaghana. Modlił się, żeby odebrała, chciał mieć pewność, że nic jej się nie stało.

Przez dłuższy czas nikt nie odbierał. Powoli tracił nadzieję, gdy nagle usłyszał Alex.

Na dźwięk jego głosu dziewczyna wybuchła płaczem.

- Wracam - powiedział jej. - Spotkajmy się przy pomniku Lincolna w Waszyngtonie. Jutro, o pierwszej po południu.

*

Długo stał pod prysznicem, zmywając z siebie krew, brud i wspomnienia całego dnia. Potem złapał swoje rzeczy i wymeldował się z hotelu. Po czterdziestu minutach był już na lotnisku, po dwóch godzinach wkroczył na pokład samolotu lecącego do Waszyngtonu.

To jeszcze nie był koniec.

Waszyngton
dzień dziewiętnasty

Na ziemi amerykańskiej wylądował w południe. Pojechał do centrum miasta i usiadł na ciepłych stopniach przed pomnikiem Lincolna. Promienie słońca tańczyły na kryształowo czystej powierzchni znajdującego się w pobliżu sztucznego jeziora. Za wodą wznosił się obelisk Waszyngtona, dalej, w prostej linii, widać było kopułę Kapitolu i siedzibę amerykańskiego senatu.

Alex jeszcze nie przysła. Wyjął telefon i pomyślał o dwóch rozmowach, które musi przeprowadzić. Najpierw zadzwonił do Augusty Vale.

Była zadowolona, że Ben się odezwał.

- Przepraszam, że odjechałem bez pożegnania - powiedział. - Wydarzyło się coś ważnego i nie mogłem czekać.

- Nadal dzwonią do mnie dziennikarze, wpytując o tajemniczego strzelca, który zdobył trofeum, a zaraz potem zniknął.

- Chciałem podziękować za pani gościnność.

- To drobiazg, Benedykcie. Pamiętaj, że jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w Savannah, musisz mnie odwiedzić. W moim domu będziesz zawsze mile widzianym gościem. Czy teraz mogłabym ci w czymś pomóc?

- Tak, chciałbym panią poprosić o numer telefonu wielebnego Cleavera. Potrzebuję kilku egzemplarzy jego książki.

- Oczywiście, jestem pewna, że będzie szczęśliwy, gdy cię znów usłyszy - powiedziała.

Ben wybrał podany numer. Gdy Cleaver usłyszał od sekretarki, kto chce z nim rozmawiać, podszedł do telefonu, głos miał jednak niepewny.

- Jak się miewasz, Clayton?

- Dobrze - ostrożnie odpowiedział Cleaver.

- Już bogatszy o sto milionów dolarów?

- Pieniądze wpłynęły na moje konto dwa dni temu - odpowiedział zaskoczony Cleaver. -

Jak się o tym dowiedziałeś?

- Intuicja - powiedział Ben. - Dzwonię, by zawrzeć z tobą układ.

- Układ? - Cleaver głośno przełknął ślinę. - Jaki układ?

- Nie bój się, Clayton. Nie mam zamiaru pozbawiać cię pieniędzy. Przynajmniej nie wszystkich.

- To bardzo miło z twojej strony.

- Tak, wiem. Oto moje warunki. Nie podlegają negocjacjom. Gotowy?

- Słucham.

- Po pierwsze, oddasz jedną czwartą tych pieniędzy Funduszowi Powierniczemu Vale na budowę nowego skrzydła szpitala dziecięcego.

- Oczywiście, już o tym nawet myślałem - wykrztusił Clayton. - Ale żeby aż dwadzieścia pięć procent?

- Takie są warunki - powiedział Ben. - Oto następne. Mam wrażenie, że kiedyś mówiłeś, że gdy tylko spłacisz lichwiarzy, kupisz nowe wyposażenie domu. Ściany masz nadal puste?

- T-tak - zająknął się Cleaver. - Ale co...

- W Anglii, w Oksfordzie, mieszka utalentowana współczesna artystka. Nazywa się Lucy Wilde. Chcę, żebyś odwiedził jej stronę internetową.

- Co to, do diabła, ma wspólnego ze mną?

- Jeszcze tego nie wiesz, ale wkrótce zostaniesz mecenasem sztuki. Kupisz wszystkie prace, jakie ta dziewczyna ma na sprzedaż, i zaoferujesz jej znaczącą przedpłatę na kolejne dzieła. Będę cię kontrolował, bo nie chcę, żeby twoje wyobrażenie znaczącej przedpłaty zbyt różniło się od mojego.

- To jakiś absurd - zaprotestował Cleaver. - Ja nawet nie lubię sztuki współczesnej.

- Więc ją polubisz - rzekł Ben. - Teraz przechodzę do części trzeciej. Pewien farmer w Montanie potrzebuje gotówki na remont swojego gospodarstwa, bo ktoś mu je trochę zdemolował. Przyda mu się też jedna, może nawet dwie ciężarówki. Prześlę ci jego adres i numer konta, na które przekażesz mu pieniądze.

- Ile on potrzebuje tej gotówki? - podejrzliwie spytał Cleaver.

- Mówimy tu o ładnej okrągłej sumce - powiedział Ben. - O milionie dolarów.

Po drugiej stronie linii usłyszał głośne westchnięcie.

- Wykończysz mnie, Ben.

- Taką opcję też rozważałem. Ale wolę zawrzeć z tobą układ. Czy jesteś gotowy na wysłuchanie dalszych postulatów?

- Mów dalej - zrezygnowanym głosem mruknął Cleaver.

- Dobrze. Pewien adwokat w Georgii potrzebuje pieniędzy na operację nóg.

Cleaver eksplodował.

- McClusky? Chcesz, żebym zapłacił za jego operację?

- Zgadza się - odpowiedział Ben. - Przydałyby mu się jeszcze jakieś fundusze na założenie nowej kancelarii. Co myślisz o trzystu tysiącach? Nie, to za mało. Niech będzie pięćset tysięcy.

Cleaver milczał.

- I już ostatnia rzecz, jakiej od ciebie chcę - powiedział Ben.

- Przez chwilę milczał, była to sprawa, która dla niego miała naprawdę ogromne znaczenie. - Chcę, żebyś założył dla kogoś fundusz powierniczy o wartości miliona funtów szterlingów.

- Dla kogo? - prychnął Cleaver. - Może dla ciebie?

- Dla dziecka - powiedział Ben. - Dla dziecka, które się jeszcze nie urodziło, jednak jest dla mnie bardzo ważne. Pieniądze mają pozostawać w funduszu aż do chwili, gdy ta młoda osoba osiągnie wiek osiemnastu lat, a wtedy muszą być wypłacone w całości. Zadzwoń do ciebie prawnik z Londynu, który omówi szczegóły. A ty tylko złożysz podpis we wskazanym miejscu.

Wiele o tym rozmyślał. Wiedział, że Rhonda nigdy mu nie wybaczy tego, co się stało, że żadne argumenty z jego strony jej nie przekonają. Jak więc w tej sytuacji mógł postąpić? Dalej przeproszać, może napisać? A tak przynajmniej zrobi coś pożytecznego dla dziecka Charliego.

- Mam nadzieję, że stawiam sprawę bardzo jasno - powiedział Ben.

- O, tak, niewątpliwie - wymamrotał Cleaver. - A co zrobisz, jeżeli nie zgodzę się na twój, jakże korzystny, układ?

- Będę cię miał na oku, Cleaver. Powinieneś już wiedzieć, że ja tak łatwo jak twoi lichwiarze nie przebaczam. Naprawdę wolałbym nie niszczyć wyobrażeń panny Vale na twój temat - ale bądź pewny, że gdy zobaczę, że nie dotrzymujesz naszej umowy, od razu się ode mnie dowie, jakim jesteś cwaniakiem. Ale to nie wszystko. Przylecę wtedy najbliższym samolotem z Anglii i kiedy z tobą skończę, będziesz wyglądał jak ofiara poważnego wypadku drogowego. Pamiętaj, że zawsze dotrzymuję obietnic.

- Teraz pewnie powiesz, że będę musiał wyłożyć dziesięć milionów dla tej przeklętej Zoë Bradbury - jęknął Cleaver.

- Nie, te pieniądze możesz sobie zatrzymać. Uważam, że Zoë Bradbury nie zasługuje nawet na centa. Od ciebie czy kogo innego.

Zapanowała dłuższa chwila ciszy, Cleaver się zastanawiał nad przedstawionymi warunkami. - Nie mam wielkiego pola manewru, co?

- Nawet milimetra.

Zrezygnowany Cleaver głośno westchnął.

- W porządku, będzie, jak chcesz. Umowa stoi.

Ben właśnie chował telefon, gdy pojawiła się Alex. Ubrana była w czarne spodnie i skórzaną ciemnoczerwoną kurtkę, podkreślającą kolor jej włosów. Gdy go zobaczyła, na jej twarzy pojawił się uśmiech, wbiegła po schodkach i gorąco go uściskała.

- Bałam się, że już cię nigdy nie zobaczę.

Przez chwilę stali objęci.

- Czy Frank was uwolnił? - spytał Ben.

Alex skinęła głową.

- Tak, mieszkamy teraz u niego. Przyczailiśmy się, tak jak kazałeś. Zoë nadal jest ze mną.

- To dobrze. Nie powinna się stąd ruszać, zanim nie dopadnę Callaghana i Slatera. Ty też nie jesteś bezpieczna. Callaghan wie, że żyjesz. Jesteś świadkiem wielu związanych z nim zdarzeń.

- Więc co robimy teraz?

- Teraz mam zamiar złożyć wizytę senatorowi Budowi Richmondowi.

- Ale tylko razem ze mną - powiedziała Alex.

Montana
dzień dwudziesty, 10:00

Smukłe porsche 959 mknęło po górskiej drodze, jego szerokie opony nie traciły przyczepności nawet na ostrych zakrętach.

Nagle kierowca zobaczył stojącego bokiem, blokującego środek drogi zepsutego forda z podniesioną maską.

Zatrzymał się i wysiadł z samochodu, uśmiechając się do atrakcyjnej rudowłosej kobiety, która właśnie sprawdzała poziom oleju w silniku.

- Czy mogę pani pomóc?

- Tak, może pan, senatorze. - Ben wyszedł zza samochodu, celując z pistoletu w twarz Richmonda, Alex zaś głośno zatrasnęła maskę forda.

- O co wam chodzi? - zapytał zirytowany senator.

- O Irvinga Slatera - odpowiedział Ben. - Wybierzmy się teraz w trójkę na małą przejażdżkę.

Czterdzieści minut później blady jak prześcieradło senator nadal tkwił na tylnym siedzeniu forda. Ben właśnie kończył opowiadać mu o planach Slatera; wcześniej Alex odtworzyła nagranie z piwnicy Callaghana.

- Trudno w to wszystko uwierzyć - powtarzał zdumiony Richmond.

- Znajdował się pan w centrum planu Slatera - powiedział Ben. - I cały czas był pan przez niego wykorzystywany.

- Niekiedy Slater zachowywał się dziwnie - przyznał Richmond. - Te jego tajemnicze spotkania w kolejce linowej. Zawsze się zastanawiałem, o co w tym wszystkim chodzi.

- Teraz już pan wie.

Richmond zacisnął pięści.

- Wiem, że miał swoje nawyki. Wiem, że nigdy nie miał o mnie zbyt wysokiego mniemania i za moimi plecami nazywał mnie dupkiem. Ale nigdy nie przypuszczałem, że posunie się do takiej... potworności. - Głos drżał mu z gniewu. - Dobry Boże, tylko pomyśleć,

że pod moim bokiem kręcili się mordercy. Agenci szatana. - Popatrzył na Bena. - Jestem w szoku. Cóż więcej mogę powiedzieć? Slater na pewno musi stanąć przed sądem. - Zwrócił się do Alex: - Poinformowałaś już o wszystkim swoich przełożonych?

- Oprócz nas nikt jeszcze o tym nie wie - odpowiedziała.

Richmond zagryzł wargi.

- Callaghana i Slatera trzeba aresztować. Zaraz zadzwonię w tej sprawie.

Ben przecząco potrząsnął głową.

- Mamy inny plan.

Zdezorientowany Richmond zmarszczył czoło.

- Jaki?

- Niech pan opowie o swojej kolejce linowej.

hotel Bellagio, Las Vegas

Gdy Irving Slater się dowiedział, że Kopusła na Skale pozostała nietknięta, pośpiesznie wyjechał na niezapowiedziany urlop. Teraz chodził po swoim apartamencie w hotelu Bellagio, wlewał w siebie burbona, pochłaniał czekoladę i spędzał długie godziny na niekończących się dyskusjach o finansach ze swoim brokerem.

W najgorszym wypadku w ciągu kilku godzin mógł opuścić Stany. W internecie już przejrzał mapy Ameryki Południowej, najbardziej podobała mu się Brazylia, zwłaszcza pełne fascynujących dziewcząt Rio. Po spieniężeniu części swoich zasobów finansowych w kraju mógłby tam dłużej pomieszkać. Tak, Brazylia była kusząca.

W miarę upływu czasu jego początkowa panika ustąpiła. Nic strasznego się nie działo, nie wypłynęły żadne nowe wiadomości. Znowu mógł uporządkować myśli. Co prawda Hope nadal żyje, widocznie pułapka nie była skuteczna, ale co z tego? Hope nie miał żadnych konkretnych dowodów jego poczynań. Wszyscy, którzy widzieli Slatera w opuszczonym hotelu w Montanie, już nie żyli. Nie istniały żadne konkretne dowody łączące go z Callaghanem, a Callaghan dobrze wiedział, jak zacierać za sobą ślady. Hope może sobie wrócić z Jerozolimy, pójść do Murdocha i oskarżyć go o spisek, ale nie będzie miał na to ani jednego dowodu. Groźnymi świadkami mogły być tylko te dwie dziwki, które zamknęli w piwnicy Callaghana, ale one już nic nikomu nie powiedzą. Był prawie bezpieczny.

Późnym rankiem następnego dnia zadzwonił telefon. Slater usłyszał głos Richmonda. Senator był przejęty, ale nie zmartwiony. Powiedział, że właśnie dostał zaproszenie z Białego Domu na spotkanie połączone z kolacją, poświęcone bliskowschodniej polityce religijnej, i że bardzo się z tego cieszy. Chciał, żeby Slater natychmiast wrócił z urlopu i pomógł mu napisać przemówienie.

- Spotkajmy się w moim domku narciarskim - powiedział Richmond. - Dzisiaj wieczorem, o ósmej.

Slater zerknął na zegarek i skrzywił się.

- Żeby zdążyć, musiałbym stąd zaraz wyjechać. Dlaczego akurat tam chcesz się spotkać?

- Dostałem poufną informację - odparł Richmond. - Dom jest na podsłuchu. Biuro, wszystkie pokoje. Właśnie nad tym pracuję, dlatego musimy spotkać się gdzie indziej.

Wiadomość od Richmonda zaskoczyła Slatera. Może ta sytuacja stwarza nową szansę na realizację jego projektu? Chodził po pokoju, pił i wpadał w furję, gdy tylko pomyślał o założonym podsłuchu. Kto, do cholery, mógł to zrobić? Zresztą teraz nie to było najważniejsze.

*

Po szybkim locie i niespokojnej jeździe limuzyną dotarł do górskiej siedziby Richmonda. Było mu gorąco, potrzebował prysznic, a od długiego siedzenia rozboleły go plecy.

Stary domek narciarski znajdował się po drugiej stronie doliny i można było dostać się do niego jedynie kolejką linową. Wbiegł truchtem po schodkach do drewnianej dobudówki, mieszczącej sterownię kolejki, wszedł do stojącego wagonika i skierował pilota na tablicę kontrolną. Już miał go nacisnąć, gdy usłyszał czyjś głos.

- Czekaj.

Zobaczył ostrożnie zbliżającego się Callaghana.

Nie wierzył własnym oczom.

- Co ty, kurwa, tutaj robisz?

- Richmond zaprosił mnie na spotkanie. Coś mówił o Białym Domu.

- Do czego Richmond mógłby cię potrzebować?

- Tego nie wiem. Ale powiedział, że to bardzo ważne. Gdzie on jest?

- Tam. - Slater pokazał na drugą stronę doliny.

Callaghan zbladł.

- Nie możemy się spotkać po prostu w domu?

- Dom jest na podsłuchu.

- To wszystko wygląda dziwnie - rzekł Callaghan. - No, ale jak senator tak chce, to jedźmy.

Slater nacisnął guzik pilota. Nic. Potrząsnął nim i znów nacisnął. Tym razem nad głowami usłyszeli głośny szcęk metalu i wagonik, płynąc w przestrzeni, zaczął się oddalać od rezydencji Richmonda.

W połowie drogi nad przepaścią nagle się zatrzymał.

- Co, do cholery... - Slater znowu nacisnął guzik pilota.

Bez skutku.

- Chyba baterie wysiadły - wymamrotał. Zielone światło LED jednak się paliło. Serce

zaczęło mu szybciej bić.

- Jeżeli to badziewie wysiadło - powiedział Callaghan z paniką w głosie - to jak wrócimy?
W tym momencie w kieszeni Slatera zadzwonił telefon.

*

Z oddalonego o trzysta metrów miejsca wagonik kolejki wyglądał jak mały, rozkołysany na niebie sześcian. Siedzący w załomie skały Ben odłożył na bok pilota, którego dostał od Richmonda, i uśmiechnął się na myśl o atrapie, którą senator zostawił dla Slatera w sterowni kolejki.

Slater odebrał telefon.

- To pan, senatorze? - Głos miał zdenerwowany i napięty.

- Znów pomyłka, Slater - powiedział Ben do mikrofonu zainstalowanego zestawu Bluetooth.

Milczenie.

- Kto mówi?

- Spójrz w lewo. Jeżeli masz dobry wzrok, powinieneś mnie dostrzec. Jestem tą plamką na górze.

- Hope?

- Pewno w głowę zachodzisz, jak do tego doszło - powiedział Ben. - Ale jeśli mam być szczery, to powiem ci, że nie chce mi się niczego wyjaśniać. To jedna z tych sytuacji, w których przekazuje się tylko niezbędne informacje, rozumiesz. Martwi ludzie nie muszą o niczym wiedzieć.

- Nie rób tego - zająknął się Slater. - Mam dużo pieniędzy, będziesz bogaty.

- Plan nie był zły - powiedział Ben. - Jesteś sprytny, Callaghan też. Usunięcie twoich danych z bazy CIA było niegłupie. - Rozmawiając, rozpiął pasy futerału leżącego obok karabinu. Wyjął broń. Był to remington podarowany przez ojca Budowi Richmondowi na jego dwudzieste pierwsze urodziny, dotąd nieużywany. Odciągnął zamek przegrody z amunicją i wyjął pięć długich, stożkowych naboju kaliber .308. Po kolei wcisnął je do magazynka i przeładował. Położył się za karabinem. Przez lunetę dokładnie widział system lin i bloków na dachu wagonika.

Slater musiał usłyszeć przez telefon szcęk metalu.

- Pracuję dla amerykańskiego senatora - krzyknął z paniką w głosie. - Nie możesz mnie zabić.

- Mam dla ciebie wiadomość od twojego „dupka” - powiedział Ben.

- Co? O co chodzi?

- Zostałeś wylany z pracy.

Odbezpieczył i wycelowwał, nie zwracając uwagi na paniczny krzyk w słuchawkach.

Nie poczuł momentu, kiedy cyngiel poddał się naciskowi palca, tylko odrzut kolby karabinu w ramię.

Trzysta metrów dalej pocisk przeciął linę, której końce dziko zatańczyły. Zawirowały bloki. Wagonik szarpnął, opadł o dziesięć metrów. Zatrzymała go resztką liny.

W środku Slater i Callaghan z obłądnym wrzaskiem łomotali w okna, ślizgając się po nachylonej podłodze.

Ben znów spokojnie przeładował i naprowadził muszkę na cel. Gdy wypalił, echo strzału przetoczyło się z łoskotem przez całą dolinę.

Wydawało się, że gdy pękła ostatnia lina, wagonik kolejki przez chwilę zawisł w powietrzu, po czym jak kamień runął w przepaść. Leciał trzysta metrów, zanim uderzył w pierwszą skałę i roztrzaskał się na kawałki, które pokoziołkowały w dół zbocza. Wśród pędzących, podskakujących szczątków Ben widział małe jak zapalki ciała Slatera i Callaghana, zdążające na spotkanie ze śmiercią.

Zanim jeszcze zwłoki zdążyły wylądować na dnie doliny, Ben schował karabin do futerału, zarzucił go na ramię i zaczął schodzić ze skały.

W samochodzie czekała Alex, otworzył drzwi i usiadł przy niej. Uruchomiła silnik i w milczeniu ruszyli pustą pylistą drogą.

- Chciałabym cię poznać bliżej - powiedziała cicho.

- Wszystko mogło być inaczej - odpowiedział.

- Ale nie jest, prawda?

- Nie - odpowiedział. - Nie jest.

- Nie zmienisz zdania? Zostań ze mną przez chwilę.

Nie odpowiedział.

- Wiem, co czujesz - powiedziała. - Ale musisz żyć dalej.

- Nie jestem jeszcze gotowy. Przykro mi. Tak to właśnie wygląda.

Mijał czas. Przejechali wiele kilometrów, zanim znów zaczęli rozmawiać.

- Co teraz zrobisz? - spytała.

- Pojadę do domu.

- Wrócisz do teologii?

Milczał. Potem otworzył okno. Wiatr rozwiewał im włosy. Sięgnął do torby, wyjął z niej Biblię i przez chwilę się jej przyglądał. Już nie znaczyła dla niego tego co kiedyś.

Wyrzucił ją przez okno.

Szarpnięta podmuchem o szybkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę, otwarła się i zatrzepotała kartkami, a potem spadła na trawiasty nasyp przy drodze, daleko w tyle.

- A więc teologia odpada - powiedziała Alex.

- A co będzie z tobą?

Spojrzała na niego.

- Co zrobię? To samo co ty, Ben. Podsumuję dotychczasowe życie. Poszukam nowego kierunku. Może Agencja nie jest dla mnie najlepsza. Wstąpiłam do niej, bo chciałam pomagać innym. Teraz wiem, że są lepsze sposoby pomocy. Chyba wrócę na studia medyczne.

Pokiwał głową.

- To dobra decyzja. Będziesz wspaniałym lekarzem.

Wyciągnęła rękę i ścisnęła jego dłoń.

- Będę za tobą tęsknić, panie Hope.

- Mnie też będzie ciebie brakować.

- Czy na pewno dasz sobie radę?

- Na pewno.

- Naprawdę?

Uśmiechnął się.

- Naprawdę.

- Odzywaj się.

Nic nie powiedział.

- Wiem, że tego nie zrobisz - westchnęła.

Po kilku kilometrach zobaczyli tablicę małego miasta. Pokazał jej, gdzie ma się zatrzymać, zjechała na trawiaste pobocze.

Milczała, gdy wysiadł z samochodu.

Zarzucił kurtkę na ramię i patrzył, jak odjeżdża.

Samochód był coraz mniejszy, w końcu stał się małą czarną kropką.

Zachodziło słońce. Odwrócił się i poszedł w kierunku miasta.

Nota od autora

Chociaż fabuła *Proroctwa Sądneho Dnia* jest całkowicie fikcyjna, faktem jest, że miliony ludzi na świecie, przede wszystkim amerykańscy fundamentalistyczni chrześcijanie, wierzą, że w każdej chwili świat może runąć w apokaliptyczną, przepowiedzianą w Biblii przepaść. Uważają, że przewidziany scenariusz katastrofy musi się zdarzyć, zaś ci, którzy na nadejście Czasów Ostatecznych nie przygotowują się właściwie, skazani są na bolesną zagładę.

Każde użyte w tej książce odniesienie do Biblii jest prawdziwe, można się o tym łatwo przekonać, otwierając Dobrą Księgę. Poznanie Biblii to ogromne i skomplikowane wyzwanie. Podczas pisania *Proroctwa Sądneho Dnia* niekiedy musiałem się uciec do fantazji, czasami do uproszczeń. Prawdziwi wyznawcy Teorii Czasów Ostatecznych zazwyczaj czerpią wiadomości z różnych fragmentów Biblii i później łączą je w spójną całość, nie wykorzystując pomysłów z jednego źródła, tak jak to robią postacie z mojej książki. Z tego powodu proroctwa Czasów Ostatecznych często różnią się w sferze interpretacji. Niektórzy wierni, zgodnie z Doktryną Pretrybulacyjną, uważają, że Wniebowzięcie będzie miało miejsce jeszcze przed Trybulacją, inni zaś są przekonani, że Wniebowzięcie nastąpi w czasie trwania Trybulacji. W drugim przypadku wszyscy, wierzący i niewierzący, przez dłuższy czas byłiby wspólnie poddawani niewymownym cierpieniom, a prawdziwi, lojalni wierni zawinęliby do bezpiecznego portu dopiero po jakimś czasie. Taki właśnie pogląd przypisałem w mojej książce Claytonowi Cleaverowi i fundamentalistycznym konspiratorom.

Księga Objawienia, podstawa wiary zwolenników Teorii Czasów Ostatecznych, jest w rzeczywistości tylko jednym z wielu proroczych tekstów biblijnych. Istnieją też inne, na przykład starotestamentowa Księga Ezechiela. Jednak to Księga Objawienia jest najbardziej zagadkowa i zawiera takie elementy, jak klasyczną już liczbę 666, popkulturowy symbol zła. Znaczący Biblijści zauważają, że wykorzystałem teksty pochodzące z nauk Ezechiela, Daniela i innych. W tej sferze przyznaję się do popełnienia paru biblijnych sztuczek, więc przepraszam purystów i przypominam: *Proroctwo Sądneho Dnia* jest przecież utworem fikcyjnym...

Czy jednak całkowicie fikcyjnym? Podczas zbierania materiałów do książki uderzyła mnie obfitość dziwnych zdarzeń i pozornych „znaków”, coraz widoczniejszych w miarę postępu moich prac. Mniej więcej w połowie pisania tej książki, w środku nocy obudził mnie wstrząs, który, jak się później okazało, był częścią bardziej rozległego trzęsienia ziemi -

wyjatkowo rzadkiego i przedziwnego zjawiska w moim kraju. Dalsze badania uświadomiły mi istnienie szeregu nietypowych zdarzeń, które, analizowane w odpowiednim świetle, mogłyby być interpretowane jako oznaki zbliżającego się końca świata. Anomalie pogodowe, plagi afrykańskiej szarańczy we Francji, wybuch rzadkich chorób, rosnący chaos społeczny, coraz większe napięcie na Bliskim Wschodzie. Na większą, bo kosmiczną, skalę astronomowie znajdują dowody na kolizje całych galaktyk, co jest niepokojącym echem twierdzeń Księgi Objawienia, że *zderzą się ciała niebieskie*. Im więcej na ten temat czytam, tym częściej zdaje mi się, że ponure ostrzeżenia Claytona Cleavera mogą mieć jakąś podstawę.

Czy to rzeczywiście nastąpi? Przekonamy się sami.

Na koniec chciałbym podkreślić, że negatywny obraz niektórych fikcyjnych zwolenników Teorii Czasów Ostatecznych w tej książce w żadnym wypadku nie odnosi się do rzeczywistych wiernych, niezależnie od sposobu ich interpretacji biblijnego proroctwa. Pamiętajmy, że Ben Hope jest fikcyjnym bohaterem, a fikcyjny bohater nie może istnieć bez fikcyjnych przestępców!

Zapraszam teraz czytelników do zabawy, polegającej na odnalezieniu w treści mojego komentarza ukrytej „Wskazówki Sądneho Dnia”. Pierwszych pięć osób, które się ze mną skontaktują przez witrynę internetową i udzielą poprawnej odpowiedzi, otrzyma w prezencie podpisane przeze mnie egzemplarze książki.

Mam nadzieję, że czytanie tej powieści dostarczyło wam takiej samej przyjemności jak mnie, autorowi, jej napisanie. Ben Hope jeszcze wróci!

Scott Mariani